JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

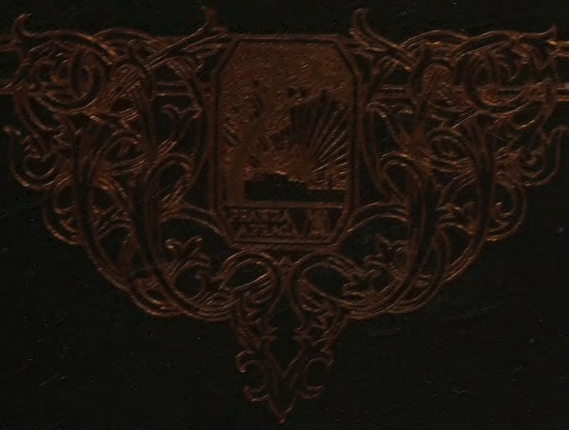

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
MARCTA
W WARSZAWIE

J. I. Kraszewski

POD BLACHĄ

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

BIBLJOTEKĄ WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

POD BLACHĄ

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE SP. AKC. W WARSZAWIE

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. um. 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LXXVIII

J. I. KRASZEWSKI

POD BLACHĄ

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII WIEKU

CZĘŚĆ I

PRAWDA A PRACĄ

1930

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

I.

— A słowo się stało ciałem! Co ja widzę? Pokutyński?

— Pan Stanisław! *Sacré-nom!* On sam! A ty co tu robisz?

Dwa te wykrzykniki, jeden po drugim słyszeć się dały pewnego dnia zimowego roku 179... na gościńcu przed austerją w Jabłonnie.

Dzień był chłodny, powietrze ostre, ziemia śniegiem pokryta, mnóstwo go jeszcze świeżo spadłego wisiało na drzew gałęziach, a wiatr nie miał czasu otrząsnąć. Niebo chmurne, płowe, odbijające się ciemno od całunu rozpostartego na ziemi, zdawało się jeszcze zapowiadać śnieżnicę.

U wrót austerji stały tylko co zapewne przybyłe i wstrzymane dla wytchnienia cztery koniki z sankami; zmęczone, robiące bokami, z których para buchała jak z kotła. Dobry kawał drogi musiały zrobić bez spoczynku.

Z sanek wysiadł był przed chwilą ten, którego pan szambelan Pokutyński nazwał Stanisławem.

Był to mężczyzna niemłody, dosyć otyły, z brzuszkiem foremnie zaokrąglonym, w ciepłej czapce z uszami, w dostatniem futrze pasem czerwonym podciągniętem, w butach ciepłych do kolan, z twarzą rumianą i pucołowatą. Wyciągał się właśnie ze zdrętwienia od zasiedzenia w sankach, gdy mu się na oczy nawinął pan szambelan Pokutyński.

Poczciwa to była fizys obywatelska z dawnych czasów, księżycowata, dobrze wykarmiona, na której wszystko co się zrodziło i powstało w duszy, malowało się natychmiast jak w zwierciadle.

Obmarzły wąs napróżno się jej starał dodać marsowego wyrazu. Facjata była dobroduszna, bez dobitnego charakteru własnego, oznaczająca na pierwszy rzut oka człowieka miękkiego, któryby rad czuba sobie nastawić i wydawać się groźnym, aby go nie sponiewierano.

Z rumianych szerokich ust widać było, że nie próżnowały w żadnej posłudze z tych, do których zostały stworzone.

Czoło za to gładkie, spokojne, zasklepiało czaszkę okrągłą, niemającą żadnych wypukłości złowrogich, widocznie myśleniem zbytecznem i troskami niebardzo znużoną.

O jej gładką powierzchnię fale idei, krążących po świecie, jak o skałę rozbijać się musiały.

Spojrzawszy na pana Stanisława Kostkę z Burzymowa Burzymowskiego, który, zarówno z panem Pokutyńskim, był króla Stanisława Augusta szambelanem, miałeś odrazu konterfekt gotowy człowieka — „jak mnie widzisz tak mnie pisz". Nie potrzebowałeś sobie nad nim łamać głowy, jak nad wielu innymi, co są zagadką dla bliźnich, a może dla samych siebie.

Burzymowski choćby był pragnął się zataić, twarzą i mową spowiadał się przed wszystkimi, a beczki soli dla poznania go wcale nie było potrzeba. Jakim dziś, takim go miałeś zawsze.

Wcale inaczej wyglądał jmpan szambelan Pokutyński, ubrany z miejska, w bardzo ładnem futerku, pokrytem ciemnozielonym aksamitem, z szyją starannie szalem tureckim okręconą, w peruce staroświeckiej nieco formą, ale świeżej i eleganckiej, na której z pewną kokieterją włożony siedział rodzaj — kapelusika.

Wyglądająca z pod szala i peruki, wygolona starannie, trochę już wiekiem popsuta i nadwerężona,

ale troskliwie utrzymywana twarzyczka błyszczała złośliwością, wesołością, sprytem i dowcipem. Oczki nieco przymrużone śmiały mu się niepoczciwie, a usta krzywiły sarkastycznym wyrazem, do którego były nawykłe, tak że im już poważnie się ściągnąć stawało niepodobieństwem.

Choć wcale niemłody, trzymał się wykrygowany, prosto, z pewną salonową elegancją, w ręku potrząsając chusteczką, którą nos zakatarzony i od zimna zaczerwieniony nieustannie musiał ocierać, pilnując razem rękawiczki, raczej do stroju służącej, niż mogącej od zimna ochronić.

Nogi też miał opatrzone w zgrabne berlaczyki futerkiem obłożone, na których dbałość o formę i elegancję znać było.

Przekwitła dawno młodość w dziwnej była sprzeczności z tą kawalerską, innym latom właściwą wytwornością stroju i żywością ruchów, trochę wymuszoną, pana szambelana.

Po wykrzykniku dwaj panowie szambelanowie zbliżyli się ku sobie pospiesznie przez śnieg brnąc i zaczęli się ściskać serdecznie.

Burzymowski spełniał ten obowiązek ze staropolską sumiennością, która, choćby poślinić ale uczciwie w oba policzki plusnąć nakazywała; Pokutyński ściskał się z pewną oględnością, chroniąc się od mokrego zetknięcia z obmarzłemi wąsami.

— Ale, proszę cię, *nom d'un nom,* — zawołał odsuwając się nieco szambelan Pokutyński — skądże się tu wziąłeś? Wszak mieszkacie, *ni fallor,* za austrjackim kordonem?

— Ha! tak jest! w austrjackim kordonie! A cóż ty zimową porą robisz w Jabłonnie? — odparł z równym pośpiechem Burzymowski. — Wszak przecie książę Józef zimą w Warszawie rezyduje, Pod blachą?!

— Tak jest! Cóżby on tu robił? — zaśmiał się Pokutyński. — Niema go tu. Powiem ci krótko a węzłowato: bieda mnie przypędziła. Z tą młodzieżą teraź-

niejszą gorąco kąpaną kto się wda, pokoju nie ma nigdy. Otóż i ja umęczony przez nią jestem.

Domyśleć się łatwo — pojedynek! Musiałem tedy *qua* świadek, jako przyjaciel i rozjemca, gdyż starałem się odegrać tę rolę, przywlec tu niepoczciwemi sankami, które się co chwila zataczały i boki mi otłukły, po to, ażeby po kilku złożeniach i kilku wykrzykach — być świadkiem pocałowania i zgody.

Cha! cha! cha!

Nikt nikogo ani drasnął, bo *ambo meliores*, rębacze doskonali!

— Ale któż, z kim? — zapytał ciekawie Burzymowski.

— Ty ich nie znasz pewnie. — Pierwszy ten zawadyja nieszczęsny, łomignat, burda, szaleniec Dąbski, co to już raz z przyjaciółmi swymi na patrol pruski wpadł obcesowo; drugi taki sam junak Kalinowski.

Trafił swój na swego i — godnie się wzajem oceniwszy, najczulszą zawarli przyjaźń! — dokończył szambelan, — byle tylko trwała!

W początku myślałem, z animozji wnosząc, że się na bigos posiekają i my tylko członki ich na śniegu zebrane odwieziemy do Warszawy.

Pan Stanisław Kostka z Burzymowa Burzymowski stał z usty otwartemi, słuchając z zajęciem wielkiem.

— A po cóż się, do licha, ci ichmość aż do Jabłonny fatygowali, — odezwał się — przecież ani króla, ani sejmu, ani jurysdykcji marszałkowskiej w tej opustoszałej Warszawie niema? Mogli w pierwszym lepszym ogródku, na podwórku jakiem swej krewkości uczynić zadość?

— Może to fantazja jak inne, a może i racja była! Co ty chcesz? Warszawy pruskiej ty nie znasz! Hm?

Dąbski nie życzył sobie się rąbać w mieście, powiadając, że jak się rozmacha, gotów znowu wpaść na jakiego Prusaka. Dla oryginalności też zaprosił kuligiem do Jabłonny. A i to dodać muszę, że w szopie

w Łazienkach, gdzie się zwykle te harce odbywały dawniej, książę Józef uprosił gubernatora Koehlera, aby mu warfę postawił.

Mieli się tedy tu porąbać na kawałki; ruszyliśmy do Jabłonny, aby nam nikt nie przeszkadzał, a skończyło się na tem, że teraz burgunda piją razem i całują się, dopóki znowu za łby się nie pobiorą...

— Co ty się dziwisz, — dodał Pokutyński ciszej — krew nie woda, a czasu pokoju gdy się rąbać niema z kim, bije się choć z przyjacielem, aby ręki i animuszu nie stracić! Kto wie, co przyszłość nam gotuje!

Burzymowski obejrzał się niespokojnie dokoła.

— Gdzież oni z tym burgundem? — spytał przestraszony. — Czy nie w austerji, broń Boże!

— A! nie! nie! W oficynie książęcej. Wprosili się do kwatery Brodowskiego, którego starą gospodynię przekupili, że ich tam wpuściła.

Podróżny nasz, widocznie uspokojony, swobodniej odetchnął.

— A tobie naco austerja? — spytał poglądając na niego Pokutyński.

— Ja bo widzisz, jadę dworno, córkę z sobą wiozę — rzekł Burzymowski. — Tylko co jej nie widać... musimy tu popasać. — Mówiąc to, westchnął, machinalnie czapkę poprawił, jakby się chciał w głowę podrapać i twarz jego oblokła się wyrazem troski i zakłopotania.

— Córkę! a! a!.. córkę wieziesz na karnawał Pod blachę! — zaśmiał się szambelan. — Dalipan to paradnie!

— Jako żywo! jako żywo! — podchwycił podróżny. — Jeszcze nic nie wiem, ani co, ani gdzie, ani jak!

Tu nagle przerywając dodał:

— Ale, o tem potem.

I troskę z siebie otrząsnąwszy chwilowo, wyciągnął obie ręce ku Pokutyńskiemu.

— Hej! hej! kolego kochany! wieleż to lat, jakeśmy się z sobą nie spotykali?

— Ba! Jeżeli się nie mylę, — odparł, namyślając

się Pokutyński — od Grodnaśmy się nie widzieli! Pamiętasz? Ostatni raz na balu u Sieversa?..

— Jak Boga kocham, szalona, szalona pamięć! A tak! Pamiętasz, oblałem cię winem! — śmiał się Burzymowski i otarł oczy, bo gdy się śmiał, zawsze prawie razem płakać był zmuszony.

— Twojego wina więcej było szkoda, niż mojego fraka, — odparł Pokutyński — wino było stare, wytrawne i doskonałe jak rzadko. Z takiem winem, jak za onych dobrych naszych czasów, dziś już się nie spotykamy. Burgund wszedł w modę, *in quo nati sumus,* poczciwy węgrzyn zaniedbany. Mówią, że dawał podagrę! ba! za taki kordjał warto cierpieć było.

— U nas za kordonem — odezwał się prędko Burzymowski z wielką serją — węgrzyn wcale niezaniedbany, my szanujemy tradycje narodowe, a przytem Węgry o granicę!

Wybuchnął śmiechem Pokutyński, zaczęli się śmiać obadwaj, znowu łza się natrętna zakręciła w oczach Burzymowskiemu, który ją spiesznie ocierał tłustym kułakiem.

— Ale, cóżeś ty tu na gościńcu robił? — zapytał Pokutyńskiego.

— Wymknąłem się od pijatyki i szedłem do moich sanek — odparł szambelan. — Dąbski z Kalinowskim, ich świadkowie: Kwiński, Koszycki i Anizetka (Bieliński) jak poczęli solenizować zgodę, będą tu siedzieli do nocy, póki im tylko burgunda, a potem materjałów do ponczu stanie, ja zaś, rozstąp się ziemio, *coûte que coûte,* powracać muszę, aby wieczorem być u pani jenerałowej Grabowskiej.

— No! ależ ci przecie nie tak pilno, abyś dla mnie chwileczki nie poświęcił, — odezwał się błagającym głosem, biorąc za obie ręce Pokutyńskiego podróżny. — Zmiłuj się nad biednym wieśniakiem! Kto wie, czy ja cię złapię już w Warszawie, a okrutniebym od ciebie rad zasięgnąć języka... (Tu począł ciszej). Wybrałem się naoślep! któż lepiej nad ciebie może mnie poinformować...

— Służę ci chętnie — odezwał się Pokutyński. — Nawet konie mojego automedona, jak widzę, nie dojadły jeszcze sieczki, którą ich poczęstował. Chodźmy do izby — chłodno.

— Zybek! Zybek! — ogromnym (umyślnie dla sług przeznaczonym) głosem, i to jeszcze przez kułak dla spotęgowania go, zawołał Burzymowski. — Zybek! a! żeby cię! Gdzież się ta bestja zaszyła już. Tylko co był i już świsnął. Zybek!

Na wołanie to, coraz niecierpliwszym powtarzane głosem, z karczmy wybiegł młody chłopak w kożuszynie i opończy na niej, pędem wprost lecąc przestraszony na pana.

— Co jaśnie pan każe? co?

— Izba! Izba ciepła, słysz! izba czy jest? Potrzeba ich dwie, gamoniu! Mówiłem ci, dla mnie jedna, druga dla panienki z wojską!

— Jest! są! a jakże! — żywo, jąkając się odparł Zybek. — Właśnie smółką wykadzać kazałem, bo było trochę swędu.

— No, to chodźmy, kochany szambelanie, — zawołał Burzymowski, biorąc go pod rękę — chodźmy! Mam z sobą prawdziwy gdański goldwasser, powiadam ci jak oliwa, a na zakąskę piernik toruński. Jak moja Sylwja nadciągnie, to się tam coś i pożywniejszego znajdzie... Ale — kiedy ona nadciągnie!..

To mówiąc, rękę do czoła przyłożył Burzymowski i długo przymrużonemi oczyma patrzył na pusty, zawiany gościniec, na którym, jak zajrzeć, żywej duszy widać nie było. Śnieg tylko leżał pogarbiony, a w nim gdzie niegdzie tkwiły krzewy czarne obrąbiane śniegiem, nad któremi wrony się kracząc unosiły.

— Ale bo, powiadam ci, — ciągnął dalej, ku austerji zwracając Burzymowski — powiadam ci, z temi babami niewysłowione utrapienie! Nie można się było inaczej wybrać jak landarą, węzełków, puzderek, skrzyneczek, pudeł, sepecików, zawiniątek, kuferków, tłumoków — bezliku. Śniegu około nas było niewiele,

dopiero gdyśmy wyjechali, jak zaczął sypać, jak z rękawa! trzeba tedy było arkę Noego brać na gryndże, a teraz wlecze się to powoli, bo i ciężkie i wywrotne.

Wystaw sobie, ja lżej jadąc, zawsze prawie mam czas popaść nim one nadjadą. Skaranie Boże! Myślałem, że nigdy nie dociągniemy do Warszawy.

To mówiąc, weszli do izby w austerji, w której zapowiedziana przez chłopca smółka zmieszała się wprawdzie ze swędem i wonią cebuli zasadniczą, ale zapach, jaki z trojga tego się wytworzył, nie był wcale przyjemny. Pokutyński, który już pewnie dawno wiejskiej karczmy nie wąchał, zaraz na wstępie kichnął.

Tymczasem ów tak zwany Zybek na dany znak pobiegł był już po puzderko, które w saniach u nóg pańskich stało. Szambelan wykichawszy się, rozwinął szal turecki, zdjął kapelusik, rozpiął zielone futerko i usiadł za stołem naprzeciw dawnego towarzysza.

— A wiesz, — odezwał się do szlachcica, który już z kluczem około puzderka się krzątał — że ty, słowo ci daję, wyśmienicie, doskonale, zdrowo jak rydz wyglądasz. Co to jest wieś! Powietrze zdrowe, jadło proste, naturalne a pożywne i ten szczęśliwy, arkadyjski spokój, którego wy sielankowi ludzie używacie.

Burzymowski, który miał właśnie do ust nieść kieliszek goldwassera i poczynał już owo sakramentalne:

— W ręce twoje, w gardło moje!

Zatrzymał się nagle, popatrzał naprzód serjo, pokręcił głową, uśmiechnął się i zawołał:

— A bodaj cię! Spokój! na wsi! Spokój u człowieka, który ma córkę dorosłą, a do tego jak anioł piękną i jak żywe srebro żwawą!

— No, córki takiej pozbędziesz się łatwo — śmiejąc się i przyjmując kieliszek, rzekł szambelan. — Panna piękna w matkę się wdać musiała, więc i w główce też dobrze! hę?

(Nie rozważył Pokutyński, że niechcący powiedział impertynencję. Szczęściem, poczciwy Burzymowski nie miał zwyczaju nic nigdy brać do siebie).

— Fiu! fiu! — odparł żywo. — W główce! ale jak!

ale jak! Rozum stary, spryt szalony! Toż bieda właśnie! Powiadam ci, lat... no, co tam lata liczyć... młoda, a swoją wolę musi mieć we wszystkiem, i — nie ustąpi.

Tu się spostrzegł pan Stanisław, że może niepotrzebnie, nadto się o córce wygadał i natychmiast się poprawił.

— Ale, powiadam ci, jak anioł, dobre dziecko. Jedynaczka, pieszczotka, trochę fantazyjki musi mieć i niech ją ma!

— Niech ma! to dobrze! kobiecie to uroku dodaje — pospiesznie dokończył Pokutyński. — Ja ci winszuję takiej córki!

Zajadali właśnie toruńskim piernikiem, nad który niema lepszego nic do odebrania apetytu, gdy Burzymowski klapnął po ramieniu starego przyjaciela.

— No, ale mówże ty mi, kochany, drogi szambelanie, co się tu u was dzieje? Wiesz, że ja za kordonem mieszkam pod rakuskiem berłem, w Warszawie nie byłem od wieków! Chciałem Sylwję dla ekonomiki zawieźć do Lwowa, ale ani sposobu ją było do tego namówić. Lwów, to dziura! do Warszawy i do Warszawy!..

A tu — ta Warszawa...

Westchnął ciężko Burzymowski i ciągnął dalej.

— Nie wiem, czy ty to sobie przypominasz, że przez nieboszczkę matkę mojej Sylwki jesteśmy bodaj w jakiejś koligacji z Tyszkiewiczami... Dziewczyna nie w ciemię bita, musiała sobie namotać zawczasu, że albo przez hetmanową lub przez referendarzową wnijdzie w te koła, do których aspiruje, a na których wspomnienie mnie domatora, szlachetkę, hreczkosieja aż dreszcze przechodzą!

Twarz okrągła, śmiejąca się poczciwego Burzymowskiego chmurą się oblekła.

— Cóż poradzić z młodemi? Jabym rad w prawo, ona ciągnie w lewo, a młodość zawsze silniejsza i nie chce się jej psuć wesela, którego tyle co na zaraniu!

(westchnął). Zobaczymyż, co się tu u was święci... i... tego!..

Pokutyński przysłuchiwał się z uwagą wielką. Po twarzy jego przebiegały uśmieszki różne, nie spieszył z odpowiedzią, kruszył i jadł piernik. Naiwny szlachcic, który mu się tak otworzyście spowiadał ze wszystkiego, obudzał w nim widocznie rodzaj politowania, do którego mieszało się nieco szyderstwa. Dawszy się wygadać przyjacielowi, spytał odniechcenia, unikając odpowiedzi na pytanie, co się dzieje w Warszawie.

— Zabawicie więc pewnie przez karnawał?

— Albo ja wiem! — zawołał Burzymowski. — Na karnawał, na post, na całą zimę może jedziemy. Jak się moja droga jedynaczka uprze siedzieć, nie będę się mógł ruszyć bodaj i rok cały!

Bo, proszę cię, jak tu dziecku odmówić? Skrzywi się, zasmuci — żal; zacznie prosić, przymilać się, najtwardsze serce, kamienne by zmiękczyła. Ja, słowo ci daję, choć mam swoją wolę, o! i twardą! ho, ho!... ale znowu dziecka własnego tyranizować nie mogę... to darmo!

— Masz słuszność — rzekł z ironją dobrze zamaskowaną Pokutyński. — Jedna jest młodość, tyle jasnych dni w życiu, co ta odrobina młodości. Nie trzeba jej nikomu psuć.

— Otóż to jest! otóż to!.. Ja to samo zawsze powiadam, jedna młodość jest w życiu, — podchwycił Burzymowski — niechaj się przynajmniej pobawi dopóki młoda!

— No, w Warszawie, — przerwał żwawo szambelan — w Warszawie na zabawach, *nom d'un nom*, zbywać wam nie będzie.

Pamiętasz mój drogi, ów nasz sławny sejm czteroletni? No, zdaje mi się, że Warszawy więcej ożywionej jak naówczas była, wyobrazić sobie trudno, a ja ci powiem, że dziś niemal tak ochoczo i gwarno się bawią, jak naówczas. *C'est tout dire!*

Burzymowski rękami strzepnął.

— Tamto było co innego! — zawołał. — Dziś, za-

miast naszego dobrego, miłego pana, gospodaruje tam jakiś jaśnie wielmożny gubernator pruski czy prezydent, czy jak go tam zowią, bo nie wiem, a zamiast naszej gwardji stoi wojsko niemieckie w pluderkach i kamaszach, na które dosyć spojrzeć i posłyszeć jak szwargoczą, aby i apetyt i humor utracić.

— Eh! obyliśmy się z tym poczciwym Koehlerem, który jest nadzwyczaj gładkim i miłym człowiekiem, — odparł szambelan — obyliśmy się i z tem *Eins, zwei, drei!* Zresztą Niemców u nas jakoś ani słychać tak bardzo, ani widać — przycupnęli.

Burzymowski niedowierzająco głową potrząsł.

— No, to musi być ich czuć przynajmniej — rzekł nosem pokręcając. — Dajmy temu pokój. Wy macie jeden ich gatunek, my drugi, a dla mnie oni wszyscy djabła warci.

Po chwili dodał:

— A z familji królewskiej kogóż tam macie?

— No, starego księcia eks-podkomorzego, który się już bardzo posunął — począł Pokutyński.

— Hm... I Truskolaską porzucił? — spytał szlachcic.

— O! dawno! — rozśmiał się Pokutyński — choć nie ręczę, żeby ją jaka Józia nie zastępowała, bo on bez tego nigdy nie był.

— Stary bałamut! — ruszając ramionami, mruknął Burzymowski. — I kogóż więcej?

— Jest pani hetmanowa, no, i nasz książę Józef, gwiazda nasza! — zawołał Pokutyński z zapałem.

— A książę Józef, jakże? co? tego? hm? — spytał Burzymowski, nie śmiejąc się wyrazić dobitniej.

Po chwili namysłu Pokutyński, zawsze w mowie oględny, odpowiedział, zwolna cedząc:

— Książę Józef? Jakże ma być? tego... na niego oczy Niemców zwrócone, boją się go jakoś instynktem, musi siedzieć i udawać, jakby go oprócz fatałaszek nic w świecie nie zajmowało. Lew śpi! Pod blachą u niego całe życie się skupia, z Pod blachy ono na miasto płynie. Musimy się bawić szalenie, aby nas nie posą-

dzali, że nam z Niemcami niedobrze. Więc, Pod blachą nic, tylko wyrocznia mody i opinij. — Nie wiesz o tem?

— Słyszałem *praeter propter* — odezwał się Burzymowski — ale, to jest zawsze dom kawalerski, dla mężczyzn, a kobiety...

Pokutyński popatrzał nań długo, długo i rzekł od niechcenia.

— Kobiety przecie przyjmuje pani Tyszkiewiczowa, a gdy jej niema (bo ona tu rzadko siedzi) — to jest przecie jej przyjaciółka, pani Vauban.

Posłyszawszy to imię, szlachcic, zdziwiony, stał dotąd długo niemy, i jakby wahał się wydać z niewiadomością swoją, wtrącił wkońcu nieśmiało.

— Ale bo widzisz, mówiłem ci, że jestem z za kordonu. Jak? jak? Vauban? Vaubin? Cóż to za jedna?

Szambelan wydął usta, wziął próżny kieliszek w rękę, i zamiast patrzeć w oczy Burzymowskiemu, zmrużywszy jedno oko, przyglądał się długo kieliszkowi, który był dosyć pięknie rzezany.

— Pani de Vauban — począł nareszcie wolno — pani de Vauban, hm — jakżeby ci to powiedzieć? Jest to emigrantka francuska, osoba wysokiego tonu, ekstra delikatnego zdrowia, ekstra wykwintnych sentymentów, — jest to przyjaciółka od serca pani Tyszkiewiczowej, która dla słabej konstytucji, nie dozwalającej jej się narażać na częste a długie podróże, raz tu przybywszy z panią referendarzową — ot, tak została Pod blachą, oczekując na powrót przyjaciółki, a tymczasem za nią robi honory domu.

— *Quo titulo?* — zapytał szlachcic natarczywy.

— Jakto! rzecz bardzo prosta! jako przyjaciółka siostry księcia, i — jako gospodyni domu, który ma tylko gospodarza — rozumiesz?

Szlachcic głową kiwał z jakąś miną, jakby mu to jeszcze nie ze wszystkiem wydawało się jasnem.

— Jakoś ja tego spełna, mierząc naszemi obyczajami, nie rozumiem, — odparł Burzymowski, — albo

ty figlarzu, *antiquo more,* kpisz sobie poprostu ze mnie.

— Uchowaj Boże! mówię ci prawdę najszczerszą i rzecz tak jasną, — odparł Pokutyński — tak naturalną, że nie pojmuję, co w niej ciemnego znajdujesz.

Burzymowski w głowę się podrapał.

— A któż tam bywa Pod tą blachą? — zapytał.

— Phi! wszyscy, co do nogi i co do nóżeczki najarystokratyczniejszej, — dodał szambelan — oprócz kilku starych kwok nudnych.

Burzymowski ręce zapakowawszy w kieszenie kapoty, chmurny i zadumany, począł się po izbie przechadzać.

— Ta — Vauban — czy jak tam, ma męża? — spytał, odwracając się.

— A ma! poczciwy jakiś człek, przyjeżdża tu ją odwiedzać czasami. Francuz wielce utalentowany, gra w teatrze amatorskim, jakgdyby całe życie był z profesji artystą.

— Role mężów? — spytał Burzymowski, wciąż dumając.

— Mężów i kochanków nawet, — dodał Pokutyński — *en perfection.*

Nastąpiło milczenie, wieśniak stanął i począł z natężeniem w oczy patrzeć Pokutyńskiemu, który wkońcu na głos się rozśmiał.

— Mówisz, że wszyscy bywają Pod blachą? — dodał szlachcic.

— Powtarzam, wszyscy! — potwierdził szambelan.

Burzymowski pozostał w zadumie, potem żywo do ucha przyskoczywszy szambelanowi, coś mu pośpiesznie szeptać zaczął.

— Albo ja wiem! — odparł wolno Pokutyński — co to do mnie należy!

Znowu Burzymowski chodził ze zwieszoną głową, i nierychło odezwał się jakby sam do siebie.

— Tandem tedy, mościdzieju, to tam jakieś pokrewieństwo nasze, a raczej Sylwki nie moje z Tysz-

kiewiczami, bardzo dalekie i dajmy na to, że go i niema. Ja się wcale o nie upominać nie myślę, — wysokie progi na moje nogi. Są inne domy cichsze, nieksiążęce, które nam lepiej przystaną.

— Znajdziesz ich do wyboru, ile zechcesz! ale kwiat i śmietanka zawsze nie gdzie indziej, tylko Pod blachą, — rzekł Pokutyński — jest czcigodna pani kasztelanowa połaniecka, jest pani starościna krakowska, są państwo eks-stolnikostwo koronni, wielka mnogość różnorodnych Potockich, naostatek i szanowny nasz Arystydes, marszałek Małachowski, taki nudny jak i był.

— Ale proszę cię? — podchwycił Burzymowski — i wszystko się to w kupie trzyma? Vaubany i Arystydes, Wielopolska i hetmanowa, Sołtyk i Blacha??

Pokutyński serdecznie śmiać się zaczął i nim się na odpowiedź zebrał, uściskał wprzódy dobrodusznego szlachcica.

— Poczciwości ty moja! — zawołał, parskając — nie wszyscy żyją ze wszystkimi, trudno — ale się nikt z nikim nie kłóci. Ładzimy się z sobą, jak możemy, przekonasz się, zobaczysz!

— No! tak, zobaczymy — rzekł Burzymowski kwaśno, bo go uścisk nie udobruchał, choć go oddał szambelanowi — zobaczymy, ale ja od ciebie, kochany kolego, jasnej, otwartej odpowiedzi i wskazówki żądałem, a ty półgębkiem coś bąkasz, czego ja, symplicjusz, prostym szlacheckim rozumem pokombinować nie mogę.

Niewiadomo jakby się tym razem naciśnięty szambelan potrafił wykręcić z dwuznaczną odpowiedzią, bo z twarzy jego widać było, że nazbyt szczerym być nie myślał, gdyby, szczęściem dlań, w austerji hałas nie powstał wielki.

Głosy w zajeździe posłyszawszy, poczciwy Burzymowski rzucił się ku drzwiom pośpiesznie, domyślając się niepłonnie, że córka jego przybyć musiała.

II.

Pokutyński za odchodzącym przyjacielem powiódł oczyma przymrużonemi, uśmieszek mu się przesunął po bladych ustach, zwolna wyciągnął rękę ku swemu szalowi tureckiemu jakby w zamiarze zawiązania go znowu, gdy drzwi otwarły się szeroko i Burzymowski z twarzą rozpromienioną i triumfującą wprowadził swą jedynaczkę, za którą tuż szła pani wojska Czeżewska, towarzyszka jej i krewna, pospolicie ciocią dla krótkości nazywana, chociaż, ściśle wziąwszy, do tytułu tego żadnego prawa nie miała.

Pokutyński, chociaż wcale już młodym nie był człowiekiem, galantem jednak dla dam być nie przestał, a choćby nim i nie był, zjawienie się istoty tak ślicznej, jak panna Sylwja, musiało na nim i na każdym najostyglejszym uczynić pewne wrażenie.

Nie zbywało naówczas Warszawie na znakomitych pięknościach niewieścich, — na których nie brak jej nigdy; pań i panien cudnie urodziwych było mnóstwo, począwszy od księżniczki Anieli Radziwiłłówny i panny Teresy Kickiej (w której kochał się książę Adam Czartoryski), Laury Potockiej i wielu a wielu innych, aż do niemłodej już, ale zawsze jeszcze uroczo pięknej, niegdyś przez Trębeckiego opiewanej Kossowskiej.

Pomimo nawyknienia do widoku tych promieniejących obliczy, Pokutyński uznał w duchu, że panna Sylwja Burzymowska mogła śmiało stanąć w ich kole, i bodaj o lepszą walczyć z niemi. Spojrzał na nią, gdy zasłonę i chustkę zdejmowała z dziecinną, naiwną zalotnością zbliżając się ku niemu, i — prawie osłupiał.

Spodziewał się nieszpetnej sobie, wiejskiej, rumianej, zdrowej i wesołej dzieweczki z okrągłą twarzyczką ojcowską, ale nie takiego cudu!

Panna Sylwestra, którą matka jeszcze eufonicznie na Sylwję przechrzciła, bo imiona romantycznie piękno brzmiące były naówczas w modzie — miała wszystkie warunki wymagane od niewieściej piękności; — wzrost, kibić zręczną i gibką, wdzięk naturalny ru-

chów, który ją nic nie kosztował i wyuczony nie był, twarz cudnego blasku i wyrazu, tryskającą życiem, oczy zabójcze, ogniste, napastliwe, płeć nieporównanej świeżości, włosy prześliczne, ząbki perłowe, a do tego wszystkiego w dodatku śmiałość wiejską rozpieszczonego dziecięcia, zalotność niewinną, pojętność wielką i żywość.

Tak jak na poczciwego ojca twarzy cały się Burzymowski malował, u córki też dusza mówiła przez oczy. Można było zaręczyć, nim otworzyła usta, że się odezwie dowcipnie, wesoło, roztropnie i nie da niczem się onieśmielić, nie nastraszy niczego. Blask jej wzroku zmieszał niemal nawet starego i ośmielonego Pokutyńskiego; zdawało mu się, iż wprost do duszy jego zajrzała.

Pierwszą myślą jego było, — że, choć warszawianką się nie urodziła, natura ją uczyniła czystej wody warszawianką.

Samowolne dziewczę, wychowane na wsi, w domu, w którym nawykło królować, było tak pewnem siebie, jakby mu wszędzie na świecie należało panowanie. Zbliżyło się do szambelana Pokutyńskiego, nie okazując najmniejszego, nawet przelotnego pomieszania.

Ciocia, pani wojska Czeżewska, która niegdyś zachwyciła była trochę lepszego towarzystwa i — jak mawiała, bywała na wielkim świecie, a później zardzewiała na wsi, miała ton i maniery przestarzałej elegantki i śmieszną nieco wymuszoność a krygi. Resztki niedogasłej piękności, zaledwie już dostrzeżone, pielęgnowała do zbytku starannie, ruchy miała teatralne; pamięć zbytnia o sobie w tym wieku, sentymentalizm przestarzały nadawały jej nieco karykaturalną postać.

Ojciec właśnie przedstawiał szambelanowi córkę, a córce Pokutyńskiego, jako najlepszego przyjaciela młodości, razem prezentując go pani wojskiej, która z bardzo poważną miną, wielce uroczystym witała go dygiem, gdy Sylwja zawołała żywo:

— A! panie szambelanie, czyż nawet do Warszawy lepszych dróg niema? Myślałam, że ojca nigdy nie

dogonimy! Wlókłyśmy się z rozpaczliwą, żółwią powolnością, konie szły jak w pługu! A, co to za droga! co za droga! nigdy jej w życiu nie zapomnę!

To mówiąc, już oczyma badała całą postać starego szambelana, który nawzajem pilno i z nietajoną rozkoszą wpatrywał się w ten śliczny kwiatuszek, nie mogąc widokiem jego nacieszyć.

Wrażenie, jakie na nim Sylwja uczyniła, tak się w twarzy jego odmalowało dobitnie, że panna się zarumieniła. Nie żeby ją to zakłopotało, lecz owszem, że to jej uczyniło przyjemność. Miło jej było hołdy odbierać, tak jakoś, — czuła, że się jej one z łaski Bożej należą.

Starym obyczajem stanisławowskiego dworu Pokutyński musiał rozpocząć od cukrowanego komplementu.

— Ja tedy — rzekł, uśmiechając się — będę tak szczęśliwy, iż pierwszy zwiastuję w Warszawie o zjawieniu się nowej, jasnej gwiazdy na jej niebie.

Burzymowski posłyszawszy to, aż poskoczył. Chwycił go za rękę niemal z przestrachem.

— Człecze! przyjacielu — szambelanie! Pokutyńsiu! — krzyknął — na rany Pańskie, zlituj się, nikomu tylko o nas nie mów! nie oznajmuj! nie zwiastuj. Proszę, błagam, zaklinam o to! Nie wiemy jeszcze wcale, jak się urządzimy, gdzie i jak bywać mamy, gdzie nie bywać... Zmiłuj się! zlituj!

Pannę to wcale jakoś nie nastraszyło, rozśmiała się tylko. Niewiadomo z szambelana komplementu, czy z ojca przestrachu.

— O! — zawołało śmiało głosikiem dźwięcznym, w którym grało życie — na gwiaździstem niebie Warszawy ja chyba będę niezgrabnym obłoczkiem — prosta sobie biedna wieśniaczka!

Przyznaję się panu szambelanowi, że z niemałym jadę strachem, z ogromną ciekawością — no, i z ochotą bawienia się i wybawienia za wszystkie czasy.

Ojciec słuchając, twarzą robił najdziwniejsze miny,

Sylwja zukosa nań rzuciła oczkiem, ale kwaśnego i zakłopotanego usposobienia nie chciała wcale zrozumieć, czy brać do serca.

— A! nie uwierzysz pan, — ciągnęła dalej — jak tam u nas za kordonem austrjackim smutno i nudno. Warszawa, choć pod Prusakiem, zawsze Warszawą.

— Mogę pani zaręczyć, — przerwał Pokutyński — że jest tak świetną, jak tylko z Prusakami być może, którzy nam nie przeszkadzają się weselić, a my korzystamy z tego, ufając w Bogu, że kiedyś oni ustąpić muszą.

— No i bawią się tam wesoło! wesoło! nieprawdaż! — dodało dziewczę naiwnie. — A! proszę pana się nie śmiać ze mnie, że ja tak nieustannie o zabawach mówię! Ja się sama tego wstydzę, wiem, że nam wesołość dziś nie do twarzy, ale taka jestem biedna z tem mojem trzpiotostwem dziecinnem — nie umiem inną być! — I załamała rączki, a ślicznie jej z tem było.

— Ach! niemasz się pani czego wstydzić — żwawo wtrącił szambelan. — My starzy szukamy zapomnienia biedy w zabawach, cóż dopiero młodzież, dla której one są żywiołem jak powietrze i woda?

W Warszawie znajdziesz pani wszelkie rodzaje zabaw i rozrywek, jakie sobie tylko wyobrazić można — na rozkazy, do wyboru!! na skinienie! Młodzież męska i żeńska najlepszego tonu, wszystkie światy i sfery, jakich kto zapragnie.

Mamy świat *par excellence* najwytworniejszy, francuski, paryski, samą *crême* emigracji; mamy krajową jego imitację doskonałą, świat staropolski z niebardzo jeszcze wyszarzanemi kontuszami, a trochę zbutwiałemi ideami; świat niemiecki Koehlerów i Hoymów zaperfumowany francuszczyzną, a cuchnący biurokracją, naostatek młody światek — wojsko nieregularne wielkich nadziei!...

Piękna Sylwja, słuchając trochę dowcipkującego już dla przypodobania się jej szambelana, aż w rączki plaskała z radości, śmiejąc się doń wesoło, co zmusiło panią wojską do wstydliwego spuszczenia oczów, gdyż

tę swobodę uważała za wielką nieprzyzwoitość i sromała się za swą wychowankę.

Stary Burzymowski także niebardzo być rad musiał ze znalezienia się córki i stał frasobliwy, to głowę gładząc, to odchrząkując znacząco, to smutnie spoglądając na swe zapylone buty. Twarz mu chmurniała, oczyma zdawał się chcieć do zrozumienia dawać Pokutyńskiemu, ażeby się z malowidłem Warszawy niekoniecznie rozpościerał tak szeroko. Szambelan zaś był pod tak silnem wrażeniem piękności panny, że dla niej gotów był względem przyjaciela dopuścić się nieposłuszeństwa i zdrady.

Rozmowa zaczynała się coraz swobodniej rozwijać, bo Sylwja zawojowawszy odrazu szambelana, chciała z niego wyciągnąć wszystkie jej potrzebne wiadomości, których była spragnioną — a czuła już, że Pokutyński musi jej być posłusznym — gdy zdala dały się słyszeć śpiewy jakieś osobliwego rodzaju.

Nie był to ani śpiew żydów, obchodzących swe nabożeństwo, ani hukanie napiłych wieśniaków; żaden z tych dwu rodzajów, jakich w karczmie się spodziewać było można, ale coś ekstra ordynaryjnego, dziwnie niesfornego, krzykliwego, zuchwałego, hałaśliwego, junackiego, zmieszanego z pieśni, wrzasku i śmiechu.

W izbie karczemnej nastało milczenie, wszyscy się przysłuchiwali z podziwieniem i niejaką trwogą. Jeden może Pokutyński domyślał się, co to być mogło, brwi podciągnął do góry, drgnął i usta zakąsił.

Panna Sylwja, którą nic ustraszyć nie mogło, śmiała się — rada już i tej jakiejś niespodziance. Wojska miała minę wystraszoną, Burzymowski zdumiewał się i głową kręcił, okazując niepokój, zwłaszcza, że śpiew ten coraz dobitniej, wyraźniej, głośniej począł się przysuwać, zbliżać, naostatek zabrzmiał w sieniach i rozszedł się po nich echem szerokiem.

Niedość na tem, przysunął się pod same już drzwi, które się nagle z wielkim łoskotem otwarły.

Kilkunastu młodych i średniego wieku mężczyzn,

z twarzami mocno zarumienionemi, w strojach najrozmaitszych, począwszy od kurtki z lisami do taratatki i fraka, stało w progu z kielichami w ręku.

Wszyscy byli pod tęgą datą, rozochoceni, rozgorączkowani. Pieśń pospolita, dawna, znana już z samej nuty swej, brzmiała niezgodnemi głosy:

A kto nie wypije,
Tego we dwa klje,
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije!

Tężyzna ta, bo tak wówczas zwano hulaków, niespodziewała się pewnie spotkać z kobietami, gdyż zobaczywszy je, nagle śpiewać przestała, czapki się niektóre podnosić zaczęły.

Była chwila namysłu i zgryzot sumienia.

Wtem mężczyzna ogromnego wzrostu, twarzy butnej i zuchwałej, ruchów żołnierskich a rubasznych, stojący na przodzie, krzyknął głosem donośnym.

— Szambelan Pokutyński, dezerter, prosimy o wydanie go w ręce sprawiedliwości! — Powiedziano jest w prawie pruskiem, ruskiem i mazowieckiem, że kto przechowuje dezertera, podpada tej karze co on sam!

Towarzysze mówcy przypatrując się z ciekawością niezmierną pięknej Sylwji, szeptali coś żwawo do uszu jeden drugiemu. Burzymowski rozdrażniony wąsa już nie kręcił, ale go darł.

Zdala za tą gromadką z kielichami widać było żydów, włościan, furmanów, gawiedź wszelaką, która się zbiegła przypatrzeć tej osobliwej procesji. Zybek, stworzenie ciekawe niepomiernie, między nich się wcisnąwszy prawie, śmiał się tak, że aż przysiadał.

— Prosimy o przebaczenie, — ciągnął dalej olbrzym ów innym przodujący, który był nie kim innym tylko sławnym Dąbskim — nie wiedzieliśmy o obecności dam, a niewiadomość, jak wiadomo, grzechu nie czyni. Bądź co bądź niewieście robrony, choć za szańce służyć mogą, nie dają *droit d'asile*. Dezertera się domagamy, nieodzownie!

Wtem cała gromadka hucznie zawtórowała za mówcą.

— Dezerfera! Dezertera!

A jeden zanucił.

— *Et caetera! et caetera!*

Obudziło to śmiech powszechny. Wojska Czeżewska nie cierpiąca scen grubjańskich, przerażona tem najściem gwałtownem, nad wyraz wszelki, zobaczyła szczęściem drzwi do drugiej izby otwarte, i pociągnąwszy Sylwję za sobą, zniknęła, drzwi natychmiast ryglując, — bo — za nic ręczyć nie można było! Trzęsła się jak w febrze, powtarzając:

— A cóż to za grubjaństwo!

Oddalenie się kobiet oswobodziło je wprawdzie od zuchwałych wejrzeń, ale położenie osamotnionego Burzymowskiego uczyniło nieskończenie trudniejszem.

Mówca bowiem, widząc, że mężczyźni pozostali sami, nie wahał się już wkroczyć do izby ze szklanką w ręku, a towarzysze jego nieodstępni żwawo poszli za wodzem w ślady. Szlachcic znalazł się otoczony, ściśnięty przez tę młodzież junacką, która na nim nader przykre czyniła wrażenie, choć własną mu przeszłość przypominać mogła.

Goście przybywający pod hełmem, nawykli przytem do łatwego robienia znajomości u kieliszka, znęceni cudnie piękną twarzyczką, której pokrewieństwa bliskiego z okrągłym szlachcicem łatwo się było domyślić — posunęli się rewindykować dezertera, ale razem przedstawili się po kolei Burzymowskiemu i — *stante pede,* pili już jego zdrowie.

Szlachcic, jakeśmy mówili, miał od natury dane serce miękkie, nierad był uchybić nikomu, więc choć zły, starał się być niezmiernie grzecznym. Przyjmował uściski rąk i całusy, wywzajemniając się z coraz większą serdecznością wieśniaczą. Ogólne usposobienie powoli nań oddziaływało. — Uśmiechał się.

Słychać było cmokania i nazwiska, a w przestankach Burzymowskiego wykrzykniki:

— Ale — mój mości dobrodzieju...

— Zbytek łaski.
— Nadzwyczaj mi przyjemnie.
— Nóżki asindzieja całuję i t. p.

Szambelan Pokutyński, widząc że z jego powodu szlachcic był w nader kłopotliwem położeniu, zmiarkował, że go inaczej nie ocali jak poświęcając się za towarzysza, wziął więc swój szal i miał się do wyjścia.

— No, więc kiedy każecie, — zawołał — idę z wami, wypiję za zdrowie wasze, ale waruję sobie, że mnie zaraz potem wypuścicie, bo na wieczerzy u Grabowskiej muszę być — słowo wam daję — muszę.

Ogromny mężczyzna, sławny zawadyjaka Dąbski, vulgo Dąb, przez innych Klocem zwany, nie zaspokoił się tem i zwrócił, uśmiechając się, do Burzymowskiego.

— Mój mości dobrodzieju, — rzekł z patetycznością umyślnie przesadzoną — spodziewam się, że nam tej inwazji na swe terytorjum za złe mieć nie będziesz, a na dowód, że rankoru do nas nie masz, nie odmówisz z nami o trzy kroki do oficyny, na szklankę ponczyku — *ut sic!* Powiadam ci, złoty panie, ponczyk jaki ja tylko robić umiem — bez kropelki wody. Delicje! Oblizywać się po nim! Jeżeli ci iść trudno, obywatelu, dla przyjemnej okrągłości swej, my cię na rękach zaniesiemy! Uczyń nam ten honor i przyjemność — daj dowód, że cesarz austrjacki sprzyja królowi pruskiemu, którego my tu reprezentujemy, inaczej konsekwencje okropne, wojny, rzezie, pożogi!

W razie gdybyś był głodnym, a tu czekał na jajecznicę, ja tam ci ręczę za kawałek huzarskiej pieczeni, która już musi być gotowa — i — z cebulą!

Hej, mopanie! Cygan dał się dla kompanji powiesić!

— Ale dajcież mu pokój, z córką jedzie, z kobietami, pilno mu jest — zawołał Pokutyński, stając w obronie.

— Milczałbyś! nie masz głosu! — odparł Dąbski impetycznie. — Jeżeli o niewiasty idzie, dwu z nas gotowi wartę dla ich bezpieczeństwa zaciągnąć! Nie konfiskujemy go na wiekuiste czasy, za pół godziny cały

i zdrów powróci, ogrzany ponczem i odżywiony pieczenią — w dobrem towarzystwie. Panna spocznie, a gdyby zmierzchło, gotowiśmy około sanek jako salvegwardja towarzyszyć do Warszawy!!!

Burzymowski spotniał aż od tego srogiego utrapienia, kręcił się, kłaniał, zacierał ręce, tymczasem, na znak przez wodza dany, Kwiński i Anizetka już go pochwycili grzecznie pod ramiona.

Opierać się nie było sposobu. *Nec Hercules contra plures.* Koszycki usłużnie już mu czapkę jego z uszami nakładał w ten sposób, iż oczy zasunął, Kalinowski ku drzwiom z kielichem kroczył, ani przypuszczając nawet, aby się szlachcic śmiał i mógł im oprzeć.

Burzymowski sam czuł, że tej łaskawości nie będzie mógł uniknąć, zawołał więc tylko błagająco.

— Zmiłujcie się, panowie, niech tylko słówko powiem córce, bo będzie o mnie niespokojna!

— Zgoda! wracaj pan zaraz, my, nie opuszczając terytorjum — czekamy! — zawołał Dąbski.

Puszczono go do drugiej izby, którą na zapukanie drżąca wojska odryglowała, a gdy powrócił, wzięto go pod ręce znowu i — *processionaliter,* jak przybyli, nucąc śpiew wszyscy pociągnęli, wybierając gdzie był najgłębszy śnieg, do oficyn pałacowych. Pokutyński i szlachcic musieli iść w pośrodku, jak więźniowie i winowajcy.

Raz już popadłszy w towarzystwo zawadjaków, Burzymowski usiłował się do niego nastroić, być wesołym i serdecznym, choć na twarz mu wystąpiły marszczki a w duszy po stokroć przeklinał spotkanie swoje z Pokutyńskim i niepotrzebne odezwanie się do niego.

W istocie położenie ojca pięknej Sylwji nie było do zazdrości. Pragnął ją ustrzec od zetknięcia się ze światem roztrzpiotanym i rozpasanym, a wpadł odrazu pomiędzy młodzież najszaleńszą, rozhukaną i nierespektującą nic w świecie. Musiał się z nią całować, ściskać i zawiązywać uciążliwe na przyszłość stosunki. Wszyscy ci panowie, wypiwszy jego zdrowie, mieli pra-

wo odzywać się potem do znajomości, wciskać się do domu, zapraszać się do niego, a jego ciągnąć do siebie.

Tkwiła mu też w głowie Blacha i pani Vauban, a wystawiał sobie, że ta tężyzna do obozu księcia Józefa należeć musiała, choć w istocie tak nie było.

Struł go Pokutyński półsłówkami o towarzystwie Pod blachą, a tu nowe strachy przynosiła znajomość tak niebezpiecznej młodzieży.

Z temi sztyletami w sercu trzeba się było śmiać, weselić, na dowcipy odpowiadać i udawać wielce uszczęśliwionego.

Najwięcej jednak frasowała go Blacha, z tą jakąś wielce podejrzaną panią Vauban! Jak tu było się z tego przed Sylwją wykręcić, aby tam nie zaglądać, nie przypominać się koligacji, nie zawiązywać stosunków i pozostać na boku.

Burzymowski miał wielką cześć dla nieboszczyka króla, który go zrobił szambelanem i dał mu order; miał cześć dla całej jego rodziny, zatem i dla synowca — a mimo to, córki teraz Pod blachę wprowadzić sobie nie życzył. Po głowie mu chodziło, że go ta poczciwa, nieopatrzna Sylwja zmusić może. Znał swą słabość dla niej i powtarzał w duchu:

— O la Boga! O la Boga! co ja tu pocznę! Poco mi tu jechać było!

Myślami temi skrępowany, dostał się do oficyny.

Wprowadzono go tu uroczyście do wielkiej izby, w środku której stał stół na pół obrusem pooblewanym już okryty i jak mapa wyglądającym, zastawiony opróżnionemi butelkami, powywracanemi szklankami, przyozdobiony wazą do ponczu przygotowaną. U podstawy jej leżały bryły cukru, stos pomarańcz i cytryn.

Mimo tych myśli zgryźliwych i ciężkości, jaką na sercu doznawał, Burzymowski był szlachcicem kość z kości naszych; wpadłszy między wrony, musiał krakać jak i ony.

Rozweselił się natychmiast i rozdobruchał, biedę zawieszając na kołku, do jutra. Posadzono go na miejscu honorowem, ponowiono zdrowie, ściskając i cału-

jąc *iterum iterumque*. Co miał robić! Na czczy żołądek po podróży (bo goldwasser z piernikiem dawno zapomniane zostały) wlał duszkiem szklankę ponczu, jak spirytus mocnego. Nalano mu drugą, której odmówić nie mógł, zwłaszcza, że przedziwnie smakował, zatarł czuba, zapomniał niemal gdzie był i jak się tu dostał.— Słuchał tłustych dykteryjek i śmiejąc się walił nogą w podłogę, bił się po kolanach, łapał za głowę, przysiadał, podskakiwał, jakby za dobrych starych czasów sejmu czteroletniego.

On z nich, oni z niego byli bardzo szczęśliwi.

Ludzie mu się wprawdzie wydawali zamaszyści nad miarę, butni i zawadyje, ale po ponczu byłby już przysięgał, że serce mieli złote lub diamentowe. Coraz to czuł potrzebę ich ściskać, potem ręce za pas zakładał, pokrzykiwał wesoło, sam się nawet junaczył, aby do ich tonu dostroić siarczyście.

Trwało to dopóty, dopóki, podpiwszy jeszcze lepiej, nie zaczęli kawalerowie rozpowiadać o swych miłostkach. Kalinowski był właśnie *in tractu* wykradania panny Protówny Potockiej, inni się przechwalali jak zręcznie zawiązywali intrygi, przesyłali bileciki, ujmowali sługi, korzystali z redut, kasyna i przejażdżek do Mokotowa i Młocin.

Burzymowski uśmiechał się wprawdzie słuchając przez grzeczność, ale ciarki po nim przechodziły. To co tu spotykało innych, jemu też i jego najdroższej jedynaczce mogło się przytrafić.

Wprawdzie dowiadywał się tajemnie i nabywał doświadczenia na jakich drogach trzeba się mu było pilnować, lecz zarazem drżał, wyrzucając sobie, że dobrowolnie popadł w tak straszne niebezpieczeństwo.

Przyklaskiwał wśród sobom przechwalającym się z temi sprawkami, nie mogąc okazać swego oburzenia, choć klął ich w duchu. Poncz, który mu był w głowie zaszumiał, pod wrażeniem tych straszliwych rewelacyj ulotnił się.

Pochlebiał sobie, że nikt na twarzy jego nie wyczyta niepokoju i frasunku, jaki go opanował, chociaż Poku-

tyński uśmiechał się zdala, widząc mieniącą się twarz szlachcica. Radby był co najrychlej opuścić to towarzystwo, ale przyrzeczonej pieczeni huzarskiej z cebulą czekać mu kazano, a tymczasem historje pięknych pań i panien, z komentarzami tłustemi, sypały się z przerażającą obfitością szczegółów.

— Sodoma i Gomora! — powtarzał w duchu Burzymowski — otom wpadł! otom wpadł!

Zapomniał biedak, że wcale nie lepiej za jego czasów bywało, lecz — szło mu o najdroższe dziecię.

Po długiej męczarni, którą z uśmiechem zmuszony był znosić pan Stanisław, wniesiono na ostatek pieczeń huzarską i jeszcze burgunda, wyproszonego u rządcy książęcego pana Hofmana, który od piwnicy pańskiej miał klucze. Pieczeń dla głodnego miała pewien urok, przysmażona cebulka woniała przedziwnie; zatarło to na chwilę przykre wrażenia, bo żołądek ma prawa swoje. Ze szklankami wina Burzymowski roztargniony nie liczył się wcale — boć, na frasunek dobry trunek, i, co miał do osieroconej córki pośpieszać, dał się wstrzymywać, siedział, sam już nie wiedział, dlaczego.

Rozgadał się wkońcu daleko więcej, niż był powinien; ichmość, co go przyjmowali, dobyli z niego, co chcieli, pokumali się z nim poufale, jak z dobrym koleżką, i gdy nareszcie Pokutyński, daleko od niego ostrożniejszy i trzeźwiejszy wyciągnął go, Burzymowski tak się pożegnał ze wszystkimi serdecznie, jakby nazajutrz miał podzielać ich płochy żywot i wnijść w ich obyczaje.

Trwało to usposobienie jednak nie dłużej jak do progu austerji. Tu widok córki wznowił uczucia niebezpieczeństwa i strachu. Konie natychmiast kazał zaprzęgać, aby salve-gwardji uniknąć, i — ruszono. Pożegnawszy Pokutyńskiego, Burzymowski przy pomocy Zybka wdrapał się do swoich sanek — i tu — sam na sam z pamięcią, sumieniem i myślami czarnemi, począł się gryźć, boleć, wyrzuty sobie czynić okrutne.

Poncz i burgund uleciały na wolnem powietrzu,

został tylko po nich ból głowy ciężki i smutne przeczucia.

— Śliczne porobiłem znajomości! niema co mówić! — szeptał sam do siebie — początek co się zowie! Ale, rozumny człek powinien ze wszystkiego korzystać. — Wiem teraz jak się pilnować, jak opędzać i nic nie ujdzie mojego oka!

Zjedzą licha, żeby mi się wdarli do domu — mimo mej woli i wiedzy, albo potajemne zawiązali stosunki. — Najgorsza rzecz ma jeszcze dobrą swą stronę dla — człowieka z głową!

Czuł Burzymowski, że sam sobie tego piwa nawarzył; usiłował więc przekonać siebie, iż z tego waru nic złego wyniknąć nie może. Nie pierwszy to raz trafiało mu się bąka wystrzelić; w takich wypadkach brał zawsze na rozum, „trutynował", jak powiadał, a nie uspokoił się, dopóki nie dowiódł sobie, że on nie jest winien w najmniejszej rzeczy, ale skład okoliczności nieuniknionych.

Na ten raz w istocie okoliczności się przyczyniły wiele do obrotu sprawy. Na widok Pokutyńskiego nie mógł nie wykrzyknąć! a niepodobna było przewidzieć, że ów szambelan sam jeden pociągnie za sobą do austerji i całą gromadę zuchwalców. Gdyby ci ichmość, którzy wtargnęli tak obcesowo, byli trzeźwi, Burzymowski mógłby się był wymówić od wycieczki do oficyny — z podchmielonymi, a prawdę mówiąc pijanymi, trudno się było kłócić, opierać, aby nie wywołać awantury. Więc, dla miłego spokoju pójść musiał, a poszedłszy pić, a podpiwszy całować się, a całując słuchać konfidencji *et sic porro*.

Burzymowski tak czuł zawsze, iż mu sumienie słabość wyrzucać może, że za każdym jej dowodem póty rozumował, trutynował, sofistykował dopóki nie doszedł do pożądanego wniosku, iż — dał oznakę siły a nie miękkości charakteru.

Za żywota nieboszczki małżonki, osoby żywej, lubiącej zabawy i towarzystwo, trochę zalotnej (drudzy mówili, że bardzo) — pan Stanisław siedział pod pan-

toflem, lecz z mocnem przekonaniem, iż żonie imponuje i to tylko robi co chce. Z pod berła nieboszczki przeszedł, prawie bez interregnum, pod regiment córki ukochanej, akomodował się też i pani wojskiej Czeżewskiej, tak jak wogóle przez jakąś wrodzoną ducha opieszałość skłonnym był zawsze dawać nad sobą przewagę nawet Zybkowi i arendarzowi w Burzymowie. Krzyczał czasem bardzo głośno, objawiał wolę swą stanowczo i dobitnie, bił pięścią w stół, miał się nawet za człowieka surowego, trzymającego wszystkich w rygorze trochę za ostrym — tymczasem śmiano się z niego pocichu i kierował nim, kto chciał. Było mu z tem lżej i wygodniej.

Gdy okoliczności zmuszały go czasem do samoistniejszego kroku, znajdował isę w najdrażliwszem położeniu; — nie ufał sobie, szukał niespokojnie rady, żądał konfirmacji, udawał się o nią tam nawet, gdzie było najtrudniej wyszukać. — Spowiadał się z biedy Zybkowi, klucznicy, pani wojskiej, w ostatku chwytając czyjeś zdanie, pierwsze lepsze, byle się zbyć trapiącej go niepewności i nie pozostać odosobnionym z własnem.

Wybór z dwojga był dlań tak trudnym, iż gdy zmuszony był go uczynić, ciągnął potajemnie węzełki, albo w palce stukał. Nie był to brak inteligencji, bo Burzymowski wszystkie możliwe skutki każdego możliwego postępku obrachowywał szybko i z łatwością, lecz gdy widma następstw stanęły przed nim — nie umiał uczynić wyboru. Panowanie pięknej Sylwji nad miłującym ją ojcem rozpoczęło się za wcześnie; ojciec wierzył w rozum jej i zdolności nadzwyczajne jak w ewangelję. Władza jej już teraz była ustaloną i — córka robiła — co chciała.

Ona to z Burzymowa, zamiast do Lwowa, zmusiła go jechać do Warszawy, ona pierwsza odgrzebała tę jakąś koligację z Tyszkiewiczami, która ją miała do wyższych sfer towarzystwa doprowadzić. Oprócz tego pamięć pięknej, dowcipnej, bardzo na wielkim świecie znanej pani szambelanowej nieboszczki była dla Syl-

wji, wielkie do niej mającej podobieństwo, rodzajem polecenia i pasportu.

O tych marzeniach córki wiedział dobrze Burzymowski, bo mu się z nich spowiadała; niepokoiły go one teraz więcej niż przedtem — zmuszony był im się przeciwić, tamować, a z jedynaczką do boju stanąć, mimo powagi swej ojcowskiej, ani mógł myśleć.

Pobiłaby go zawsze uśmiechem, przymileniem się, pocałunkiem, a naostatek łzami.

Niestety — podobnym był wielce do kokoszy, która wysiedziała kaczątko, musiał stojąc nad wodą gdakać tylko na losy.

Przez całą drogę do Warszawy szambelan to się modlił, to drzemał, to różne sobie osnuwał doskonałe plany i projekta.

Rad był wielce mieć do ich spełnienia aljanta w pani wojskiej Czeżewskiej, ale na to — niestety, czuł, że wiele rachować nie było można. Naprzód, że Sylwja wiele jej nie słuchała, a ona jej rozkazywać nie śmiała, powtóre, że pani wojska w formach wyższego towarzystwa tak była rozkochaną, iż poza niemi, olśniona, nic droższego dojrzeć nie mogła. To co one okrywały złem się jej nigdy nie wydawało. Dla wojskiej sama perspektywa wnijścia we francuski świat Warszawy zapomocą Sylwji, u jej boku, było najwyższem szczęściem. Nie rachowała się z tem, czem mogła je okupić, byle się znowu znaleźć wśród grona tych dystyngowanych, utytułowanych pań i panów, których pamięć jak relikwję przechowywała na dnie serca.

Pani wojska ślicznie mówiła po francusku, w młodości lat kilka spędziwszy z jedną z Lubomirskich w Paryżu. W Burzymowie tylko z Sylwją mogła się posługiwać tym językiem, którym daleko lepiej niż własnym władała, językiem naówczas jak dziś zastępującym wszelkie inne kwalifikacje do salonu.

W czasie, do którego się to opowiadanie odnosi, napływ francuskiej emigracji, dla której sympatja w wyższych sferach towarzystwa była niezmierna, bardziej jeszcze francuszczyznę rozpowszechnił. Gdziekol-

wiek w salonie znalazł się emigrant Francuz, inaczej jak jego językiem odzywać się nie było wolno, a bardzo mało salonów tej ozdoby, o której zdobycie starano się najusilniej, pozbawionych było.

W otoczeniu księcia Józefa, Pod blachą, mówiono, zabawiano się, grywano teatr, pisano dewizy tylko po francusku. Mało domów znajdowało się w Warszawie, w którychby język polski posłyszeć było można gdzie indziej, jak w przedpokoju.

U pani Lanckorońskiej kasztelanowej połanieckiej, u pani z Potockich Wielopolskiej starościny krakowskiej, u Sołtyków i — prawie nigdzie więcej. Dwa czy trzy stare kontusze zostało na całą Warszawę, między innemi eks-koniuszego Kickiego i Badeniego. — Poczciwy Burzymowski, choć szambelan królewski — co podobno zarówno z orderem winien był wpływowi żony. mówił po francusku nieosobliwie (naprawdę, bardzo źle) i z wielką trudnością. Późno się do tego wziął a do języków wogóle zdolności nie miał.

Wyśmiewano się z niego nawet, że raz na zapytanie króla, gdy zapukał do jego gabinetu.

— *Qui est là?*

Miał mu odpowiedzieć:

— *Je, chambellan Burzymowski.*

I dla języka więc czysto francuskiego salony Warszawy powabu dlań nie miały. — Obawiał się być wyśmianym jak niegdyś, gdy rozprawiając z p. de Caché o potęgach europejskich, nazwał je — *les potences de l'Europe*. Wiedział też, że w tych salonach zabawiano się w miłostki, snuto nieustannie intrygi, przygotowywano wykradzenia, wyzywano się do pojedynków. Wszystko to serce jego ojcowskie napełniało obawą, bo w córce widział jedną z tych piękności, na które dosyć było spojrzeć, aby być oczarowanym.

Przerażała go ta przyszłość, którą on sobie (albo raczej którą mu okoliczności) zgotowały. Co niepokojów, ile kłopotów i troski, jakiego czuwania potrzeba było, jak wytrawnego oka!

Tymczasem trzpiotek Sylwja ani się domyślała, ni

przeczuwała, co się w sercu ojcowskiem działo; nie znała świata, nie przewidywała niebezpieczeństw; wyobrażała go sobie pięknym, rycerskim, szlachetnym.

Dojeżdżając do Warszawy, zupełnie już wytrzeźwiony, szambelan przeżegnał się raz jeszcze i odmówił ulubioną koronkę do Przemienienia Pańskiego — duszno mu było, straszno mu było!

Znał to miasto z dawnych czasów, a szambelan Pokutyński zapewniał, że się nic nie zmieniło.

Wojska i Sylwja, obie wywiesiwszy się z okien landary, patrzały, napatrzeć się nie mogły, uśmiechały się z radości, ściskały za ręce — szeptały po cichu...

— Warszawa! Warszawa!

III.

Mieszkanie pana szambelana Burzymowskiego, zawczasu dlań najęte w kamienicy prawie obok domu Pod filarami, który naówczas zajmowali państwo Sołtykowie, już przybywających oczekiwało. — Szło panu Stanisławowi o to wielce, aby stanąć przyzwoicie, w takiej miasta części, w której się dystyngowane towarzystwo mieściło. Nie wiedział jeszcze naówczas, że się go będzie musiał obawiać. Szczęściem lub nieszczęściem dla niego znalazło się niewielkie pierwsze piętro, osierocone po rodzinie hr. P...., która tej zimy po Włoszech podróżowała. Starczyło ono dla Sylwji i przyjęcia kilku gości, bo na wielkie zgromadzenia u siebie Burzymowski się nie gotował. Na dole parę pokoików całe nieosobliwych i dobrze przybrukanych zająć miał dla siebie pan szambelan, który zbytkiem się brzydził i miał pewne upodobanie w przybrukanych kątach, z któremi się mógł poufale obchodzić.

Jako prawy szlachcic polski lubił móc sobie plunąć gdzie mu się podobało, nie potrzebując szanować posadzki, położyć się w zabłoconych butach, nie oglądając na obicie kanapy, rękę zabrukaną otrzeć na prędce o firankę — słowem, być sobie jak u siebie, bo po-

koiki, nie będąc zbyt schludne, nie wymagały poszanowania.

W drugim szczególniej na sypialnię przeznaczonym Zybek mógł i przez cały dzień nie sprzątać, a Burzymowski mu za to nie rzekł i słowa.

Na górze apartament był świeży i ładny choć niewielki. Sylwja wszystkiem była zachwycona, znalazłszy się w tej upragnionej Warszawie. Ściskała ojca, całowała Czeżewską, a gdy się okazał jaki niedostatek (bo w istocie brakło tu wielu rzeczy i sprzętów), zapewniała że się to da później wszystko dopełnić, byle tylko jej samej gospodarować pozwolono.

Wartości grosza ani znała, ani pojmowała jak on ciężko czasem przychodzi.

O pozwolenie gospodarowania zresztą pytać nie potrzebowała. Rozgoszczono się wesoło tegoż wieczora, tylko Burzymowski do swej izdebki spać poszedł z kamieniem na sercu. Pod wrażeniem spotkania opisanego w Jabłonnie ciągle był nieswój. Śniło mu się, że się z córką pojedynkował i przebudził się z goryczą na ustach, a niepokojem w duszy. Szło mu najbardziej o to, aby Sylwję do czasu ukryć i zapobiec wszelkiemu kompromitującemu krokowi, dopókiby on sam gruntu nie zbadał i we wszystkiem się nie rozpatrzył. Musiał się przecie lepiej rozwiedzieć, co to była za jedna ta pani de Vauban, która gospodarowała u księcia Pod blachą, a żyła z Tyszkiewiczami w takiej przyjaźni. Mogli mu córkę pochwycić w towarzystwo niebezpieczne!

Postanowił więc, nie zwlekając, w imię dawnych swoich stosunków z tym domem, tegoż dnia się udać do pani kasztelanowej Połanieckiej, aby ją prosić o opiekę i radę. Matrona była dostojna. O tem jednak z obawy jakiejś opozycji, przeciw której słabym się czuł, ani córce, ani pani wojskiej nie wspomniał.

Odwiedziny były już postanowione, a choć mu brakło przewodnika, któryby go objaśnił kiedy i jak czcigodna pani kasztelanowa przyjmowała, obiecywał go sobie wyszukać.

Z tą myślą wstawszy, natychmiast byłby ją przyprowadził do skutku, gdyby niespodziana okoliczność nie stanęła na przeszkodzie.

Małe rzeczy są często wielkiemi następstwami brzemienne. Zybek, któremu też pilno było do Warszawy, nie wiedzieć dlaczego, pośpiesznie zapakowując garderobę pana szambelana, piękne buty safjanowe, nieodzownie potrzebne do paradnego garnituru, wbił między inne rzeczy, zdusił, zmiął, pogniótł tak, iż się w drodze poprzecierały.

Szambelan, ujrzawszy to, ręce załamał i krzyknął.

— A niechże cię jasne... — Trzeba było je oddać natychmiast do restauracji do szewca, bo zresztą były one nowe, piękne, o jakich drugą parę niełatwo nawet w Warszawie, a szambelan z wydatkami osobistemi ściśle się rachował. Do paradnego garnituru żadne inne kolorem nie pasowały, a innego garnituru jak ten numeru pierwszego wziąć nie wypadało.

Że zaś właśnie pod tę porę publiczność zeszła była z safjanowych i kurdybanowych polskich butów na karbowane i ze sztylpami, Zybek musiał zlatać od szyldu do szyldu Długą, Miodową i Senatorską, nim znalazł *ad hoc* kunsztmistrza, który się podjął kuracji cholew pokaleczonych, ręcząc iż na nich znaku podróżnej presji nie będzie. Burzymowski skazany został przez to na powszedni strój z czarnemi butami i — oczekiwanie.

Gdy się to działo na dole, na górze wybierała się pani wojska Czeżewska także pośpiesznie bardzo do miasta, pragnąc dawne paryskie i warszawskie znajomości odnowić, a przez nie dla kochanej Sylwji, której była posłusznem narzędziem, utorować drogę do wielkiego świata.

I tu o mało, *mutatis mutandis*, nie powtórzyła się historja butów safjanowych szambelana, lecz Czeżewska była i szczęśliwsza i zręczniejsza.

Zdawało się jej jadąc, że ubranie we Lwowie niedawno dokompletowane rzeczami jakoby świeżo z Pa-

ryża nadeszłemi mogło wytrzymać próbę ognia Warszawy. Niestety!

Nazajutrz rano wyjrzawszy przez okno na przechodzące i przejeżdżające do kościoła kapucynów damy, przekonała się iż o cały wiek mody pozostała za jej najświeższemi pomysłami!

Noszono staniki nadzwyczaj krótkie i wysoko podpięte, kapelusze ze skrzydłami ogromnie naprzód wysuniętemi i — mnóstwo szczegółów niesłychanej wagi i znaczenia brakło pani wojskiej, aby się mogła śmiało pokazać w jednym z tych domów, które stroje wprost sprowadzały z Paryża i nie opóźniały się ani o miesiąc śmiesznem naśladowaniem tego co nad Sekwaną przypięto, przyszyto, ogarnirowano lub nastrzępiono.

Pobiegła z tem do Sylwji Czeżewska, a panna uznała nadzwyczaj słusznem, iż wojska ubraniem zadawnionem przy pierwszem wystąpieniu na świat na śmieszność się narażać nie mogła.

Kompromitowałoby to nietylko Czeżewską, ale dom, do którego należała.

Natychmiast posłano po powóz i wojska poleciała zdyszana do pierwszych modniarek, aby się rozpatrzeć, poradzić i kupić co było niezbędnem. Jej się lepiej udało niż szambelanowi i Zybkowi z butami, gdyż wojska umiała dać do zrozumienia w magazynie, iż mu korzystną klientelę z sobą przynosi, jeżeli zostanie usłużoną pośpiesznie. Nie targowała się też wcale o cenę i około południa mogła ze spokojnem sumieniem udać się w odwiedziny, nie kompromitując honoru domu. Wojska miała myśl naprzód, zgodną z Sylwji życzeniem, udać się wprost do pałacu Na górze (na Krakowskiem Przedmieściu), gdzie mieszkała hetmanowa Tyszkiewiczowa, której dom najbliżej był związany z Blachą i do najpierwszych w mieście należał.

Lecz postawić krok tak śmiały, potrzebując się pani hetmanowej przypominać, nie będąc pewna, jak zostanie przyjęta? zawahała się Czeżewska!

Niezręcznem, napastliwem wkroczeniem w ten świat można było popsuć wszystko. Do pani Stasio-

wej potrzebowała też kogoś za pośrednika, wolała ją uprzedzić i być wprowadzoną.

Wojska ostrożna — bo może oparzona, postanowiła naprzód grunt zbadać, udając się do skromnej istoty, nie świetne ale wpływowe zajmującej stanowisko, starej swej przyjaciółki, niejakiej pani majorowej Habąkowskiej, o której wiedziała, bo z nią korespondowała, że mieszkała w Warszawie od lat kilku. Listy wprawdzie trochę dawno ustały — lecz rachowała na nią, jako na wielce sobie przyjazną istotę.

Z Habąkowską znały się jeszcze dziewczętami, chociaż Czeżewska starsza od niej była. Wojska owdowiawszy zeszła na rezydentkę w pokrewnym domu, majorowa utraciwszy męża (legendowego), umiała sobie wyrobić niezależną egzystencję.

Jak? czem? trudno to było wyjaśnić, dosyć, że żyła wcale na pięknej stopie i ludzie się jej nie ona im kłaniała. Niegdyś bardzo piękna Justysia, później żona jakiegoś majora Habąkowskiego, którego sobie nikt nie przypominał, majorowa umiała w ciągu życia, dzięki rozumowi swemu, dowcipowi i wielkiej wyrozumiałości dla słabości bliźnich — jak wogóle bardzo dobremu sercu — że zaskarbiła sobie łaski wszystkich, szczególniej osób wielkiego świata.

Stosunki z nim utrzymywała starannie, szukała ich, powiększała, wspierała i mogła się pochlubić, że nie mając doń najmniejszego prawa, zyskała w nim obywatelstwo.

Wszystkie hrabiny i księżne nawet zwały ją „kochaną majorową“ albo dobrą, poczciwą Jutką; — wszyscy panowie byli dla niej z pewnem uszanowaniem połączonem z przyzwoitą poufałością, witali ją nawet w ulicy, zatrzymując się dla rozmowy.

Aby się utrzymać na tym stopniu dobrej przyjaźni ze światem mieszkającym w pałacach, jeżdżącym karetami, szafującym pieniędzmi, nawykłym do elegancji, majorowa Habąkowska, której majątek był tajemnicą nawet dla najlepszych jej przyjaciół — nie małe ponosić musiała ofiary.

Miała na swe posługi przyzwoity powóz, lokaika wystrojonego, mieszkanie dosyć obszerne i urządzone tak, aby w niem dostojnych gości na chwilę czasem przybywających mogła przyjmować, nawet gdyby się jedni z drugimi stykać nie chcieli. Musiała się stroić modnie, i być zawsze gotową czy do zabawy, na której się pokazać była zmuszoną, czy do posługi, której odmówić nie mogła.

Nazywano ją też — *Chère amie!* a gdy czasem bywała cierpiącą, pani hetmanowa, jenerałowa Grabowska, pani Stasiowa Potocka, Sobolewska i mnóstwo innych pań posyłały się dowiadywać o jej zdrowie. Majorowa też wszystkim hrabinom, księżnom, dostojnym paniom służyła na wszelki sposób. *Honny soit qui mal y pense!* Ona się musiała zręcznie wywiadywać o stanie majątkowym przybywającej z prowincji młodzieży, o stosunkach familijnych osób mniej znanych, a chcących grać jakieś role w świecie, zawiązywać i rozplątywać mnogie intrygi, godzić zwaśnionych, waśnić niepotrzebnie, a nazbyt poufale i jawnie zbliżających się do siebie.

Na oko majorowa nie zdawała się mieć żadnego zajęcia, a chwili spoczynku jej nie dawano. Od rana płynęły do niej bileciki, przybiegali słudzy i służące, jeździła do modniarek, do jubilerów, do lichwiarzy, stręczyła sługi, wypisywała z Paryża stroje, powoływała z emigracji francuskiej mnogich stręczących się do różnych usług kandydatów i kandydatki.

Była to osóbka niewielkiego wzrostu, zręczna jeszcze, żywa niezmiernie, niby młoda, mimo że twarzyczkę miała przywiędłą i mocno życiem zmęczoną. Jednem wejrzeniem umiała poznawać ludzi, odgadywać myśli, przeczuwać charaktery, a do każdego zastosować się przedziwnie.

Słabostkę ludzką raz schwyciwszy jak nitkę w rękę, kierowała potem marjonetkami napodziw zręcznie. Same one nie wiedziały, jak im skakać kazała.

Przytem majorowa nie wydawała się wcale interesowaną, nie wymagała nigdy nic od nikogo. Dawane

przez nią dowody przyjaźni wynagradzały się najczęściej podarunkami kosztownemi, które przynosiły więcej, niżby na inny sposób żądać i otrzymać było można.

Rozumie się, iż przy tak rozległych stosunkach, które z jednej strony do najwyższych sfer sięgały, z drugiej zstępowały w mieszczańskie, kupieckie i pomniejsze kręgi społeczne — pani majorowa Habąkowska musiała znać w Warszawie wszystkich i wiedzieć co się gdziekolwiek działo. Była to chodząca gazeta, w tych czasach, gdy właśnie wychodzące w Warszawie, oprócz urzędowych wiadomości i ogłoszeń, jak najmniej krajowych a żadnych prawie miejskich nie zawierały plotek.

U majorowej dowiedzieć się było można o wszystkiem, a gdy wypadku jakiego rozwiązanie było wątpliwe — jej horoskop nigdy prawie nie chybiał. Kto się chciał o co założyć, szedł do niej po radę.

— Majorowo dobrodziejko, ożeni się ów... z Parysówną czy nie? Chcę się założyć, że nie!

— To waćpan przegrasz! — odpowiadała majorowa.

I jak powiedziała, tak się stało, pretendent ów z Parysówną się ożenił.

Co dziwniej nad wszystko, majorową przyjmowały zarówno i pani de Vauban i hetmanowa i państwo Sołtykowie i gubernator Koehler i Hoym, nawet pani starościna krakowska!

A gdy słuchając jej szczebiotania i plotek spytała czasem:

— Kto ją rodzi?

Habąkowska sama do szlachectwa starożytnego nie mająca najmniejszej pretensji, zawsze umiała objaśnić, i z jakiego kto był domu i jakiemi się szczycił koligacjami. Pamięć miała nadzwyczajną, genealogję głównych rodzin umiała napamięć, tak że nawet z Potockimi, niezmiernie rozrodzonymi, rozgałęzionymi dawała sobie radę bez omyłki, do wiadomości kto rodzi dodając zaraz, jakie były ekspektatywy sukcesyj, testamentów, majątków i kapitałów.

Dóbr ziemskich wszystkich wartość mogła natychmiast powiedzieć, nie chybiając wiele.

Można tedy się domyśleć łatwo, jak nieocenioną dla pani wojskiej Czeżewskiej była znajomość i przyjaźń z tą drogą, kochaną Jutką. Nie widziały się z sobą dosyć dawno, ale młodzieńcze stosunki są trwalsze nad inne.

Rachowała na to Czeżewska, gdy z bijącem sercem wysiadła przed wskazaną jej kamienicą i weszła na pierwsze piętro.

Tu lokaj w rodzaju liberji skromnej ale bardzo smakownej, chłopak choć go malować, oznajmił jej, że pani majorowa właśnie była przy tualecie i prosił aby była łaskawą chwileczkę poczekać w salonie, do którego natychmiast drzwi otworzył i portjerę podniósł.

Majorowa gdy była w domu, przyjmowała wszystkich wogóle, kto się tylko zgłosił, gdyż mając wielką mnogość interesów, nie mogła przewidzieć nigdy, kto, z czem i jak ważnym przychodzi. Jak jej na to czas starczył — to było tajemnicą.

Przewidująca wszystko pani wojska miała w rękawiczce na kawałeczku papieru napisane nazwisko swe i poprosiła chłopaka, aby je zaniósł swej pani. Sama wsunęła się do saloniku.

Było to maleńkie cacko, prawdziwa bombonierka, zarzucona fraszkami, pełna sprzęcików i drobnostek wytwornych. Ani na ścianach, ani przy nich, ani na posadzce prawie, miejsca kawałeczka niemi niezajętego nie było. Przybywający gość zaledwie się mógł z największą ostrożnością w tym labiryncie berżerek, etażerek, gerydoników, stołeczków, stoliczków, tabletek, półek, kanapek, koszyków przecisnąć.

Na jednej ze ścian wisiał owalny portret samej pani, gdy ta jeszcze piękną Jutką była, w białej sukience, w przejrzystej zasłonce, cudnej blondyneczki uśmiechniętej a niby smutnej, pokuśliwej, zalotnej, niebezpiecznej.

Portret malował Grassi *con amore* (bez przenośni) i stworzył też prawdziwe arcydzieło. Było w niem coś

powietrznego, miękkiego, idealnego, a jednak żywy typ nie tonął w obłokach, które się go otaczać zdawały. Swojego czasu sprzeczano się o to, czy to był anioł zstępujący na ziemię, czy szatan na pokusę ludzką zamaskowany.

Na stole i mnogich innych sprzętach chińszczyzny, bronzy, świecidełka, kadzielniczki, flakoniki, wazony ustawione były jak w magazynie u starożytnika, ale nie bez pewnego wdzięku i smaku.

Można się było domyślać, że na ten salonik składały się lata długie i serca mnogie przyjaciół i przyjaciółek, gdyż inaczej pański dochód roczny na tak kosztowne urządzenie go nie byłby starczył. W dwóch kątach stały naczynia z sewrskiej porcelany tak ogromne, iż równych sobie nie miały w Warszawie.

Obrazy otaczające portret były też drogiemi płótnami szkoły flamandzkiej i włoskiej.

Czeżewska z zachwyceniem się przypatrywała temu zbytkowi, przepychowi i smakowi swej drogiej Jutki, świadczącym, jak jej na świecie dobrze być musiało, gdy usłyszała kroczki pośpieszne i nim miała czas obejrzeć te bogactwa, otworzyły się nagle boczne drzwi, a w nich okryta tylko narzuconym naprędce szlafroczkiem ukazała się na wpół ubrana majorowa, z wyciągniętemi dosyć jeszcze pulchnemi i ładnemi rączkami ku przyjaciółce.

Padły sobie w objęcia i z salonu przeszła pani Czeżewska, pomijając kilka różnych pokoików równie wytwornie urządzonych, do gabinetu tualetowego, zasiadając obok zwierciadła, przed którem piękna niegdyś Jutka stroiła się, podmalowywała, trefiła, reparując *du temps l'irreparable outrage*.

Czeżewska mówiła zwykle powoli, z namysłem, cedząc słowa, dodając im wyrazistości mimiką twarzy i rąk; za to majorowej usta się nie zamykały. Myśli jej krążyły szybko po główce a słowa błyskawicą wylatywały i toczyły się z ust wzburzonym potokiem.

— Kochana moja! — zaczęła zaraz — skądże ty tu? myślałam, że gdzieś za światem rekolekcje odsiadu-

jesz spokojnie? Jakżeś się tu dostała? Mów! Proszę! Góra z górą! Zrobiłaś mi, mogę powiedzieć, największą w świecie siurpryzę, najmilszą. Przynosisz mi z sobą pamięć drogich dni młodości!

Spojrzała w zwierciadło i na twarzyczkę swoją, którą zwróciła ku Czeżewskiej, kończąc zmienionym tonem.

— Patrz, proszę cię, jak ja zestarzałam przed czasem! Co to za paskudny ten ząb czasu, którego ślady, niestety, niczem się zagładzić nie dają, gdy serce — serce — ach! starzeć się nie chce i nie umie.

Około oczów, patrz, *ces potes d'oie, abominables!* skąd się to wzięło? z płaczu czy od śmiechu? Powiadam ci, że nawet i płacząc, i śmiejąc się, nigdym się bardzo nie krzywiła, starałam się utrzymać na wodzy— a jednak! *Ce que c'est que de nous!*

To mówiąc nie próżnowała majorowa, spoglądała w zwierciadło, na przyjaciółkę, chwytała z gotowalni szczoteczki, tamponiki, flaszki, nacierała i poprawiała coś, przylepiała, smarowała śpiesząc się, podnosząc instrumenta tualetowe, a wojska patrzała na tę jej żywość z uśmiechem, w którym było i trochę zdumienia i zazdrości wiele.

Majorowa paplała, rzucając ciągle pytaniami, a nie dając czasu do odpowiedzi.

— Kiedyżeś przyjechała? z kim? sama? Na jak długo?

Zwróciła ku niej oczy. Wojska, sznurując usteczka, zabierała się nareszcie do cichej, powolnej odpowiedzi. Samo z siebie się rozumie, iż rozmowa toczyła się po francusku.

— Przybyliśmy tu dopiero wczoraj wieczorem. Pierwszy krok mój, droga Jutko, był naturalnie do ciebie. Nie przyjechałam sama, przywiozłam z sobą kuzynkę moją, córkę szambelana Burzymowskiego, której, mogę powiedzieć, zastępuję miejsce matki — *une enfant adorable!*

— *Attendez!* Burzymowski! Szambelan! A tak! tak! tłusty, okrągły, wesoły, dobry z kościami szlachcic —

nawet nie wiem, czy ma kości! Chodzi uparcie w kontuszu! Przypominam go sobie! Dawniej jedni go nazywali „Sztukamięsa", drudzy „Je Burzymowski". A! już wiem! To ten sam być musi — sypała nie ustając majorowa. — Pamiętam jego żonę, *une beauté, passablement legère!!* Mówiono o niej dużo! *Enfin!* Ludzie mieli być bardzo majętni... Wszak tak?

Czeżewska wciąż się uśmiechając, a słowa wcisnąć nie mogąc, głową potwierdzała.

— Moja Sylwja — wtrąciła nareszcie cicho — jest cudnej piękności! Nie powstydzę się jej. Oprócz tego główka otwarta, życia wiele i pragnienia życia aż nadto!

Majorowa, głowę ku niej obróciwszy, słuchała, usiłując odgadnąć więcej niż w słowach było.

— Cóż z nią myślicie robić? — zapytała. — *La produire ici?*

— Spytaj jej, co ona sama z sobą zrobić zechce?— odparła, głos jeszcze zniżając i prawie szepcząc, Czeżewska. — Dziewczę śmiałe, swawolne i nikomu nie dające się prowadzić! Główka nad wiek! dowcip! przytomność! śmiałość — wszystko...

Gospodyni zdawała się żywo opowiadaniem zajętą, przysłuchiwała się bacznie, zamilkła nawet, aby się dać wygadać przyjaciółce, wlepiając w nią ciekawe oczy.

Czeżewska cedziła dalej powoli, robiąc minki pocieszne, które widocznie bawiły przyjaciółkę. Minki te były reminiscencjami młodości, na bardzo już pomarszczonej twarzy dosyć śmiesznemi.

— Między nami — mówiła — przez mamę *nous sommes un peu cousins des Tyszkiewicz.* Rozumiesz? Mojej Sylwji chce się bardzo wejść w wielki świat i przypatrzyć się zbliska jego splendorom. Czuje się ona stworzoną do niego i ma przeczucie sukcesów, o których i ja nie wątpię.

Majorowa dwuznacznie się uśmiechnęła i ramionami ruszyła.

— Iluzje młodości! — zawołała. — Któż ich nie miał? Cóż z tego ślicznej, jak łza czystej, pełnej sen-

tymentów najpiękniejszych, idealnej Tereni Kickiej, że się książę Adam w niej kocha? Czy mu księżna jenerałowa pozwoli się z nią żenić? Sukcesa pięknych panien na arystokratycznym świecie są tego rodzaju, lub (uśmiechnęła się złośliwie), lub zdobywa się serce, traci sławę i pokutuje za chwilę słodkiego marzenia...

Mimowolnie jakoś z pod serca wyrwało się to majorowej, która wnet się poprawiła.

— *Après tout,* zawsze trzeba szczęścia próbować! Dla takiej, jak ty powiadasz, ślicznej osóbki wziąć szlachcica w kozłowych butach, którego zawsze czuć albo bigosem lub czosnkiem lub obojgiem, to nader smutna ostateczność.

Czeżewska, słuchając cierpliwie, nie zdawała się w zupełności podzielać zdania przyjaciółki, nie odpowiedziała więc na nie, i gdy ta zamilkła, ciągnęła dalej:

— Nie dałaś mi dokończyć, droga moja! O ile córka pragnie zajrzeć poza tę tajemniczą wielkiego świata zasłonę, o tyle ojciec, nasz szambelan obawia się jego zasadzek i szkopułów. Zna je z dawnych czasów.

— *Il en sait quelque chose!* — szepnęła majorowa.

— Zdaje mi się, że myśli — ciągnęła dalej Czeżewska — dla córki inne znaleźć koło. Dzisiaj miał być podobno u pani kasztelanowej Połanieckiej. *Entre nous,* nie zdradź mnie, idzie nam trochę o to, abyśmy go uprzedzili.

Mrugnęła znacząco na przyjaciółkę.

— *A bon entendeur, salut!*

Gospodyni, która właśnie zaczęła się była sznurować, bo o kibić, jedyną nienadwerężoną pozostałość przeszłości niezmiernie była troskliwą, parsknęła śmiechem suchym, jednym z tych śmiechów, co się nie z wesołości rodzą, ale z potrzeby, aby zastąpiły słowo. Śmiała się oparłszy na gotowalni.

Czeżewska przerwała mowę.

— *Ah! la bonne, la respectable Połaniecka!!* Ale cóż taka dziewczyna żwawa, jak ty ją opisujesz, u czcigodnej tej matrony robić będzie? Chyba razem z nią

pończochę? Wiesz, że Połaniecka nigdy bez pończochy nie stąpi, nawet ją tak wymalowali! U pani starościny Wielopolskiej mogłaby złoto dryzlować... U Lanckorońskiej jeżeli się za jej kuzynkami Szymanowskiemi i Świdzińskiemi dociśnie, będzie albo pieski głaskać, lub, jak mówiłam, pończochę robić, siateczkę wiązać. A! pardon, dwa razy na dzień jest nabożeństwo...

— A! moja najdroższa, — przerwała Czeżewska, ciągle się jednocząc z kuzynką, — my wcale do pończochy i nabożeństwa dwa razy na dzień nie jesteśmy stworzone. Przyjdzie to w swoim czasie, ale teraz!

Zrobiła minkę figlarną.

— Radabym bardzo, abyś ty ją zobaczyła, poznała i swojem badawczem okiem oceniła tę istotę. Bądź co bądź, zobaczysz, pospolitą nie jest. *Elle n'est pas la première venue!*

Nastąpiła chwileczka wytchnienia, majorowa skorzystała z niej aby głos odzyskać i dalej ciągnąć rozmowę.

— Poznam ją bardzo rada i powiem ci szczerze jak ją znajdę. Ja, nie chwaląc się, mogę spojrzawszy prawie nieomylnie odgadnąć przyszłość! Ładnych pań i dziewcząt mamy poddostatkiem, począwszy od tej anielskiej Tereni, o której wspominałam, a która pewnie uschnie starą panną, mamy Wielhorską nieszczęśliwą, bo sentymentalną nadto, Cichocką, Trembicką, Stasiową — wszystko to stanowi świetny nasz dwór Pod blachą, a innych mnogich gwiazdek drugiej wielkości nie liczę! Śliczny to wieniec twarzyczek i postaci! Z tem wszystkiem młodzieży jest tyle, że jedną więcej ładną panną *ce n'est pas de refus!* Przyda się nam! Proszę cię samych Potockich co tu jest? Antoni, Marcelek, Michaś, Aleksander.

— A! moja droga Jutko, — odezwała się Czeżewska, — my bo tak wysoko nie patrzymy! Na dziś mowa tylko o tem, jak się pokazać i dać poznać a zabawić.

— A, *ma chère*, — odparła majorowa — patrzyć zawsze potrzeba jak najwyżej, ażeby później móc so-

bie wyszukać, choćby jak ja, jakiegoś majora, *un pis aller* i skończyć przyzwoicie tę głupią komedję życia. Gdyby się zaczynało od majora, na czemżeby się skończyło?

Westchnęła, rozśmiała się i nie czekając odpowiedzi Czeżewskiej, ciągnęła dalej:

— Więc, jasno sobie zdajmy naprzód sprawę z położenia. Panna piękna, dobrze wychowana, dowcipna, żądająca świat poznać i zajrzeć Na górę i Pod blachę. 2-do, kochany tatulo bojaźliwy, skromny, radby kwiatek swój posadzić w cieniu matron i pod opieką wysokich dygnitarzy duchownych.

— Ale, powiadam ci, córka zrobi, co zechce! — przerwała Czeżewska — to nie ulega wątpliwości. Jestem tego pewną; dosyć jej będzie najmniejszej zręczności, pozoru, pretekstu! Papa nie jest okrutnym, da sobie wmówić, co my zechcemy. *Il est de bonne composition.*

— No, a ja mam wam pomagać? tak? nie? — wtrąciła majorowa.

— Czekaj, ja cię jeszcze o to nie proszę, — rzekła Czeżewska, — choć wiem, że my się bez ciebie nie obejdziemy. Ja przybyłam dziś tylko uścisnąć cię, wyspowiadać się przed tobą *à coeur ouvert*, polecić siebie twej protekcji — a potem...

Majorowa rzuciła grzebyk i nagle zwróciła się ku niej.

— Wiesz ty co? Wszak twoja panna musi być w domu?

— Dziś my nie wychodzimy nigdzie, chyba może do teatru.

— Do jakiego teatru? — śmiejąc się, podchwyciła majorowa. — Na włoską operę pani Delicati chyba wy pójść możecie, bo nam *Matrimonio secreto* już się przez uszy przelało.

— Wszak jest Bogusławski? — spytała wojska.

Gospodyni znowu śmiać się zaczęła swoim sztucznym śmiechem suchym.

— Ale któż przyzwoity chodzi na polski teatr Bo-

gusławskiego? Szewcy i krawcy. Zresztą, jeśli chcecie, *c'est pour papa,* nie dla was! *au nom de Dieu!* Toby was odrazu najokropniej skompromitowało! *le plus mauvais genre!* Kogobyście tam spotkać mogli? W najlepszym razie dwóch młodych Sapiehów, którzy tam chodzą na złość nam.

Nasz zaś teatr *de Société,* nasz, — powtórzyła Habąkowska — dziś nie gra.

— A zatem dziś w domu siedzieć będziemy — odezwała się wojska.

— Otóż ja ci chciałam proponować, — śpiesznie podchwytując kończyła majorowa — chciałam ci proponować, gdy z moją tualetą będę gotową, abyś mi się pozwoliła odwieźć do domu. Ja będę gotową, *tirée à quatre épingles,* za pięć minut. Przypomnę się przy tej zręczności poczciwej Sztukamięsie, powącham waszego kwiatka i — powiem ci potem otwarcie, co i jak z nią poczynać mamy.

Jeżeli twoja kuzynka okaże się tego warta, o czem nie wątpię, to ją zaakaparujemy do nas Pod blachę i Na górę, a nie — odprawimy ją do pończochy pani kasztelanowej. Kto wie? Jeżeli ma dużo dowcipu, a Anetka ku niej nie poweźmie zazdrości, dostanie towarzyszkę, przyjaciółkę nieocenioną. Ale Anetka łatwo bywa zazdrosną, a złośliwa jest i dowcipna — bardzo! bardzo!...

Czeżewska za całą odpowiedź z uniesieniem ją uściskała, co groziło świeżo ukończonej tualecie.

— Jesteś nieocenioną! nieoszacowaną! — zawołała. — Jedź ze mną, mam powóz, zawiozę cię.

— *Allons donc!* — trochę szepleniąc odparła pani majorowa, — ty sobie możesz swoją dryndę odprawić, a ja ci ofiaruję „mój — ekwipaż!"

Powiedziawszy to z przyciskiem, uśmiechnęła się i dygnęła.

— *Vous voyez! On ne se mouche pas du pied?*

Wojska westchnęła.

Tymczasem niezmordowana gosposia już zabierała do kieszeni niezbędne dodatki na wyprawę do miasta:

flakoniki, chusteczki, pugilaresiki, różne tajemnicze bombonierki, z pastylkami na wszelkie wypadki. Śpieszno jej widać było, bo zarazem wydawała rozkazy służącej, wołała o konie, drapowała przepyszny szal na ramionach, przeglądała się w zwierciadle i uśmiechała do Czeżewskiej.

Czuć w niej było temperament kobiety, która całe życie śpieszyć musi, nawet gdy nic do czynienia nie ma.

Wojska, która była do zbytku powolną i namyślającą się, zachwycała się tą żywością, przypatrywała się przyjaciółce z uwielbieniem.

— Kochana Jutko! i ty mówisz, żeś się zmieniła. Gdzież tam! Zawsze jesteś tą samą, pełną żywości, dowcipu, przytomną, czynną, piękną, zachwycającą.

— Dziękuję! — odparła majorowa — ale bez tego życie byłoby gniciem! Trzeba się ruszać, aby nie postarzeć! Zmuszona siedzieć w kątku na kanapie z pończochą lub założonemi rękami, czuję żebym umarła!

Piękny lokaik pani majorowej dał znać w tej chwili, że konie były gotowe i dwie przyjaciółki wyszły razem.

Czeżewska siadła do karetki, a powozowi najętemu kazała jechać za sobą.

IV.

Szambelan właśnie się przed wiszącem u okna lusterkiem golił, gdy karetka majorowej stanęła przed kamienicą, a że zobaczywszy ją, przestraszony nie okaleczył się niebezpiecznie, istna była łaska Boża. Ręka mu się zatrzęsła i pojechała po brodzie aż pod gardło. Czuł, że ekwipaż ten nie mógł zajechać do nikogo, tylko do pierwszego piętra; uląkł się tych odwiedzin paradnych. Wyjrzał oknem i przeczucie się potwierdziło, gdy ujrzał Czeżewską wysiadającą z karetki z nieznajomą jakąś damą.

Powóz i konie wyglądające bardzo elegancko kazały się domyślać osoby dystyngowanej.

Z gorączkowym pośpiechem kończył rozpoczęte golenie i drżącą ręką zaciął się kilka razy. Szczęściem kawałek bibuły był pod ręką, pozalepiał na prędce rany i z pomocą Zybka, na którego krzyczał niemiłosiernie, jakgdyby on wszystkiemu był winien, wczas jeszcze potrafił przywdziać suknie, nim majorowa wyjechała, i stawił się na górę. Prawda, że niektóre szczegóły ubrania wiele pozostawiały do życzenia, ale szło mu o to wielce, aby się naocznie przekonać, kto mógł z Czeżewską przybyć do córki. Śpieszył się z młodzieńczą niecierpliwością.

Sylwja była już ubraną, a strój je, choć dosyć skromny, dziewicze wdzięki podnosił. Suknię miała ciemną, odżywioną karmazynową przepaską; druga podobna wstęga przedzielała nawpół wysoko podpięte włosy bujne. Biały kołnierzyk na szyi i chusteczkę miała w ręku, ale jej w tem było tak pięknie, że wielka znawczyni niewieścich wdzięków, majorowa spojrzawszy na nią, stanęła zdumiona.

Przybrała zaraz ton poufały i przyjacielski, który był dobrej wróżby. Panna widocznie miała wielką przyszłość przed sobą.

Po pierwszem przywitaniu Habąkowska, jakby mimowolnie odezwała się półgłosem do przyjaciółki:

— *Mais elle est adorable!*

Posłyszawszy to, Sylwja się zarumieniła. Od rana już była Warszawą, widzianą z okna, rozgorączkowaną.

— Cóż Warszawa? podoba ci się? — zapytała przybyła — nieprawdaż, że po Paryżu, to pierwsze miasto na świecie!

— A! czyż ja mogę powiedzieć, żem ją widziała? — poczęła Sylwja wesoło — mam tylko jej przeczucie i pragnienie. Po naszej wsi cichej, spokojnej, jak się to tu inaczej wydaje wszystko! Ile życia, nawet na ulicach, jaki ruch, jaka orzeźwiająca wrzawa!

— Gdy się temu zbliska przypatrzysz — zawołała Habąkowska, — jeszcze ci się to więcej podoba. Zobaczysz jak świetne mamy salony, jakie zabawy wy-

tworne i dobrego tonu, co za stroje gustowne, jak miłe, uprzejme i doskonałe towarzystwo! A! ja to zawsze powiadam, kto nie może być w Paryżu, powinien żyć w Warszawie, gdzie indziej się wegetuje — nawet z Prusakami brudnymi, których bardzo nie widać, tu się żyje. A! Warszawa jest najmilszą w świecie!

— Niechże kochana pani nie rozłakamia mnie na nią, — odezwała się Sylwja, odniechcenia przyglądając się sobie w zwierciadle — bo, kto wie, jak malutką cząsteczkę jej poznać mi będzie wolno.

— *Allons donc!* — przerwała z oburzeniem majorowa, — żartujesz sobie, pani moja. będziesz ją znała i miała całą, ona ci się pięknie u twych nóżek położy!

Zapłoniona znowu uśmiechnęła się Sylwja, gdy wtem hałaśliwie, nagle drzwi się otworzyły, i z twarzą pokiereszowaną od brzytwy, niepomiernie zaczerwienioną, zadyszany, z oczyma zaognionemi wpadł szambelan jak bomba.

Spojrzał na majorową, ale jej nie poznał, nie mógł sobie przypomnieć; z przesadzonem więc uszanowaniem zbliżać się począł do figlarnie uśmiechającej się jejmości, która mu dygała zdaleka.

— Panie szambelanie, czyż to być może, ażebyś pan dawnej swej przyjaciółki nie poznał? Czyż lata ubiegłe takie „raważe" na twarzy mej by zostawić miały?

Zakłopotany niezmiernie szambelan spoglądał błagająco ku wojskiej, aby go poratowała, nie miał bowiem wyobrażenia, kto być mogła ta przyjaciółka! Czeżewska śpiesznie na ucho podszepnęła mu jej nazwisko, ale to wprawiło go w jeszcze większe zakłopotanie. Znaczenia tego nazwiska, stanowiska majorowej w społeczeństwie nie mógł na żaden żywy sposób sobie przypomnieć... Była dla niego zagadką.

W nadziei, że dalsza rozmowa objaśnić go może, przysunął się starym obyczajem do ucałowania pulchnej rączki, śmiejąc się niby wesoło, ażeby ukryć pomieszanie.

W duszy mówił sobie:

— Niech pęknę, jeśli wiem, co to za majorowa! Nigdy w życiu podobnej majorowej nie spotkałem! Przyjaciółka moja! — Nigdym takich przyjaciółek nie miał.

Habąkowska już z nieprzebranego zapasu gotowych frazesów, który zawsze miała na posługi, zaczęła żywo sypać na osłupiałego szambelana.

— Jaki to z kochanego szambelana ojciec przykładny! Prawdziwie za wzór drugim! Na karnawał z pode Lwowa do Warszawy! To się nazywa znać świat i kochać swe dziecię! Czyżby się godziło tak śliczny kwiatek trzymać w ukryciu i dać mu smutnie więdnąć w cieniu, między parafjanami!

Wskazała, śmiejąc się, na Sylwję, która wdzięcznię, czule spoglądała czarnemi oczkami na majorową.

Burzymowski coraz w trudniejszem był położeniu, czuł, że na te pochwały nie zasługiwał, nie wiedział, co miał odpowiadać. Śmiał się już tylko tym właściwym sobie rodzajem rubasznego śmiechu, hałaśliwego, który tak samo jak śmiech majorowej był dlań wygodną wstawką w rozmowie, gdy wyrazów brakło, odpowiedź była trudną, a odezwanie się koniecznem.

Śmiali się teraz tak właśnie oboje, sami nie wiedząc z czego, a Burzymowski w duchu sobie ciągle powtarzał:

— Co za majorowa? jaka u licha majorowa? *quo titulo* ona się tu zjawiła nimeśmy się rozpakowali? Boże mnie skarz, o kobiecie tej wyobrażenia nie mam! Majorowa! Co za majorowa! Bąkowska? Bąkowska? nie rozumiem!

Habąkowska ze zwykłą swą gadatliwością trzepała dalej, niezmieszana wcale wejrzeniami szambelana, w których się jego osłupienie malowało.

— Bardzoście państwo szczęśliwie trafili, Warszawę znajdujecie niezmiernie ożywioną, domów otwartych mnóstwo, wszelkich stopni i rodzaju, do wyboru dla każdego smaku.

Premier choix, qualité superfine, Blacha, pani hetmanowa, Na górze, jenerałowa Grabowska, Kicka, Potoccy, Chreptowicz, dalej ciche i spokojne ustronie

starościny krakowskiej, kasztelanowej połanieckiej, Małachowskiego, Czackich...

Szambelan roztargniony, wciąż pod naciskiem tej myśli, jaka to była majorowa, z nogi na nogę przestępując, niekiedy przebąkiwał półgłosem:

— Tak! tak!

W duchu jednak zaprzątnięty był zadaniem. Jaka u licha majorowa?

— Co za familjantka? Kto ją rodzi? Na śmierć zapomniałem! Musiała chyba męża i tytuł odmienić.

Posłyszawszy wyliczenie tylu domów, Burzymowski się wkońcu nastraszył i odezwał, jąkając nieśmiało.

— My bo pani majorowo dobrodziejko — my bo — jesteśmy cichej wsi mieszkańcy, domatorowie, do wielkiego świata nie nawykliśmy i nie piszemy się.

— Ho! ho! — przerwała mu Habąkowska. — Cóż to szambelan zbytnią skromnością tak się deprecjujesz! Znałam przecież nieboszczkę żonę jego, pamiętam jej stosunki, domatorką wcale nie była!

Burzymowski zdumiał się jeszcze bardziej, posłyszawszy o żonie swej wzmiankę.

— Cóż to jest u kata? — mówił w duchu — i żonę moją znała? Co to jest? Jaka to może być majorowa?

— Sylwja moja — wtrącił nieśmiało — jeszcze jest tak młodą!

— A panbyś ją dopiero podstarzałą chciał pokazać światu? — roześmiała się wesoło, przybliżając ku niemu natarczywie, majorowa. — Wstydźże się pan tej zazdrości rodzicielskiej! Choćbyś pan jej nam nie chciał dać, my ją gwałtem porwiemy! Ona należy do tego świata, którego będzie najpiękniejszą ozdobą!

W tej chwili zegar na kominie stojący syknął i zaczął wybijać dwunastą, Habąkowska skoczyła jak oparzona.

— A! co ja słyszę! dwunasta! już dwunasta — zawołała z przestrachem. — Dałam słowo pani hetmanowej i Anecie, że o południu, *juste*, będę Na górze! A! *pardon*, śpieszyć muszę!

Zaczęła się prędko kłaniać, dygać, ściskać, Czeżewskiej coś szepnęła do ucha i zabrała się do wyjścia. Burzymowski, choć dotąd na żaden sposób przypomnieć sobie nie mógł, ani kto ona była, ani kto ją rodził, ze staroświecką galanterją zaokrągloną podał jej rękę, postanawiając odprowadzić do powozu, bo tak mu grzeczność, której nigdy nie chybiał, nakazywała.

Gdy sam na sam znaleźli się na wschodach, Habąkowska zwróciła się ku niemu:

— Bez pochlebstwa, kochany szambelanie, — rzekła cicho — córkę masz tak śliczną, tak śliczną, iż równej jej, nawet tu u nas, gdzie wszystkie gwiazdy się zbiegają, znaleźć trudno.

Ma w sobie coś tak uroczego, niewysłowienie miłego, naiwnego, że nam tu wszystkim naszym kawalerom pozawraca głowy, bodaj tylko starszym pardonowała!

Szambelan, przyciśnięty do ściany, bo wschody były wąskie, śmiał się, choć pochwały te brzmiały mu jak groźby, truchlał strwożony.

— A, pani dobrodziejko — rzekł, dławiąc się — dla ojca sukcesy takie, to większa troska niż pociecha.

Habąkowska, odpowiedziawszy mu raz jeszcze tym samym swym zdawkowym śmiechem, którym się często posługiwała, wsiadła nareszcie do karetki, szambelan skłonił się drzwiczkom i stanął zadumany.

— Cóż to za licho ta utrapiona majorowa, taka fertyczna? Przyjaciółka domu, której ja ani znam, ani wiem, ani się domyśleć mogę? Język jak na kołowrotku! sama jak fryga; a pachnie aż śmierdzi! i wystrojona! ki djabeł! — Znała mnie i nieboszczkę żonę! majorowa? W życiu żadnej takiej nie znałem! Skąd data! przyjaciółka?

Poszedł co prędzej na górę dla wyjaśnienia tajemnicy. Córka i wojska Czeżewska, spodziewając się go, oczekiwały.

W progu zaledwie stanąwszy, odezwał się niespokojnie do Czeżewskiej.

— Toś mnie waćpani, moja dobrodziejko, ułowieniem tej ryby nabawiła kłopotu. Boże mnie skarz, nie znałem nigdy, nie znam żadnej majorowej, a ta mi się wpiera jako przyjaciółka! Gdzie? co? Skądże się tu wzięła?

Przeżegnał się.

— Klnę się asińdźce, głowa mi pęka, nic sobie przypomnieć nie mogę. Habąkowska powiadasz? — Nazwisko osobliwszego autoramentu. — Jakże z domu? może ją panną znałem? kto ją rodzi?

— A! mój Boże! — przerwała obrażona Czeżewska — jak bo pan szambelan masz krótką pamięć? — majorową zna przecież cały świat! To jest ta, którą zwano piękną Jutką.

Szambelan stał zapatrzywszy się w podłogę i dumał.

— Jutka! No — zabij mnie jejmość, nie pamiętam. Jestem jak w rogu... O żadnej pięknej ani brzydkiej Jutce nic nie wiem.

— Z domu Mydłowska, — zniecierpliwiona i z przyciskiem odezwała się Czeżewska. — Mydłow — ska!

— Boże mnie skarz, o tem mydle nigdym nie słyszał! — ramionami ruszając, rzekł stary. — Mydłowskich szlachty niema na świecie...

— Ależ to przecie osoba całej Warszawie znana, — poważnie i dydaktycznie poczęła wojska, okazując, jak była dotknięta tem lekceważeniem przyjaciółki. — Słyszał pan szambelan, że wprost stąd pojechała do pani hetmanowej, a tam przecie lada kogo nie przyjmują! Jest to moja przyjaciółka od młodości!

Szambelan głową potrząsał i odezwał się, cedząc przez zęby:

— Wszystko to być może, ale żeby ona, jak afirmuje, moją kiedy przyjaciółką była, albo nieboszczki, o tem się nam ani śniło!

Sylwja zaczęła się śmiać wesoło.

— Tatuś bo kochany pamięć stracił, — odezwała

się, zbliżając doń i rękę mu kładąc na ramieniu. — Majorowa niezmiernie miła, żywa, serdeczna osóbka, podobała mi się bardzo! Taka jestem szczęśliwa, że ją poznałam! Tak z nią jakoś łatwo, przyjacielska — uprzejma...

Burzymowski potarł głowę.

— Hm! ja tam tego — tak dalece nie znajduję... szepnął cicho — bo... bo...

— Bo co, kochany tatku? — zapytała córka, przymilając mu się.

Czeżewska zarumieniona, urażona widocznie, nadąsana, w okno patrzyła.

— Bo... bo — odezwał się stary, zbierając na odwagę — bo — w tej tu Warszawie, jaka ona tam jest, należy być wielce oględnym, grunt rozpatrywać, badać, namyślać się dobrze niżeli się krok postawi.

Otóż ta pani majorowa, której ja nie ujmuję, choć z domu Mydłowska — zaraz stąd wyjechawszy, roztrąbi i rozbębni o pięknej panience przybyłej z prowincji, ludzi zaciekawi, zechcą nas dla swej satysfakcji ciągnąć tam i sam, gdzie ja (otwarcie powiedziawszy) — tu głos podniósł i ręce uroczyście rozstawił — otwarcie powiedziawszy, możebym sobie mojej panny wprowadzać nie życzył.

— Ależ, mój ty surowy tatku — napół śmiejąc się, wpół strwożona i podrażniona, poczęła panna Sylwja, której też wystąpienie ojca wobec Czeżewskiej było niemiłem — dlaczegóżbym ja, panna szambelanówna, nie miała czy nie mogła tam bywać, gdzie cały tutejszy świat i najlepsze towarzystwo uczęszcza?

— Hm! dlatego — odparł stary, poprawiając włosy i budząc w sobie męstwo, którego nie miał — dlatego, że ja, ojciec asiądźki — (tu się zatrzymał i dokończył żywo), że ja mam ku temu słuszne powody!!

Odchrząknął.

— I — basta!

— A te powody są? — spytała Sylwja łagodnie, gdyż nadto była pewna wygranej, aby ją bardzo ustraszać miało co ojciec postanowił.

— Moja kochana — odezwał się Burzymowski, — są powody, z których ja ci się na teraz tłumaczyć nie mogę.

— Dlaczego? — cierpliwie, ale nie ustępując, nalegała córka.

Burzymowski patrzał na nią długo i — dumał. Zebrał się wreszcie na odpowiedź.

— Dlatego, moje dziecko, — rzekł — że w twoich latach lepiej jest wielu rzeczy nie znać i o nich nie wiedzieć...

Argument był słaby...

— Przepraszam tatkę, — odezwała się Sylwja — mnie się to wydaje inaczej. Ja właśnie przez niewiadomość tych rzeczy zatajonych mogłabym pobłądzić, zatem zdaje mi się lepiej, żebym o wszystkiem wiedziała zawczasu.

Wojska, nie chcąc się mieszać do tej rozmowy, stała na uboczu, patrząc to w okno, to na swą wychowankę. Sylwja, uśmiechając się łagodnie do ojca, męczyła go, piekąc na wolnym ogniu swemi pytaniami. Burzymowski zamilkł, tarł wąsy.

— Tatku — ciągnęła dalej córka. — Ile ja mam lat, wiesz tak dobrze jak i ja, tybyś mi rad ich ująć, jabym ich chciała sobie dodać. Dla kobiety, proszę tatka, to jest już wcale piękny wiek, jak tatka kocham. Mogę więc już wiedzieć niektóre życia tajemnice, daję ci słowo, jak mi powiesz, zrozumiem, a jak pojmę, posłucham.

Stary westchnął, oczy podnosząc ku niebiosom, jakby w nich zmuszony był szukać ratunku.

— Dajże ty mi pokój ze swoim rozumkiem — odezwał się błagająco. I wnet zmieniając głos, dodał:

— Powiem ci tylko, że nie wyłuszczając powodów, dla których wybór zrobię tych a nie innych domów, w jakich bywać mamy — mogę zaręczyć, iż ten wybór mój będzie najlepszy, a domy najpierwsze i najdystyngowańsze... Mogę ci i za to zaręczyć, że ani przez skąpstwo, ani dla osobistej niechęci nie wyłączę nikogo...

— Domy najdystyngowańsze — podchwyciła Syl-

wja — to będą dla tatka pewnie te, w których odmawiają pacierze, pończochę robią i wzdychają do niepowrotnej przeszłości, nieprawdaż, tatku? Domy, w których bywają księża biskupi, staruszkowie łysi i siwi? a jak najmniej młodzieży i nigdy śmiechu?

Ale w takim razie, tatku, pocóżeśmy do Warszawy jechali? Ja, przyznam ci się, chciałabym się trochę zabawić...

Zniecierpliwiony, nieszczęśliwy szambelan darł czuprynę.

— Bądźże spokojna, — zawołał — wszystko się znajdzie, i przyzwoita zabawa i trochę skoków i śmiechu, — ale...

— Ale — podchwyciła córka.

Burzymowski, nie mogąc już dłużej egzaminu wytrzymać, ruszył ramionami i miał się ku drzwiom. Córka drogę mu zastąpiła, rozstawiając szeroko ręce.

— Mój tatku, — rzekła pieszczotliwie — ty zwykle dla mnie taki dobry, dziś jesteś prawdziwie nie do ugryzienia. Chyba już swojej Sylwki nie kochasz. Nie chcesz być ze mną otwartym, traktujesz mnie jak małe dziecko... Fe!

Czyżby te nieszczęśliwe buty tak ci humor popsuły?

Na wspomnienie o butach drgnął szambelan.

— No, no — odezwał się, łagodząc — zobaczysz, bądź cierpliwa, wszystko się dobrze ułoży, będziesz kontenta. Z niczem tylko zbytnio się nie trzeba śpieszyć.

— Mnie bo się zdaje, tatku, — sprzeciwiła się Sylwja — że z niczem nie potrzeba się opóźniać.

Burzymowski nie widział już innego ratunku jak odwrócić rozmowę.

— Cóż to za teraźniejsza młodzież? — rzekł. — Micio u ciebie, no i u mnie dotąd nie był?

Sylwja obojętnie główką potrząsnęła.

— A pisałem do niego wcześnie, kiedy przybyć mamy, — mówił szambelan — ażeby się tu zaraz stawił na twe usługi. Poczciwy, dobry z kościami chłopak,

a mimo przywiązania do nas pobałamucił i niema go do tej pory. Chyba listu nie odebrał?

— Zapewne, że musi nie wiedzieć o przyjeździe naszym — odpowiedziała Sylwja, lekko się zarumieniwszy — inaczej ręczę, że byłby się przystawił.

— Od niegobym był mógł zasięgnąć wiele potrzebnych informacyj, — ciągnął dalej stary — wiem, że Micio tu jest bardzo dobrze położony, że bywa u Sołtyków, u Chreptowicza, jeździ do Skierniewic do księcia prymasa, zna tu wszystkich, wie o wszystkiem.

Czeżewska uznała właściwem wtrącić swoje trzy grosze, i rzekła z przekąsem:

— Ale w wielkim świecie wątpię, żeby bywał!

— A gdzież większy świat być może, jak u księcia prymasa? — spytał złośliwie szambelan.

— Elegancki świat przecież gdzie indziej, to wszystkim wiadomo! — odcięła się Czeżewska.

— I o tym eleganckim, jak go asiądźka zowiesz, wie on pewnie co wiedzieć potrzeba — odparł Burzymowski.

— Micio Grabski, chybaby był chory, inaczej będzie z pewnością nie dziś to jutro — dodała Sylwja.

— Niech Bóg uchowa, żeby chory miał być — zawołał szambelan — ja go kocham jak syna.

Tu, przerwawszy mowę, przeszedł się stary po pokoju i na pociechę paniom dodał jeszcze.

— Ja tymczasem nie próżnuję, i spełniam moje obowiązki. Zamówiłem już powóz, gdyby go było potrzeba, bardzo przyzwoity, danglowski, ale świeży...

— Co tu są za śliczne zaprzęgi — zawołała Sylwja, ożywiona nagle. — Ja już, siedząc w oknie, dwa widziałam, o jakich mi się w życiu nie śniło. Służąca mi mówiła, że pierwszy z nich, cug tarantów jest księcia prymasa, a druga gniada czwórka z postrojonymi postyljonami ma być księcia Józefa.

Stary się rzucił.

— I ty go już widziałaś?

— A! nie tylko ja go widziałam, — odpowiedziała Sylwja z naiwnością dziecięcą — ale i on mnie zoba-

czył. Tak mi się przypatrywał, żem się aż do okna cofnąć musiała zażenowana...

Wyobrażałam go sobie daleko starszym, — szczebiotała dalej — wygląda wcale młodo i bardzo, bardzo dystyngowany. Ma w rysach coś tak szlachetnego, twarz tak miłą, tak smutną, oczy tak wyraziste.

W czasie, gdy Sylwja z wielkiem zajęciem opowiadała o księciu Józefie, Burzymowski stał z głową spuszczoną, posępniejszy coraz.

Długo nie mógł odezwać się ani słowa.

— Ph! — rzekł wkońcu — stary bałamut, ma już lat około czterdziestu... Ale tak! Pamiętam go młodym i pięknym w czasie sejmu czteroletniego i po kampanji 1792 r., ale to już temu latek kupka, a żyło się żwawo i z niejednego roku dwa zrobiło!

Zachmurzył się mocniej jeszcze i dodał:

— Ale, moja Sylwko Sylfido! — ciekawość ciekawością, hm! czyż godzi się tak oknem wyglądać, żeby się aż dać widzieć? To mi się zdaje — nieprzyzwoicie!

Sylwja się roześmiała wesoło.

— Oknem wyglądać, nieprzyzwoicie? tatku?

— A tak, oknem wyglądać, — potwierdził Burzymowski — zwłaszcza gdy przejeżdża taki bałamut, któremu lada młode oczki zawracają głowę.

— Tylko nie moje! — przerwała Sylwja.

— Jeszczeby tego chyba brakło na moją biedę! — odezwał się szambelan. — Niech nas Bóg uchowa i strzeże.

Czeżewska, ztyłu stojąca, słuchając rozmowy, ramionami ruszała. Sylwja śmiała się z nieopatrznością dziecięcia, szambelan burczał.

Pani wojskiej wreszcie to co nazywała prześladowaniem ojca, uprzykrzyło się — i wtrąciła głosem słodziuchnym, ale stanowczo.

— Pan szambelan ma czasem jakąś przyjemność tę biedną Sylwkę morałami udręczać! Słowo daję! Widzi pan, że ją to irytuje.

Burzymowski zmiękł zaraz, trochę się nastraszywszy.

— To się tak gada, aby się coś gadało, — zawołał — nic znowu jej tak bardzo przykrego nie powiedziałem.

Przystąpił do Sylwji.

— Przepraszam cię, rybko moja, starzy jak ja zwyczajnie gderać muszą, ale z przywiązania i dobrego serca.

Córka pośpieszyła go uściskać.

— Kochany tatku, — rzekła — ja ani się nie dziwuję, ani przykrzę tem, co tatko mówi, my się wkońcu zawsze z sobą zgodzimy.

— Bóg widzi! prawda! tak! słowo daję! — zawołał rozczulony uściskiem dziecka, całując w głowę córkę szambelan — ty, poczciwa, dobra jesteś jak anioł.

Czeżewska, zdala za nimi stojąca, nie kryła złego humoru, w jaki ją ta czuła scena wprawiała, było w tem trochę jej winy, że się Burzymowski posprzeczał, darować mu więc tego nie mogła.

Jesteśmy tak wszyscy, gdy się czujemy winnymi, część winy radzibyśmy złożyć na kogo innego.

Rada była co najprędzej pozbyć się, wyprawiając na dół, szambelana, gdyż sprawy toaletowe, nie cierpiące zwłoki czekały na nie, a Burzymowski nie kwapił się z pożegnaniem.

Widząc wreszcie, iż heroicznego użyć potrzeba środka, aby się go pozbyć, Czeżewska wśród najczulszych oświadczeń, któremi ojciec z córką pocieszali się wzajemnie, odezwała się głosem dyktatorskim:

— Dziś jeszcze tysiące rzeczy jest do załatwienia, a my aniśmy nawet poczęły.

Ja muszę iść i proszę panny Sylwji, aby przybyła co najrychlej. Krawiec czeka, modniarka nad karkiem stoi, szewc przyszedł brać miarę.

Burzymowski, posłyszawszy to, natychmiast ku drzwiom ruszył, Czeżewska trochę szyderczą i litującą się minkę zrobiwszy, powiodła za nim oczyma.

Taki był początek pierwszego dnia pobytu w Warszawie pana szambelana Stanisława Kostki Burzymowskiego, a jeśli kto to on wcale nie był uszczęśliwiony

wypadkami dnia tego, w którym mu się wszystko na przekorę składało, począwszy od butów, aż do spojrzenia córki na księcia Józefa, którego sława don-żuańska dla ojców i mężów strasznym czyniła.

Z głową zwieszoną, powoli zsunął się po wschodach stary ku swoim izdebkom.

Tu Zybek, znający się na swych obowiązkach, przyniósł mu na długim cybuchu nałożoną z czubem fajkę tytuniu tureckiego, z której zwolna pykać zaczął, smutny jak noc, przybity i wzdychający szambelan.

Sądził, że wieczór cały przejdzie mu samotnie przepędzić, bo się nie spodziewał nikogo, nikomu nie dawszy swojego adresu, gdy w sieni usłyszał znajomy głos szambelana Pokutyńskiego, który Zybka, stojącego cały dzień we drzwiach, dla gapienia się na ulicę, pytał:

— Jest pan w domu?

W tej samej chwili drzwi się otwarły i wyelegantowany zjawił się dawny kolega.

Bystre spojrzenie na twarz Burzymowskiego mogło go nauczyć, iż stary pierwszem wrażeniem Warszawy był znękany i wystraszony. Wczoraj na gościńcu widział go wesołym, uśmiechniętym, dziś znalazł zmęczonym, milczącym, posępnym.

Humor mu się popsuł bardziej jeszcze, gdy posłyszał od progu wołającego Pokutyńskiego.

— Powinszowania niosę! To się nazywa: *Veni, vidi, vici.* Cała już Warszawa brzmi imieniem córki waszej i sławą jej wdzięków! Wieść o jej piękności przebiega wszystkie salony, we wszystkich jest ustach... Ciekawość rozbudzona do najwyższego stopnia.

— A! Jezus! Marja! — krzyknął, cybuch wypuszczając z rąk, Burzymowski. — Skąd? co? jakże? krokiem nie wychodziła! Nikt jej nie widział jeszcze.

— Ba! ale majorowa, która już tu była na oględzinach, zawiozła pierwszą wiadomość do pałacu Na górce, do pani hetmanowej. Wczorajsza młodzież także w kołach swoich rozgadała o cudnem zjawisku; naostatek książę nasz, zdaje się, że waszą pannę musiał

w oknie zobaczyć; uderzyła go jej nadzwyczajna uroda, zachwycony nią musiał się posłać dowiedzieć kto to był taki.

Burzymowski, zamiast się ucieszyć, uderzył w szerokie dłonie i załamał je z wyrazem rozpaczy.

Pokutyński śmiał się.

— Teraz — dodał — nie masz się już co taić i ukrywać z córką, ani przemyślać, gdzie ona bywać ma... Złapią was i pociągną gwałtem.

Szambelan tak był tem zmieszany, tak odurzony swem nieszczęściem, że nie umiał wyrazić inaczej utrapienia, jak niezrozumiałym wykrzykiem:

— Pocóż się już było śpieszyć z butami!

Pokutyński szczęściem nie posłyszał tego westchnienia, ciekawy zawsze, rozglądał się tymczasem po niepozornych izdebkach, w których go kolega przyjmował.

— Spodziewam się, — bąknął po chwili — że córkę chyba lepiej musiałeś ulokować niż siebie. Przepraszam cię, ale twoje mieszkanie na zabrukaną celę kapucyńską wygląda, a dziś i twarz twoja, akomodując się do niego, ściągnięta coś jak po rekolekcjach!

— A! ja tam dla siebie wiele nie potrzebuję! — westchnął Burzymowski cały zadumany i pogrążony w sobie.

Pokutyński, widząc go tak znękanym, rozbawić się starał.

— Pojutrze — rzekł — nasz teatr amatorski, śliczna rzecz! Jeżeli gdzie to na nim cały nasz świat zobaczyć można i wszystkim się pokazać. Niesposób, ażebyście na nim nie byli. O zaproszenie dla was postaramy się, odbierzecie je niezawodnie. Przygotujcie się więc do tego.

Osowiałym wzrokiem spojrzał Burzymowski na mówiącego i swoim zwyczajem włosy trzeć zaczął.

— Nie wiem prawdziwie, — rzekł — czy my tam pojutrze będziemy mogli być! Tylko co jesteśmy z drogi, babom pewnie jeszcze mnóstwa gałganków brak, kto je tam wie! a guzdrają się...

— O! o! dadzą one sobie radę, — przerwał gość — ciekawość, ręczę ci, przyśpieszy przygotowania. Córka twoja pewnie zechce widzieć reprezentację tę, ty zaś nadto jesteś dobrym ojcem, żebyś miał dziecko swe przyjemności tej pozbawić!

Zdaje się, że szambelan domyślił się przyczyny frasobliwego usposobienia kolegi i miał złośliwą przyjemność go drażnić, gdyż mimo coraz bardziej zasępiającej się twarzy Burzymowskiego, kończył:

— Tak! tak, kochanku! kiedyś grzyb, to leź w kosz, ojcem jesteś, trzeba dziecku być posłusznym — takie teraz prawo. Długo bardzo dzieci rodziców słuchały, teraz kolej przyszła na starych, że młodym się muszą akomodować. Panienka się zabawi, ty się rozruszasz i złe humory odejdą.

Kto wie? tyle młodzieży mamy? zakocha się w niej kilku, a przynajmniej jeden o rękę zgłosi. Pannie szambelanównie sprawimy weselisko, a ja na niem — wiesz co? no! ofiaruję się mazura z hołubcem! Zobaczysz, że się zwijam, jak potrzeba!

Klepał po kolanie Burzymowskiego, który siedział smutny i milczący, nie odpowiadając już nic, aby nie wywoływać drażliwych kwestyj.

Niewiadomo, jakby się była rozmowa skończyła, gdyby w tej chwili nie wpadł naprzód Zybek, wołając:

— Pan Mieczysław!

A za nim tuż wpadł młody mężczyzna, pięknej postawy, przeciw któremu szambelan z rozstawionemi pośpieszył rękami i do piersi go przycisnął.

— Micio! a, przecież! Jużem, słowo daję, nie wiedział co myśleć — wołał mocno poruszony Burzymowski.

Wtem postrzegłszy, że przybyły zdala się kłania Pokutyńskiemu, pośpieszył go zaprezentować przyjacielowi.

— Mieczysław Grabski, mój bliski krewny, najmilszy sercu mojemu młodzieniec, którego łasce twej, kochany szambelanie, gorąco mam honor polecić. Ale, jakże to być może, ażebyście się nie znali?

Pokutyński i Grabski zimno się jakoś powitali, w taki sposób, iż należało się domyślać, że o sobie wiedzieli, znali się może zdaleka, a nie życzyli poufalszej zabierać z sobą znajomości. Takie przynajmniej wrażenie zrobiło to na szambelanie.

— Zdaje mi się, — odezwał się zimno a grzecznie Pokutyński — żem parę razy miał przyjemność spotykać pana dobrodzieja.

— Tak jest, — pośpieszył z równie ceremonjalną odpowiedzią Grabski — ale nie miałem szczęścia być mu przedstawionym.

Wyrazy te pan Mieczysław wymówił chłodno też, nie przysuwając się bliżej, a Pokutyński skłoniwszy się elegancko, po młodemu, sięgnął zaraz po kapelusz i uściskawszy Burzymowskiego, który go do progu przeprowadzał, oddalił się śpiesznie.

V.

Przybyły pan Mieczysław Grabski zdala podobnym był do innych swych rówieśników warszawskiego bruku, których miał ubranie i postawę.

Suknie nosił według ówczesnej francuskiej mody i nic mu nie brakło, aby mógł za przyzwoitego salonowego uchodzić młodzieńca. Wpatrzywszy się jednak w niego, dostrzec było można różnicę między elegantami i tężyzną ówczesną a skromnym i nieco surowo, sztywniej wyglądającym Grabskim.

Wprawdzie włosy miał, jak ówczesna chciała moda, ostrzyżone *à la Titus,* bardzo krótko, frak z długiemi połami, buty ze sztylpami, chustkę białą ogromną na szyi z fontaziem, jaki naówczas noszono, ale to wszystko skromne było, barw nie bijących w oczy i włożone tak jakoś, że nie zwracało uwagi, nie narzucało się przesadzonem staraniem o siebie.

Twarz pana Mieczysława bladawa, rysów regularnych, nie była piękną ani brzydką, lecz napiętnowaną

wyrazem powagi nad wiek jego. Nie wydawał się bowiem starszym nad lat dwadzieścia kilka.

Trzymał się prosto, nieco z żołnierska, z widoczną pamięcią na siebie, chwilami jednak, jak gdy witał Burzymowskiego, surowość z oblicza ustępowała wyrazowi wielkiego, szczerego acz hamowanego uczucia. Naówczas lice to smutne całkiem się inne stawało, ożywiało, odmładzało, dopóki na rozkaz pana nie zesztywniało i nie stężało ostygłe.

Burzymowski na widok młodzieńca, dla którego musiał mieć afekt wielki, zmienił się cały, odzyskał wesele i rubaszność swoją. Po wyjściu Pokutyńskiego ponowił uścisk serdeczny i rzekł pośpiesznie.

— Ale chodźmyż na górę do Sylwki, bo i ona niecierpliwa jest i radaby cię zobaczyć. Tylko, powiedzże ty mi, jak się to stało, ja się ciebie spodziewałem z rana jeszcze? Czy zapomniałeś o nas? czyś zapomniał?

— A! nie zapomniałem, boby to była niewdzięczność sroga, — odparł głosem miłym i sympatycznym Micio — wstrzymała mnie okoliczność pewna, *force majeure*, oprzeć się jej nie było sposobu. Miałem bardzo miłe i zaszczytne zaproszenie do Skierniewic do księcia arcybiskupa, a ten nie puścił mnie od siebie, aż dopiero przed paru godzinami.

— Fiu! fiu! — zaśmiał się widocznie uszczęśliwiony Burzymowski, — jakie sobie stosuneczki porobiłeś... Proszę, proszę! Arcybiskup go zaprasza i zatrzymuje! Jeszcze kto i jaki? Krasicki!...

I raz go jeszcze uściskał, ruszając ku drzwiom, bo pilno mu było zaprowadzić go na górę.

— Chodźmy! — zawołał, — chodźmy. Tam dopiero ja i baby weźmiemy asińdzieja na spytki. Tyś się tu już stał warszawianinem, znasz grunt, a my biedni parafjanie naoślep jeszcze stawiamy kroki. Jesteś więc dla nas drogocennym przewodnikiem, musisz pokazywać drogę.

Gdy na górę weszli do salki, nikogo w niej nie było, obie panie zapewne wiele miały do czynienia z gałgankami i znajdowały się właśnie na ważnej naradzie

z modniarką, którą pani Czeżewska, częstując, przyjmując, obsypując grzecznościami, pozyskać się sobie starała.

Francuzka, zaszczycona przez nią poufałem zbliżeniem się, wygadywała się z tem właśnie, jakie najświeższe suknie przywieziono dla hrabianki Anety z Paryża, co dla siebie kazała robić pani Vauban, jakie roby i jak garnirowane zamówiły u niej dla siebie panie Stasiowa i Kossowska.

Szambelan, nikogo nie znalazłszy w saloniku, zniecierpliwiony na cały głos wykrzyknął:

— Sylwjo! Sylwjo! gościa mamy, Micio jest!

W sąsiednim pokoju dało się słyszeć poruszenie żywe, drzwi się otworzyły i piękna Sylwja wyszła trochę zarumieniona i zmieszana, podając rękę kuzynkowi, który ją z wielkiem uczuciem, wpatrując się w jej oczy, pocałował. Czeżewska nie mogła jeszcze porzucić swej Francuzki i pozostała z nią na radzie.

— A pięknie to, — odezwała się młoda gosposia — tak na siebie kazać czekać? od ranaśmy się spodziewali pana Mieczysława. Tatko był niespokojny, czy nie chory...

Nim obwiniony miał czas odpowiedzieć, szambelan go uprzedził.

— Daj mu już pokój. Jest uniewinniony. Był u księcia arcybiskupa w Skierniewicach.

— A przytem, — dodał Grabski — przyznaję się, żem się niebardzo spodziewał, abyście państwo ściągnęli na dzień naznaczony.

— A toż dlaczego? — spytała Sylwja.

— Bo drogi są szkaradne! — rzekł Grabski.

— Tak, ale niema złej drogi do swej niebogi — wtrącił, śmiejąc się, Burzymowski. — Dla Sylwki ta nieszczęsna Warszawa, jak dla kogo innego ta nieboga. Wzdychała do niej, pędziła, śpieszyła. Nie żałowaliśmy konisków, no, to też dostały cięgi, leżą teraz tak, że cały dzień nie wstawały.

Sylwja się zarumieniła, Micio spojrzał na nią pytająco i rzekł:

— Czyżby doprawdy dla kuzynki taki nadzwyczajny urok miała Warszawa?

— Nie będę się wypierała... niezmierny! — szepnęła Sylwja.

— Formalnie się paliła mocibdzieju do tej Warszawy, tak że wkońcu zląkłem się, aby nie zachorowała, gdy jej tej szybki z okna odmówię, — dorzucił Burzymowski — a ja ci powiem, że tu trochę się rozpatrzywszy...

Nie dokończył i ręką tylko machnął wzgardliwie.

— A! bo ten kochany tatko wszystkiego się boi, najgorsze zaraz rzeczy przewiduje, uprzedzenia ma — zawołała Sylwja. — Nie wiem doprawdy, co się ojcu stało, nagle nabrał takiej jakiejś odrazy, choć nie było najmniejszego powodu!

Micio, popatrzywszy na ojca i córkę, odezwał się zwolna.

— Przyznaję się, że i ja miałem wielkie pragnienie dostania się tutaj.

— No, i zawiodłeś się? nieprawdaż? — przerwał śpiesznie Burzymowski.

— Tak i nie — odpowiedział Micio, spoglądając ku Sylwji nieśmiało. — W istocie poznałem tu wiele osób, dla których mam wysoki szacunek i których znajomością się zbogaciłem, a że oprócz nich jest dużo wietrzników i płochego ludu, cóż dziwnego? miasto duże, ludzi mnogo!...

Sylwja, jakby błagając go, aby się nad tem nie rozwodził do zbytku, bystrem spojrzeniem, które w niego wlepiła, zdała się ostrzegać, ażeby ojca nie drażnił.

Micio zrozumiał ją czy domyślił się czego żądała, odpowiedział jej wzrokiem uspokajając i zamilkł.

— Gadajno, asińdziej, gadaj, — zawołał Burzymowski — co się tu święci? Jakie macie towarzystwo czy towarzystwa? Gdzie bywasz? Kogo znasz? Kogo lubisz, a kto ci wstrętny? Jak znalazłeś ten ich wielki świat?

— Świat wielki, kochany szambelanie, — począł przynaglony Micio — jest zdaje mi się wszędzie jeden

i ten sam. Dla niego elegancja stanowi warunek życia, rozrywka jest jedynym jego pokarmem, wesołość żywiołem, intryga zatrudnieniem. Trudno od niego wymagać, aby coś więcej nad to miał na celu.

— Ach! jaki bo ty jesteś stary, kuzynku! — roześmiała się Sylwja, z rodzajem wyrzutu zwracając się ku niemu. — Świat młody bawić się musi...

— Ja też przeciwko zabawie nie jestem, — począł, broniąc się obwiniony — tylko całe życie jej poświęcać, nie zdaje mi się właściwem. No, i mnie, do tego się przyznaję, zestarzałego przed czasem, jak kuzynka powiadasz, zabawa nie bawi.

— A cóż cię bawi? — podchwyciła złośliwie trochę Sylwja.

Micio długo, tęskno spojrzał jej w oczy i westchnął.

— Czy to dla nas wogóle chwila do zabawy, nie wiem i wątpię — rzekł smutnie.

— A! powiesz nam zaraz kazanie o surowych życia obowiązkach! — śmiejąc się, przerwała Sylwja — ale myśmy to już od ciebie słyszeli.

— Masz słuszność, kuzynko, — odparł Grabski — o mało nie powtórzyłem kazania z tekstu znanego ci jeszcze w Burzymowie. Tak, mnie się zawsze zdaje, że po wielkich klęskach i przesileniach, po stratach ogromnych ludzie się powinni skupiać na duchu, pracować, starać się siły odzyskać, a nie myśleć o zabawach.

— Jak to czuć, żeś kuzynek powrócił dziś ze Skierniewic od księcia arcybiskupa! — wesoło wtrąciła Sylwja.

— Mylisz się, piękna kuzynko, — odparł Mieczysław — bo nie znasz naszego arcybiskupa. Pewny jestem, że myśli tak samo jak ja, a jednak niktby tego po nim nie poznał. Napozór niema weselszego, swobodniejszego umysłu człowieka nad niego. Zasadza drzewka, pielęgnuje kwiatki, których jest niezmiernym miłośnikiem, dowcipkuje, żartuje, lubi jak ty towarzystwo wesołe, a wiem, że to wszystko poważniejsze my-

śli okrywa, choć mało kto to pozna po nim. Są chwile, w których smutek trzeba zagrzebać, aby go nam nie odjęto, a weselem się zamaskować.

Burzymowski słuchał, nie mieszając się do rozmowy, Sylwja zamilkła chwilę trochę zmieszana; stary z tego skorzystał i wtrącił.

— O tem potem — teraz pochwalmy się przed kuzynkiem, jak z krótkiego skorzystawszy czasu jużeśmy kilka porządnych bąków ustrzelili.

Micio odwrócił się ku niemu z ciekawością.

— Jakto? cóż?

Sylwja ramionami ruszyła.

— Rejestr już dosyć długi — począł szambelan. — Naprzód, wystaw sobie, licho nadało, w Jabłonnie na gościńcu zetknąć się z Pokutyńskim, a przez niego popaść w gromadę jakichś hulaków, jakiegoś Dąbskiego, Kalinowskiego, Bielińskiego...

Micio skrzywił się, słysząc nazwiska.

— Poniekąd, zrobiła się z nimi wcale niepotrzebna znajomość, ale mieliśmy do czynienia z podchmielonymi.

— Jakto! i kuzynka? — podchwycił z przestrachem Grabski.

— Widzieli ją tylko zdaleka i przez mgłę ponczu, — westchnął Burzymowski — ale i tego zanadto! To tedy, raz! Powtóre, pani wojska Czeżewska wprowadziła nam tu swą dawną przyjaciółkę, która się już i moją nazywa, majorową Mydłowską z pod ciemnej gwiazdy, fertyczne jakieś licho, które już po Warszawie o Sylwji rozniosło — to dwa. Naostatek panna szambelanówna, wyglądając okienkiem, miała już szczęście wpaść w oko księciu Józefowi, który aż do kamienicy przysyłał dowiedzieć się, kto to taki w niej zamieszkał!

— Tatku! — przerwała Sylwja.

— A no, nie kłamię, słowo daję, tak jest! — potwierdził Burzymowski.

Grabski pobladł i zaciął usta. Czoło mu się pofałdowało.

— Ale, ale — ciągnął dalej stary, zwracając się do niego, — ty mi raz powiesz jasno i uczciwie...

Wtem spojrzawszy na córkę, pomiarkował, że przy niej pytanie to byłoby może nie w miejscu i swoim zwyczajem zakończył.

— A no — o tem potem...

— Przepraszam — wtrąciła Sylwja, domyślając się przyczyny milczenia ojca i obrażona a poruszona tak, że jej rumieniec na twarz wystąpił. Pana Mieczysława biorę za sędziego przeciwko tatkowi. — Postępuje ze mną jak z małem dzieckiem, mnóstwo rzeczy chce zakrywać i taić przede mną! Czyż dobrze jest zostawiać mnie w nieświadomości? to tak, jakby mi na drodze rowy i doły pozakrywano... O co ojciec chciał pytać?

Burzymowski obiema rękami po bokach się uderzył.

— A! to skaranie Boże, z tą kobiecą ciekawością! — zawołał.

Grabski milczał, mierząc niespokojnemi oczyma ojca i córkę.

— No, więc jasno, kategorycznie! — krzyknął zrozpaczony szambelan — tak, tak, mówmy jasno. Powiedz mi, panie Mieczysławie, bez ogródki, kto gospodaruje Pod blachą? hę? Jakaś emigrantka, pani de Vauban, która mieszka sobie u księcia? Cóż to jest za gospodarstwo? Książę kawaler, ta jejmość mężatka bez męża. — Gdzież to kto co podobnego słyszał? Mogąż tam bywać kobiety, co o swoją sławę dbają? co to jest za stosunek?..

Sylwja, usłyszawszy pytanie, ustąpiła zwolna ku oknu.

Zaskoczony niespodzianie kwestją tak drażliwą i tak ostro sformułowaną, Grabski się potrzebował namyśleć.

— Pani de Vauban — rzekł — przybyła tu z siostrą księcia, która ją tu zostawiła. Ma ona męża w tej chwili nawet znajdującego się w Warszawie. Wszystkie panie bywają u niej, i choć położenie jest niejasne, fałszywe, ściśle biorąc, trudno kamieniem rzucić... Mu-

szę to dodać, — rzekł po chwili Grabski — że owa sławna pani de Vauban nie jest ani bardzo młodą, ani piękną, ani o księcia zazdrosną. Przyznaję, że położenie jest nieco dwuznaczne, ale kiedy ani pani hetmanowa, ani książęta Czartoryscy, ani wszystkie inne matadory wielkiego świata nie widzą w tem nic zdrożnego...

Burzymowski dziwnie się jakoś otrząsnął i splunął, a Sylwja za ten sąd, pełen umiarkowania i wyrozumiałości, wejrzeniem miłem podziękowała kuzynkowi.

— Zatem, — dodał szambelan po namyśle — gdybyśmy tam byli wciągnięci, możemy, moglibyśmy tam iść? hę?

Grabski nic nie odpowiedział, milczenie było znaczące.

— Gadajże! jak sądzisz? — nalegał Burzymowski.

— Kochany szambelanie, — odezwał się zagadnięty ze smutkiem — nie trzeba było przyjeżdżać do Warszawy, jeśli się tego chciało uniknąć.

— A któż u licha mógł wiedzieć o tych Wonpanach, o tem wszystkiem! — wykrzyknął, rękami rzucając Burzymowski. — Tu poprostu spytaj acan na ulicy kogo chcesz, powie ci każdy ulicznik, że Vauban jest księcia Józefa metresą!

Sylwja nim ojciec to dokończył, wyszła do drugiego pokoju. Ciężar spadł z piersi Burzymowskiemu, gdy obejrzawszy się spostrzegł, że jej nie było.

— No, niema jej, mówmy teraz z sobą otwarcie. Co mam począć?

Westchnął Grabski, pochylił się do ucha i powtórzył cicho.

— A pocożeście przyjechali do Warszawy, kochany szambelanie? Pytanie spóźnione, ja na nie inaczej odpowiedzieć nie umiem, tylko, że uniknąć tego towarzystwa, którego się obawiasz dla kuzynki, będzie prawie niepodobieństwem. Wszakże macie jakąś koligację z Tyszkiewiczami?

— A tak! daleka jakaś, ale jest i Sylwja w to bije!— mruknął Burzymowski.

— Możecież się uchylić od tych kół i towarzystw, w których i pani hetmanowa i wszyscy bywają?..

Szambelan zamilkł zakłopotany, Sylwja nie powracała, począł więc, ująwszy pod rękę Grabskiego.

— Ja miałem myśl inną, — rzekł — dałbym za wygraną koligacji, chciałem Sylwję wprowadzić do tych tylko domów, którym nic zarzucić nie można, do pani Lanckorońskiej, do Wielopolskiej, do Sołtyków.

— I tak nawet trudnoby było, — odparł Grabski — zetknięcia się z Blachą uniknąć. Dla młodej osoby zabawy są potrzebą; na kasynie, w teatrze, w ogrodzie spotykalibyście codzień osoby, należące do kółka z Pod blachy. Piękność kuzynki musi wszędzie ściągnąć na nią oczy...

— Masz słuszność, — przerwał nagle z heroiczną rezygnacją szambelan — zrobiłem kapitalne głupstwo, przybywając tu... idzie teraz o to tylko, aby się stąd jak najprędzej wydobyć.

Tymczasem, Miciu, ty bądź dla nas na te trucizny antidotem. Jesteś młody a nie płochy, Sylwka niewinna, poczciwe dziecko, nie widzi nic na świecie oprócz zabawy, ja jej nic nie wyperswaduję, mówię językiem starego; rzucone czasem przez ciebie słowo może dla niej być zbawienne. Graj rolę mentora...

— Kochany panie szambelanie, nadto mi przypisujesz mocy i odwagi — odezwał się, śmiejąc Grabski. — Kuzynka zowie mnie pedantem, nie rada słucha, moje słowo nie wielką u niej mieć będzie wagę. Mam dla niej braterskie przywiązanie, gotów jestem na wszystko... ale, cóż ja tu znaczę?..

— Gdzież ty bywasz? — spytał po namyśle szambelan.

— Ja? wszędzie i nigdzie, — rzekł Grabski z uśmiechem — jestem tu czemś tak mało znaczącem, że się wszędzie mogę wcisnąć niepostrzeżony i wyjść niewidziany. Czynnie i stale nie należę do żadnego kółka, stoję na boku, jestem spektatorem.

— No, ale przecież gdzieś bywasz? — spytał Burzymowski.

— Domy, w których bywam częściej, — odparł Grabski — są nieliczne. Bywam u pani starościny krakowskiej, u kasztelanowej połanieckiej, u Chreptowicza, Czackiego, Sołtyków, nareszcie i w Skierniewicach.

Wszystko to niebawiące się, niezabawne i ciche.

— A... Pod blachą? — wyjąknął Burzymowski z ciężkiem westchnieniem — Pod blachą?

— Cóżbym ja tam robił? Do teatru się amatorskiego nie przydam, i do niego aż nadto już kandydatów, dowcipny nie jestem, kobietom służyć nie umiem.

— Znasz przecie księcia Józefa, jako dawny podkomendny jego?

— Tak jest, — rzekł Grabski — ale go tylko zdala widuję. Otoczony jest obcymi lub takimi ludźmi, z którymi ja nie mam nic wspólnego. Mniemam, że wszystko co czyni, potrzebnem mu jest tylko dla zamaskowania się, do przekonania Prusaków, że o szabli zapomniał, że żadnych już nie żywi nadziei i zamiarów nie ma... ale... właśnie dlatego ja mu teraz niepotrzebny.

— Mów otwarcie, co się z nim teraz stało? — odezwał się szambelan — sfrancuział, słyszę!

— Zawsze był więcej niż napół Francuzem, — rzekł Grabski — czemu nie winien, bo go tak matka cudzoziemka wychowała. Nie przeszkadzało mu to być mężnym wodzem i szlachetnym człowiekiem. Był zawsze płochem chwilami dziecięciem wielkiego świata, ale pod tą płochością serce mieszkało złote. I dziś go sądzić surowo nie należy, jestem przekonany, że gra doskonale głęboko obmyślaną komedję, której ostatni akt — tragiczny może, skończy się wielkim Europy i naszym oklaskiem! Czekajmy!

Spojrzał na mówiącego Burzymowski, jakby go nie mógł lub nie chciał zrozumieć — zamilkli, Sylwja, która z drugiego pokoju coraz cichszą słyszała, jakby dogorywającą rozmowę, weszła teraz znowu, prowadząc z sobą panią Czeżewską, która pozbywszy się już Fran-

cuzki, powitała gościa bardzo zimno i kwaśno. Widać było, że u niej łask nie miał.

— Pojutrze, — odezwała się, korzystając z milczenia pani wojska — mamy teatr *de Société*, na którym być musimy. Niemało będzie z tualetą kłopotu, pierwszy krok na świat jest niezmiernej wagi.

— A! a! już asińdźka wiesz o tym teatrze! — zawołał Burzymowski smutnie.

— No? a pan? — odparła Czeżewska.

— A! i ja już o nim wiedziałem! — westchnął, trąc łysinę, stary.

— Pan na nim także zapewne będziesz? — z przekąsem zwracając się ku Grabskiemu, odezwała wojska.

— Będę niezawodnie! — krótko odparł Grabski.

Nie zdawała się tej repliki spodziewać Czeżewska, zacięła usta i zmilczała.

Sylwja wesoło zbliżyła się do kuzyna.

— Bardzo się z tego cieszę, — rzekła — bo jeśli mi zabraknie *cicerone*, któryby mi pokazywać umiał wszystkie piękne panie i panów, zamawiam sobie pana Mieczysława i umęczę go, zapowiadam!

— Będę w odwodzie na wszelki wypadek — odpowiedział Grabski z ukłonem, chociaż jestem najmocniej przekonany, że piękna kuzynka mieć takich będzie tylko *l'embarras du choix*.

— Nie znam nikogo!

— Ale wszyscy zapragną cię poznać — odparł Micio.

— Pan w Warszawie, jak widzę, nauczyłeś się być galantem — dołożyła złośliwie zawsze pani wojska.

— Widzi pani, żem tu czasu nie stracił! — rzekł Grabski, uśmiechając się.

Sylwja ciągle z wielką uwagą przypatrywała się kuzynowi.

— Wszak to modny sposób noszenia włosów, *à la Titus*? — odezwała się. — I to dowodzi, żeś pan skorzystał z pobytu w stolicy, posłusznie się zastosowując do rozkazów królowej mody.

— Miałżem się stać śmiesznym i dziwacznym,

chodząc inaczej niż drudzy? — odparł Grabski. — Zwracałbym oczy na siebie, a jest to dla mnie jedna z najprzykrzejszych w świecie rzeczy.

Czeżewska ruszyła ramionami, Sylwja zamilkła.

— Ten wasz Tytus piękne nazwisko, niema co mówić, ale to nieciekawie wygląda — dodał Burzymowski, — już ja mój podgolony łeb wolę.

Grabski śmiał się, oczy jego chodziły ciągle za piękną kuzynką, która też często nań badające rzucała spojrzenia. Obcy człowiek, któryby ich widział przy sobie, mógł się domyśleć łatwo ze strony Grabskiego utajonego dla Sylwji sentymentu, z jej strony świadomości tego uczucia i prawie zupełnej na nie obojętności.

Stosunki blisko trzydziestoletniego pana Mieczysława z daleko od niego młodszą kuzynką sięgały już lat dawnych, on znał ją i pamiętał prześlicznem dziecięciem. W oczach jego wyrosła na ten czarodziejski kwiatek, który się teraz rozwijał w pełnym blasku. Niepodobna prawie było, ciągle ją widując, nie rozkochać się w niej szalenie; zwłaszcza, że młodziuchna istota, z instynktem zalotności prawdziwie niewieścim, chciała i nakazywała się kochać.

Lecz między tą leciuchną ptaszyną, stworzoną do swobodnego lotu, a panem Mieczysławem, ciężko kroczącym po drodze żywota, niezmierna była charakterów i usposobień różnica, a temperament wiódł na te wonne życia manowce, których on znał zdradliwość i zasadzki. Micio był nad swój wiek poważnym człowiekiem, ona właściwą swym latom miała życia ciekawość i jego pragnienie.

Bardzo młody, zaledwie osiemnastoletni w czasie sejmu czteroletniego Grabski zaciągnął się po nim do wojska, w 1792 r. odbył kampanję z księciem Józefem, a epoka ta właśnie, w której pierwsze odebrał wrażenia, najsilniejsze po sobie zostawiające znamiona — epoka ta uczyniła go z młodzieńca mężczyzną, dała mu dojrzałość zawczesną.

Kochając Sylwję, Grabski napróżno usiłował ją do siebie uczynić podobną; skierować jej umysł do zapa-

trywania się na świat i jego obowiązki z poważniejszego stanowiska.

Sylwja, mając dlań trochę przyjaźni i poszanowania, przez wdzięczność za to kochanie chciała go odmłodzić i roztrzpiotać.

Nawracanie wzajemne po wielu próbach okazało się wkońcu zupełnie bezskutecznem.

Pozostali więc z sobą w tej jakiejś ciągłej serdecznej wojnie, która nie przeszkadzała im być najlepszymi przyjaciółmi, choć się ciągle z sobą ucierali.

Micio miał nadzieję, że ją wiek odmieni, kochał się w niej zapamiętale i uparcie, a że wpływ Czeżewskiej zdawał mu się z pierwszych względów szkodliwym, że przeciw niemu otwarcie walczył, miał żato poprzysiężoną nienawiść pani wojskiej, która się z tem nie kryła, że cierpieć go nie mogła.

Obie z Sylwją nazywały go nieznośnym pedantem, ale kuzynka przyznawała mu dobre, poczciwe serce, a Czeżewska utrzymywała, że w pożyciu byłby z niego najstraszniejszy tyran, jakiego ziemia nosiła.

Burzymowski kochał go jakim był, nie rozmyślając nad nim, miał dlań słabość, miał w nim ufność — któż wie? przyjąłby go był może za zięcia, chociaż podobno wyżej sięgał życzeniami dla Sylwji, a nazwisko Grabskiego szczególniej, z powodu znanego od wieków przysłowia, zdawało mu się śmiesznem.

Przywiązany był do niego pomimo to, jak do własnego dziecięcia — ale Sylwja, Sylwja była dlań nietylko dziecięciem ukochanem, była bóstwem i królową.

Towarzystwo całe jeszcze zebrane było w małym saloniku na górze, a rozmowa toczyła się znowu o niezliczonych szczegółach i formach życia miejskiego, których wszyscy byli zarówno ciekawi, gdy drzwi od drugiego pokoju otworzyły się jakoś ostrożnie, do połowy, szept dał się słyszeć niewyraźny a przyspieszony i pani wojska wybiegła z żywością zwykłej jej powadze nie odpowiadającą, powracając natychmiast zarumieniona, rozpromieniona, triumfująca, z bukietem

w ręku przepysznym, z najrzadszych w tej porze i najpiękniejszych kwiatów złożonym, związanym białą wstęgą atłasową.

Z ukłonem niezmiernie wymuszonym, teatralnym, śmiejąc się nawpół złośliwie, pół radośnie, podała go pannie szambelanównie, prawie przestraszonej.

Na wstędze stał napis:

Hommage à la belle inconnue.

Szambelan podbiegł zdyszany.

— Cóż to jest? skąd? — krzyknął.

— Służący jakiś, dżokej, — odpowiedziała patetycznie wojska — młody, ładny chłopak, bardzo elegancko ubrany, znać z pańskiego domu, stanął przed chwilą u drzwi kamienicy i oddał go służącej z poleceniem wręczenia pięknej pannie mieszkającej na pierwszem piętrze.

Zarumieniona, w płomieniach cała, pomieszana niezmiernie szambelanówna zakrzyknęła.

— Ale, ciociu! to nie może być dla mnie!

— Tak jest, na mój honor, dla ciebie, — śmiejąc się, uszczęśliwiona powtarzała Czeżewska — nie dla kogo, tylko dla ciebie. Słowo daję. Sylwja już jakąś ogromną zrobiła konkietę.

— A niechże jasne pioruny zatrzasną! — z desperacji ręce łamiąc, odparł szambelan.

Grabski stał zagryzając usta; Sylwja nie wiedziała co począć, Czeżewska ciągle przed nią trzymając bukiet, wciskała jej go w ręce.

— Weźże! prześliczny jest! Proszę cię dumną z tego być powinnaś i szczęśliwą — wołała wojska — przecież go na ulicę nie wyrzucisz!

Burzymowski nie mógł gniewu rosnącego pohamować.

— Gdybym tego chłystka, impertynenta, błazna jakiegoś, mosanie, co mi tu śmiał z bukietem tym wystąpić, dostał w moje ręce!! miałby się z pyszna! popamiętałby ruski miesiąc!

— Ale któż to być może? przecież nie wychodziłam krokiem! — mruczała Sylwja.

— Dosyć było, żebyś się w oknie sprezentowała! — odparł Burzymowski — nie trzeba było się popisywać z twarzyczką!

Dżokej oddał bukiet? — zapytał Grabski Czeżewskiej.

— Dżokej! dżokej! służąca powiada, że był prześlicznie ubrany, w czapeczce aksamitnej, — przyjechał na bardzo pięknym gniadym koniu — spiesznie odparła wojska.

Wszyscy patrzyli na zadumanego Grabskiego.

— Wiadomo wszystkim, — począł zwolna Micio — że najpiękniejszych dżokejów ma książę Józef, a wszystkie konie stajni jego są gniade, bo to maść ulubiona.

Spojrzał na płonącą Sylwję, której twarzyczka wstydem i radością pałała.

Burzymowski stał przybity, Czeżewska tymczasem wąchała kwiaty, lubowała się niemi i trzymała je przed Sylwją, która jeszcze dotknąć ich nie śmiała, choć widać było, że bardzo je pragnęła pochwycić, gdyby nie ojciec!

— Otóż to ta wasza śliczna Warszawka! — gderał Burzymowski — ta wasza galanterja paryska. Nieznajomy ktoś, djabli go wiedzą kto, śmie, mości dobrodzieju, obywatelskiej córce narzucać się z prezentami! *Hommage!* dałbym ja mu *hommage!* po bokach! trutniowi!

— Ale cóż to jest złego w tym hołdzie admiracji złożonym u stóp piękności — opryskliwie odezwała się Czeżewska — nie potrzeba sobie robić jakichś wizyj z niczego? któż zaręczy, że to przysłał mężczyzna?

Proszę szambelana, na ołtarzach stawia się bukiety, a Pan Bóg się nie gniewa!

Grabski milczący, z rękami w tył założonemi po salce się przechodził.

— Ale! ale! co asińdźka wygadujesz! mów sobie komu chcesz, a nie mnie, że to przysłał nie mężczyzna! — zawołał szambelan gorączkowo. — Właśnieby kobieta kobiecie pięknej bukiet posyłała! każda z was rywalkę gotowaby struć lub w łyżce wody utopić. Potrze-

ba koniecznie dojść sprawcę tej zuchwałej impertynencji, a potem zobaczymy, co zrobić wypadnie; to moja rzecz, gdy o Sylwję chodzi, u mnie żartów niema.

To mówiąc, zbliżył się Burzymowski i raz jeszcze napis sylabizując, smutnie głową potrząsał. W najprzykrzejszem położeniu była Sylwja, nie śmiejąc się odezwać, nie odważając dotknąć ślicznego bukietu, choć w duszy była nim dumną i uszczęśliwioną. Główka jej się już tem paliła, co mówił Grabski, że nie mógł być od nikogo innego tylko od księcia Józefa.

Wtem wojska na palcach zbliżyła się do jej ucha, zakryła chudą ręką i szepnęła cichutko.

— Bukiet to nic, ale przecie wiadomo, że kwiaty mają znaczenie. — *Le langage des fleurs* daje się jak bilet czytać. — Wytłumaczę ci każdy z tych kwiatków: Uwielbienie — miłość gorąca, — pragnienie zbliżenia się — wszystko to stoi tu wyraźnie, jasno jakby czarno na białem napisane było. Powiadam ci, na mój honor, niema najmniejszej wątpliwości.

Bojąc się, aby ojciec nie posłyszał, co wojska mówiła, Sylwja ścisnęła ją za rękę.

— Cicho, zmiłuj się, — szepnęła — cicho, potem, potem!

Szambelan namyśliwszy się, zbliżał się właśnie do wojskiej.

— Proszę mi dać ten bukiet! — wołał — precz mi z tem na śmietnisko! precz na środek ulicy!

Czeżewska rzuciła się gwałtownie, zasłaniając bukiet zagrożony, — spojrzała nań oczyma zaiskrzonemi.

— Ale nie czyńże się pan śmiesznym, szambelanie! — krzyknęła oburzona. — Bukiet! cóż znaczy przysłany bukiet? przecież to przyjęte na całym świecie, że się posyła kwiaty znajomym i nieznajomym! Pan byś nadał temu większe znaczenie, niż ma w istocie, narażając siebie i nas na śmiech! na drwiny! Piękna rzecz... Pruderja taka parafjańska! Ja panu tego bukietu nie dam! słowo honoru! nie dam!

— Mój tatku! — szepnęła Sylwja, — cóż te śliczne

kwiatki zawiniły; wojska ma słuszność, proszę ojca! to nie ma żadnego znaczenia!

I zasłoniła kwiaty sobą od napaści ojca, który rękę po nie wyciągał. Grabski, stojący na boku, wcale się do tej sprawy mieszać nie chciał.

— Kuzynie! Miciu! stańże ty w obronie niewinnego bukietu! — odezwała się do niego Sylwja.

— Naprawdę, panie szambelanie, — wtrącił Grabski posłusznie — rzecz cała niewarta, aby ją tak brać na serjo! Najlepiej ładny bukiet postawić gdzieś w kącie i zapomnieć o tem. Rzecz cała niewarta, abyś się nią tak burzył!

— Ślicznie! i fakt spełniony mam przyjąć, milczeniem akceptować! — zakrzyknął Burzymowski — aby się nazywało, że moja córka od nieznajomych trutniów, pierwszego lepszego szaławiły przyjmuje prezenta i homagja! Jutro jej gotowi przysłać co innego! to mi się podoba!

Grabski przystąpił do zburzonego ciągle Burzymowskiego i zcicha począł go łagodzić i uspokajać. Kobiety usunęły się na bok, a Czeżewska zręcznie skorzystawszy z chwili, cofnęła się z bukietem do drugiego pokoju, unosząc drogą pamiątkę, aby nie padła ofiarą ojcowskiego gniewu.

Szambelan dał się przecie ułagodzić i uspokoił nieco, a przynajmniej zamilkł. Sylwja przystąpiła tuż do niego, podpieszczając trochę, co zawsze skutkowało.

Nierychło jednak rozgniewany stary ochłonął, i gdy Grabski zaczął się żegnać, poszedł razem z nim na dół, zmuszając, aby wstąpił jeszcze do jego mieszkania. Sylwja wejrzeniem niemal wdzięcznem pożegnała kuzyna,, przypominając mu, że mieć będzie poleceń mnóstwo i że się go codziennie spodziewa widywać na swej służbie. Wiedziała dobrze filutka, że niczem mu więcej nad ten rozkaz przyjemności uczynić nie może.

Na dół zszedłszy strapiony szambelan z rozgniewanego, jakim był na górze, stał się rozżalonym i nad

wszelki wyraz zbiedzonym. Łzy mu się w oczach kręciły.

— Otóż patrz, Miciu, — rzekł płaczliwie — patrz, w co my tu przez moją ślamazarność wpadliśmy! Jeszcze dwadzieścia cztery godziny nie upłynęły od przybycia, a już awantura! Awantura! Mówcie sobie, co chcecie! taki to jest awantura! Sylwji jak nic, bo to dziecko, może się głowina zawrócić, a potem!!

Nie dokończył i jęknął.

— Niechno się pan uspokoi, a tak tego do serca nie bierze — odezwał się Grabski. — Sługom trzeba zakazać, aby podobnych, a wogóle żadnych podarków i posyłek od nieznajomych osób nie przyjmowały, nic zresztą o tem nie mówić i nie skarżyć się, nie rozgadywać. — Rzecz istotnie małej wagi!

— Nie opuszczaj mnie, przyjacielu! — rzucając mu się w objęcia z tragicznym wyrazem boleści zawołał stary. — W tobie nadzieja moja! Ja ufam ci! nie opuszczaj!

Rozstali się nareszcie, a Burzymowski padając na krzesło tak miał serce uciśnięte, iż nie spostrzegł nawet tego, co mu niejaką mogło przynieść pociechę.

Naprzeciwko niego w miejscu wydatnem Zybek postawił był safjanowe buty, które majster kunsztu szewckiego prędzej przyniósł niż obiecywał, wiedząc, że pilno ich potrzebowano. Nierychło jakoś szambelan, wodząc po pokoju roztargnionemi oczyma, zobaczył je i zaraz mu się na sercu lżej zrobiło.

Był już pewnym, że nazajutrz do kamienicy misjonarskiej pójść będzie mógł z rewerencją do kasztelanowej.

Ufał w to, że później Sylwję tam wprowadzić potrafi, aby pod opieką czcigodnej matrony mogła być bezpieczną od zasadzek, których się tak lękał.

VI.

Dni powszednich salon Pod blachą wcale nie miał wesołej fizjognomji. Obyczaje gospodyni (wspomnianej pani de Vauban), słabe jej zdrowie, wypieszczenie, tony, jakie sobie dodawała wszystkich zmuszając, aby się do dziwactw jej stosowali i kaprysom ulegali, nadawały mu cechę właściwą, a dość oryginalną.

Klasztorna cisza panowała przez wieczór cały. Nikt się tu głośniej odezwać, ani rozśmiać nie ośmielił, nie znoszono butów skrzypiących, ani śmielszego chodu, któryby zatętnił na posadzce. Światła wszystkie stały zwykle umbrelkami przyćmione, okna szczelnie zatulały firanki, drzwi w obawie przeciągów zamykano starannie, a że przytem lękano się stuknąć niemi, każda taka operacja odbywała się bardzo powolnie i z niezmiernemi ostrożnościami.

Znajdowali się goście w salonie pani de Vauban, jak w pokoju śmiertelnie chorego człowieka, dla którego najmniejszy głos, najlżejsze niespodziane wrażenie zagrażać mogło niebezpieczeństwem. Słudzy, domownicy, sam książę przyzwyczajeni byli do tych wymagań delikatnej istoty, a grono osób większego świata, gdzie indziej nawykłe do swobody i hałaśliwego ruchu, tu zachowywało się z prawdziwie zdumiewającą uległością dla wydelikaconej, kapryśnej Francuzki.

Dnia tego w salonie znajdowały się tylko trzy piękne panie i ona...

Słusznego wzrostu, pięknej jeszcze postawy, ruchów dosyć wdzięcznych, pani de Vauban mogła znęcić i zająć sobą chyba jako nierozwikłana zagadka. Na twarzyczce mocno przywiędłej, która nigdy klasycznie piękną nie była, ale mieć mogła wiele fizjognomji i życia — widać było znużenie, rozpieszczenie się i doskonale nadaną pewną dystynkcję sztuczną, niepozbawioną przesady.

Grała wielką damę z talentem niepospolitym i olbrzymią wiarą w siebie; chciała być istotą eteryczną. Jak prawie zawsze na świecie, silna wola i wytrwałość

zapewniły jej zwycięstwo nad wszystkiem, co w sferę jej wchodziło.

Potrzeba tylko uwierzyć w siebie, a ludzie skłonią głowy posłusznie...

Nie mając ani piękności, ani nawet szczególnego wdzięku, który ją często zastąpić umie, tą tylko przybraną dystynkcją i elegancją wyszukaną zastępowała, co jej brakło — urodzenie, imię, fortunę, znaczenie, wszystkie siły i środki, które innym często do niczego nie służą, bo ich użyć nie umieją. Ona z tą odrobinką ideału, jaką jej niegdyś wydzieliła natura, udając niby wyższą istotę, potrafiła się za nią przedać i zostać powszechnie uznaną za godną sfer najwybrańszych.

Nie mając zbyt wybitnego pozoru komedjantki, była to skończona artystka w swoim rodzaju.

Zamiłowanie we francuskim tonie, w manierach paryskich, we wszystkich właściwościach wyższego towarzystwa europejskiego czyniło polskie panie wielbicielkami tej kobiety, która doskonale słabość ich wyzyskiwać umiała. Raz podbiwszy kilka wpływowych a słabych kobiet, w chwilach znudzenia umiejąc z pewną oryginalnością rozbudzić wyżytego księcia, zyskała pani de Vauban stanowisko odrębne, dziwne, którego dwuznaczności widzieć i rozumieć nie chciała. Świat nie miał nic do zarzucenia, bo go zuchwalstwo tej osobliwszej istoty, naiwny jej cynizm i obojętność na opinję — rozbrajały.

Zostawszy raz królową tego podbitego w chwili nieopatrzności świata, nie dopuszczała się już zdetronizować. Było to prawdziwe arcydzieło polityki i zręczności.

Ks. Józef, jeżeli kiedy był nią zajęty, to na krótko, rozczarowany i ostygły oddawna znosił już tylko tę towarzyszkę, która jego obojętności widzieć nie chciała. Patrzała na wszystko przez szpary, byle móc dłużej grać swą rolę królowej.

Im słabszą dla niej okazała się społeczność polska, tem ona stawała się względem niej zuchwalszą i więcej wymagającą, ufając, że nikt nie będzie mógł ani

śmiał podnieść przeciw niej buntu. Książę Józef dla miłego spokoju tolerował te dziwactwa, udając, że ich nie widzi i nie rozumie, własną nawet rodzinę tej improwizowanej władczyni poświęcając.

Ufać sobie i chcieć silnie! mieć wolę i wytrwałość, cóż to za olbrzymie dźwignie! Vauban nie miała nic nad nie i — dziwną słabość a ślepotę dobrowolną tych, co ją otaczali.

W czasie, gdy się to opowiadanie rozpoczyna, zajmowała w społeczeństwie stanowisko przywłaszczone, dziwne, wyjątkowe, jakie tylko w Polsce można było nieprawnie, niezasłużenie, a tak małym kosztem pozyskać.

Być bardzo może, iż położenie księcia Józefa zmuszało go do odwrócenia uwagi od siebie, do wystawienia się światu jak najpłochszym, jak najlekkomyślniejszym człowiekiem, nie mającym w życiu innego celu, nad zabawę, rozrywkę i salonowe intrygi. Pani de Vauban do odegrania tej roli, do zasłonięcia go była mu potrzebna. Poważniejszy, wiodąc życie ustronne, pracowite, książę byłby się Prusakom stał podejrzanym, mógłby się obawiać wygnania lub niewygodnego dla siebie nadzoru.

Życie jakie prowadził umyślnie, ostentacyjnie, uspokajało i kazało się w nim nie lękać już zniewieściałego człowieka. Chcąc się do spodziewanych lepszych zachować czasów, książę Józef musiał przybrać ten pozór i maskę, w jakiej go widzimy, aż do chwili — przebudzenia.

W chwili, gdy czytelnika do salonu Pod blachą wprowadzamy, był on ogrzany nie do wytrzymania, gdyż jak światła i hałasu tak chłodu owa istota delikatna znosić nie mogła. Było w nim prawie pusto. Około okrągłego stolika, na którym widać było dwie czy trzy listy składek, gdyż gospodyni zawsze na jakieś cele dobroczynne zbierała — kilka robót kobiecych zaczętych i parę książek francuskich, siedziały trzy panie, składające poufałe towarzystwo, a raczej dwór gospodyni księcia Józefa.

Wszystkie trzy jaśniały wdziękami, ćmiły się wzajem blaskiem swej piękności, a bardziej jeszcze zwiędłą, schorzałą, zżółkłą Francuzkę. Ufała ona tak tajemniczemu jakiemuś swemu wdziękowi, dla profanów niedojrzanemu, iż wcale się zdawała nie obawiać porównania, a o płochego swego Pepi nie była wcale zazdrosną. Węzeł, który ją z nim łączył, był jakiejś zagadkowej natury, idealnej, niezmysłowej, gdyż pani de Vauban na miłostki księcia Józefa uśmiechała się tylko i wcale im nie stawała na drodze. Wyższą chciał się okazać nad gminną zazdrość i może tem też utrzymywała się na swem stanowisku.

Trzy piękne panie, siedzące u stolika, rozmawiały i śmiały się pocichu: Vauban słuszna, wysmukła, powolnym krokiem przesuwała się po saloniku, czasem zatrzymując się przy nich, rzucając słowo jak wyrocznię, to znów błądząc milcząca z myślami swemi.

Na węzełku batystowej chusteczki miała krople jakieś, które wąchała, a w kieszonce bombonierkę, z której kiedy niekiedy dobywała i niosła do ust pastylki. Zdala miała w istocie fizjognomję wielkiej pani, ruchy dystyngowane, powagę nieco komedjancką. Pilnie się przypatrzywszy, można było dostrzec rąk pielęgnowanych troskliwie, ale wcale nie arystokratycznych, a z pod maski rozpieszczonej faworyty przeglądał typ ludowy francuski. Oczy, choć przyćmione powiekami, wejrzenie miały bystre i przenikające. Domyślać się było można, iż ta roztkliwiona i rozmiękła twarzyczka, na której najmniejszego śladu szczerego uczucia nie było, w której panował chłód, niegdyś musiała umieć uśmiechać się zalotnie. Dziś już tej stawki do gry nie potrzebowała; udawała królową i inni jej zalecać się i dworować musieli,

Trzy panie były jakby dobranemi trzema typami niewieściemi tak, aby oko spoczywające na nich nic już do pożądania nie miało.

Była to cudna wiązanka, której każda barwa drugiej obok do podniesienia jej potęgi i blasku służyła.

Pani Józefowa Wielhorska (Dembińska z domu)

była najwybitniejszą między trzema, niemal włoska piękność z pałającemi oczyma czarnemi, z bujnym włosem kruczym, z płcią świeżą i delikatną, owalem twarzy rafaelowskim — miała więcej coś niż pospolite włoskie piękności, których zmysłowy wdzięk każe zapomnieć o wszystkiem, czego im braknie. W czarnych jej oczach płonęła iskra inteligencji żywej, dowcip ostry, pojęcie szybkie. Posąg ten cudny miał w sobie ducha, który promieniał przez wpół przezroczystą jego powłokę. Piękność jej była majestatyczna, uderzająca, ale zarazem budziła obawę siłą, jaką zdradzała.

Choć naówczas sentymentalność była w modzie, pani Wielhorska wcale się nie siliła na nadanie sobie tej cechy; śmiały się śliczne jej usta różowe, iskrzyły oczy, cała twarzyczka jaśniała życia weselem i do życia ochotą.

Widać w niej było, że wolała na nie spoglądać ze strony jasnej niż tragicznej, i wyśmiewać się z niego raczej niż płakać. Nawet spojrzenie na przyjaciółkę można było posądzać o odrobinę politowania i szyderstwa. W towarzystwach lękano się pani Józefowej, chociaż złośliwą nie była, ale Bóg ją stworzył tak, że widziała zawsze naprzód słabe strony, chwytała ułomności i nie mogła się z nich nie uśmiechnąć.

Obok niej siedząca pani Stasiowa Potocka, Sołłohubówna z domu, jak tamta za rzymiankę, uchodzić mogła za grecką kameę, tak cała jej postać od stóp do głowy była regularnie, klasycznie, nieposzlakowanie piękną.

Miała też chłód i powagę greckiego posągu, który zbytniego uczucia i namiętności się strzeże, aby ból lub śmiech nie nadwerężył spokojnej harmonji linij jego, nieśmiertelnie pięknych w swej prostocie.

Piękność to była mniej przemawiająca, a jednak sympatyczniejsza, bardziej niewieścia, skupiona w sobie, nie wybiegająca okiem i duszą poza szranki rodziny i kółka, w którem żyła.

Uśmiech był wdzięczny, ruchy naturalnie i niewymuszenie dystyngowane; słowem była to piękność bez

skazy, choć — tego ducha rozbudzonego, jakim oczy Wielhorskiej promieniały, nie miała w sobie. Rzekłbyś, że mieć go mogła a nie chciała, że jej dosyć było być tak sobie naturalnie, poprostu, tylko jak anioł śliczną. Mogłoż najdowcipniejsze słowo wymowniejszem być nad jej uśmiech i spojrzenie?

Obok tych dwu bogiń trzecia, choć wiekiem im rówieśnica, wydawała się niby dzieweczką, niby w sukienkę przybranem incognito, dorosłym amorkiem.

Była maleńka, biała, pulchna, złotowłosa, ze ślicznemi oczyma niebieskiemi, podobna do kwiatka, do cukierka, do czegoś milutkiego, słodkiego, łagodnego, smutnego... Wdziękowi tej twarzyczki, trochę nadąsanej, której równie łatwo było o śmiech jak o łzy — mało kto się mógł oprzeć. Typ ten blondynki napozór powietrznej, słabej, wiotkiej, z mgły i promieni księżyca ulepionej, zamykał w sobie najfantastyczniejszą istotę do kochania stworzoną, potrzebującą kochania jak powietrza, żyjącą tylko miłostkami, jak kanarki cukrem. Tego, co się — miłością nazywa, nie znał wcale wiek XVIII.

Piękna pani Cichocka była skazaną na szukanie prawdziwego uczucia nadaremnie. Urocza to była istota, którą szczególną opieką i przyjaźnią najczulszą zaszczycała pani de Vauban. Nie mogąc się nawet obejść bez niej na chwilę, gościnność jej ofiarowała Pod blachą.

Z liczniejszego codziennego towarzystwa tylko trzy te piękne panie same pozostały i reszta gości powszednich zajęta była przygotowaniami do jutrzejszego teatru, w którym uczestniczyć miała.

Książę Józef także się jeszcze nie ukazał w salonie, a zapytany o niego kamerdyner oświadczył pocichu, dyskretnie, że miał poufałych gości u siebie.

Rozmowa płynęła swobodnie o sprawach pospolitych, jedynych jakie świat ówczesny zajmowały. Mówiono, kto się w kim i jak kochał, kto kochać przestawał, kto miał zacząć, kto z kim się mógł ożenić, albo rozwieść.

Właśnie piękna owa blondynka, pani Cichocka, czekała na rozwiązanie swych ślubów, w nadziei zawarcia nowych, do których serce jej wzdychało. Mówiono pocichu o dawniejszych zabiegach Kalinowskiego około Protówny Potockiej, o wychowanicy Stanisława Małachowskiego księżniczce Radziwiłłównie, którą dziwacznie a rozmaicie swatano, o bliskiem ożenieniu Nakwaskiego i t. p. Z trochą złośliwości odzywano się o domach, które w związku z Blachą nie były i nie hołdowały pani de Vauban, wyśmiewano je ze staroświeckich szorstkości, kontuszów, mowy i obyczaju. Wszystko to płynęło lekko, dowcipnie, potrącając niby skrzydłami motyla o ludzi, wypadki i serca.

Pani Wielhorska opowiadała coś pani Stasiowej pocichu, śmiały się we dwie zbyt uszczęśliwione, by ich wesołość roztrzpiotana nie ściągnęła nareszcie uwagi zadumanej głęboko gospodyni domu.

Kilka razy wybuchy trochę głośniejsze wywołały drgnienie i przestrach z podrażnionych nerwów Francuzki. Stanęła u stolika, popatrzyła długo, znacząco na panią Wielhorską i zapytała wkońcu cicho, głosem omdlałym.

— Przypuśćcież mnie, proszę, do tej wesołej tajemnicy, która was tak szczęśliwemi czyni.

Trochę leniwo podniosła ku niej oczy pani Stasiowa, nie śpiesząc z odpowiedzią, jakby pewną była, że ją Wielhorska wyręczy.

Ta główką potrząsała.

— Tajemnica ta właśnie dla was powinna nią pozostać. — I znacząco palec położyła na ustach.

— *Vous m'agacez!* — głosem słabym odezwała się krzywiąc usteczka nie różowe królowa. — Mówcież proszę, co to być może?

— Kiedy wam mówię, że to dla waszego spokoju tajemnicą pozostać powinno! — powtórzyła wolno hrabina Józefa z przybraną powagą.

— *Bon!* I dlatego właśnie zapewne oznajmujecie mi, że straszliwa jakaś tajemnica, jak miecz Damoklesa, ma być zawieszona nad moją nieszczęśliwą głową?

Jakto trafnie! — odezwała się Vauban. — Jakto uspokajająco dla mnie.

Nie ruszając się z miejsca czekała gospodyni, aby jej rozkaz został spełniony.

— No, zmiłuj że się hrabino, — po chwili oczekiwania dodała — wyjaw mi nareszcie co to jest? Coś tak groźnego dla mnie!

Uśmiechnęła się szydersko, jakby w żadną groźbę uwierzyć jej nie było podobna.

— Groźnego!! nie! — odpowiedziała Wielhorska — ale pocóż macie wiedzieć o wszystkiem, co jak chmurka po niebie przechodzi i znika?

Zasłaniamy ci światło, aby nie raziło twych oczu, *à plus forte raison,* trzeba twym słabym nerwom i czułemu sercu innych wrażeń oszczędzić.

— Ale doprawdy, droga hrabino, zaczynasz mnie niepokoić i trwożyć! Cóżto być może? — Mów, proszę bardzo — dodała Vauban.

Pani Stasiowa podniosła ku niej oczy, lecz zdawszy na sąsiadkę całą sprawę, nie odezwała się sama.

Z szyderskiej minki pani Wielhorskiej domyśleć się było można, iż tak bardzo groźnego nic zajść nie musiało.

— *Eh bien* — pieczesz mnie na wolnym ogniu! *ma chérie* — szepleniącym głosikiem, pokaszlując, odezwała się Vauban znowu! — *De grâce!*

— Więc mówię — rozśmiała się hrabina. — Książę nasz jest znowu mocno zajęty, tak jak to on zwykł bywać, gdy coś zupełnie świeżego, nieznanego zobaczy, gdy twarzyczka nowa uderzy go jak jakieś nadzwyczajne zjawisko!

Il lui faut du nouveau, n'en fut il plus au monde!

Vauban skrzywiła usta i ruszyła obojętnie ramionami, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

— Tylko tyle?? — spytała. — A więc, trzeba mu zbliska pokazać tę czarującą twarzyczkę, to najlepszy rozczarowania go sposób... Mówcież? kto jest ta czarodziejka nieznana?

— Nikt z nas jej nie widział jeszcze — ale...

W tej chwili jakby na zawołanie uchyliły się drzwi ostrożnie i na paluszkach idący ukazał się szambelan Pokutyński wyświeżony, wyelegantowany, odmłodzony. Skłonił się niezmiernie nisko gospodyni, potem damom, i gotował się powiedzeć coś wysmażenie grzecznego na powitanie, gdy hrabina podniosła się z kanapy, i dramatycznym ruchem wskazując palcem przybywającego gościa, — odezwała się (zawsze naturalnie po francusku).

— Ten ją widział!!

— Ja? kogo? — spytał, cofając się niby przelękły a trochę zdumiony Pokutyński.

— Tę piękną pannę, o której dziś głoszą, że nas wszystkie ma zaćmić i wykierować na kopciuszki — odparła pani Wielhorska.

— Kogo? kto? co? — powtarzał coraz bardziej zakłopotany szambelan. — Nie mam daru wieszczego, nie potrafię odgadnąć.

— Kogo! *voilà!* Właśnie to najtrudniejsze, aby nazwisko jakieś szlacheckie raz słyszane przypomnieć czy odgadnąć! — śmiejąc się rzekła hrabina. — Uderz się pan w piersi, — szukaj w sumieniu grzechu i wyznaj go ze skruchą.

— Przepraszam, nic nie rozumiem, o czem, o kim mowa?

— O ślicznej, uroczej, olśniewającej, cudnej dziewicy, którą ojciec z za kordonu tu przywiózł na karnawał, którą wczoraj zaraz książę Pepi zobaczył w oknie, i tak go jednem zwycięskiem podbiła wejrzeniem, że natychmiast bukiet jej posłał.

Vauban melancholicznie dwa razy głową poruszyła.

— A! teraz jestem w domu! — odezwał się Pokutyński. — Mowa być musi o córce mojego kolegi szambelana Stanisława Kostki na Burzymowie Burzymowskiego, kawalera orderu św. Stanisława — i...

Pani Vauban zwróciła się ku niemu z rączkami niedbale założonemi jedna na drugą.

— A! opiszże mi pan tę piękność! — szepnęła.

Pokutyński głowę skłaniając, ręką zatoczył dokoła.

— W obliczu tych gwiazd porywać się na opis skromnego wiejskiego kwiatka! — zawołał, wdzięcząc się.

— Szambelanie, pan wiesz, że tu u nas w tym salonie najpierwszą cnotą jest posłuszeństwo! — rzekła hrabina z przybraną powagą.

— Panna Sylwja Burzymowska — począł Pokutyński.

— A! imię ma Sylwji! ładne imię! — cicho szepnęła jedna z pań.

— Pannę Sylwję dwa razy tylko w życiu mojem miałem szczęście zdaleka oglądać; naprawdę zaś raz chyba, bo tego, że ją przez okno patrzącą widziałem chwilkę — nie liczę.

— Ale opiszże nam ją! — domagała się Vauban.

— Lat, nie wiem, wątpię, żeby miała dwadzieścia, wygląda na osiemnaście, wzrost dosyć słuszny, oczy czarne, włosy ciemne i bujne, usta małe, nóżka zgrabna. Oto wszystko — rzekł Pokutyński, licząc jak z rejestru.

— Wiesz szambelanie, że opis doskonały do paszportu — wtrąciła Wielhorska — dla nas niewystarczający. Nie masz najmniejszego talentu do portretów! Rysopis ten mógłby doskonale służyć dla mnie i dla tysiąca innych, ale po nim tyle wiemy co — wprzódy.

— Ja zaś tem służę co mam i więcej ofiarować nie mogę, — odparł, kłaniając się szambelan. — Dodam, młodziutka, nad wiek rezolutna i śmiała.

— Majorowa ją bardzo chwali — dorzuciła Cichocka. — Zdaje mi się, że się o niej wyraziła — *que c'est l'étoffe d'une grande beauté.*

— A! — przerwała hrabina, z wymówką się zwracając do szambelana — widzisz pan, jak my kobiety wielką mamy wyższość nad wami. Pan ją tak samo widziałeś jak majorowa i pan dajesz rysopis suchy, a ona w kilku słowach doskonałą charakterystykę.

— Pani hrabino — śpiesznie odstrzelił Pokutyński. — Płci pięknej wyższość nad naszą nigdy nie poddawałem w wątpliwość, a z majorową na żadną w świe-

cie broń nie ośmieliłbym się do walki przystąpić, pewien że ona musiałaby zawsze zwyciężyć!

Ostatnie wyrazy trochę złośliwą kryły w sobie aluzję.

— Więc to jeszcze dziecko? — zapytała Vauban.

— Niemające lat dwudziestu — odpowiedział Pokutyński, — dziecko ale bardzo rozwinięte, — i wątpię, żeby się już lalką nieżywą bawić chciało, a żywy co się w jej ładne łapki dostanie — no! będzie się miał zpyszna. Za to mogę zaręczyć!

— *Dites-donc!* gdzież to te cudo będziemy mieli szczęście oglądać? — zapytała pani domu.

— Najprędzej, sądzę że jutro w teatrze — odezwał się Pokutyński. — Jakkolwiek poczciwy, bojaźliwy ojciec obawia się już puszczać w świat wielki, ku któremu panna największą ciekawością pała; choćby on ją rad od wszystkich oczu zakryć i osłonić, sądzę, że piękna panna zrobi co zechce...

— Ojciec zawojowany?—pytająco rzuciła hrabina.

— Dobry, miękki człowiek, a córka jedynaczka! — mówił Pokutyński — zresztą któż z nas nie jest, nie był, nie będzie zawojowanym przez panie?

— Tośmy słyszały już! — szepnęła Wielhorska. — *Connu!*

— Ależ cóż to są za Burzymowscy? — odezwała się Potocka. — Zdaje mi się, żem słyszała o jakiejś — szambelanowej tego czy podobnego imienia, która swojego czasu miała wielki rozgłos na świecie, uchodziła za piękną, za dowcipną — i...

Spuściła oczy nie kończąc.

— To była właśnie rodzona matka naszej heroiny— potwierdził Pokutyński i dodał, poczekawszy trochę.

— Czyż — książę mógł ją już widzieć? gdzie? jak? Zdaje mi się, że już o tem słyszałem, ale sądzę, że to niepodobieństwo.

— Siedziała w oknie, w którem i pan ją widziałeś przecie. — Twarzyczką z za szyby miała się bardzo podobać...

Szambelan ruszył ramionami.

— Czy księcia dziś nie będziemy widzieli? — zapytał, oczy podnosząc ku pani Vauban.

— Nie wiem! Ma pono jakiegoś tajemniczego gościa u siebie — obojętnie dość odparła gospodyni.

Uśmiech jej wymuszony dowodził, że to co dla drugich było tajemnicą, dla niej być nie mogło. Pokutyńskiemu nie wypadało nalegać.

Rozmowa wprędce zwróciła się ku jutrzejszemu teatrowi i ploteczkom codziennym.

Gdy się to działo w przyćmionym salonie pani de Vauban, w pokoju sypialnym księcia Józefa — dwie osoby siedziały na cichej, poufałej rozmowie.

Sypialnia to była wcale zniewieściałości nie dająca się domyślać, prawdziwie żołnierska i obozowa. Synowca królewskiego niktby w niej nie odgadł.

Urządzenie jej było nadzwyczaj proste, skromne i prawie zaniedbane. Nie mogło ono być dziełem wypadku, tkwiła w tej surowości myśl jakaś. Tam gdzie księcia widywano, był wytwornym i dbałym o elegancję, tu gdzie sobą był, gdzie oprócz zaufanych przyjaciół, nikt nie wchodził, — pozostał żołnierzem, wyczekującym hasła i stojącym na czatach... Dosyć obszerny pokój miał stół w pośrodku suknem okryty, jedną sofę przy ścianie dobrze wyszarzaną, proste łóżko żelazne burką historyczną okryte, kilka krzeseł wysiedzianych, a na ścianie parę rysunków wyobrażających bitwy i konie, trochę broni zawieszonej na kołkach bez żadnego starania o wdzięk i ozdobę.

Uderzała ta prostota umyślna, będąca w sprzeczności z życiem pańskiem, z obyczajami gdzie indziej arystokratycznemi. Bohater z pod Sabaczu był tu zawsze tylko żołnierzem, zapominającym, że miał nieszczęśliwego stryja królem.

Takich sprzeczności w życiu pięknego Pepi było mnóstwo. Nie był to jeden z tych ludzi, co się na pierwszy rzut oka poznać dają; kilku odmiennych naprzemiany pokazywało się w księciu Józefie i czyniły go nie do pojęcia coraz innym. W tych latach był on może odpoczywającym i znużonym bezczynnością daw-

nym wodzem, trudniejszym do zrozumienia i wytłumaczenia, niż kiedykolwiek.

Wszystko zdawało się dla niego obojętnem, przyjmował chłodno co go spotykało, nie dawał się niczem poruszyć bardzo. Miłostki, zabawy, konie, towarzystwo łatwe a miłe zdawały się go pochłaniać zupełnie.

Żołnierz, dowódca, obywatel kraju (za którym tak zatęsknił, iż z Wiednia, w którym mógł być jak w domu, pod pruskie panowanie powrócił) znikał w nim teraz jakby umyślnie zatarty jakimś nowym typem człowieka wyżytego napozór, nie mającego już innego celu na świecie nad wygodne przejście pozostałego drogi kawałka.

Ale kto znał bliżej księcia Pepi, począwszy od jego ukazania się młodziutkim chłopakiem w czasie kaniowskiej podróży, potem żołnierzem walecznym pod Sabaczem, walczącym z Turkami, potem wodzem rozhulanej tężyzny, co razem z nim poszła do wojska, którego on został wodzem naczelnym — bohaterem tysiąca narzucających mu się przygód miłosnych; — podkomendnym uległym jednego ze swych podwładnych (Kościuszki) — ten zwątpiłby może o rzeczywistości teraźniejszej metamorfozy i szukał jej znaczenia w jakichś rachubach na przyszłość.

Kto wie co mogła kryć ta obojętność przesadzona, to afiszowanie lekkomyślności, wyżycia, apatji?

Trzydziestokilkoletni książę Józef nie był już zgrabniutkim chłopakiem cudnej piękności rysów i postawy, któremu przyklaskiwano z zapałem, gdy czasu sejmu czteroletniego puszczał się w tany z prześliczną Julją Potocką. Rysy twarzy jego nosiły już na sobie ślady życia gorączkowego, włosy na głowie przerzedły mu znacznie, nabrał trochę ciała, ale lata nie odjęły mu jeszcze były całkiem młodości serca i ducha. Wejrzenie czasem strzelało z oczów jak błyskawica, słowo wybiegało z ust dowcipne, ostre lub serdeczne, a po chwili wracała, jakby przywdziana suknia, owa dawna apatja i płochość, z którą się chciał i lubił popisywać przed światem.

Otoczony ludźmi lekkiemi, przybierając ich ton, zupełnie z nimi stojąc narówni, czasem się wydawał zrezygnowanym człowiekiem, który cierpi i czeka, który poprostu mówiąc — przyczaja się.

W sypialni księcia dwu ich tylko siedziało. Drugim był, równego mu mniej więcej wieku, przystojny jeszcze, ale daleko mocniej niż książę wiekiem zjedzony mężczyzna lat trzydziestu kilku, wyglądający na czterdzieści z okładem, arystokratycznych, cudzoziemskich rysów twarzy. Leżał on wygodnie na sofie i trzymając długi cybuch turecki w ustach, bawił się nim nie paląc z niego.

Książę stał przy nim, patrząc nań z wyrazem czułości. Z twarzy widać było, że zapomniawszy o wszelkich względach zwykle go do grania jakiejś roli zmuszających, przed tym przyjacielem chciał być samym sobą.

W obejściu się ich poznać było można najserdeczniejszych druhów, rozmowa płynęła tak ożywiona, poufna, serdeczna, jakby oba na nią długo z upragnieniem czekali.

Był to młody książę Ludwik de Ligne, niegdyś towarzysz broni, przyjaciel młodości, jedyny człowiek, dla którego książę nie miał tajemnic.

Dwie te twarze zarówno arystokratyczne, równie piękne, jednoletnie, nastręczały się do porównania. Wyszłoby ono na korzyść Pepi. Syn najdowcipniejszego z ludzi XVIII w. nie miał wielkich i świetnych ojca przymiotów, twarz jego nie mówiła nic oprócz że żył wiele, gorączkowo, cierpiał i wkońcu przestał już dbać bardzo o to, co go czekać mogło.

Na twarzy gospodarza było coś więcej jeszcze, — była jakby obietnica, że z pod popiołów iskra może wytrysnąć, że ten umarły dziś potrafi bohaterom zmartwychwstać.

Ks. Ludwik de Ligne był tem, co Francuzi zowią *un homme fini* — on sam już się takim uznawał.

Najsmutniejsza to rola w świecie, bo wśród ludzi niepotrzebna nikomu, a ciężka dla tego co ją nosi.

— Słuchaj, Pepi — szeptał niedbale na kanapie leżący książę, który do Warszawy przybył incognito i parę dni tylko na osobności miał z dawnym spędzić przyjacielem. — A! ty! ty jeszcze jesteś nieskończenie młodszym ode mnie! Jesteśmy prawie rówieśnikami, zdaje mi się, że życie prowadziliśmy prawie jedno, w tobie zostały na przyszłość zapasy, a ja — jestem wyczerpany zupełnie! Do kropli! — dodał wzdychając książę Ludwik.

— Tego sobie nigdy mówić nie trzeba! — odparł Pepi cicho...

— A cóż to pomoże?

— Powinno się do ostatka sił próbować — niespodziane się znaleźć mogą!

— Niestety! Im więcejbym się wysilał na siłę, tembym mniej znalazł jej w sobie — rzekł de Ligne. — Nie! ty, ty jesteś istotą uprzywilejowaną, stokroć szczęśliwszą ode mnie!

We wszystkiem! — dorzucił po chwili.

— Naprzykład? — zapytał Pepi.

— A, naprzód już, żeś miał rozum nigdy się nie żenić! Znasz moje losy, — ciągnął książę — pamiętasz ożenienie. Umyślnie sobie wybrałem kobietę nie piękną, aby jej wierności dla mnie być pewniejszym. Brak wdzięków nie uchował mnie od nieuchronnego losu wszystkich mężów [1]). Toby mnie zresztą nie obchodziło tak bardzo, ale uwolnić się od żony nierównie mi trudniej przyszło niż się ożenić. Zjadły mnie kłopoty, gniewy...

Książę Józef się uśmiechał.

— *Tempi passati!* — rzekł. — Nie trzeba już starych blizn rozdrapywać. Tyle jest ślicznych kobiet na świecie, które ci za twoją brzydką i niewierną zapłacą.

— Musztarda po obiedzie! — rozśmiał się smutnie

---

[1]) Własne wyrazy z listu księcia de Ligne do księcia Józefa, który mieliśmy w ręku. Żonaty był z księżniczką Masalską. *P. A.*

książę Ludwik — nie mają już dla mnie kobiety najmniejszego uroku.

— A! to niepodobna — przerwał wesoło książę Józef. — Kobieta może wkońcu znużyć, ale kobiety nigdy. Ja kocham się całe życie i to mnie na świecie trzyma. — Gdy nie będę mógł zająć się żadną, choćby na dwa dni — każę się pochować!

— Jesteś niepoprawny, — odezwał się de Ligne — nienasycony. Zdaje mi się, żeś już powinien był wszystkie niewieście typy wyczerpać, wszystkie rodzaje piękności przekochać, że dla ciebie nic nowego nie powinno być na świecie.

— A! *Louis!* Co pleciesz! każda kobieta jest zagadką nową! — przerwał Pepi. — Czy może być co ciekawszego nad te sfinksy?

— Które — nieodgadnięte pożerają — dodał de Ligne.

— Tych co się im zjeść dają! — odparł Pepi.

— Nie — *cher Pepi* — zawołał gość — ty się bałamucisz! Tyś znudzony więc się rozrywasz! ale kochać się ty nie możesz...

— *Pardieu!* więcej ci powiem, gotowem się kochać platonicznie, — zawołał książę — nie dalej jak wczoraj zakochałem się jak student i to od pierwszego wejrzenia!

Książę de Ligne odwrócił się na bok, położył i serdecznie śmiać się zaczął, cybuch wypadł mu z rąk i potoczył się na ziemię, ramiona mu się trzęsły. Wesołości szyderskiej nie było końca.

— Cóż na taką eskapadę do platońskich sfer powiedzą pewne osoby, które sobie roszczą pewne prawa? — spytał de Ligne.

— Powiedzą — co zechcą — to mi zupełnie jedno! — rzekł Pepi. — Nigdy nie zważałem na to, ile gderania i wyrzutów ma mnie satysfakcja zakochania kosztować!

Kocham się, a gdy się tęgo i szczerze zakocham — wiesz, uczucie ma tę siłę tajemniczą, iż wywołuje wzajemność, gdy jest prawdziwem. Jestem przekonany tak

o tem, jak — iż gdy ja kochać przestaję, muszę przestać być kochanym.

— Co za cudownie wygodna teorja! — wołał de Ligne.

— Ja ją sądzę prawdziwą, najprawdziwszą — ciągnął dalej książę Józef. — Kobiety płaczą i upierają się, choć nie kochają, chcąc być jeszcze kochane, ale to sprawa ich miłości własnej.

— Dałbyś pokój teorjom — przerwał de Ligne — powiedz mi co lepiej o nowem bóstwie, które cię w sfery platońskie zagnało! *Pepi platonique!* — I śmiał się.

— Czekaj, nie mogę nic powiedzieć, bo go nie znam — śmiejąc się odparł Pepi. — Ledwie z trudnością dopytałem się nazwiska, barbarzyńsko brzmiącego, ale ona wydała mi się zachwycającą. Lilja, kiedy się jej pączek ku słońcu otwiera...

— *Sapristi!* Co za poezja! a nazwisko barbarzyńskie! Masz widzę pasję teraz do wieśniaczych spódniczek, czerwonych rąk i naiwności głupkowatych.

— Mylisz się na ten raz, *c'est pas ça.* Mówią, że to jest osóbka bardzo przyzwoita — rzekł książę. — Na nieszczęście! młodziuchne to prawie dziecko, a ja mam respekt dla młodości i niewinności...

— Cha! cha! cha! Jakby dla ciebie było co świętego! — odparł de Ligne — ty rabusiu serc...

— Przepraszam cię — gorzej czy lepiej sobie mnie wyobrażasz, niż jestem. Ludzie mnie okrzyczeli... W naszym arystokratycznym świecie wolno wiele, w poczciwych szlacheckich sferach, gdzie wszystko biorą na serjo, należy poszanować wiarę w człowieka i w uczucie.

Książę zrobił minę poważną; leżący na kanapie spoglądał nań szydersko.

— *Est modus in rebus!* — dodał. — Pepi wyda swój ideał za jednego z licznych przyjaciół — rzecz będzie skończona!

— Ty, Ludwiku, jak widzę, daleko jesteś w tych sprawach zepsutszym ode mnie — odezwał się książę— ja, przyznaję ci się, o niczembym podobnym nie pomy-

ślał. — To dowód, że ja jeszcze kochać mogę, miłością najczystszą, idealną, gdy ty już zszedłeś na rozpustnika.

— Jak wszyscy starzy! jak wszystko stare, zepsułem się — odparł de Ligne smutnie. — Wszakżeśmy od tego zaczęli rozmowę, żem ja się obwiniał o zestarzenie, a ciebie nie posądzał. Teraz zaś tylko zazdroszczę młodości.

Książę się zamyślił trochę.

— A! tak, — odezwał się melancholicznie — każda miłość nowa młodość nam daje nową, wraca jej uczucia! A tak to dobrze być choć trochę młodym, choć na krótko...

Urwała się rozmowa, de Ligne poziewał.

— Powiedzże mi — mruknął po namyśle — dlaczego wybrałeś sobie Warszawę na miejsce pobytu, w Wiedniu by ci było weselej?

Książę uśmiechnął się.

— To może trudno mi ci będzie wytłumaczyć, — rzekł, — mam jakieś przeczucie i wiarę, że tu będę kiedyś, — na coś potrzebny... Czekam...

— Na co? — zapytał de Ligne.

— Nie wiem sam, na spełnienie moich przeznaczeń — rzekł książę Józef. — Mam tę pewność w duszy mojej, że jeszcze schwycę za szablę co wisi na ścianie, wdzieję burkę i pójdę z moimi gdzieś walczyć, a może zginąć, że nie zgniję tu marnie pod czułą opieką poczciwego Koehlera...

— Marzenia polskie! — zaśmiał się de Ligne — dzieciństwa! — Prusy są silne, panowanie ich tu ustalone, miałżebyś ochotę wejść w ich służbę?

— Nigdy w świecie! — gwałtownie zawołał książę — nigdy! Niech to sobie będą marzenia, — zostaw mnie z niemi. Nie mówmy o tem.

— Owszem ja chcę o tem mówić z tobą, aby cię z tych mrzonek obudzić — odezwał się de Ligne.

— Kiedy mi z niemi dobrze! — przerwał książę.

— Ale niepodobna abyś się z niemi nie zdradził— przerwał de Ligne—Prusacy są podejrzliwi. Wyczytawszy w twej duszy czego pragniesz, a co dla nich miłem

być nie może, wyrugują cię stąd. Jeśli ci tu dobrze, używaj reszty życia, nie myśl o niczem więcej.

— Naówczas i żyćby już nie warto — odezwał się Pepi. — Z tobą ja mówię poufnie z duszy w duszę, mój Ludwiku, zresztą któżby się z życia domyślił, że ja codzień na tę szablę patrzę, że mi drży ręka, serce do niej bije i łzy się kręcą. Przypatrz się życiu memu, to doskonały parawan na zasłonięcie tych marzeń, których nikt nie ma ani najmniejszego pojęcia. Widzą mnie zajętego kobietami, końmi, swawolnego, pustego, otoczonego ludźmi dobranymi umyślnie tak, aby dwór mówił za pana; jakże chcesz, by mnie o coś posądzać mogli?

Tego ja chcę — zamydlam im oczy, ściskam ich, kłaniam się, jesteśmy z nimi w najpiękniejszej zgodzie — a — słuchaj! — dodał silnie książę — słowo ci daję na to, że tą szablą tłuc ich będę!

De Ligne ruszył ramionami.

— Dużo w tobie Polaka zostało! — rzekł. — Sądziłem, że jesteś wyleczony i z polonizmu, i z heroizmu, żeś sobie wyperswadował sławę bohaterów.

— Nie! zaprawdę nie! — wykrzyknął książę. — Wiele rzeczy mi się w życiu wyśniło i z przepowiedni sprawdziło, jestem pewny, że mi Pan Bóg da nie inaczej ginąć, jak z żelazem w ręku i po żołniersku.

Towarzysz podniósł się nieco, patrzał na mówiącego i śmiał się.

— Z marzeniami mając do czynienia — rzekł, — abdykuję; nie mogę się bić z widmami. Przyznam ci się jednak, iż rzeczywiście za tak młodego i poetycznego cię nie miałem, ani za takiego dyplomatę. *Que diable* zdaje ci się, że potomków wielkiego Fryderyka w pole potrafisz wyprowadzić i że oni ci się oszukać dadzą.

Książę wąsa pokręcił.

— Nie oszukuję ich — odparł — jestem spokojny i trzpioczę się. Tłumię w sobie uczucia, z któremiby popisywać się nie w czas było. — Zdziwią się trochę, gdy sybaryta siądzie na koń.

Skończył uśmiechem.

— O tyle o ile tu widziałem i słyszałem co się koło

ciebie dzieje, kochany Pepi, — dodał de Ligne — muszę przyznać, że komedję z Prusakami grasz wcale nie źle, ale czy do końca swą rolę utrzymasz?

— *Coûte que coûte!* — przerwał książę.

Zapukano leciuchno do drzwi, książę Józef zwrócił się ku nim z miną nadąsaną, popatrzył na towarzysza i szybkim krokiem do drzwi pośpieszył z widocznym zamiarem pozbycia się natręta.

Stało się jednak inaczej niż chciał. Pukającym był szambelan Pokutyński. Książę wiedział już o jego bliższej znajomości z ojcem pięknej twarzyczki i potrzebował z nim mówić. Zobaczywszy go u proga, zwrócił się do przyjaciela i zapytał:

— Pozwolisz?

— Proszę cię, niech ja nie przeszkadzam w niczem.

Wprowadzony Pokutyński wszedł ciekawe wejrzenie rzucając na sofę, z której książę de Ligne powstawszy całkiem, milczący ukłon oddał mu zdaleka.

— Mój dobry przyjaciel, szambelan dawny stryja mego, Pokutyński — odezwał się książę prezentując. Wprowadzonemu zaś dodał cicho.

— Najlepszy mój przyjaciel młodości, ale — w surowem incognito. Dlatego ci nawet nie mówię nazwiska, odgadniesz je sobie.

Pokutyński uśmiechnął się tylko, odgadnąć mu to incognito było bardzo łatwo.

Pepi poufale położył mu rękę na ramieniu.

— Kochany przyjacielu, poratuj mnie! Córka twojego przyjaciela i kolegi, *et les amis des nos amis sont nos amis,* zawróciła mi głowę swoją pięknością. Zapomniałem, jakże się ten kolega zowie? Borzykowski?

— Nazywano go dawniej na dworze j. kr. mości *Je Burzymowski* — rzekł złośliwy Pokutyński.

— Jak? jak? dlaczego?

— Niegdyś zapukał był do gabinetu króla, który zawołał: *Qui est là?* na co on swoją domorosłą francuszczyzną odpowiedział: *Je, chambellan Burzymowski.*

Książę de Ligne ze śmiechu położył się na kanapie, książę Józef namarszczył nieco.

— A! rozumiem, — rzekł — ojciec więc jest śmieszny Polonus stary, miałażby córka być w podobnym rodzaju?...

— O! wcale nie! — prędko podchwycił Pokutyński — córka nic a nic do niego niepodobna. Cudnie piękna, co już w. ks. mość sprawdziłeś naocznie, bardzo śmiała i dowcipna. Wychowanie staranne. wsi na niej nie znać.

— Przepraszam cię, — przerwał książę Józef — właśnie tem jest wieśniaczką, że ma odwagę być sobą, której nasze panie nie mają. Wszystkie są jak w jednej formie ulane i do siebie podobne. Nieprawdaż, szambelanie, nie uważałeś tego? Gdy są cokolwiek samoistniejsze, wówczas naiwne chorują na rozum, a rozumne udają naiwność, — prawdziwe nieszczęście, choć doskonałe aktorki. Wiekuiście się ma do czynienia z falsyfikatami.

— Książę jest bardzo surowym — odparł Pokutyński, stojący zawsze jako paladyn w obronie płci pięknej.

— A! nie! — przerwał de Ligne — ma zupełną słuszność. Na całym wielkim świecie to samo. Piszę się na jego zdanie.

— Ale, mój Pokutynsiu, już się nie kłóćmy, — przerwał Pepi — mów mi o tej ślicznej szambelanównie. Imię jej! nie wiesz imienia?

— Owszem! Sylwja!

— *Saperlotte!* — rozśmiał się de Ligne — imię jakby z romansu czy z poematu!

— A mnie się ono właśnie niebardzo podoba — odparł Pepi. — Wolałbym prościejsze a mniej wymuszone. Kto jej nadał takie imię, chyba nie szambelan?

— Domyślam się, że to było sprawą matki, którą książę zapewne przypominać sobie musisz,—rzekł Pokutyński — była wcale piękna, wesoła i hołdów chciwa.

— Nie... nie przypominam jej sobie — odparł zamyślony książę.—Wracając do panny Sylwji, nie wiesz, będzie jutro w teatrze?

— Postaramy się o to — rzekł Pokutyński. —

Wiem, że panna sobie życzy tego gorąco i jej *chaperon,* niejaka pani wojska Czeżewska, także mocno tego pragnie, więc choćby sam Burzymowski się sprzeciwiał, kobiety na swojém postawią.

— Cieszę się tem zawczasu, — odezwał się klepiąc po bokach szambelana. — Nie wiesz Pokutynsiu, z kim one mają znajomości?...

— Dotąd podobno żadnych, — odpowiedział z pośpiechem i usłużnością Pokutyński — ale... łatwo się znajdą stosunki.

I zniżając głos szepnął do ucha księciu.

— Majorowa Habąkowska jest pono w ścisłej przyjaźni z *chaperonem.* Majorowa dowiedziawszy się o ładnej pannie, już tam była, wcisnęła się i objęła komendę.

Skrzywił się, posłyszawszy o Habąkowskiej, książę.

— Towarzystwo nie do zazdrości dla pięknej i naiwnej wieśniaczki — rzekł cicho. — Ta wyśmienita dla nas, niegdyś ładna Jutka, nadto usłużna i niebardzo bezpieczna....

Ruszył ramionami.

— Znajomość z majorową dla starszych może być bardzo wygodną — dodał, — dla takich prostodusznych i dobrych wieśniaków wolałbym inną mentorkę...

Pokutyński słuchając zdawał się dziwić, ale nie powiedział nic.

— Coś tam podobno jest lepszego nad to, — dodał zwolna się wygadując szambelan. — Matka nieboszczki pani Burzymowskiej, przyznaję się do niewiadomości, kto była z domu, ale mówią, że miała być w jakiejś dalekiej koligacji z Tyszkiewiczami.

— A! to co innego! — zawołał weselej książę. Także mi mów. U nas wogóle szlachta i panowie, wszyscy ze wszystkimi są jakoś skoligaceni. Bywa to niezmiernie nudnem i uciążliwem, bo się ma kuzynów bezliku, ale czasem z tem wygodnie, gdy kuzynki są ładne, a tytuł do pewnej poufałości upoważnia. Jestem bardzo ucieszony z naszej koligatki panny Burzymowskiej. *Cela me va!*

Pokutyński tonem księcia poufałym i rozweselonym czuł się ośmielony i rzekł.

— Wie książę, że już dawno nie pamiętam, abym miał szczęście widzieć go tak ożywionym i — *lâchons le mot* — rozpłomienionym do twarzyczki zaledwie dojrzanej przez okienko.

— Pokutynsiu! cóż to jest — odparł Pepi wesoło— także ty mnie znasz mało! Nie pamiętasz chyba, ile razy anioły porywały mnie z sobą w niebiosa, a śmiechy ludzkie ściągały za nogi na ziemię! Nie pierwszy to raz... i spodziewam się, nie ostatni.

— Tak! tak! zawsze ten sam kochany Pepi — wtrącił de Ligne. — Pali się co chwila płomieniem ogromnym, rzekłbyś, że to pożar Troi, że w nim spłonie wszystko, tymczasem jest to ogień słomiany *(un feu de paille)* i prócz słomy nic w nim nie ginie.

— Niech sobie będzie ogień choć słomiany i krótki, — zawołał, wesoło maszerując po pokoju, Pepi — zawsze to trochę grzeje... a ty jesteś już popiołem, z którego nic a nic zrobić nie można!

— Przepraszam, — odciął się książę de Ligne — *on en fait de lessive.* (Robi się z niego ług do prania).

Śmiano się z tego konceptu, przypominającego dowcipy ojca, a Pepi przyjaciela pocałował zań w głowę.

— Prawdziwy de Ligne z ciebie — zawołał głośno, obracając się do Pokutyńskiego i zapominając o incognito. — *Il chasse de race.*

Po krótkim śmiechu Pokutyński znowu głos zabrał.

— Wie książę, — rzekł — że w tej Warszawie nic się na chwilę w tajemnicy utrzymać nie może. To prawdziwe sito, przez które wszystko natychmiast przecieka. O wczorajszym bukiecie już doszła wiadomość nawet do salonu (wskazał palcem na drzwi). Znalazłem tam hr. Wielhorską, panią Stasiową i Cichocką, rozpowiadające całą tę historję przed panią de Vauban.

— Bah! — rzekł książę obojętnie. — Jeśli je to bawi! A mnie cóż to szkodzi?

— Nie chciałbym, aby z ust do ust imię w. ks. mości doszło do ojca — rzekł Pokutyński. — Stary oba-

wia się niezmiernie o córkę, zazdrosny jest o nią, drażliwy. Zresztą pomimo że czasem *je* zamiast *moi* używa, Burzymowski jest najpoczciwszym z ludzi, dobry, łatwo się ująć dający.

— Więc żeby się nie krzywił, a córki nie zamykał za klauzurą, — rzekł książę, zbliżając się do szambelana i obejmując go za szyję, — ty, Pokutynsiu, weźmiesz go na siebie! Zrobimy tak, aby jutro z teatru pannę zabrano do nas Pod blachę, ty zaś ojca!... no? jak ci się zdaje? co zrobimy z ojcem?

— Z ojcem? — powtórzył zadumany szambelan.— Jest bufet przy teatrze?...

— Jakżeby go nie było? — odparł książę — bufet jest pierwszą potrzebą! Gdyby go nawet nie było, to na jutro ufundować go należy.

— Ojca my zaciągniemy do bufetu — ciągnął dalej Pokutyński. — Na drodze gdyśmy się z nim spotkali na gruncie księcia, bo w Jabłonnie, poznał się z musu z Bielińskim, Kalinowskim i kilku birbonami naszymi. W imię tej znajomości łatwo nam go będzie wziąć na kieliszek burgunda, a wlać w niego parę butelek... Mam nadzieję, że go w ten sposób przytrzymamy.

— Złoty jesteś! nieoszacowany! — zawołał, śmiejąc się, książę Józef. — Plan cały wybornie osnuty, idzie tylko o to, aby nam co w drogę nie weszło i wykonania nie popsuło.

— Nie przewiduję nic — odparł Pokutyński. — Za szambelana ja ręczę, ale któż się podejmie porwać pannę i zawieźć ją Pod blachę?

— To moja rzecz — rzekł książę. — Niepodobna, aby mi która z pięknych pań nie podjęła się tej interwencji. Znajdzie się sposób zbliżenia się, poznania... *Enfin.*

— Majorowa wreszcie! — szepnął Pokutyński, ale na wspomnienie imienia tego książę się zmarszczył znowu.

— O! zmiłuj się! — zawołał prędko — niech ona mi tego kwiatka nie tyka! Bardzo lubię majorową w innych wypadkach, ale gdzie idzie o ideały, powinna

się trzymać zdaleka. Wszystkoby popsuła i sprofanowała.

Zamilkł Pokutyński.

Książę de Ligne, którego ta narada niebardzo się bawić zdawała, ziewał coraz jawniej a przez litość nad nim, rozmowę przerwać było potrzeba.

Dał znak Pokutyńskiemu książę, poszeptali z sobą coś pocichu i szambelan wysunął się nazad na palcach do salonu, gdzie już liczniejsze towarzystwo, powróciwszy z próby teatralnej, żywo się zajmowało jutrzejszą reprezentacją.

Dwaj przyjaciele znowu pozostali sami, gdyż książę de Ligne wcale się w towarzystwie pokazywać nie myślał, a Pepi chętnie mu dotrzymywał kompanji. Tyle mieli wspólnych wspomnień przeszłości, począwszy od Kaniowa, Kijowa, Sabacza, wojsk austrjackich, wiedeńskiego dworu aż do wieczorów w Łazienkach i na zamku.

Późno w noc Ludwik opuścił przyjaciela, umawiając się z nim na dzień jutrzejszy.

Po odejściu jego książę przywołał kamerdynera, spojrzał na zegar, przeszedł się po swej sypialni i namyśliwszy skierował ku małemu salonikowi pani de Vauban, przytykającemu do jej sypialni.

Buduar ten, gabinet czy salon wreszcie, bo nie wiedzieć jak nazwać go było, ogrzany był, jak wszystkie apartamenta Pod blachą, do niewytrzymania i pełen jakiejś woni silnej, odurzającej, którą nerwy gospodyni delikatnej i chorej cudem jakimś znosiły. Nie było w nim innego światła nad naczynie alabastrowe zwieszone od sufitu, w którem przyćmiona lampa płonęła. Miękki dywan okrywał podłogę. Dokoła sofy powleczone gobelinami biegły przy ścianach, przypominając tureckie domy, w których za siedzenie i posłanie służą razem. Para małych stoliczków, z koszykami u spodu, dwa alabastrowe naczynia w kątach, tego dnia nieoświecone, były wszystkim sprzętem tego cichego schronienia. Nad kominem, w którym się nie paliło, wielkie

zwierciadło w mur wpuszczone odbijało słabe lampy światełko.

Gdy książę pocichu wszedł, pani de Vauban, w kaszmirowej sukni długiej, w pantofelkach, z włosami niczem nieokrytemi, których niewiele miała, stała z flakonikiem w ręku naprzeciw drzwi.

Na sofie niedaleko od nich siedział słusznego wzrostu, przystojny, w francuskim stroju dosyć eleganckim mężczyzna średnich lat, w którym łatwo Francuza poznać było można. Twarz miał bladą, w oczach dosyć ognia, rysy dość pospolite, a postać cała czyniła wrażenie człowieka, który fantazją nadrabiał, czując się nie na swojem miejscu. W ręku trzymał więcej może dla kontenansu, niż potrzeby (jak mówią Francuzi) złotą tabakiereczkę, którą z dłoni do dłoni przerzucał.

Na widok wchodzącego powstał natychmiast z pewną służbistością źle pokrytą wyszukanem ugrzecznieniem. Ruszając się z miejsca razem pochwycił za leżący obok niego kapelusz, jakby się już do wyjścia zabierał — i nie chciał księciu przeszkadzać.

Pani de Vauban stała zupełnie obojętna, wpatrując się w księcia z uwagą. Ten naprzód ją skinieniem głowy grzecznie pozdrowił, potem rękę wyciągnął ku kłaniającemu się nisko mężczyźnie.

— Dobry wieczór, mój drogi Vauban! — odezwał się do niego książę. — Jakże się wam próba powiodła?

— Doskonale! z takimi artystami jakich tu mamy, nie może pójść źle nigdy!

— A! powiedz przy takim doskonałym reżyserze i instytutorze jakim ty jesteś — odparł Pepi z uśmiechem. — Artyści i artystki wszystko winni tobie, kochany Vauban.

— A ja im winienem prawdziwą przyjemność, bo nigdzie, nawet we Francji, w najlepszych naszych domach, w których na inteligencji nie zbywa, takich talentów nie spotykałem — odparł Vauban z wielkim zapałem.

Począł mówić trochę głośniej, żona mu dała znak.

— Pst! proszęż cię! zapomniałeś, że ja takiego hałasu nie znoszę.

Vauban się skłonił.

— A! przepraszam! — rzekł ciszej — zapomniałem się w istocie.

Pepi zwrócił się ku pani.

— Cóż, ta głowa? czy zawsze boli jeszcze?

Rękę dosyć dużą przyłożyła zapytana do czoła, zrobiła minkę męczennicy i za całą odpowiedź westchnęła.

Vaubanowi widocznie pilno się wynieść było; posunął się ku żonie, która bardzo zwolna wyciągnęła mu rękę do pocałowania, skłonił się księciu, który dłoń jego ścisnął i na palcach wysunął się z buduaru.

Książę stał naprzeciw chorej pani, jakby zakłopotany, co ma począć z sobą. Ona milczała chwilkę.

— Kochany Pepi, — odezwała się głosem dosyć chrypliwym — jaki ty jesteś w swych fantazjach nieostrożny. Właśniem cię przestrzec chciała.

— Cóż tam takiego? — głosem człowieka znudzonego spytał książę.

— Znowu jakaś młoda twarzyczka — ramionami ruszając mówiła, patrząc na podłogę i usta krzywiąc przymusowym uśmieszkiem pani Vauban.—Cała Warszawa już dziś mówi o tym bukiecie...

— A! — odparł książę Józef — cóż tak wielkiego!

— Wiesz, jak ja jestem wyrozumiała na to wszystko, — dodała zwolna na sofę padając Vauban, — nie posądzisz mnie o jakąś niedorzeczną zazdrość, ale... we własnym twoim interesie, nie godziło się nadawać temu takiego rozgłosu...

— Czyż moja wina? — rzekł książę

— A czyja? — spytała kobieta. — W biały dzień posyłać dżokeja, którego zna całe miasto...

Książę tak był znudzony temi przestrogami macierzyńskiemi swej przyjaciółki, że po twarzy jego poznać to musiała i, zniżając głos powoli, wkońcu zamilkła.

Pepi przeszedł się parę razy po buduarze.

— De Ligne długo zabawi? — zapytała.

— Sądzę, że jutro jeszcze, — rzekł książę — inco-

gnito zawsze, radby być w teatrze, a po nim zapewne zaraz wyjedzie.

— Wyobrażą sobie, że jest incognito! — cicho poczęła szeptać Vauban. — Jest to także fantazja, której nie rozumiem. Wszyscy o nim wiedzą, a do pobytu księcia de Ligne nikt pewnie wagi nie przywiązuje.

— Masz słuszność, — odpowiedział książę — ale mu się nie chciało wchodzić w świat, oddawać wizyty i nudzić się już i tak straszliwie znudzonemu wszystkiem, co go otacza...

— Mój Boże! — westchnęła Vauban — co do nudów, *il faut en prendre son parti*, nikt od nich wyjęty nie jest, gdy pewnych lat dożyje!

Ponowiło się westchnienie.

Książę niegrzecznie trochę, nie ukrywając się z tem, poziewał.

Spojrzeli na siebie.

— Ten poczciwy Vauban, — odezwał się książę — męczy się dla nas teatrem. Ile razy przyjedzie tu, biorą go w rekwizycję, żal mi go.

— Dajże pokój! — odparła Vauban — on także się nudzi, a to go trochę rozrywa; wy zaś doprawdy lepszegobyście nie znaleźli reżysera.

— O! i artysty! jest duszą teatrów naszych! — dodał książę.

— Biedny człek, — cicho szepnęła Vauban — musi się śmiać na scenie, gdy troskę ma na głowie. Nasze położenie emigrantów...

Przewidując, że się elegja nad losem wychodźców francuskich przeciągnąć może, książę Józef spojrzał na zegarek.

— Ale bo, późno! Ten ból głowy, jesteś zmęczona! Przepraszam, już idę.

Pocałował ją w rękę.

Skinęła nań jeszcze Francuzka i przybliżającemu się szepnęła coś na ucho. Vaubana imię kilka razy się powtórzyło, książę dał znak głową, że się zgadza. Pilno mu było odejść, równie jak jej zatrzymać go dłużej.

Wysunął się wkońcu z łaźni tej książę i korytarzami pośpieszył do swojego mieszkania.

Dzień zdawał się skończony, cichość panowała w całym pałacu Pod blachą. Wróciwszy do sypialni, gdzie nań czekał stary sługa, książę odprawił go ruchem ręki, sam siadł na sofę i zapaliwszy fajkę, sparty na łokciu zadumał się, jakby przed sobą sprawę zdawał nietylko z ubiegłego dnia, ale z upłynionego życia.

Rozmowa z przyjacielem poruszyła stare wspomnienia, a może dotknęła zielonych nadziei. Zasępiony siedział tak długo, patrząc na łóżko, na którem położyć się nie miał odwagi.

Wzrok jego padł na rysunek konia, który mu tam życie ocalił, gdzie od kuli padł Iliński, i łza się zakręciła w oku...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LXXIX

J. I. KRASZEWSKI

POD BLACHĄ

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII WIEKU

CZĘŚĆ II

1 9 3 0

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Ówczesną społeczność nietylko dawnej stolicy, ale niemal całego kraju, porównać można było do jednej z tych pustynnych ruin starego jakiegoś grodu Egiptu, wśród którego gruzów i piasku szczątki dawnych wspaniałości porozbijane leżą z pieczęcią zgasłej wielkości na sobie.

Wielu z tych ludzi podobnymi byli do obalonych kolumn gmachu wywróconego kataklizmem dziejowym. Gdzie niegdzie widać było nagłówek cudnie rzeźbionej kolumny, sterczące wrota marmurowe, wnijście do nieistniejącej budowy—posąg obłamany sfinksa napół piaskiem zasypanego, fundamenta gmachu, którego już nie było, nie trzymające się z sobą, napisy bez początku i końca.

Tacy właśnie byli tu ludzie, pozostałość różnych epok, innego organizmu społecznego, szczątki wywróconego świata, chodzące widma i upiory przeszłości.

Młode pokolenia rosły bez starych tradycyj — i były jako wrota grodów w pustyni stojące same jedne, nie wiedząc, czem być mają; — nie chcąc zostać tem, czem być musiały, nie mogąc stać się tem, czemby były powinny.

Życie szło z dnia na dzień, nie umiejąc sobie wyrobić form pewnych, więc zapożyczając cudze. Społeczność ta pożyczanym obchodziła się żywotem, pożyczanym z przeszłości, zdala, francuskim, kosmopolitycznym, bo swojego własnego obłamy jej tylko zostały.

Pamiątki saskich czasów, wspomnienia burzliwego

panowania ostatniego z królów, spuścizny gorączek i apatyj, wszystko miało w tem społeczeństwie reprezentację. Jedni nosili żałobę wesołą, drudzy smutną, inni bezwiednie byli żałobą żywą, bo strasznym upadkiem.

Wśród tego cmentarzyska, jak u nas zawsze, siły żywotne domagały się wyrazu, a nie mogąc inaczej, objawiały się szałem i weselem.

Szukano rozrywek, aby o bólu zapomnieć, a im ból był większy, tem rozrywka gorętszą być musiała.

Towarzystwo nie samemi tytułami swych członków składało się ze wspomnień, każdy nosił jakąś bliznę lub niezasklepioną ranę. Dla większej części, która zaludniła ówczesną Warszawę, była ona jakby drogą krzyżową, ze stacjami bolesnemi, przypominającemi im dni ciężko i słodko tu przebyte.

Jenerałowa Grabowska, domniemana czy rzeczywista królewska wdowa, Kicki poufny przyjaciel króla, Krasicki arcybiskup, który go witał mową w dniu koronacji, mnóstwo innych — nie należeli właściwie do dni dzisiejszych — wszyscy oni się przeżyli.

Sam książę Józef, młody jeszcze, już miał za sobą całą burzliwą przeszłość od Kaniowa do Targowicy przeciągniętą, cóż dopiero Arystydes Małachowski i inni.

Z tych pięknych niegdyś pań ileż wzdychało do niepowrotnych dni, gdy jaśniały szczęśliwe pierwszym rozkwitłym wdziękiem młodości?

Do tych żywiołów dawnych dodać potrzeba było nowe, obce, które fale rewolucji francuskiej na ten daleki ląd wyrzuciły, — ludzi z tradycjami wykrzywionemi, z sercami żółcią zalanemi, z dumą upadłych, usiłujących sobą przedstawiać społeczność starą, jakiej już na świecie nie było. Rzeki krwi uniosły ją w przeszłość.

Te podpory legitymizmu, monarchji i religji znalazły się wśród społeczności polskiej, prądami XVIII w. przenurtowanej, wśród arystokracji i duchowieństwa

lekko encyklopedyzmem zafarbowanych — zaprawdę w dziwnem położeniu.

Cześć dla Woltera jeszcze tu nie przebrzmiała, gdy oni przyszli jako żywe doktryn jego ofiary.

Rodziła się reakcja przeciwko reformie wprzód pożądanej, ale w młodszych pokoleniach może, bo starsze się już przerobić nie dawały. Dziwne więc anomalje musiało na każdym spotykać się kroku.

Naostatek odrobina niemieckiego świata w otoczeniu Hoyma i Koehlera z tradycjami po Fryderyku II, które były negacją wszelkich tradycyj, także w pewnej małej cząstce do składu społecznego wchodziła. Można ją było porównać do tłuszczu, który po powierzchni się unosił, nie mogąc z płynem połączyć, a nie chcąc się z nim rozstać.

Obyczaj pozostał w znacznej części stanisławowski, płochość zepsutego dworu, miejskie nawyknienia, lekceważące prawa moralne. Niżej, po wsiach staroszlachecka, rubaszna prostota poczciwa mieszkała, na samym wierzchołku nic nad pożyczaną francuszczyznę, która dawała dobry ton, choć go już we Francji samej nie było.

Horyzont, krwawemi zaciągnięty obłokami, nie dozwalał nic dojrzeć w oddaleniu, nic osnuwać na jutro. — Żyło się sobie wesoło z dnia na dzień, aby dalej do końca.

Jedni w nic już nie wierzyli, drudzy mieli wiarę w przeznaczenie, podstawy do czynu nie było, a nowi gospodarze owych Prus południowych wyglądali na załogę, mającą jutro lub pojutrze opuścić kwatery. Mała tylko gromadka ludzi poważnych, czujących, że zawsze i wszędzie pracować można i trzeba, starać się należy, obowiązki znajdą się, gdy się ich szuka, a jedno zwątpienie prowadzi do niepowrotnej zguby — krzątała się, by coś poczynać, otrząsnąć z płochego używania chwili obecnej.

W tej grupie na czele stali starzy, jak Krasicki, Staszic, Czacki, Chreptowicz, Małachowski, byli i młodsi od nich znacznie ledwie rozpoczynający życie czynne,

jak Koźmian, Osiński, Woronicz. Może nie wiedziano dobrze dokąd iść i gdzie się zajdzie, ale się usiłowano poruszać. Arcybiskup Krasicki krzątał się około założenia drukarni u siebie w Łowiczu, posługując się Dmochowskim, który dawniej Kołłątajowi chętnie przychodził w pomoc. Czacki sposobił się do życia publicznego, które nań czekało.

Księciu Józefowi, nie rozumiejąc go, miano za złe nietylko lekkomyślne życie jego, ale ton, jaki nadawał towarzystwu, wśród którego tak wybitne zajmował miejsce. Ale mógłże on innym być wobec Hoyma i Koehlera, chcąc się na swem wyczekującem stanowisku Pod blachą utrzymać? Co w innych osobach jego otoczenia było prawdą, u niego było zręczną rachubą i ofiarą.

Dawał na siebie krzyczeć, bo nie chciał zdradzić czego żądał i było mu to nawet potrzebnem. Im płochszym się ludziom wydawał, im koło niego szalano dziwniej, tem pewniejszym był łaski i spokoju.

Do najwspanialszych kolumn obalonego gmachu, stojących jeszcze na ruinach, należał dom pani kasztelanowej połanieckiej; — oaza spokojna wśród zawichrzonego, zmąconego młodego świata. Wiele zapewne podobnych jej znaleźć było można na prowincjach — w Warszawie był to dom jedyny.

Dorównywając mu powagą, ale nie cechami staropolskiemi, mógł stanąć obok dom starościny krakowskiej, ale tu francuszczyzna mocno się już czuć dawała gdy u pani Lanckorońskiej wcale jej nie było.

Tu życie płynęło, nie zważając na zmienione dokoła obyczaie, wedle trybu prastarego, przy krosnach, nabożeństwie, w bojaźni Bożej. — Starościna dla świata nie robiła ustępstw żadnych.

Gdzie indziej na płoche obyczaje przymykano oczy, w powszechnem zepsuciu znajdując ich usprawiedliwienie; u pani kasztelanowej czarne pozostało czarnem, białe było białem, a sąd jej przez rewerencję dla imion się nie zmieniał, jak gdzie indziej.

Brzydziła się brzydkiem, choć stało wysoko i znać go nie chciała.

W jej domu też mało kto postał z tych, co się sądu staruszki obawiać mieli powody. Wiedzieli, że dla nikogo nie czyniąc wyjątku, powie prawdę gorzką.

Dom pani starościny krakowskiej był więcej pański, kasztelanowej bardziej szlachecki, choć oba do przeszłości należały surowem poszanowaniem cnoty i obyczaju dawnego. Pani Lanckorońska ani sama nie rzuciła białego swojego czepca dla modnej jakiejś fryzury, ani liberji swej nie przebrała cudzoziemską fozą. Marszałek jej dworu paradował w kontuszu, w salonie po francusku mówić nie było wolno, a o tem, co się na zepsutym świecie działo, wolała nie wiedzieć. Ci, co do rodziny jej i koła należeli, a stykali się ze światem francusko - polskim, gdy szli do misjonarskiej kamienicy, przywdziewali na chwilę pozór inny, niż zwykle mieli; układali się, aby nie razić staruszki, ani manierami, ani słowy, ani wspomnieniem o tem, co się działo poza jej malutkim światem starego pokroju.

Impan Stanisław Kostka z Burzymowa Burzymowski niegdyś miał to szczęście być dobrze znanym pani kasztelanowej, chociaż żona jego, osoba światowa i scudzoziemczona dobrowolnie, nigdy do towarzystwa jej nie należała. Miał więc nadzieję, że i teraz zostanie tu przyjęty i znajdzie u staruszki opiekę i radę.

Nazajutrz rano po dniu strutym rozmaitego rodzaju małemi przygodami, a najbardziej owym bukietem, szambelan ubrał się wcześnie w swe buty garniturowe, przywdział strój najwykwintniejszy i *more antiquo* naprzód się udał na mszę świętą do najbliższego, naprzeciw kościoła Kapucynów. Powróciwszy do domu na kawę, zastał wschody pełne przekupniów, których pani wojska pozamawiała dla dostarczenia różnych małych potrzeb tualetowych, bo tysiąca rzeczy brakło, a wieczorem miały być na owem przedstawieniu w tak zwanej „*Socjecie*“ (Théâtre de Société), na które pięknie i modnie wystąpić było potrzeba.

Ten tłum przekupniów popsułby znowu humor

szambelanowi, gdyby nadchodzący Grabski go nie naprawił.

Potrzebował się od niego dowiedzieć, o której godzinie i jak się miał stawić w misjonarskiej kamienicy. Micio go nie umiał o tem objaśnić, bo do tego domu wstępu tak dobrze jak nie miał.

Niespokojny Burzymowski, uprosiwszy Grabskiego, ażeby na niego czekał i zatrzymał się u córki na górze, sam pobiegł do misjonarskiej kamienicy. Godzina była wczesna, ale u Sylwji i pani Czeżewskiej oddawna się już drzwi nie zamykały. — Obie panie były nadzwyczaj zajęte i zakłopotane.

W przedpokoju Grabski pełno znalazł ichmościów z węzełkami, Żydówek, kupczyków, których niespokojna wojska, obawiając się, aby czego nie zabrakło, do zbytku pościągać kazała.

Po ścisłym rozbiorze przekonano się, że tu lwowskiego nic nie uchodziło, począwszy od trzewików. Czekał i fryzjer, aby ważną odbyć naradę co do fryzur pań obu, które się *à la grecque* urządzić miały. Stał szewc z całą pstrą chustą rozmaitych trzewiczków, kupczyk z próbkami materyj i wstążek; mnóstwo bezimiennych figur na coś tym paniom potrzebnych, a ponasyłanych przez majorową, która się podjęła zamówień.

Grabski wszedł właśnie do salonu w tej chwili, gdy Czeżewska nieubrana biegła do przedpokoju i krzyknąwszy, ukryć się przed nim musiała, co ją jeszcze gorzej dla niego usposobiło, bo nic nie gniewało ją nad to, gdy ktoś wdzięki jej nieuporządkowane jeszcze zobaczył.

Sylwja natomiast wyszła do niego nawpół ubrana, na rano, i uśmiechnięta powitała go dosyć uprzejmie, choć kuzynek i dla niej w godzinie tak ważnej, gdy się losy tualety roztrząsały, niebardzo był na rękę.

— Darujesz mi, że zdaje się, nie w porę tu przychodzę — odezwał się, witając, Grabski, ale szambelan przykazał mi tu czekać na siebie.

— A ojciec gdzież jest? — spytała Sylwja.

— Powrócił ze mszy, wypił kawę naprędce i pobiegł się dowiedzieć, kiedy może być przyjętym u kasztelanowej Lançkorońskiej.

Posłyszawszy nazwisko, Sylwja się trochę zasępiła.

— Kochany tatko, — zawołała, ręce załamując rozpaczliwie — chce bo mnie koniecznie zapakować do tego klasztoru! Niby to ja nie wiem, co to za dom! to śmiertelne nudy! Ale my tu przyjechałyśmy na zapusty, nie na rekolekcje!

Grabski ruszył ramionami.

— Kochana kuzynko, — rzekł — nie masz się podobno czego obawiać, bo zawsze z tatkiem wkońcu zrobisz, co ci się podoba!

Trochę się tem obraziła piękna panna i spojrzała groźno.

— Pan Mieczysław ma pasję robić mi wymówki i karmić mnie morałami! — odezwała się zagniewana a smutna.

— Niestety — odparł pokornie Grabski. — Mamże, jak inni, pochlebiać, chwalić, unosić się nad wszystkiem, gdy mi kuzynki żal i strach o nią!

— Strach? o mnie? Cóż to za strach być może? — zawołała Sylwja z coraz dobitniejszą urazą.—Jestemże ja takiem nieroztropnem dzieckiem, co nie ma ani rozwagi, ani pomiarkowania?

— Wszystko, — kochana kuzynko, masz, co w swych szczęśliwych latach mieć można, będąc wychowaną na wsi i nie znając świata! Przepraszam!

Jesteś zachwycająca, ale tej ślizgawki, na którą się puszczasz tak śmiało, nie masz najmniejszego wyobrażenia — rzekł Grabski odważnie. — Na lodzie tym są rysy, łatwo się na nim załamać i utopić, a upaść można przy pierwszym kroku!

— Wiele pan masz lat? — zapytała z oburzeniem Sylwja.

— Blisko trzydziestu — odpowiedział Micio spokojnie.

— Tylko? proszę!! Z mowy można było sądzić, że

najmniej pięćdziesiąt. Pan nigdy nie byłeś młodym i dlatego ani rozumiesz młodości, ani być drugim młodymi dozwalasz.

Zarumieniła się piękna Sylwja, Grabski cofnął się o krok. — Spokojna twarz jego nabrała wyrazu smutnego. — Nie odpowiedział nic.

W tej chwili Czeżewska, zła, zburzona, przez drzwi pół otwarte zawołała na Sylwję, która do niej wyszła. Mieczysław usiadł zrezygnowany.

Wybiegając z salki, spojrzała nań jeszcze zagniewana kuzynka i zobaczywszy go takim zbolałym, pożałowała go, zawstydziła się swej prędkości i mimowolnie wychodząc, rzuciła mu:

— Zaraz powracam! Proszę na mnie czekać. Rozmowa nasza nie skończona.

Grabski głową tylko dał znak, że będzie posłusznym.

Oczyma wodząc po pokoju, na kominie około zegara zobaczył w wazonie porcelanowym bukiet wczorajszy, i — co gorzej! w drugim, odpowiednim mu, stał jego brat rodzony, również ładny a świeższy, drugi, który prawdopodobnie musiał tu już przybyć z rana i — mimo zakazu, został przyjęty. Zachmurzył się Grabski bardziej jeszcze i westchnął.

Oddawna zrezygnowany był na to, że śliczne dziewczę, w którem się kochał tak mocno, za stracone dla siebie uważać musiał, żal mu je było jednak widzieć lecące tak naoślep w nieznane strefy, których on znał niebezpieczeństwa, a ona tylko widziała ponęty.

Dosyć prędko Sylwja z gałgankiem jakimś w ręku powróciła i stanęła przed nim.

— Gniewasz się na mnie? — zapytała.

— Gdybym nawet chciał, piękna kuzynko, pogniewać się na ciebie — nie mógłbym! Przechodzi to siły moje.

— Nie gniewam się, ale — boleję.

— Nad czem? nad tem, że ja się chcę bawić? widzieć? słyszeć? uczyć? — zawołała Sylwja.

— Nad tem, że tak nieostrożnie, z zapałem lecisz

nie znając drogi, na której zbłąkać się i skaleczyć łatwo — rzekł Micio powolnie.

— Dlaczegoż ja mam się tam koniecznie skaleczyć? — żywo przerwała Sylwja. — Wszyscy wy macie mnie za jakieś nieroztropne dziecię, potrzebujące niańki jeszcze!

— Milczę — rzekł Grabski.

— Ale ja bo nie chcę, żebyś milczał, — odparła Sylwja — owszem, proszę mówić otwarcie, proszę się kłócić ze mną. Za milczenie będę się gniewała, boby ono znaczyło, że ja niegodną jestem zrozumieć mądrego pana Mieczysława i niewarta, aby się dla mnie fatygował z przekonywaniem.

Grabski popatrzał długo na nią.

— Twoja śmiałość, kuzynko, dowodzi już, że świata nie znasz, ku któremu się tak wyrywasz z zapałem i pragnieniem zajaśnienia na nim. Każesz mi mówić otwarcie, będę posłusznym.

Panna Sylwja jest młodziuchną, piękną i uroczą, bardzo łatwo jej będzie liczne wielbicieli grono ściągnąć do siebie. Przypuśćmy, że jeden z nich szczęśliwy serce jej pozyszcze. — Sądzisz, szanowna kuzynko, że tu ktokolwiek na serjo bierze zalecanki z galanterją, — i o serca pozyskanie się stara? Zdobyć je zapragnie każdy, ale ocenić nie potrafi nikt. Dziś nosić cię będą na rękach i czcić, a głosić królową, jutro nowa piękność i gwiazda świeża, zjawiająca się na horyzoncie, odciągnie ich od ciebie.

Sylwia potrząsnęła główką, nie widać na niej było wielkiego tych wyrazów wrażenia.

— Kto panu Mieczysławowi mówił, że moje serce tak jest łatwem do zdobycia?

Grabski zmilczał, przeszedł się po pokoju, stanął u komina i, patrząc na bukiety — odezwał się, zmieniając rozmowę.

— A więc bukietów już dwa? — do pary? — Przyznać muszę, że im tu bardzo ładnie na tym kominie.

Sylwja się zarumieniła.

— Gdybym śmiała przypuścić, że taki trzpiot, jak ja, może się podobać takiemu, jak pan, sensatowi, doprawdy, gotowabym myśleć, żeś zazdrosny — rzekła.

— Ja się z tem wcale nie taję. — odparł z rezygnacją Grabski — i że mam zawróconą głowę, i że jestem zazdrosny. Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć, kochana kuzynko. — Kocham się bez najmniejszej nadziei, a pragnąłbym twojego szczęścia nie dla siebie, ale dla ciebie. Gdybym dziś widział człowieka godnego twej ręki, mogącego ci zapewnić przyszłość, jakiej ci życzę, spokojną, cichą, szczęśliwą, byłbym mu pewnie raczej pomocą, niż przeszkodą. Widzieć zaś cię narażoną na igraszkę płochych ludzi — boleć mnie musi.

Gdy poważnie wymawiał te słowa, Sylwja, słuchając, przypatrywała mu się z uwagą.

Czy jej uderzyło serce, czy oceniła ofiarę, czy się poruszyła uczuciem wdzięczności za uczucie, które w głosie jego brzmiało — któż wie? dosyć, że odpowiedziała mu krótko, z pewnem wzruszeniem, szybko, jakby mimowolnie.

— Dziękuję.

Jakby dla przerwania tej rozmowy przykrej dla obojga wpadł właśnie szambelan, zdyszany i cały sobą zajęty.

— Patrzajcież! — zawołał. — Kasztelanowa przyjmuje dopiero około południa, dowiedziałem się o tem w kamienicy.

— Wiesz co! — zwrócił się do Micia — wypada mi koniecznie być u Pokutyńskiego — jedź ze mną, raźniej mi będzie.

To mówiąc, spojrzał na córkę.

— Cóż będzie z tą nieszczęsną Socjetą, czy jak się ona tam nazywa? — Macie być na niej? z kim? jak? Czy to widowisko płatne, za biletami, czy proszone? kto prosi?

— I proszone, i płatne — odparł Grabski. — Uprzywilejowani dostają zaproszenia, osoby nienależące do towarzystwa kupują bilety...

— My je już mamy! — Rano jeszcze przysłała nam majorowa — odezwała się Sylwja.

Grabski pochmurniał na wspomnienie tej pani.

— Wolałbym był — rzekł — bilety kupne, bo takie do niczego nie obowiązuja; ale wzgardzić zaproszeniem, byłoby obrazić tych, co je tak uprzejmie przesłać raczyli. — Cóż robić! — westchnął.

Szambelan zacmokał i potarł się w głowę.

— Wysoce poważam ją, szacuję, adoruję, wdzięczen jestem pani wojskiej, — rzekł — ale ona z tą swoją majorową, wściubską, co się moją przyjaciółką nazywa, kością mi już w gardle stoi. — Robią mi takie przysługi, że chce się kuksnąć za nie!

Sylwja zbliżyła się, pocałowała ojca i stary się zaraz udobruchał.

— Cóż robić! — mruknął. — Stało się! to trudno! niech będzie i tak, na przyszłość trzeba radzić inaczej.

Córka uśmiechnęła się wesoło, ale trochę szydersko.

— Miciu kochany, — zawołał, ruszając się żywo stary — jedziemy! jedziemy!

Wyszli tedy razem. Pokutyński stał na Krakowskiem Przedmieściu, wzięto powóz, aby paradnych butów nie narażać na błoto.

Mieszkanie szambelana kawalerskie, na pierwszem piętrze, urządzone było z pewną elegancją i staraniem o nią, ale za młodo, za świeżo na poważnego już człowieka. — Coś w niem przypominało starą kokietkę, otaczającą się jaskrawemi barwami i błyszczącemi cackami, przy których zwiędnienie jej wyraźniejszem się staje.

W saloniku znajdował się właśnie Kalinowski i dwóch z tych panów, których Burzymowski poznał w Jabłonnie.

Wszyscy powitali przybywającego nader wesoło i hucznie, gospodarz zrobił mu miejsce na kanapie, — na Grabskiego spoglądano zukosa.

Znany im był ten młodzieniec, który do koła ich nie należał i od wesołych towarzystw stronił, widocznie za złe mu to miano. Siadł też pan Mieczysław na uboczu i zachował się milcząco. Przedmiotem rozmowy tego ranka była awantura wczorajsza. Bogatemu kupcowi z Długiej ulicy, niemieckiego pochodzenia, ale oddawna osiadłemu w Warszawie, córkę wykradziono.

Panna była bardzo piękna, dobrze wychowana i godna lepszego losu; ojciec w rozpaczy biegał jak obłąkany.

Domyślali się wszyscy, kto był sprawcą, bo oddawna już romans trwał, przed ojcem tylko tajony.

— O! to sprawa Piotrusia! — mówił, okiem mrugając, Kalinowski. — Niema go dziś nigdzie, drapnął z panienką do Wrocławia! — Ale cóż znowu tak strasznego, żeby tyle z małej rzeczy robić hałasu. — Że się z nią nie ożeni, to niema wątpliwości, ale łatwo znajdzie kupczyka, który na tę małą eskapadkę sentymentalną zważać nie będzie!!

Śmiali się wszyscy, Burzymowski jeden mocno się zachmurzył.

— Ojciec się, słyszę, — dodał drugi — udał pod opiekę praw pruskich, ale jużciż szlachcicowi za taką tam jakąś kupcównę, że sobie z nią poromansował, głowy nie zetną.

— No, wiesz, — przerwał Pokutyński — jabym za tych bestjów Prusaków nie ręczył. Hoym mi powiadał, że u nich prawa dla wszystkich jeneralnie są równe i jednakowe. Szlachcic nie szlachcic za gwałt i uprowadzenie małoletniej...

— Jakto małoletniej? — zawołał Kalinowski. — Piękna mi małoletnia, która tak już umiała dobrze z Piotrusiem oczkować i po dobrej woli z nim poszła.

Wszczął się spór długi o możliwe następstwa wykradzenia, w którym Burzymowski i Grabski żadnego nie brali udziału. Gdy się to przeciągać zaczynało, Pokutyński dyskretnie spojrzał na zegarek.

— Wiecie panowie co? — rzekł — *hora canonica*

się zbliża, proponuję o trzy kroki stąd na znane mi ostrygi i białe winko.

— Przewybornie, — przerwał Burzymowski, rad, że rozmowie koniec położy — ja akceptuję, ale z tym warunkiem, że mi panowie uczynicie honor być gośćmi moimi...

Byłem u was na śniadaniu, rewanż mi się należy.

— Zgoda! — zawołał Pokutyński — chodźmy za szambelanem.

Ja lokal pokażę.

W progu już Grabski coś na ucho szepnąwszy szambelanowi, ukłonił się, pożegnał i zniknął.

— A to — ten pan! jakże się zowie? — odezwał się po odejściu jego Kalinowski do Burzymowskiego — krewny czy pupil waćpana?

— Krewny, daleki — odparł szambelan.

— Jako weredyk, mimo waszego pokrewieństwa, powiem ci, szambelanie, — podchwycił Kalinowski — to może być bardzo zacny młodzieniec, ale pedant, zaschły nudziarz, jakich mało!

— Dobry chłopiec! — mruknął Burzymowski.

Rozśmiano się, a wtem weszli do izdebki na tyle winiarni, kędy świeżuteńkie tylko co z poczty ostrygi być miały. Istna to była dziura, ciemna i brudna, odrażająca niemal i cuchnąca jakiemiś nieczystościami kuchennemi, ale była w modzie, bo znawca znakomity, Pokutyński, zaręczał, że nigdzie lepszych i świeższych jak tu ostryg nie było. Codzień je ekstra-pocztą i kurjerami umyślnie przywożono, beczułkami szły stąd Pod blachę, Na górę, do Skierniewic. Wino też szampańskie i burgund biały miały być nadzwyczajnych przymiotów.

Burzymowski, który sobie na buty żałował, gdy miał gości, posuwał swą gościnność do rozrzutności.— Zastaw się, a postaw się — mówił po staremu. Poszedł więc sam zadysponować co należało i uprosił gospodarza, aby ostrygi i wszystko, co z niemi szło, było — co się zowie, *ut sic* — choćby tam licho wie, co kosztować miało. Zielona siatkowa sakwa naładowana

dukatami nigdy go nie opuszczała, a oprócz tego miał trzos ciężki, którym chodził opasany i nie zdejmował go z siebie nigdy, tylko nocą pod poduszkę, będąc w wielkiej obawie od warszawskich rzezimieszków.

Przyniesiono ostryg takie masy, iż szambelan myślał zrazu, że się w liczbie osób omylono, ale miał do czynienia z tymi, co je pożerali kopami, i przekonał się wkrótce naocznie, że zanadto ich nie było. Znikały połykane tak szybko, iż wkrótce blaty się poopróżniały.

Z butelkami też młodzież obchodziła się ze zdumiewającą zwinnością, sama się zachęcając, nalewając i rozlewając bez ceremonji. Humory nastroiły się wkrótce do nadzwyczaj wysokiego tonu.

Burzymowski, siebie tylko oszczędzając, także dolewał a dolewał, ichmość się prosić nie dawali.

Za późno postrzegł się, iż śniadanko zbyt długo się przeciągnąć musi, a odwiedziny dzisiejsze u kasztelanowej przepadną. Nie wypadało mu ani się gości pozbywać, ani przyznawać do tego, co go trapiło. Pokutyński go uratował, gdy około południa, na zegarek spojrzawszy, zaintonował do odwrotu.

A że już i butelki były próżne, i głowy pełne, rozeszli się jakoś wszyscy, wyściskawszy łaskawego amfitrjona i Burzymowski wpuścił rękę w kieszeń głęboką po ową zieloną sakiewkę. Rachował zawczasu, że kilkanaście dusiów pęknąć musi, nie przewidywał jednak, ażeby za skromne śniadanko, złożone z ostryg, sera, szampana i maleńkich różnych dodatków, dwadzieścia i kilka obrączkowych dać było potrzeba.

Zawołał w pierwszej chwili:

— Ależ! Bój się Boga!

I chciał się targować, gdy gospodarz mu z zimną krwią oświadczył, że u niego targu niema i że wszyscy jego łaskawi klienci tak płacą, o czem łatwo się może przekonać, pokazując rachunek Pokutyńskiemu. Rad, nierad, mrucząc pod nosem przeciw zdzierstwu, zapłacił Burzymowski, tem w gorszym będąc humorze, że do kasztelanowej było już za późno prawie.

Przeklął obrzydłe ostrygi na progu i nie patrząc

na godzinę, bo niedawno widział coś nakształt dwunastej, wziął powóz i poleciał wskok do misjonarskiej kamienicy.

Służba siedziała w sieni. Marszałek w kontuszu wyszedł naprzeciw i pokłoniwszy się, drzwi mu otworzył, sądząc zapewne, że był gościem na obiad zaproszonym przez kasztelanową, gdyż godzina pierwsza, o której tu zwykle jadano, już się zbliżała.

W salce bardzo skromnie umeblowanej, w której naprzód uderzały krosna staruszki i koszyki z jej pieskami, znalazł Burzymowski, oprócz sędziwej gospodyni i trzech panienek jej krewnych, towarzystwo dosyć liczne.

Podszedłszy do staruszki, szambelan z wielką czcią submitował się jej, przypominając, w dosyć zgrabnym, staropolskim i zawczasu ułożonym komplemencie, wyraziwszy, jak jest szczęśliwy, że, przybywając do Warszawy, oglądać ją może w czerstwem zdrowiu i t. d. Dodał, iż ma sobie za najprzedziwniejszą rozkosz, zaszczyt, iż u nóg pani kasztelanowej weneracją swą złożyć mu wolno.

Przypomniała sobie kasztelanowa dawnego znajomego, podziękowała mu w kilku słowach zaledwie, gdy w tejże chwili otwarły się drzwi do jadalni i marszałek głosem woźnego trybunalskiego dawnych czasów oznajmił, iż do stołu dano!

Burzymowski stanął skonfundowany, wyglądało to, jakby się na obiad gwałtem wcisnął, zaczął więc przepraszać, tłumacząc nieświadomością godziny, wieśniaczym obyczajem i t. p., gdy pani Lanckorońska przerwała mu z uśmiechem.

— Uczyńże mi asińdziej tę przyjemność i przyjmij u mnie łyżkę rosołu. Bardzo go proszę!

Co tu było robić!

Burzymowski musiał pozostać, lecz w duchu znowu przeklętym ostrygom złorzeczył.

Dopiero teraz ochłonąwszy, miał czas się obejrzeć po dostojnem towarzystwie i postrzegł naprzód pięknej twarzy, otyłego, niemłodego, ale wyglądającego

świeżo mężczyznę, którego purpury i fiolety oznajmywały, że nikim innym być nie mógł, tylko jmksięciem arcybiskupem Krasickim. Oprócz niego duchownych było kilku i świeckich drugie tyle, ale ci już mniej uwagę na siebie zwracali.

Sławne imię niegdy księcia biskupa warmińskiego, autora ksiąg tylu, które cała Polska czytała, wielką dlań weneracją przejęło szambelana.

Kazano mu podać rękę jednej z panien Świdzińskich i tak pociągnięto go do stołu.

Miejsce mu się też bardzo szczęśliwie dostało niedaleko ks. arcybiskupa, który w poufałym a wesołym tonie począł z przybyłym rozmowę.

Ani się mógł nigdy takiego szczęścia spodziewać Burzymowski, ażeby sam książę arcybiskup go zagadnął; tem mniej, ażeby rozmowę zagaił tak naturalnym a wesołym tonem, jakby był prostym śmiertelnikiem i niczem więcej nad dobrego szlachcica.

Wystawiał w nim sobie autora „Podstolego", surowego, namaszczonego moralistę, a znalazł człowieka wyśmienitego tonu, wesołego, który o swem dostojeństwie rad był zapomnieć na chwilę, starając się być jak najnaturalniejszym, okazać jak najprzystępniejszym.

— Z którejże to części dawnej naszej Rzeczypospolitej, acan dobrodziej przybywasz? — odezwał się ks. arcybiskup — bo my teraz — choć całości pozbawieni, części mamy dużo.

— Z za kordonu cesarskiego — odpowiedział uszczęśliwiony szambelan.

— Zatem z kraju, z któregom ja rodem i gdzie całą moją mam rodzinę — rzekł ks. arcybiskup. — Wątpię jednak, abyś acan dobrodziej znał moje rodzinne gniazdo, Dubiecko, gdzie brata mam.

— Nie, w innych mieszkam stronach, domatorem jestem i wycieczek mało czynię — odparł Burzymowski. — Gospodarstwo, kłopotarstwo!

— A ja na starość — odezwał się wesoło arcybiskup — muszę peregrynacje odbywać. To na śluby, to na chrzciny moich synowców i synowic. Proszę sobie

wystawić z Berlina, gdzie przebywam często, drogę do Dubiecka, a dawniej z Heilsbergu do Lwowa!!

— Czyś w. ks. mość już w łowickiej swej i skierniewickiej rezydencji — przerwała gospodyni — zapomniał trochę o ulubionym swym Heilsbergu i cudnych jego ogrodach?

— Sadzę już na pociechę nowe w Skierniewicach, — odparł arcybiskup wesoło — chociaż owoców z nich nie ja się już doczekam! Przynajmniej tu tę pamięć zostawię po sobie, że dobre jabłka, gruszki i śliwki mieć państwo będziecie, bo o to pilno się staram tak tu, jak w Heilsbergu. Kwiatami i egzotycznemi roślinami jedna tylko księżna z Nieborowa piękniejszemi, niż moje pochlubić się może. Wkrótce i Skierniewice zakwitną, ale to nie będzie Heilsberg mój kochany! — westchnął arcybiskup.

— Z wielu względów, — wtrącił Dmochowski, słusznego wzrostu, wyrazistej twarzy mężczyzna, który razem z kanonikiem Kalnaszym arcybiskupowi towarzyszył — z wielu względów Heilsberg przechodził Skierniewice, nie ogrodem samym, bo i wspaniale a smakownie urządzonym pałacem, bibljoteką, galerją — i wszystkiemi skarbami, w jakie obfitował.

— Lecz dobrze to Pan Bóg wszystko zrządził — przerwał arcybiskup. — Tam już niemal nie było co robić, tylko się co roku kaskady mnożyło i klomby przecinało, a tu wiele mam do roboty i nowe zajęcie.

— Bylebyś w. ks. mość — odezwała się pani kasztelanowa — dla tych kwiatków i cebulek, które tak lubisz, o złotem swem piórze nie zapomniał, bo to byłoby z wielką szkodą naszą i potomności.

— A! pani kasztelanowo dobrodziejko, — odparł zawsze wesołym tonem Krasicki — pióro moje niewiele już warte. Nigdy ono złotem nie było, dziś lękam się, aby ołowianem się nie stało. Ludzie moich lat mogą już powiedzieć sobie — *Fuimus!*

— Mości książę, — odezwał się posępny, blady, dziwnej i oryginalnej twarzy, ks. Staszic, cały jakby zamknięty w sobie i dotąd milczący — dziś my wszy-

scy, ile nas tu jest, o sobie to powtórzyć możemy: *Fuimas*. Przeszłość wszędzie — przyszłości nigdzie.

— Daruj mi, czcigodny panie, — podchwycił arcybiskup — jest zawsze przyszłość w niewyczerpanej Opatrzności Bożej, tylko my jej niedaleko sięgającemi oczyma dopatrzyć się nie umiemy. Uczą nas dzieje, że wszystko, co rosło, co trwało, starzeje, ginie i odmładza się ciągle. Zatem i my o naszych losach, lubo zmienionych, wątpić nie powinniśmy.

Spera, ora et labora!

— Święte słowa!... — szepnął Dmochowski.

— I jam ci też — rzekł, patrząc na talerz, Staszic — nie zwątpił o ludziach, ani o sukmanach, tylko, *sit venia verbo*, o kontuszach!

Burzymowski drgnął, choć dobrze nie zrozumiał; inni się uśmiechnęli, gospodyni dodała:

— A ja, ani o nich nawet!

Po chwilce milczenia ks. arcybiskup jakby się ulitował nad szambelanem, iż wśród nieznanych osób trochę się osamotniony czuć musiał, zwrócił się znowu ku niemu.

— Cóż to pana szambelana z za kordonu do nas przypędziło? — zapytał.

— Przyznać się wstyd... Mięsopust, m. książę — odpowiedział Burzymowski. — Nie dla siebie, boby mi o nim nie wczas myśleć było, ale Pan Bóg mnie obdarzył córką dorosłą, która zapragnęła zobaczyć dawną stolicę. Nasłuchała się o niej ode mnie. Człek słaby a dziecko jedyne.

Pani Lanckorońska popatrzała nań bacznie.

— A! to mi acana dobrodzieja szczerze żal, — odezwała się — niepokoju z młodą panienką dużo mieć będziesz.

— Ale panienka dobre miała przeczucie, — wtrącił ks. arcybiskup — Warszawa jest w istocie wesołą bardzo, gdyby tylko nie nadto. Za panowania Fryderyka II, który wielce łaskaw był na mnie, jak i za teraźniejszego króla naszego, zdarzało mi się nie jeden raz, *non tam volenter, quam reverenter*, spędzać kar-

nawały w Berlinie. Szczerze powiadam, że Warszawa więcej od stolicy Prus jest ożywioną.

— Byle też i cnotliwszą była — dorzuciła pani Lanckorońska.

— Daj Boże! — szepnął książę, — a no pono *ambo meliores*. Ale gdzież są miasta wielkie, zbiegowiska ludzi wzorami cnoty? Trzeba się więcej do natury zbliżyć, aby jej gniazdo odszukać! Na wsi tylko życie zdrowe... Miał słuszność, sławiąc ją, Bernard święty.

— Tak, tak! — odezwał się ks. Staszic, jakby przebudzony — to prawda, czy ją św. Bernard wygłosił, czy nie... Każdego narodu siła spoczywa w ludzie, ale i miasta mają swą użyteczność, jest to *malum necessarium*.

— Zapewne, gdybyśmy miasta własne mieli, — wtrącił Dmochowski — ale my mamy je tylko zasiedlone zdawiendawna cudzoziemcami i różnymi przybłędami. Obcy ten żywioł na swojski niełatwo się przerabia.

— Myśmy bo na mieszczan tak dalece nie stworzeni,—odezwał się Staszic—że u nas i miasta miały rolniczy charakter. Co w nich było polskiego, to orało i siało, choć razem szyło buty i krajało sukmany, bośmy narodem od prastarych wieków rolniczym *per excellentiam*. Niemcy się od nas gospodarstwa nauczyli, pług razem z jego nazwiskiem pożyczyli od nas, choć dziś my już do nich za to na naukę rolnictwa iśćbyśmy powinni.

— Niemiec ma to do siebie, — odezwał się arcybiskup — że z naszego lnu tka płótno, które my kupujemy, z naszej wełny robi dla nas sukno, a gotów tak samo i z naszej myśli książkę nam utkać.

Roześmiał się, aplaudując, Burzymowski wielce rad mądrej rozmowie, której się przysłuchiwał z atencją nadzwyczajną i ustami otwartemi, jakby ją chciał połknąć.

Panienki chichotały i szeptały, ożywione bardzo pocichu mieniając słówka. Spojrzał ku nim ks. arcy-

biskup i coś o tem pani Lanckorońskiej powiedzieć musiał, bo mu odrzekła półgłosem:

— Panny moje zajęte są tak mocno teatrem dzisiejszym, to dla nich wielka satysfakcja, a ja jej pozbawiać ich nie mam serca, choć... choć!...

Spuściła oczy, nie domawiając, staruszka, na twarzy jej malował się jakiś frasunek.

— Tak zwana Socjeta i nasi Francuzi bawią się tym teatrem wyśmienicie — odezwał się Dmochowski. — Mybyśmy też nic przeciw temu nie mieli, gdyby biedny nasz Bogusławski na tem nie cierpiał, bo u niego za to pustki straszne.

— Sąć przecie ludzie co i do niego chodzą! — wtrąciła gospodyni.

— Przez miłosierdzie, — odpowiedział Dmochowski — a smutna to rzecz być politowania przedmiotem. Teatr nasz już nie w modzie, bo Francuzi bardzo modni!

— Zachciałeś asińdziej! — rzekła gospodyni — modzie się tej wybacza, która ma litość w sobie. Wygnańcami są ci Francuzi, nieszczęśliwi, bez ojczyzny, a gorzej może jeszcze, niż bez niej, bo ją im popsuto. Choćby wrócili już się w domu nie poznają, a z gruzów odbudowywać nigdy stare nie wstanie!

— A ja mam dobrą w Bogu nadzieję, — rzekł arcybiskup — naprawi się to, co popsuło. Idzie i we Francji ku lepszemu, wróci dynastja i dawne prawa... tak, tak! ufajmy w to...

Dmochowski głową jakoś niedowierzająco potrząsł, Staszic zmilczał.

— Tymczasem — przemówił ostrych rysów twarzy nieznany mężczyzna już podżyły, który w końcu stołu siedział i milczał dotąd — tymczasem Francuzi nas zalewają. Warszawa się tak francuską stała, iżby ją za paryskie przedmieście wziąć można. Nie wszyscy też goście nasi pamiętać chcą, że gospodarzami nie są.

— Nieszczęściu przebacza się wiele — dodała gospodyni.

Wtem podano wety, bo rozmowa kilkakroć przery-

wana przez cały skromny polski obiad się toczyła. Przysunięto zimowe owoce do arcybiskupa, który był ich szczególnym znawcą i miłośnikiem.

— Ja o tej porze w Heilsbergu — rzekł arcybiskup — już poziomki miewałem!

I westchnął.

— W Skierniewicach się dopiero przysposabiam ku temu!

— O! słyszeliśmy wiele o sławnych zimowych ogrodach dawnej rezydencji w. ks. mości — rzekła gospodyni.

— Wstydby mi było tego miłośnictwa, które na sybarytyzm zakrawało, — rzekł Krasicki — gdyby ono nie miało swej dobrej strony i nie wyszło na korzyść okolicy. Gdym dawną moją rezydencję opuszczał, już i włościańskie ogródki aż do Frauenburga w dobre owoce obfitowały, a ananasowe poziomki chłopi na wsi zjadali i sprzedawali.

Rozmowa stała się powszechniejszą, gdyż ten i ów słowem się do niej wmieszał. Burzymowski, nie śmiejąc się wtrącać, słuchał bardzo pilnie, napawał się nią. Miarkował już, że oprócz przyjemności towarzystwa i przypomnienia się gospodyni, więcej ze spóźnionych odwiedzin tych korzyści mieć nie będzie, gdyż zaraz po obiedzie, zostawiając czas do wytchnienia gospodyni, usunąć się wypadało.

Musiał się więc wyrzec rozmowy poufnej na osobności, o którą mu chodziło, odkładając ją do dnia innego. Okoliczności dlań składały się jakoś niefortunnie, losy się nań spiknęły, aby nic po swej myśli uczynić nie mógł.

Wstawszy od stołu, przeszli wszyscy do salki, w której kawę czarną podano. Burzymowski wsunął się między mniej znanych sobie gości ku drzwiom, aby się do wyjścia przysposobić. Jakoż wkrótce goście wszyscy poruszać się, żegnać i wysuwać poczęli. Jemu też nic nad to nie pozostawało, i przy ucałowaniu ręki pani Lanckorońskiej, uprosiwszy tylko o pozwolenie złożenia jej uszanowania wraz z córką, szam-

belan wymknął się z misjonarskiej kamienicy, pośpieszając do domu, gdzie mogli go z obiadem czekać, bo nie spodziewał się jeść go gdzie indziej.

Tak było w istocie, a pani wojska dała mu do zrozumienia, jak wiele zawinił, zawichrzając cały porządek dnia, w którym jeszcze tak niezmiernie wiele było do czynienia.

Przed wieczorem przecie musiano piętrowe zbudować fryzury, poopinać suknie, i tyle razy ztyłu i zprzodu przypatrywać się sobie w zwierciadle, azali szpilki gdzie lub fontazia nie brakło.

II.

Teatr *de Société* urządzonym był w jednej z sal radziwiłłowskiego pałacu, a że w owych czasach mniej daleko wymagającą była publiczność, nie odznaczał się wcale ani wspaniałością, ani wykwintnością zbytnią.

Ówczesnych dekoracyj najlichszy teatrzyk na prowincji dziśby się powstydził.

Miejsca też dla widzów wygodami wyszukanemi nie grzeszyły. Proste krzesełka dosyć gęsto ustawione zajmowały salę, rozdzieloną tylko na dwie części, jak świat, który tu uczęszczał. Jedna była dla śmietanki towarzystwa, dla zaproszonych gości, druga dla szarego mleka, dla z łaski za pieniądze wpuszczonej publiki.

Tu już zawczasu zajmowały miejsca postacie do najrozmaitszych warstw społeczeństwa należące, nawet tacy pewnie, którzy znajomością języka francuskiego pochlubić się nie mogli.

Główna za to część sali, przeznaczona dla zaproszonych, niezmierną prostotą urządzenia swego w sprzeczności była bijącej z osobami, które ją napełniać zaczynały.

Świat wielki w całym swym splendorze, piękności jego, elegancja, wytworność, stroje najwykwintniej-

sze cisnęły się tu i zajmowały szczupłe miejsca dla nich przeznaczone.

Francuskie nowe ubiory, głowy męskie *à la Titus* poostrzygane, gdzie niegdzie dawniejsze peruki i włosy ztyłu pozwiązywane, kobiece greckie fryzury najrozmaitszych kształtów, suknie jedwabne, klejnoty, koronki, kryzy, aksamity — jakby mozaiką żywą zaczynały wypełniać parter sali.

Nadewszystko błyszczało tu mnóstwo piękności, twarzyczek młodych, odmłodzonych, chcących być młodemi, już pięknych i pięknych jeszcze.

Wdzięk nie był nawet wyłączną cechą arystokratycznej części sali. Wśród płatnych miejsc, do których napływali mieszczanie, kupcy, drobna szlachta, a może nawet starsza służba możnych panów, dawały się dostrzegać lica, które z najdostojniejszemi o palmę piękności walczyć mogły.

Niejedna tu twarzyczka miała i arystokratyczną dystynkcię, i strój, któregoby się tytułowane pierwsze rzędy nie powstydziły. Z pokolenia, które schodziło, mało już było reprezentantów, świat młody po większej części lub mogący się liczyć do niego.

Z typów fizjognomij łatwo tu było wyróżnić Francuzów w wielkiej liczbie, których większość miała owo piętno galijskiego pochodzenia, jakiego wieki zetrzeć nie potrafiły. Na emigracji tej wcale znać nie było jej położenia, ani w wyrazie dumnych twarzy, ani w strojach wyszukanych i modnych.

Wszystko to zdawało się krajowcom wskazywać, poczuwać się do jakiejś wyższej roli i bardziej do zdobywców, niż do wędrowców bezdomnych było podobne.

Cisnęli się do nich ciekawi i z upragnieniem słuchali jak wyroczni.

Cała francuska kolonja zajmowała pierwsze rzędy, łączyła się z najwykwintniejszem towarzystwem i zdawała mieć poczucie, że mu zaszczyt czyni, poufale się z niem obchodząc.

Z większego świata, kto tylko nie grał dnia tego w zapowiedzianej komedji Dorat'a, znajdować się musiał w szrankach widzów. Było w modzie koniecznie pokazać się na Socjecie; gra artystów obudzała najżywsze zajęcie.

W sali ścisk się coraz powiększał, a że zaproszonych osób nie liczono i z płatnemi biletami się nie rachowano, przewidywać było można, iż wkrótce wszyscy się dusić będą.

Grabski, który unikał nazbyt ścisłych stosunków ze światem eleganckim i o zaproszenie dla siebie się nie starał, kupił sobie bilet zawczasu i znalazł się, wszedłszy, wśród bardzo różnorodnego tłumu, w którym rozpoznawał i w ulicach, i po sklepach, i na świecie gdzie niegdzie widywane twarze. Nie mógł on towarzyszyć kuzynce, gdyż liczba osób na bilecie zapraszającym była ograniczoną do trzech.

Majorowa podjęła się te panie i szambelana z niemi wprowadzić do krzeseł w pierwszych rzędach.

Mieczysław umieścił się tak przy ścianie, aby przynajmniej zdaleka mógł się widokiem pięknej Sylwji napawać.

Właśnie się był ubezpieczył, że go stamtąd nikt nie wyruguje, gdy we drzwiach ruch postrzegł i z bijącem sercem poznał po słusznym wzroście i ślicznej, radością rozpromienionej twarzyczce Sylwję, która, choć po raz pierwszy w życiu znajdowała się w towarzystwie tak tłumnem i z tak dobranych żywiołów złożonem, miała pewność siebie największą i nieustraszoną odwagę kobiety, która czuje, iż do tego świata jest przeznaczoną.

Szła jak królowa, śmiałe dokoła rzucając wejrzenia, ubrana ze smakiem wielkim, a razem z prostotą jej wiekowi przyzwoitą; szła z uśmieszkiem na ustach, zdając się mówić.

— Patrzcie, jak mnie Bóg piękną stworzył i jak mi z tem dobrze.

Włosy jej cudownie były związane wedle rysunku

z kamei greckiej zdjętego i dodawały rysom twarzy szlachetnego, klasycznego wyrazu.

Suknia jasna, śliczne koronki, łańcuszek złoty wenecki na szyi, u boku zegareczek z emalją kameryzowany, na ręku biały szal turecki, jak do portretu ją ubierały.

Nad wszystko jednak ubierała ją młodość i te dziewicze kształty posągowe, które ówczesny strój uwydatniał, a żadna sztuka naśladować nie mogła.

Tuż za nią pani wojska Czeżewska z minką ściągniętą, zesznurowaną, *d'une vraie précieuse ridicule*, z oczkami przymrużonemi, sentymentalna, jak niewinna srogich losów ofiara szła, panosząc się sobą, aby ją, uchowaj Boże, o plebejuszostwo nie posądzono. Nakładła tego dnia na siebie co tylko mogła, i kokardami, fontaziami, wstążkami, fiokami, pstrocizną uczyniła się jak najdoskonalej śmieszną.

Była to żywa karykatura paryska, ale ona jedna wcale tego widzieć nie chciała.

Za nią przesuwała się żwawo, zamaszysto, strojna z prawdziwą dobrego tonu choć trochę jaskrawą elegancją, majorowa, wesoła, trzpiocząca się — łająca jednych, drugim coś poszeptująca na ucho, popychając, śmiejąc się, dowcipując, dając znaki oddalonym, wszystkim znajoma, miła, a tak pewna siebie, jakby tu była niezbędnem kółkiem w machinie.

Nim do miejsc dla siebie przeznaczonych doszły, miała zręczność mówić po francusku, po polsku, po włosku, zdaje się nawet po niemiecku, bo rodzina Hoymów zajmowała też miejsce w krzesłach.

Oczy wszystkich, a szczególnie mężczyzn młodych i starych, zwracały się na piękną nieznajomą, na Sylwję. Panie, którym przybywała rywalka, mierzyły ją od stóp do głów, w tym żywym, ślicznym posągu szukając plamki, rysu, czegoś, coby było wadą, coby psuło harmonję całości, coby pierworodnej zmazy ludzkiej było piętnem.

Z niepokojem trudnym do odmalowania wlepiały wzrok w twarzyczkę jej, wyraz i charakter chcąc zba-

dać. Nie brakli jej inteligencji? nie będzieli śmieszną? Egzaminowały strój, czy nie zdradzi niedostatku smaku i parafjańszczyzny? Z siłą intuicji, jaką posiadają kobiety, wcielały się w to nowe bóstwo, aby odkryć słabą stronę jego, coby je między słabe, pospolite córki Ewy strącić pozwalało.

Jedyną plamką, jaką mogły w Sylwji znaleźć, był zabawnie się przedstawiający, okrągluchny Polonus, jej ojciec, który, tuż ją ścigając, skarbu swego z oka nie spuszczał.

Ojciec ten kontuszowy dowodził, że i wychowanie panny, nawpół przynajmniej, staropolskie być musiało.

Czcigodny nasz szambelan Burzymowski na ten dzień występu *coram publico* przybrał był, na nieszczęście, fizjognomję jakąś niezwykłą, uroczystą, z którą mu nie było do twarzy. Czuć było, że ją zapożyczył. Wystroił się też, wiernym pozostając *moribus antiquis*, w najparadniejszy kontusz, w karmazynowy żupan, w złocisty pas nazbyt gruby, który na żołądku już i tak zaokrąglonym tworzył górę ogromną. Czapkę wspaniałą z obawy, aby mu jej nie pognieciono, niósł w ręku, wysoko unosząc nad głową.

Ale niczem było to wszystko przy nieocenionym wyrazie twarzy, na dni powszednie wesołej, jowjalnej, rubasznej, a na ten wieczór przerobionej w statystę.

Więc usta nadęte, czoło miał namarszczone, głowę wtył odrzuconą, a cała postawa wynaśladowaną była z jakiegoś niedobrego wzoru, dla szambelana niewygodną, dla patrzących zabawną.

Burzymowski, niosąc w garści zaproszenie, był pewnym, że jest w prawie zająć miejsce na straży około córki, i wcisnął się za nią między krzesła, depcząc suknie, miętosząc stroje, gdy nań zewsząd sykać zaczęto.

Pierwsze te rzędy krzeseł były wyłącznie tylko dla samych dam odseparowane.

Majorowa, widząc to, nachyliła mu się do ucha.

— Panie szambelanie, niech pan sobie miejsca szuka gdzie indziej, tu same kobiety! Widzi pan, tu nie można!

Obejrzał się Burzymowski.

W istocie mężczyźni u drzwi i w ostatnich rzędach się skupiali. Rad, nierad musiał się rejterować, co mu humor nadwerężyło. U wnijścia, do którego się wycofał, ujrzał twarze znajome Kalinowskiego i młodzieży śniadaniowej, witającej go nadzwyczaj serdecznie. To go ujęło znowu i przywróciło myśl dobrą.

Pan Pacewicz schylił mu się do ucha.

— Chodź pan do nas! co ci tam do bab pilno! Nim się rozpocznie gra i kurtyna podniesie, wychylimy w kąciku burgunda po lampeczce. To nam oczy zaostrzy.

Oparłby się był szambelan, bo i burgunda znajdował nie na miejscu, i chciał choć zdaleka patrzyć na córkę a pilnować jej, ale młodzież go siłą, mocą pod ręce uchwyciła i niemal w powietrzu uniosła, wołając:

— Szambelanie, Cygan się dał powiesić dla kompanji, czyżbyśmy gorsi być mieli od Cygana. Chodźmy!

— Chodźmy! Chodźmy! — powtarzano dokoła natarczywie — i szambelan sam nie wiedział, jak się znalazł za drzwiami, w sionce i w bufecie.

W tym improwizowanym bufecie, który podobno panu Ledoux z tepperowskiego pałacu powierzono, ścisk już był i gwar. Młodsi i starsi chłodzili się i rozgrzewali, niektórzy dla pań kupowali cukry i łakocie.

Burzymowski zostawiony sobie nie dostałby był ani kropli wody nawet, ale panowie prowadzący go mieli swe prawne przywileje, zasługi, głos przeważny i na jedno ich skinienie tłusta butelka burgunda natychmiast się zjawiła, jako przednia straż tych, które w ślady za nią iść miały.

Burgund nie był już teraz od rzeczy. Szambelan się rozmyślił, rozważył i znajdował, że się nim pokrzepić nie wadziło; naprzód z tej racji, iż u obiadu pani kasztelanowej tylko lekkie wino stołowe węgierskie podawano, które, wedle teorji Burzymowskiego, kwasy w żołądku mnożyło, powtóre, że się czuł bardzo zmęczonym, a na znużenie niema lepszej rzeczy nad kieliszek wytrawnego, krzepkiego jak burgund wina, nao-

statek ponieważ mu nierozsądna jakaś trwoga o córkę serce uciskała, a chciał ją rozpędzić.

Kielich więc wystałego burgunda przychodził w porę, siły mógł dodać... przyjął go szambelan i wszyscy ochoczo się stuknęli.

— Oby się nam dobrze działo! — zawołał, mrugając, szambelan i nadając toastowi szerokie znaczenie.

Młodzież otaczająca go, dając mu poznać, iż doskonale zrozumiała doniosłość życzenia tego, także mrugać i uśmiechać się zaczęła. Wzięto go w oblężenie i otoczono nieprzebytem kołem.

— Jedna lampeczka dobra rzecz! — dodał, smakując, Burzymowski.

— Dwie jeszcze są lepsze, bo *bis repetita placent!*— podchwycił Kalinowski — jest to aksjomat niewzruszony.

— Ba! ale nieskończenie prawdziwsze i uroczystsze jest mistycznego znaczenia *omne trinum perfectum!*— wtrącił inny.

— Cztery, aby było do pary! — wołał trzeci.

— Pięć jest połową dziesiątka — dodał ktoś zboku.

— Sześć stanowi dwie trójce!

— Zlitujcie się! co te wszystkie liczby znaczą przy siedmiu! Siedem dopiero to mi lik! Liczba kabalistyczna, dni w tygodniu, kolorów w tęczy, mędrców... i nieporachowanych zjawisk najprzedziwniejszych...

— A! niech ichmościów z ich arytmetyką! — rozśmiał się szambelan, trzymający się jeszcze jedności.— Na jednym dość! Trzeba pamiętać, że — *ne quid nimis.*

I tak pito, a dolewano nieznacznie ztyłu do kieliszków napoczętych.

My zostawmy szambelana w dobrem towarzystwie, a powróćmy do sali.

Miejsce dla mających przybyć pań było zachowane, wskazała je usłużna majorowa.

Obok Sylwji siedziała już osóbka niezbyt ładna, ale młodością i życiem, wyrazem rozumu i dowcipu odznaczająca się w tłumie. Pomimo nadzwyczaj starannej tualety, można było dostrzec, gdy się poruszała,

jakby odrobinkę ułomności, jedno ramię trochę wyższe, ale to jej nie szpeciło. Gasiła tę przypadkową wadę twarzyczka tak rozjaśniona, tak rozumna, umiejąca przybrać wyraz, jaki chciała, tak przejęta wewnętrznym jakimś duchem młodzieńczym, iż przy niej najpiękniejsze nie zwracały uwagi; wydawały się martwe, bez życia, bezduszne.

Z ust i oczów tryskała jakaś siła, oznajmująca bogate wyposażenie głowy i serca.

Panienka ta od wnijścia Sylwji śledziła każdy ruch jej z ciekawością, z chciwością, a gdy szambelanówna usiadła przy niej, nie przestała badać najmniejszego szczegółu powierzchowności swej sąsiadki. Majorowa, zapewne już przygotowana na to, natychmiast przedstawiła pannę Burzymowską hrabiance Anecie Tyszkiewiczównie, córce pani hetmanowej, której między widzami nie było, bo miała wystąpić na scenie.

Niemłoda już pani hetmanowa miała taki talent dramatyczny, taką dystynkcję i wdzięk na scenie, iż wszystkie serca podbijała.

Hrabianka Aneta była jedną z gwiazd Warszawy, szczególniej się odznaczając rozlicznemi talentami, wielką umysłu żywością i znakomitem wykształceniem. Artystka, rysowniczka, sztycharka, zapalona czytelniczka wszystkiego, co na świat wychodziło, miała nad pospolitemi kobietami wyższość, jaką jej nadawały przymioty, które piękność zastąpić i kazać o niej mogą zapomnieć. Dlatego wdziękami nie mogąc walczyć z innemi współzawodniczkami, hrabianka Aneta zwyciężała je łatwo jednem słówkiem, i jak matka wdziękiem i słodyczą, podbijała dowcipem, często ostrym i wyższością umysłu niezaprzeczoną.

Lękano się jej zarówno, jak o łaski jej starano. Narazić się hrab. Anecie było to niepowrotnie się zgubić. Umiała okryć śmiesznością, a komu przyczepiła grzechotkę, ten się jej już pozbyć nie mógł. Sława jej dowcipu była ustaloną w Warszawie, powtarzano trafne jej słówka, a może i na rachunek hetmanówny tworzyć je sobie pozwalano.

Po drugiej stronie miały przybyłe panie piękność już niemłodą, goniącą ostatkami, świetną jeszcze przy wieczornych świeczkach i mroku, niezmiernie strojną, niespokojną, rzucającą oczyma na wszystkie strony.

Majorowa na ucho oznajmiła Czeżewskiej, że to była z domu księżniczka Sapieżanka, następnie księżna Sanguszkowa, a teraz hrabina Sewerynowa Potocka,— i że oczy jej biegały tak, szukając pana Michała, syna jenerałowej Grabowskiej.

Zkolei cały ten wieniec piękności najrozmaitszych musiała majorowa po imionach i nazwiskach dać poznać Sylwji, której też panna Aneta, zabrawszy z nią prędką i łatwą znajomość, służyła uprzejmie swą wszechwiedzą, ostrożnie dowcipem zaprawną.

Rozpoczęta rozmowa i zbliżenie się hrabianki Anety do szambelanówny dały jej poznać, że miała przed sobą niestrwożoną i trwożliwą wieśniaczkę, ale istotę bardzo dobrze usposobioną i przygotowaną do wcielenia się w świat wielki. Rozumiała wszystko od pół słówka, domyślała się łatwo tego, co dopowiedzieć nie wypadało, nie potrzebowała długich wyjaśnień. Dwie panienki wybornie do siebie przystały. Sylwja miała szczęście się podobać, prawda, że dowcipem wcale się nie myślała mierzyć z hetmanówną, a umiała go ocenić...

Ukazanie się świeżej, nieznanej piękności w Socjecie, osóbki, o której jeszcze nikt nic powiedzieć nie umiał, na którą wszystkie oczy były zwrócone — robiło wrażenie ogromne... Zapytywano dokoła, kto to mógł być taki? — skąd? — pod czyim patronatem wchodziła w towarzystwo? — do jakiej jego części miała należeć?

Na chwilę wszystkie panie musiały uczuć trochę zazdrości, takie dziewicza piękność wieśniaczki wywoływała zachwyty, tak pod pierwszem wrażeniem zgodnie cały ten świat uznawał ją — prześliczną.

Wprawdzie kobiety wkrótce potem znalazły różne drobniuchne skazy na tym diamencie. Jedna pani utrzymywała, że oczy miała za duże, druga, że usta za małe, inna, że jej płeć była wieśniaczo, chłopsko świeżą a nie-

dystyngowaną — i t. p. Mężczyźni jednak wszyscy godzili się na to, że piękność była pierwszej wody.

Książę Józef, który ze swym przyjacielem, zakrytym kilku Francuzami, stał w kątku i wpatrywał się w Sylwję z nietajonem zachwyceniem, tak się urządził z wyborem miejsca, despotycznie trochę, aby w ciągu całego przedstawienia z oczów jej nie tracić.

Kiedy niekiedy wejrzenie jego spotykało się ze wzrokiem majorowej, która zdawała się mu coś chcieć dać do zrozumienia, ale książę, jak gniewny i zmieszany, natychmiast oczy odwracał.

Szambelana nie było ani śladu, młodzież opanowawszy go, trzymała w bufecie, nie puszczając do teatru. Mieczysław Grabski, stojący opodal, zaledwie mógł oczyma niespokojnemi raczej odgadywać, niż dopatrzeć, co się działo z jego kuzynką, której ledwie grecką dostrzegał fryzurę. Marszczył brwi, napróżno ojca szukając.

Gdzie się zapodział, pojąć nie mógł. Widział go wchodzącego, a przy córce nie był, w tłumie u drzwi znaleźć go nie umiał. Tymczasem oczy niebezpieczne, czarne, śliczne oczy księcia magnetyzowały dziewczę nieopatrzne, które ich nie unikało.

Gdyby nawet zawsze usłużna majorowa księciu nie pokazała go Sylwji i nie nazwała, szambelanówna z widzenia przez okno w powozie sama go była poznała.

Wydał się jej idealnie pięknym, miał w sobie coś pańskiego, szlachetnego, rycerskiego, co go wyróżniało od wszystkich, jakgdyby innej krwi był, rodu, plemienia, niż ci, co mu, dokoła stojąc, dworowali. Odblask tronu lśnił się na nim jeszcze. Nawet Francuzi, duki i markizy z wielkiemi tony swojemi wyglądali przy nim na lokajów. Sylwja spojrzała i spotkała wzrok jego wlepiony w siebie, przeszywający, ognisty, natrętny. Zarumieniła się, odwracając oczy, lecz gdy po chwilce nieśmiało znowu wzrok rzuciła w tamtą stronę, znalazła jego źrenice czarne, nieporuszone, nieprzestannie jeszcze patrzące na nią. Zrobiło się jej gorąco, dreszcz przebiegł po ramionach, chciałaby była uciec, skryć się

od tego wzroku napastliwego, zuchwałego, mówiącego nadto i męczącego ją natarczywością swoją. Poczęła rozmawiać z panną Anetą, która jej właśnie oświadczyła, że po teatrze radaby ją zawieźć Pod blachę, aby tam poznała matkę jej, panią hetmanową.

Sylwja była tem uszczęśliwioną i wdzięczną.

Nie spoglądała długo w tę stronę, gdzie stał książę Józef, ale, rzecz dziwna, nie widząc jego wejrzenia, czuła je na sobie, paliło ją — a gdy po długim przestanku ukradkiem się chciała przekonać, czy książę jeszcze patrzył na nią — z przerażeniem zobaczyła czarne oczy jeszcze z większem natężeniem, wyrazem, blaskiem, jakby szukające jej wzroku.

Zapłonęła niezmiernie, gdyż pomyślała, że tak, jak ona, wiele innych osób mogło dostrzec to spojrzenie i tłumaczyć je sobie.

Zlękła się tego, ale razem szczęśliwą była i dumną.

W młodej główce co się to czasem roić może!

Któż wie? — widziała już może na białych ramionach swoich gronostajowy płaszcz książęcy, siebie panią i królową, u nóg swoich dwór cały, świat ten cały, a pięknego księcia, bohatera u boku — książę wydawał się jej coraz piękniejszym; zręczna postać jego rysowała się na białej ścianie sali w półcieniu, jakby ustawiona na piedestale — nie poruszał się prawie.

Francuzi, którzy się kusili zabawiać go rozmową, widząc, że do niej nie miał ochoty, odsunęli się nieco.

Kamenecki i Rautenstrauch zdawali się stać na straży, aby mu w jego zadumie nie przeszkadzano.

Dwór przyjacielski księcia Józefa łatwo było odróżnić po stroju, wszyscy doń należący mieli na sobie ubranie zwane mundurem przyjacielskim, złożonym z całego *ad hoc* garnituru: fraki zielone z czarnemi kołnierzami aksamitnemi, z guzikami, na których stał napis: *Jabłonna,* i ponsowe kamizelki, szamerowane po huzarsku.

Przypominało to przyjacielskich Albeńczyków i Szczęsnego Potockiego tulczynieckie liberje, upodlający serwilizm i lokajstwo szlachty, otaczającej magna-

tów — ale nie wszyscy też przyjaciele księcia Józefa radzi przywdziewali tę barwę dworską.

Po długiem oczekiwaniu podniosła się wreszcie kurtyna; — szmer rozmów, jakby czarodziejską różdżką zaklęty, nagle zmienił się w najuroczystszą ciszę, i wszystkie prawie wejrzenia zwróciły się ku scenie.

Mówimy: prawie, gdyż książę Józef był tego dnia roztargniony, zadumany i wolał się przypatrywać pięknemu temu parterowi kwiatów, który miał przed sobą.

Grano tego dnia Dorat'a — *La feinte par amour*.

Nie będziemy ani podawać treści tej komedji, ani opisywać gry artystów, dosyć powiedzieć, że widzowie wszyscy byli zachwyceni; a panie Vauban, księżna Ewa Sułkowska, Sobolewska, panowie Vauban, de Beaumont, Grabowscy i inni co chwila wywoływali frenetyczne oklaski.

Szczególniej zimny i sztywny Vauban, który w codziennem pożyciu zdawał się bardzo pospolitym człowiekiem, na scenie okazywał talent dramatyczny znakomity, jakiego się po nim nie można było spodziewać, — szło wszystko jak z płatka, bo nawet role były doskonale wyuczone i nie potrzebowały powoływać się do budki suflera. — Na twarzach publiczności malowało się zdumienie i przejęcie.

Ze sztuki dowcipnej Dorat'a wiał francuski duch dawny, coś wypieszczonego, wydelikaconego, wysmażonego, wydającego się tak dziwnie dystyngowanem, jakby być miało ideału cywilizacji wyrazem, zamiast jego karykaturą... Niestety, styl ten był zwiastunem przeżycia się i chorobliwego wycieńczenia.

W czasie sztuki Sylwja słuchała jej z wielką uwagą, i z większą może, niż inni słuchacze naiwnością dała się porwać urokowi tego języka i akcji; okazywała szczerze swe wrażenia, ale to ją ożywiało, czyniąc piękniejszą jeszcze. Książę Józef patrzał a patrzał na nią jak w zwierciadło, w którem się komedja odbijała. Czasem i ona zwróciła szybko oczy, czy też zawsze ściga on ją tym nieznośnym wzrokiem i przekonywała się, że książę był niesłychanie uparty.

Któż nie wie o tem, że oczy mówić umieją, że wzrok nietylko powiada — kocham cię, nienawidzę, gardzę, brzydzę się tobą, ale ma sposób oznaczyć dobitnie każdy odcień myśli i uczucia? Sylwja pierwszy raz się w życiu przekonała, że niemą taką można było prowadzić rozmowę i doskonale się rozumieć.

Mówiła mu:

— Ale, proszę księcia, wszyscy patrzą, ja się wstydzę!

Książę jej odpowiadał.

— Przestać na ciebie patrzeć jest nad siły moje.

— Czyż znowu? — czyż jeszcze?

— Muszę! — Nie ustąpię kroku, nie odwrócę oczu!

— Ależ — ludzie?

— Co mi tam świat i ludzie?

Niech wiedzą wszyscy, że ty jesteś bóstwem dla mnie.

— My się nie znamy przecie.

— Ja cię poznać muszę — i t. p.

Co się tymczasem działo z szambelanem, niepodobna było odgadnąć. Wprawdzie komedja po francusku grana, szybko, żywo, nie byłaby mu może całkowicie zrozumiałą, ale powinien się był choć pokazać między widzami i pośmiać na wiarę cudzą, gdy się wszyscy śmiali. Ani jego, ani młodzieży, co mu do bufetu towarzyszyła, nie było w sali. Czasami niektórzy z tej bandy ukazywali się we drzwiach na krótko, zarumienieni, w dobrych humorach — i wnet znikali. Zdawali się tylko przybywać dla przekonania się, że teatr był jeszcze pełny.

Grabski wszystko zdala obserwujący, bladł i niecierpliwił się, odgadł był prawie spisek na starego uknuty. Nie mógł nic poradzić na to. Widział ze swojego miejsca, jak Sylwję opanowano, wciągnięto w koło dam z Pod blachy, jak ożywiona, szczęśliwa, zapomniawszy o ojcu, cała się oddawała nieznanej, nowej dla siebie przyjemności.

Odwróciwszy się po chwili, ujrzał Mieczysław przy sobie stojącego niemłodego mężczyznę, ze smutną ja-

kąś twarzą, na której ślady lat przeżytych burzliwie bardzo były widoczne.

Ubrany skromnie, z założonemi na piersiach rękami, oparty o mur przyglądał się i przysłuchiwał z uwagą wielką, znawcy i miłośnika sceny. Grabski znał tę twarz z widzenia, nie mogąc jej sobie przypomnieć zrazu. Dopiero szukając w pamięci nazwiska, trafił na Bogusławskiego. On to był w istocie.

A że Mieczysław był mu niegdyś prezentowany, pomiędzy aktami zbliżył się do niego, przywitał i przypomniał mu się.

Stary milcząco, skromnie, z jakąś nieufnością przyjął Grabskiego, był pod wrażeniem przykrem, przygniatającem.

— Cóż pan, jako najlepszy znawca, mówisz o grze tych artystów amatorów?—zapytał go pocichu Grabski.

— Wyborna jest!—odparł dyrektor.—Przyszedłem uczyć się i podziwiać, bo ze wszystkiego należy korzystać. W rolach salonowych są to aktorowie nie porównani—dodał z nieco dwuznacznym uśmiechem, w nich też oni więcej od nas mają wprawy.

Całe życie aktorami być nawykli. My, schodząc z desek, radziśmy być prostymi ludźmi, jak nas Pan Bóg stworzył — oni...

Nie dokończył Bogusławski, czując, że nadto może był szczerym, a po chwilce milczenia dodał, jakgdyby pod ciężarem trapiącej go myśli.

— Jutrobyśmy tego Dorat'a mogli dać na polskiej scenie, o niewiele gorzej może, ale któż przyjdzie słuchać nas i patrzeć na nas po tych dostojnych artystach? Konkurencji z hrabiami i książętami nie sprostamy — ani talenta, ani stroje nasze!

Pan młodym jesteś, — mówił ze łzą w oku Bogusławski—nie pamiętasz lub nie widziałeś na naszej scenie — „Powrotu posła", a potem „Krakowiaków i górali". Nasz teatr trzeba było naówczas oglądać, gdy jedno serce biło na scenie, w lożach i na parterze. Naówczas rosnął aktor, siły mu dodawała publiczność, z nim i w nim grali wszyscy.

Otarł łzę stary Bogusławski, a Grabski szepnął poruszony:

— Mylisz się, szanowny dyrektorze — bardzo młody jeszcze, z całą żywością uczuć młodzieńczych, słuchałem „Powrotu posła" i byłem na „Krakowiakach!"

Bogusławski za obie ręce go pochwycił, oczy mu oschły i zaiskrzyły się.

— Byłeś pan! byłeś!—zawołał drżącym głosem.— A! to były czasy szczęśliwe. — Nie! to był sen i marzenie! Znikło też i rozwiało się jak senne mary!

Kurtyna podniosła się znowu. Grabski daleko był mniej zajęty Dorat'em i maleńką sztuczką, która po nim nastąpiła, niż Sylwją i jej ojcem. Czuł się coraz niespokojniejszym, a szambelana jak nie było, tak nie było.

Zapadła nareszcie zasłona po raz ostatni wśród grzmotu nieskończonych oklasków, wszyscy wstawać zaczęli, zamieszanie wielkie wszczęło się na sali, a że widzowie powstawali z miejsc swoich, Miecio nie mógł już nawet dojrzeć, co się działo z Sylwją i jej ojcem. Chciał co najprędzej wynijść, ale właśnie u drzwi płatnych miejsc ścisk był taki, że przecisnąć się stawało niepodobieństwem.

On i Bogusławski wstrzymani, zduszeni, cofnęli się, dając innym, szczególniej kobietom, wydobyć z tłumu i nieprzyjemnego tłoku. Czekali trochę, próbując po kilkakroć przebić się napróżno, — czekali znowu, i tak aż prawie do samego końca, gdy się już tylko resztki pozostały.

Grabski wybiegł nareszcie z sali, i na myśl mu przyszło zajrzeć do bufetu, jakby miał przeczucie, iż tam wciągnięto starego.

Znowu zmuszony przebijać się przeciwko prądowi, dostał się do pierwszej izdebki, w której nikogo już nie było, gdy do drugiej zbliżywszy się, zaleciał go głos znajomy.

Szambelan otoczony pięcią czy sześcią młodzieży, z kielichem w ręku, właśnie im nader raźnie i zamaszysto opowiadał, jak dzielnym był niegdyś myśliwym

i jak na polowaniu u książąt Sanguszków wypadł na niego razem dzik i rogacz.

— U księcia, mościbdzieju, porządek w myślistwie był rarytalny. Każdy myśliwy miał przy sobie chłopaka, który co najmniej dwie strzelby nabite trzymał w gotowości dla niego. Ja miałem właśnie jedną pogotowiu w ręku, gdy usłyszałem łomot — patrzę sadzi na mnie wprost wspaniały rogacz. Jak nie palnę... brzdęk! wywrócił się, a tu chłopiec mi drugą fuzję ciśnie, — odyniec! Złożyłem się do bestji. Jak huknę, mościbdzieju — wywrócił się i jucha mu pyskiem buchnęła! A, to powiadam asińdziejom, na ręku mnie tego dnia nosili...

W ciągu opowiadania szambelan spostrzegł stojącego we drzwiach, jak widmo, nieporuszonego Grabskiego.

— A! asińdziej tu co robisz! mocanie Miciu? — zawołał.

— Wszyscy się zwrócili ku nowemu gościowi i, znaki sobie dając, żwawo się wysuwać poczęli, nawet bez pożegnania. Grabski się zbliżył do szambelana.

— Już po teatrze! — rzekł do niego.

— Jakto?! co gadasz?! po teatrze?! Słyszę się jeszcze nie zaczęło! Coś tam zabrakło... — zawołał szambelan — ci panowie mi ręczyli.

Obejrzał się na swych towarzyszów, aby się do nich odwołać, obwinionych już nie było.

— Sztuki obie dawno odegrane, — dodał Grabski— wszyscy się do domów rozjechali, na sali niema nikogo.

Szambelan osłupiał!

— Ale, — możeż to być? — zakrzyknął, szukając aksamitnej swej czapki, którą tak troskliwie niósł nad głową w ręku, aby mu jej nie zmięto. Czapka znalazła się, ale spłaszczona i wysiedziana wniwecz... Burzymowski strzepując ją, aż nogą tupnął z gniewu.

— Najsłodsze Serce Jezusowe! — zawołał. — Co ty prawisz! sztuka skończona? wszyscy się rozjechali? Możeż to być? któraż godzina?

— Ostatni prawie wyszedłem z sali — potwierdził Grabski.

Szambelan począł się śpieszyć, klnąc pocichu. Wybiegli oba ku teatrowi, bo Burzymowski chciał się przekonać naocznie, jak rzeczy stały. W teatrze istotnie zastał pustki, dwie tylko świeczki łojowe paliły się w kątach, a kilku ludzi rozpatrywało się w pogubionych rzeczach, w pozapominanych chustkach i szalach.

Przed pałacem radziwiłłowskim powozu nie było żadnego, głucha cisza. Jeden chłopaczek z latarnią prosił się do przeprowadzenia.

— A no, to chodźmy z nim do domu — rzekł Burzymowski zrezygnowany. — Nie tak ci to daleko, a mnie niepilno. Prawda, że teatr straciłem, wdawszy się z tymi szałaputami, ale com się ubawił, tom się ubawił — powiadam ci, jak nigdy. Serdeczni to ludzie, młodzież złota! A łgą!! aż się za nimi kurzy, ale z taką fantazją, zawsze *arte* i zabawnie!!

Sylwja — dodał szambelan, idąc — będzie na mnie markotna, bo — *mea culpa*, winienem, zabałamuciłem się, jak młodzik! przeproszę ją! Przecież Czeżewska zna miasto jak swoją kieszeń, i powóz miały, i służącego, więc o nic się pewno nie zafrasowały! Nic się im nie stanie.

Grabski milczał posępny, szli dalej.

— Lękam się, — odezwał się wreszcie Micio — czy tylko powróciły do domu?

— No! a gdzieżby być miały? cóż znowu? — zaśmiał się Burzymowski — do kościoła za późno, a na przejażdżkę za wcześnie.

— Nie wiem, alem obserwował, — rzekł Grabski— że Sylwja porobiła znajomości, otoczoną była przez panie i — mam jakieś przeczucie, że ją musiano gdzieś zaprosić na resztę wieczora.

— Cóż znowu? co znowu? gdzie? jak? beze mnie? tak obcesowo? To nie może być! — zawołał szambelan — imaginacja!

Śpiesznym krokiem szli ku Miodowej ulicy. Zbliżając się do domu, podniósł oczy szambelan ku oknom pierwszego piętra, nie zobaczył w nich światła, ale wy-

tłumaczył to sobie tem, że tylko co powróciwszy, panie się jeszcze z wielkich toalet rozbierać musiały.

Zybek, jak zwykle, dla lepszego przypatrywania się miastu stał we drzwiach. Zobaczywszy go zdala, niespokojny trochę Burzymowski zawołał:

— Zybek! dawno panienka powróciła?

— A! panienkiż niema! — odparł chłopak — musić w tyatrze, czy co.

— Jakto niema? trutniu jakiś! jakto niema! Musiałeś, ty jucho, latać i prześlepiłeś, gdy wróciły — zawołał gniewnie szambelan.

— Ani krokiem nie ruszałem się od tego progu, — odpowiedział Zybek — toć oczy mam, widziałbym.

Z wielkim pośpiechem i rosnącym niepokojem wprost na górę popędził stary i wpadł do garderoby, gdzie służąca ze wsi i służąca z miasta wzięta, w towarzystwie jakiegoś eleganta z ogromnemi pseudokoralowemi dewizkami na żołądku, zabawiały się wesołą konwersacją.

— Panienka powróciła? — zahuczał głos szambelana.

Towarzystwo niezmiernie zmieszane — pierzchnęło na widok tej twarzy meduzy we drzwiach, a jedna z panien odpowiedziała, głos odzyskawszy.

— Panienki niema! Pan nas tak nastraszył!

Burzymowski drzwi nawet nie zamknąwszy, w rozpaczy się stoczył na dół do oczekującego nań Grabskiego.

— Patrzajże! patrzaj! — począł jeszcze na wschodach. — Bodajby cię z proroctwem twojem, a mnie z mojem bałamuctwem wszakci — ich niema!

Co to może być!!

Weszli na dół do stancyjek, w których Zybek już był świecę zapalił i, znając obyczaj pański, gotował się go z kosztownych szat rozbierać.

Łaska to Boża była dla szambelana, że jedno zmartwienie drugiego mu postrzec nie dało. Buty! owe paradne buty pooblewane były i srodze zabłocone, czapka pognieciona straciła cały swój urok dziewiczy, a na pa-

radnym kontuszu i żupanie plamy od wina pozsychałe świadczyły wymownie, gdzie i w jakiem znajdował się towarzystwie. Co najgorzej! pas ucierpiał złocisty, okapany łojem!

Zybek nie mógł się wstrzymać, aby, zdjąwszy z pana kontusz, nie pokazał mu zaraz szkód i obelg, jakie poniósł w teatrze. Innego czasu kląłby był Burzymowski, na czem świat stał, teraz był tak zgryziony i znękany, że to nowe nieszczęście najmniejszego już na nim nie uczyniło wrażenia.

— Pal go tam djabli! — mruknął niewyraźnie, dając kułaka Zybkowi.

Chciał Grabski odejść, nie puścił go szambelan.

— Nie odstępujże ty mnie! ratuj! radź! — krzyknął niemal płaczliwie, ręce załamując, gdyż wino uczyniło go sentymentalnym. — Co my tu poczynać mamy? Gdzie się one podziać mogły, a raczej ona — bo o Czeżewską mi nie chodzi, choćby z kretesem przepadła?

— Być może, iż majorowa ta, która z niemi była, zaciągnęła je do siebie na kolację, — rzekł, usiłując go uspokoić, Grabski — ale mogły i te panie, przy których siedziały, bom widział koło Sylwji hrabiankę Anetę Tyszkiewiczównę, — zabrać z sobą Pod blachę.

— Tegoby mi tylko jeszcze brakło!! tego! nadomiar nieszczęścia mojego! — zawołał, ręce ku niebu podnosząc, szambelan.

Narzekań biednego ojca powtarzać nie będziemy, bił się w piersi i obwiniał. Grabski przez litość starał mu się to w mniej przykrem świetle przedstawić.

Przesiedzieli tak prawie do północy.

Nareszcie usłyszano turkot powozu, który się u drzwi zatrzymał, i nieszczęśliwy ojciec wybiegł na córki spotkanie. Grabski pozostał umyślnie, czując, że w pierwszej chwili byłby tam zbytecznym.

Sylwja, jak anioł piękna, jak ptaszek wesoła, rzuciła się ojcu na szyję.

— Tatku kochany! — zawołała — nie uwierzysz, jaka ja jestem szczęśliwa! wszystko to winna jestem tobie, mój drogi, mój najlepszy ojcze!

Szambelan, który nagotował się był ciskać pioruny, rozbrojony, osłupiały — stał niemy.

— Ale cóż się z wami stało? — zaczął, przychodząc do siebie i głos odzyskawszy. — Gdzieżeście mogły być beze mnie? bez wiadomości mojej? Ja tu ze strachu umierałem.

— Byłyśmy Pod blachą! kochany tatku! — szczebiotała Sylwja. — Pani hetmanowa z panną Anetą zabrały nas. Szukałyśmy ciebie wszędzie. czekały, posyłały, nigdzie tatka znaleźć nie było podobna... A! co za wieczór rajski! jakie towarzystwo! co za ludzie! Jakie śliczne i miłe panie. Co za dystyngowani ci francuscy panowie.

Czeżewska, która stała, czekając, żeby się odezwać, pośpieszyła, dodając z emfazą, jakby była twórczynią tego triumfu.

— A! córka pana szambelana zrobiła tam, prosto mówiąc, konkietę całego świata! wszyscy nią zachwyceni, uniesieni, w admiracjach! Jutro jesteśmy proszone na obiad *en petit comité* do pani hetmanowej Na górę.

Fakt był spełniony! po tem, co się stało, cóż już mógł mówić szambelan? Spuścił głowę, potrząsł nią, zmilczał, nie pisnął ani słowa, przyjął życzenie dobrej nocy od córki i powrócił do Grabskiego oniemiały.

Popatrzał mu w oczy długo, potrząsając głową — uściskał go i rozpłakał się. Burgund wylewał się łzami.

— Ale powiedzże ty mi, — odezwał się żałośliwym głosem, upadłszy na krzesło — powiedz mi tak sumiennie, rzetelnie, uczciwie, co ja tu winien? Skład okoliczności! nieprzeparty fatalismus! Żebym się był nawet nie zagadał z tymi szaławiłami — to co? Mógłżebym się ja oprzeć pani hetmanowej? — Nigdy w świecie! Nie było na to rady! powiadam ci — fatalizm! przeznaczenie!!

Grabski nie chcąc go drażnić wymówkami, już teraz próżnemi, zabierał się do wyjścia milczący.

— Ja tam na ten obiad do pani hetmanowej nie pójdę — dodał zadumany Burzymowski. — Przyjdź ty do

mnie, zjemy razem i pogadamy! Zlituj się. — Ja głowę tracę z tą dziewczyną — a ona powiadam ci, jakby ją kto na sto koni wsadził, taka szczęśliwa!

I tak się ten niefortunny dzień zakończył.

III.

W pałacu Na górze, w małej salce jadalnej zasiadła niewielka liczba osób dnia następnego. Oprócz gospodyni i jej córki, hrabianki Anety, byli oboje państwo Vauban, których rzadko razem widywano, baron de Fontbrune, książę Józef i Sylwja z nieodstępną a uszczęśliwioną Czeżewską.

Szambelanówna była istotnie bardzo szczęśliwą, malowało się to dobitnie na jej pięknej twarzyczce; ale szczęście jej nie dorównywało rozpromienieniu pani wojskiej, która, choć ją nieco zaniedbywano, i mało się mogła mieszać do rozmowy, samem uczuciem tem, że się znajdowała wśród osób tak wysoko położonych, tak dystyngowanych — była w siódmych niebiesiech.

Oglądała się, uśmiechała, wciągała z rozkoszą to błogosławione, wonią arystokratyczną przesiąkłe powietrze, napawała się szmerem rozmów, w całem znaczeniu wyrazu tego używała swojego szczęścia z rozrzewnieniem, z wdzięcznością Opatrzności.

Już teraz snuła sobie, jak będzie mogła później okraszać opowiadania, wtrącając do nich ten prosty, ale wielkiego znaczenia frazes: „Gdym była u pani hetmanowej".

Lub: „Słyszałam, jak książę Józef mówił".

A nareszcie, choćby: „Zapewniała mnie hrabianka Aneta, gdym u nich była".

Przed obiadem zaledwie zawiązać się mogła rozmowa.

Hrabianka Aneta porwała swą rówieśnicę, aby się przed nią pochwalić nieco swojemi zajęciami, zabawami, całym zasobem umiejętności i talentów.

Gdy książę Józef nadszedł z baronem, zbliżył się razem do hrabianki i do Sylwji, grzecznie je zapytując:

— Czy wczorajszy wieczór nie zaszkodził im? bo Pod blachą, jak zwykle, było bardzo gorąco.

Tak nawet tego dnia napalono, że pani Cichocka w tańcu omdlała. Przypisywano to jednak jakiemuś wrażeniu, silniej działającemu na nerwy, niż ciepło pokojowe.

— A! owszem! — odparła Sylwja z właściwą sobie swobodą i śmiałością. — Wróciłam bardzo szczęśliwa i rozmarzona wszystkiem, com widziała i słyszała. Sny miałam czarodziejskie.

— Bardzobyśmy pragnęli, — odezwał się książę Józef — aby pierwsze wrażenie, jakie na pani uczyniła Warszawa, nie popsuło bliższe jej poznanie. Będziemy się starali o to.

Sylwja miała jeszcze odwagę podziękować wogóle za przyjęcie, jakiego tu doznała, nadeszła panna Aneta, która na chwilę ustąpiła, a później wszyscy zasiedli do stołu.

Przy obiedzie mówiono o tym tysiącu drobnych miejskich wypadków, których znaczenie tylko dla wtajemniczonych było zrozumiałe. Hrabianka jednak z uprzejmością wielką albo objaśniała siedzącej przy niej Sylwji, o czem była mowa, lub osobno ją zabawiała o czem innem rozmową, usiłując wybadać i poznać bliżej tę wieśniaczkę tak odważną i wesołą.

Sylwja, jakby przysposabiając się do ukazania na wielkim świecie, dużo czytała tych książek, które naówczas były w modzie; mogły więc wzajemnie sobie o nich udzielać postrzeżeń i myśli. Świat naówczas znękany radykalizmem rewolucji i utopjami ideologów, którzy się zwracali do stanu natury (jaki tylko w ich wyobraźni mógł istnieć), zaczynał się rozlubowywać we wskrzeszonych czasach rycerskich. Pisano romanse sensacyjne, średniowieczne niby, pełne szczęku broni i uczuć najtkliwszych. Wkrótce potem miała się ukazać Malwina, czyli Domyślność serca, i Julja i Adolf, mo-

gące dziś dać pojęcie o tem, jakie obrazy i fikcje do serc społeczności przypadały.

Malarze tworzyli sceny, w których rycerze, od stóp do głów okuci w żelazo, przyklękali przed bóstwy swojemi, przyjmując od nich kokardy i szarfy. Idealizowano mało znane wieki barbarzyńskie, jak najpiękniejszą przeszłość, do której wrócić się chciało, a że historyczne wiadomości, któremi się posługiwano do tego rezurekcjonizmu, niebardzo były obfite, dziwnie wyglądały i na obrazach, i w książkach, te poetyczne postacie, nawpół tylko wystudjowane, pół fantazyjnie dopełnione wedle smaku epoki.

Po takich kataklizmach, jak rewolucja francuska, która swem zwierzęcem barbarzyństwem oburzała, zawsze się ludzie zwykli uciekać dla ochłody i pociechy ku przeciwległej ostateczności. Sentymentalizm więc wykwintny, uperfumowany, mdły szczepił się na świeżem zepsuciu dawnych dworów i arystokracji. Nerwy, tkliwość, czułość, ekstazy miłosne były w modzie, jak stroje greckie, co nie przeszkadzało złośliwemu dowcipkowaniu, ani największej płochości obyczajów, bo sentyment miał ten dar, że wszystko uniewinniał i tłumaczył, a serce wszystko, nawet rozpustę rozgrzeszało.

U stołu, jak zawsze u pani hetmanowej i jej córki, dowcip grał wielką rolę — *on faisait assaut d'esprit*. Sylwji nawet rozgrzanej i ośmielonej tym fajerwerkiem wśród którego się znalazła, udało się parę razy szczęśliwie rzucić słówko, które książę podnieść umiał.

Wszyscy już od wczoraj to postrzegli, że młoda szambelanówna bardzo się księciu podobała. Pani Vauban zdala przypatrywała się jej uważnie, robiąc minkę nieco złośliwą, a po obiedzie znalazła się z nią jakoś sam na sam u okna.

Czy to był egzamin, czy próbka pozyskania sobie Sylwji — nie mogła zrozumieć sama nawet szambelanówna. Pani Vauban była dla niej, co się bardzo rzadko zdarzało, nadzwyczaj grzeczną i miłą. Zapraszała ją do siebie *en petit comité* na wieczory, zebrała się na

parę komplementów i wobec towarzystwa dała jeden jeszcze dowód, że wcale nie była zazdrosną.

Potrafił się też później i książę Józef zbliżyć do Sylwji, wypytując ją bardzo troskliwie o jej gusta, o upodobania.

— O! mości książę, — odezwała się Sylwja — ja jeszcze jestem w tym wieku szczęśliwym, gdy wszystko jest miłem, a każda rzecz ciekawą.

Tak mało w życiu widziałam, że mi się wszystko miłem i zajmującem wydaje.

— Lubisz pani zabawy, czy ciche w małem kółku spędzane godziny? — badał książę.

Sylwja nie chciała się zdradzać z niczem.

— Mnie się zdaje, — odpowiedziała — że jedno drugie podnosi i czyni przyjemniejszem.

— A więc? — rzekł książę — *diversité est votre devise?* Czy we wszystkiem?

I bystro zapatrzył się w jej oczy.

— Nie wiem, jak to książę rozumiesz! — odparła Sylwja trochę zmieszana.

— W uczuciach serca, czy także pani potrzebujesz odmiany? — dodał książę.

— Na to pytanie, mości książę, — rzekła, rumieniąc się, wychowanka pani wojskiej po pewnym namyśle — jako bardzo jeszcze niedoświadczona istota mogłabym chyba odpowiedzieć teorją nie ze znajomości serca. Za mało żyłam. Wolałabym zapytać księcia o jego zdanie i radabym wiedzieć jego usposobienie.

Spojrzała w oczy księcia z trochą złośliwości: książę się rozśmiał.

— Ja tak mało o tem wiem, jak pani — odezwał się wesoło. — Różnie się trafia! Sądzę jednak, że siła sentymentu, która nas przywiązuje do osoby, nie w nas leży, ale w niej. Uczucie może być stałem, gdy przedmiot, co je obudza, godzien stałego uczucia.

— I ja — tak sądzę! — cicho szepnęła Sylwja.

Oczy dopełniały tej na sentymentalne manowce zbaczającej rozmowy.

— Posłyszysz pani pewnie, — dodał książę — wiele osób zarzucających mi płochość, a jednak obwinienie to niesłuszne. Człowiek szuka diamentu, chwyta wszystkie świecące kamyki leżące na drodze, a widząc, że nie są nim, cóż dziwnego, że je odrzuca?

— A gdyby znalazł diament, — spytała Sylwja pocichu, trochę złośliwie — czyby po chwili, znudzony nim, nie zapragnął wzamian choćby prostego kamyka.

To mówiąc, Sylwja rzuciła wejrzenie, jak na swój wiek i wieśniactwo, pełne znaczenia i śmiałości. Książę się zadumał trochę.

— Byćby to mogło zapewne, — odparł — ale jabym nie lubił człowieka, któryby tak za nowością gonił, i nie uniewinniałbym go, gdyby mu zarzucano lekkomyślność.

Jakby chciał zwrócić już za daleko zabłąkaną rozmowę, książę, z powodu bukietu stojącego na stole, zagadał coś o kwiatach. Spytał Sylwji, jakie szczególniej lubi.

— Mości książę, — odparła, jakby z aluzją do przeszłej rozmowy, rezolutna panienka — ja lubię wszystkie kwiaty, ale jest wiele osób, które największe mają upodobanie w tych, których — niema.

— To są te same osoby, co diamenty rzucają dla kamyków, nieprawdaż? — zapytał książę smutnie. — Czy panna szambelanówna posądza mnie, że ja do tego niefortunnego należę rodzaju?

— A! uchowaj Boże! mości książę! — śmiejąc się, zawołała Sylwja — skądżebym o nim mogła powziąć myśl taką?

— Bo są ludzie, — rzekł książę — co, nie znając mnie, liczą do tych nieszczęśliwych, znudzonych, zrozpaczonych, którzy z niczego nigdy nie są kontenci. Chciałbym, abyś pani choć miała o mnie trochę lepsze wyobrażenie.

Wymówił to z uczuciem, a piękna panna odpowiedziała zcicha, naprawiając swój błąd.

— Proszę wierzyć, że ja mam o sercu księcia jak najlepsze wyobrażenie. Jest to serce rycerza i bohatera.

Nagle uczuła Sylwja, że jej rękę ścisnął książę, zręcznie bardzo tak, że nikt pewnie ruchu tego dostrzec nie mógł, i w tejże chwili z wielkim pośpiechem, rzuciwszy wejrzenie na barona, który mu towarzyszył, pożegnał się i wyszedł.

Rozmowa przedłużona księcia z szambelanówną nie uszła niczyich oczów. Uśmiechano się złośliwie, pani hetmanowa wysunęła się do przedpokoju za wychodzącym, pogroziła mu, potrzęsła głową, szepnęła coś na ucho — książę się rozśmiał, ramionami poruszył i unikając dłuższej rozprawy, wymknął się z pośpiechem.

Wojska, chociaż rozpływała się w szczęśliwości, siedząc w pałacu Na górze, co miało dla niej stanowić w życiu epokę, zbyt była ścisłą obserwatorką zwyczajów, ażeby się tu nad godzinę dozwoloną mogła zatrzymać.

Skinęła więc na szambelanównę, aby pożegnała gospodynię i obie wyjechały, nowym gościom poobiednim robiąc miejsce.

Zaledwie wsiadły do powozu, gdy w uniesieniu wojska zaczęła ściskać Sylwję, nie mogąc znaleźć wyrazów na uwielbienie wychowanki, która jej taki honor czyniła. Dumną była z tego dzieła, przypisując sobie całe wykształcenie tak idealnej, zachwycającej istoty.

— Zawsze miałam o tobie największe wyobrażenie, — wołała — zawszem się spodziewała, że będziesz świetnieć w towarzystwie, ale przyznam ci się (tu głos podniosła z egzaltacją największą), takich sukcesów, takiego taktu i takiego szczęścia, jak ty masz, nie marzyłam nawet.

Książę Józef jak młodzik się w tobie zakochał... wszyscy to widzą. Vauban nie śmie nawet być zazdrosną i pada przed tobą. To czego tu żadna najznakomitsza piękność dostąpić nie mogła, ty to potrafisz jednem spojrzeniem... ty... miluśka czarownico!

Sylwja także była trochę dumną swym podbojem,

o którym z pewnością tak dobrze wiedziała, jak i wojska, ale udała, że weń nie wierzy.

— Droga moja ciociu, — odezwała się — co mówisz! To tylko chwilowa ciekawość i fantazja księcia, który, jak mi sama powiedziałaś, miał ich nadto wiele w życiu, aby je na serjo brać można.

Czeżewska uśmiechnęła się szydersko.

— No! no! zobaczymy! — rzekła. — Nie potrzebuję cię nauczać, jak się z nim znajdować należy. Masz instynkt cudowny, sama będziesz wiedziała.

I uściskała ją raz jeszcze.

Nagle jakby sobie coś przypomniała, Czeżewska pociągnęła za sznurek, który stangret miał na ręku.

— Wiozą nas do domu, jak widzę, — zawołała — a ja przyobiecałam, że po obiedzie na kawie będziemy u naszej majorowej.

Sylwja spojrzała trochę zdziwiona.

— Ale koniecznie — dodała śpiesznie Czeżewska— musimy być u niej przez wdzięczność, przez grzeczność! To się należy poczciwej mojej Jutce, bądź co bądź, bo jej zawdzięczamy wiele, a potrzebować jej będziemy co chwila. Nie można jej chybić.

— A cóż na to powie ojciec? — szepnęła zcicha Sylwja.

— A! co tam! Poczciwy nasz szambelan ani świata, ani jego wymagań nie rozumie wcale. Nie potrzeba bo mu się tak sumiennie ze wszystkiego spowiadać! Powiemy, żeśmy były w sklepach, albo — na przejażdżce, albo... coś się skomponuje.

Nie najlepsza to była nauka dla młodej panienki. Sylwja nic na nią nie odpowiedziała, a powóz potoczył się do mieszkania pani majorowej.

Wydało się ono ciaśniutkie i maleńkie po salonach hetmanowej, ale wytwornością swą nie ustępowało pewnie buduarowi największej pani.

Błyskotki te i cacka podobały się Sylwji, która aż zakrzyknęła z podziwu na widok saloniku, co majorowej pochlebiło.

Piękna niegdyś Jutka miała tego dnia na twarzy jakby wspomnienie przeszłości. Wdzięczek jakiś jej zwiędłe lice okraszał. Ubrana była niby po domowemu, ale z elegancją wielką i smakiem. Salonik pachniał jakąś wonią w nim rozlaną, nieznajomą i dziwną. W atmosferze jego było coś niezdrowo rozgorączkowującego, podbudzającego — lecz dla Sylwji i to miało urok nowości. Czuć w tem było bujne życie, którego jej młodość, nie znając, pragnęła.

Sama gosposia nadzwyczaj ożywiona, wesoła, przyjmowała te panie, a szczególniej Sylwję, z przesadną, nadskakującą, natrętną gościnnością, wynajdując im miejsca, troszcząc się niepomiernie, aby im było jak najlepiej.

Wniesiono natychmiast kawę na przepysznym serwisie kanarkowym z saskiej porcelany, ciastka, cukierki, konfitury...

Majorowa sama biegała, pędzała swego ładnego lokaika, nalewała, rozlewała, śmiała się, chwili na miejscu nie mogąc usiedzieć.

Czeżewskiej pilno też było pochwalić się z obiadem u hetmanowej. Poczęła zaraz opowiadać o przyjęciu, jakiego doznały, o księciu Józefie — (pomrugiwała oczami ku majorowej, dając jej do zrozumienia więcej daleko niż mówiła).

— *O! ma chérie!* — odezwała się gospodyni do Sylwji. — Prawda, że zawrócić głowę takiemu bałamutowi, jak nasz książę, już jest niepospolitą sztuką, ale pono na sumieniu masz więcej jeszcze!

Panna raki piekła, poprzysięgając zupełną nieświadomość popełnionego grzechu.

— Możesz ty tam o tem nie wiedzieć, — mówiła żywo Habąkowska — ale ja coś wiem o tem! Nieszczęśliwy de Beaumont jest zachwycony, jeden z Grabowskich poprzysięgał wczoraj, że w życiu piękniejszej nie widział kobiety, a są pewnie ofiary (victimes), o których się dopiero zczasem dowiemy!

Czeżewska triumfowała, majorowa przysiadła się do szambelanówny.

— Książę — poczęła jej szeptać na ucho — ma najlepsze serce w świecie, ale jest trochę sukcesami zepsuty. Gdybyś go naprawdę ujarzmić potrafiła — co za świetne zwycięstwo! Jakkolwiek dobrze już przeszedł za trzydziestkę, co to znaczy dla mężczyzny!

Dla mnie on zawsze jest ideałem rycerza — *d'un chevalier,* to Bayard nasz!

Długo tak paplała piękna Jutka, a to, co się z jej ustek sypało, niedobrze się jedno drugiego trzymało. Sylwja odpowiadała zaledwie półsłówkami, słuchała tego gwaru, napawała się nim, ogarniało ją jakieś upojenie, poza które dalej w przyszłość ani śmiała, ni chciała zaglądać.

Wśród tej żywej rozmowy długo do słowa nie mogąca przyjść Czeżewska naostatek odciągnęła majorową ku sobie i żywo jej coś do ucha sypać poczęła.

— A! — głośno odezwała się Habąkowska — dosyć spojrzeć na tego kochanego szambelana, aby go poznać i ocenić. Mój Boże! któryż ojciec jest innym? Żaden z nich nie rozumie młodości, każdyby na nią rad żelazne włożyć pęta. Czas później będzie pomyśleć o jakichś serjo postanowieniach.

W jej wieku — to mówiąc, wskazała na Sylwję — trzeba się bawić! kochać! bardzo kochać! Nie trwożyć się żadną przyszłością! Ona nigdy do nas nie należy, a te dni jasne i młode to cały skarb nasz!

— A! tak! tak! — mimowolnie uniesiona potwierdziła Czeżewska — to jest najrozumniejsza życia zasada! Później przychodzą nieuchronne dni smutnych rozmyślań, wspomnień, rachuby! Młodość jest tylko jedna!

— A miłość! sentyment — przerwała z zapałem majorowa — jest jedyną, co daje choć chwilkę szczęścia na ziemi.

Takiemi to przedziwnemi zasadami, zaczerpniętemi z własnego doświadczenia, karmiły Sylwję dwie jej nauczycielki. Pierwszy raz, pod wpływem otwartości pani Habąkowskiej, i wojska się ośmieliła tak jawnie wystąpić z teorją życia, której Sylwja dotąd z półsłó-

wek jej zaledwie domyślać się mogła. Atmosfera Burzymowa nie sprzyjała podobnym aforyzmom. Ogarnął szambelanównę niepokój jakiś, trwoga instynktowa, jakby poczuła, że jej podawano truciznę, lecz tak była zasłodzoną, tak wonną.

Gdy się tak zabawiano na kawie u pani majorowej Habąkowskiej, w kamienicy na Miodowej ulicy, po skromnym obiadku z Grabskim, szambelan zmusił gościa swojego do marjasza.

Mieczysław niechętnie biorący karty w ręce, przez litość nad osamotnionym i niespokojnym starym, musiał przystać na nudną dla niego rozrywkę.

Co chwilka szambelanowi zdawało się, że córka z obiadu powraca, zrywał się za każdym zbliżającym powozem i powtarzał nieustannie, że hetmanowa za długo u siebie Sylwję zatrzymywała.

Grabski się domyślał, że z obiadu panie te już gdzie indziej pojechać musiały, ale przypuszczeniami swemi nie chciał trapić szambelana. Na nicby się też to nie zdało, gdyż nikt go słuchać nie myślał, i niczemu on zapobiec nie mógł. — Pocóż miał skarżyć!

— Rozmyśliłem się — odezwał się wśród gry zacny Burzymowski, — rozmyśliłem się, że jużciż znowu tak złego w tem nic niema, że się w towarzystwie Sylwka moja trochę potrzpiocze. To młodemu potrzebne, jak woda rybie. Na wsi okrutne miała nudy, a to temperament żywy, czysta matka nieboszczka. Bez świata, bez szumu to żyć nie może. Niech się rozrusza, pośmieje, poskacze... pod okiem Czeżewskiej, jaka ona tam jest, to jest, nic znowu zajść nie może.

Grabski przebąknął.

— Pani wojska niekoniecznie mi się zdaje stworzoną na towarzyszkę osoby młodej i niedoświadczonej, bo za mało z własnego doświadczenia korzystała. Wydaje mi się dosyć płochą.

— Myślisz?? — zapytał szambelan. — Hm! i ja tak sądziłem, ale, powiem ci, przekonałem się, że ma gruntowne zasady. Co się zowie — pryncypja! Jestem tego pewnym!! Mówię to nie bez podstawy! Pozór tyl-

ko ma taki lekki, ale to nic więcej jak pozór, a względem Sylwji postępuje sobie z taktem wielkim i łagodnie, bo wie, że z nią najlepiej sobie da radę w dobry sposób. Tak! — łagodna jest, miękka, ale co się tyczy pryncypjów! ho! ho!!

Grabski się nie myślał sprzeciwiać.

— Ja bo widzisz, — ciągnął dalej szambelan — ja także choć napozór jestem łagodnym, choć niby ignoruję wiele rzeczy, ale oko mam na wszystko — nic nie ujdzie przede mną. Gdybym tylko coś niewłaściwego, niebezpiecznego przewąchał, stanąłbym okoniem! Sylwja wie, że ze mną żartów niema, gdy co postanowię. Dobry jestem, ale w potrzebie — u mnie, znaj duch!!

Czy Grabski wierzył tym przechwałkom, nie wiemy, spuścił oczy na karty, siedział zadumany, spierać się nie chciał, wiedząc, że się to nie zda na nic.

Szambelan raz wpadłszy na tę materję, mówił dalej:

— Niech się Sylwja potrzpiocze i zabawi, nie mam nic przeciwko temu! Niech się chłopcy do niej garną, aby nabyła doświadczenia, jak się obchodzić z nimi. Trafi się co na serjo, zobaczymy, rozważymy, czy to nam pasuje, czy nie. Nie trafi się, powrócimy do Burzymowa, a tam dla niej mam napatrzonego jednego młodego hrabiego Cetnera, chłopca bogatego, skoligaconego, który już na nią bardzo miłem oczkiem poglądał. Partja gotowa i doskonała. Majątek co się zowie, choć może trochę odłużony, ale kto dziś długów nie ma? — kasztelanic tytulik ma — co chcesz?

Zdziwiony trochę Grabski podniósł głowę. Szambelan się uśmiechał, triumfując z jego podziwienia.

— Oho! filut ja jestem lepszy, niż się wam zdaje — mówił dalej. — W Warszawie jeśli Sylwka ułowi większą i tłuściejszą rybę — Vivat! dobrze! — jak nie, mam w kieszeni Cetnera.

— A panna Sylwja jak dla niego usposobiona? — zapytał Grabski.

— Nie podobał się jej, odrobineczkę ułomny, choć twarz przystojna. Naprawdę niepozorny jest i *simplex servus Dei*. Ale właśnie takiego potrzeba dla kobiety rozumnej i trochę samowolnej, to jest skłonnej do samowolności. To będzie najlepszy mąż, potulny, akomodujący się!

Cieszył się szambelan swą przezornością, przenikliwością i doskonałą rachubą. Grabski nie śmiał mu przeczyć, ani uwag czynić żadnych, bo nie przywiązywał wielkiej wagi do tych projektów starego.

Głęboko strapiony tem, co się w oczach jego działo, a czemu zapobiec nie mógł, kryć w sobie musiał i miłość, którą usiłował zwyciężyć, i obawę o los dziewczęcia, i ból, jakiego doznawał.

Szambelan, jak wszyscy ludzie słabi, gdy nic uczynić nie mógł, wyrozumowywał sobie, że to, co się działo mimo jego woli, on sam dokonał.

Wmawiał sobie najdziwaczniejsze rzeczy, uspokajając swe sumienie.

Późno wieczorem powróciły obie panie, szambelan wybiegł natychmiast, towarzysząc im z Grabskim na górę. Zobaczywszy kuzyna, którego twarz chmurna wyraziście o uczuciach świadczyła, Sylwja zarumieniła się trochę i zmieszała. Spojrzenie nań było jakby wyrzutem dla Sylwji, niepokoił ją, bo czuła, że przy swym rygorvzmie mógł mieć słuszność, a posłuchać go — nie chciała!

Wrażenia świata, z którego powracała, w takiej były sprzeczności z tem, co Grabski niósł z sobą, iż szambelanówna zachwiana się czuła między temi dwoma prądami, które ją w dwóch przeciwnych ciągnęły kierunkach, ale — kości były rzucone.

Podała rękę Mieczysławowi i powitała go słowem bardzo uprzejmem, jakby mu za jego smutek zapłacić chciała.

Ojciec rozpytywał Czeżewską, która głosiła triumfy, to się wygadując zanadto, to wycofując a starając się przekonać szambelana o jednem, że powinien był

z wychowanej przez nią córki być dumnym, że nie umiał skarbu tego ocenić i t. p.

Zajęła tak Burzymowskiego swemi opowiadaniami, iż Sylwja pozostała na osobności z Miciem.

Poskarżyła mu się na zmęczenie i ból głowy. Może się spodziewała, że Grabski wypytywać ją będzie i miała zamiar pochwalenia się nieco przed nim przyjęciem u hetmanowej, ale kuzynek, radząc różne lekarstwa na migrenę, wcale się nie dowiadywał, co mogło być jej przyczyną.

Sylwja po innych swych wielbicielach znalazła go impertynencko obojętnym i chłodnym. Ubodło to jej miłość własną niewieścią. Micio wedle jej pojęcia powinien się był stale, szalenie kochać, wzdychać i, nie będąc kochanym, służyć jej z pokorą i ofiarnością bez granic. To emancypowanie się z niewoli kuzynka nie podobało się ślicznej pannie.

— Cóż kuzynek dziś porabiał? — zapytała.

— Byliśmy z szambelanem na obiedzie, a potem czekaliśmy na powrót pań... grając w marjasza.

— I ogadując nas? nieprawdaż? — zapytała Sylwja — bo ja — wiem to, nie mam szczęścia w niczem, nigdy zasłużyć na pochwały kuzyna dobrodzieja!

— Zdaje mi się też, że kochana kuzynka nie wielką wagę do mojego zdania i pochwał przywiązuje — odparł Grabski.

Sylwja spojrzała nań, przymrużając piękne oczęta.

— Zawszebym jednak chciała wiedzieć, co mi macie do zarzucenia — rzekła. — Nie taję się, jestem ciekawa, mówią, że to należy do wad naszych, ja myślę, że do przymiotów.

Mieczysław zamilkł, nie dając żadnej odpowiedzi.

— Widzę, — dodała Sylwja z przekąsem — iż tak dalece łaski straciłam, że nawet rozmowa ze mną przykrą ci się staje!

— Czy się to tak mówić godzi? — z wyrzutem odparł Grabski — wiesz o tem bardzo dobrze, że samo usłyszenie głosu twego jest szczęściem dla mnie. Wie-

dząc, że to, co powiem, cokolwiekbym powiedział, nie podoba ci się, wolę nie mówić nic.

— Doprawdy? — śmiejąc się, przerwała Sylwja — kłócimy się więc z sobą, jakgdybyśmy się kochali. Znasz przysłowie? — kto się kocha, ten się kłóci.

— Co do mnie, znajduję go najzupełniej prawdziwem — odparł Mieczysław.

— A! to kochanie! — zawołała Sylwja, krzywiąc usta — ja nie wierzę w nie! takiej jakiejś chmurnej, tragicznej, kwaśnej miłości nie lubię. Wolę wesołą i śmiejącą się.

— A tą ja, na nieszczęście służyć nie mogę! — rzekł Grabski.

Czeżewska wtrąciła jakieś zapytanie i spór ten przerwała. Szambelan kazał sobie opowiadać ze szczegółami całe u pani hetmanowej przyjęcie, pochlebiało mu widocznie, że córkę tak honorowano. Uprzedzenia jego nikły i rozwiewały się potrosze i rad był, wdzięczen i obiecywał sobie nazajutrz, paradnie się wystroiwszy, pójść z dziękczynieniem wymównem do pałacu Na górze.

O odwiedzinach u majorowej przemilczały obie panie, nadskakiwania też księcia Józefa nie wchodziły do sprawozdania Czeżewskiej.

Burzymowski coby się miał pogniewać za zbliżenie do Blachy, zdawał się uszczęśliwiony, powtarzać sobie kazał o przyjaźni zawartej z hrabianką Anetą, o najdrobniejszych szczegółach obiadu, zabawy, ucałował córkę i znajdując, że wypoczynku potrzebować musi, razem z Grabskim zszedł na dół w myśli udania się z nim gdzieś jeszcze na wieczerzę i kieliszek wina. Ckliło go, jak powiadał. Wyśmienity jego humor dziwnym się wydawał posępnemu Mieczysławowi, ale go psuć niczem nie myślał.

Poszli więc Pod orła na przekąskę wieczorną.

Czeżewska, która mimo że się trzymała prosto i chciała udawać młodą, cierpiała w kościach łamanie, wkrótce po odejściu tych panów, czując się zmęczoną, odeszła do swego pokoju.

Sylwja była temu rada, potrzebowała sama zostać z myślami swemi, z sercem wzruszonem, z wyobraźnią rozkołysaną. Czuła się jakby z chłodnej atmosfery rzuconą w ukrop jakiś, który ją parzył, przestraszał a razem nieznaną napełniał rozkoszą.

Przeszłość szeptała do niej strachem, teraźniejszość podawała rękę, aby biec po ukwieconej drodze. Prowadziła li ona do przepaści czy na zielone doliny edenu??

Smutny głos Grabskiego zdawał się mówić o przepaści, wesołe szczebiotanie nowych ludzi szeptało o edenach. Sylwja sama nie wiedziała jeszcze, co z sobą i sercem swojem uczyni.

Ziściło się to, czego pragnęła, weszła w świat pożądany, idealnym rycerzem wydający się jej książę był w niej niezawodnie zakochany — zajęty — winszowano jej szczęścia, ona drżała teraz jakimś przestrachem złowieszczym.

W tych myślach, rozwiązując swe piękne włosy, szambelanówna zbliżyła się ku zwierciadłu. — Na stoliku przed niem leżał prześliczny bukiet z fiołków samych złożony, skromny, wonny, a tak piękny!

Sylwja chwyciła go, niosąc do ust i twarzy, gdy zajrzawszy w głąb jego, spostrzegła zaledwie dostrzeżony rożek białego papieru!

Co to być mogło? Drżącą rękę zapuściła ostrożnie między ściśnięte fiołki i za kończyk malutki wydobyła z nich, cała zarumieniona, z sercem bijącem — bilecik!!

Dwie świece paliły się przy zwierciadle, rozerwała bilet prędko i zbliżyła się do jednej z nich, chciwie czytać poczynając. Liścik pisany był po francusku w stylu romansowym owej epoki, pełnym wykrzykników i zakleć, patetyzmu i wymuszenia. Sylwji się jednak zdawało, że w nim znalazła drgające uczucie, prawdziwe, głębokie.

Był to w jej życiu pierwszy bilecik miłosny. Czytała go, odczytywała, w oczach się jej ćmiło, nasycić się nim nie mogła. Nieznany amant nie żądał odpowiedzi, ani żadnego faworu, błagał tylko, aby mu gwał-

towne jego uczucia, jakiemi widok Sylwji go natchnął, płomienie, któremi gorzał, wolno było składać u stóp najpiękniejszej, boskiej Sylwji.

Miłość jego była czysta i miała pozostać wieczną, choć bez nadziei!

Dlaczego nadziei tak się wyrzekał, Sylwja zrozumieć nie mogła.

Szybko schowawszy bilet, piękna panna zadzwoniła na służącą.

Weszła jej dawna, przywieziona z Burzymowa Maryjka, ładna dzieweczka wiejska, która już z miastem się obeznawać zaczynała i znajdowała je wcale miłem. Ów elegant z dewizkami, którego szambelan przeszłego dnia znalazł w garderobie, mocno się do niej zalecał, i głowę jej zawrócił swoją pańską powierzchownością a nadewszystko tem, że ją w rękę całował, gdy tymczasem na wsi galanci zaczynali od szyi.

Maryjka była faworytką pani.

— Proszę cię, któż tu przyniósł ten bukiet? Jak można go było przyjmować, kiedy raz powiedziano, aby nic nie brać od nieznajomych?. — z pozorną surowością odezwała się Sylwja.

— E! niech bo się panienka nie gniewa — śmiało odparła dziewczyna. — Bukiet! albo ja wiem! mogę poprzysiąc na wszystko przenajświętsze, że wpadłszy tu do pokoju, zastałam go leżącym przed zwierciadłem, a kto go przyniósł, Boże mnie skarz, rozstąp się ziemio pode mną, nie wiem. Może Ludwika wie.

Powołano w mieście już przyjętą pannę Ludwikę, filuta dziewczynę, która weszła bardzo śmiało.

— Jakiś pan przyszedł, gdy stałam na dole, — odezwała się — powiedział mi: — Weźno, weź, panienka o tym bukiecie wie od kogo i gniewać się nie będzie. Jakże ja miałam go nie przyjąć! taki pachnący!

Sylwja bez gniewu i dąsania się, ale dosyć serjo oznajmiła obu pannom, aby odtąd od osób nieznajomych nie ważyły się przyjmować żadnych bukietów. Gdy mówiła, głos jej tak drżał i tyle było w niem wzruszenia, a tak mało gniewu, iż ani Maryjka, ani

tem mniej Ludwika doświadczona, nie wzięły danej nauki do serca.

Wyszedłszy do sieni, miejska dziewczyna rozśmiała się.

— E! to tak one się zawsze przy pierwszym drożą — szepnęła Maryjce. — Gadanie! a żeby jej nie wstyd było, toby mi podziękowała i dukata dała!

Sylwja odprawiwszy je obie, zaryglowała drzwi, dobyła bilecik, czytała go raz jeszcze i nie wiem ile razy, chowając, dostając znowu, przyglądając mu się na wszystkie strony. Jedną tylko osobę posądzić mogła o napisanie i tak zuchwałe nasłanie listu, jedną — lecz mogłoż to być?

Miała się poradzić Czeżewskiej i przyznać się przed nią do tego, co ją spotkało, czy przed nią zataić?!

W rozmyślaniach nad temi zadaniami wielkiej wagi piękna Sylwja, rozmarzona, nierychło usnęła.

IV.

Karnawał, chociaż dosyć długi w tym roku, był skończony, nadszedł post, a z nim zabawy mniej głośne u stolików, które pierwsze u siebie zaprowadziła pani hetmanowa.

Zadawano rymy, do których dorabiały się poezje francuskie czasem wcale zręcznie i pisano na kartkach pytania, a ten, komu z losu wypadło, starał się na nie jak najdowcipniej odpowiedzieć. Deklamowano sceny z klasyków francuskich i t. p.

Historja tego karnawału była tajemniczą. Mniej od wielu swych poprzedników zostawił po sobie śladów jawnych i skutków widomych; nie zaręczył się nikt, nikt nie myślał żenić, żaden dawny stosunek *intime* nie został rozerwany, nawet pani Sewerynowa pozostała przy wiernym, ostatnim adoratorze.

Żadna nowa *liaison* nie zawiązała się tak jawnie, aby o niej z pewnością mówić można. Szeptano sobie wiele domysłów różnych, ale dowodów na ich popar-

cie brakło. Twierdzili jedni, przeczyli drudzy, inni ramionami, nic nie mówiąc, ruszali.

Napływ emigrantów francuskich coraz był większy, mówiono nawet, nie oznaczając czasu, o przybyciu królewskiej rodziny do Warszawy.

Pod blachą szło życie zwyczajnym trybem swoim, w niczem się nie zmieniwszy; tylko ze zbliżającą się wiosną przygotowywano wilegjaturę w Jabłonnie, na przyjęcie księcia Józefa i jego dworu. Plenipotent księcia, p. Michałowski, po kilkakroć był wzywany Pod blachę; przyjeżdżał rządca, p. Hofman, oczyszczano i odświeżano już przez zimę zabrukane i zaniedbane pałac i oficyny.

Jak w trybie życia, tak w usposobieniach księcia Józefa widocznej zmiany nie było. Zawsze to był ten sam nieco znudzony i zobojętniały pozornie człowiek, żyjący sam w sobie, nie przywiązujący wagi ani do tego, co się wkoło niego kręciło, ani co się szeptało poza nim i przy nim.

Miał ten talent arystokratyczny książę, iż doskonale umiał nie słyszeć tego, o czem wiedzieć nie chciał, nie widzieć, co mu niewygodnie było zobaczyć.

Niekiedy młodsi i starsi jego przyjaciele próbowali go wprost o czemś zawiadomić, o czem mu się dowiedzieć nie podobało. Książę naówczas tak umiejętnie wyprowadzał ich w pole swą zimną krwią, iż spróbowawszy napróżno, cofali się zawstydzeni.

Jeden może przyjaciel młodości, książę de Ligne, znał lepiej tego człowieka, który dla innych był miłą, wielce dystyngowaną, ale nieprzeniknioną zagadką.

Gdy chciał, nikt mu ani z oczów, ani z twarzy nic nie potrafił wyczytać. Śmiał się wesoło bez ochoty do śmiechu, żartował dowcipnie, bawił się niby, dawał zabawiać, ale można było dostrzec, kto go znał lepiej, że wszystko to, czem się najgoręcej zajmował, było mu zupełnie obojętne. Nic nie powinno było zamącić raz przyjętych, dogodnych form życia.

Książę znał z pewnością wartość ludzi, którzy go otaczali, niektórych z nich niewiele cenił, ale mu byli

potrzebni dla jakiejś rozrywki, dla zajęcia miejsca w salonie lub przy stoliku; cierpiał ich, umiejąc uniknąć zbytniej poufałości.

Niektórzy utrzymywali, że delikatna pani de Vauban, tak samo, przez pewien obrachowany indyferentyzm utrzymywała się na raz zdobytem stanowisku.

Z tej budowy życia, obrachowanego na spokój i pozorne odrętwienie, nie można było wyjąć ani cegiełki, boby się reszta nadwerężyła i runęła.

Czasem wspomnienie jakieś lat, w których był czynnym, o których sąd miała wydać przyszłość, jedno go jeszcze poruszało, tak że powłoka lodowa, którą się okrywał, schodziła na chwilę. Spojrzenie na medal *Miles Imperatori,* leżący na stoliku, obok innych niewkładanych nigdy oznak i pamiątek, wprawiało go w zadumę, wymówione nazwisko jakieś wywoływało żywsze uczucie, malujące się na twarzy, lecz wnet siłą woli poskramiał się książę, kazał sobie zastygnąć i stygnął posłuszny. Dwór poubierany w przyjacielskie mundury bawił go natenczas bajeczkami, których on słuchał z roztargnieniem, gdy mu je do kawy i fajki przynoszono.

Kto chciał w nim pochwycić drgnienie życia wewnętrznego, tak starannie pokrywanego, musiał go zobaczyć, gdy sam na sam w gabinecie rozrywał i czytał przywiezione mu z poczty dzienniki i korespondencje z zagranicy. Nie mówił nigdy publicznie o polityce, udawał dla niej obojętność największą, ale śledził obrót spraw, szczególniej we Francji, z gorączkowym niepokojem. Zdawał się czekać na coś, czegoś spodziewać. Czasem nad gazetami znajdowano go z rozpłomienioną twarzą, z włosem rozrzuconym, lecz zagadnięty o nowiny, mówił o nich z chłodem, z obojętnością największą. Nie zawsze się nawet przyznawał, że coś czytał... Wszystko to było mu li potrzebnem wobec Hoymów i Koehlera, czy dla własnego spokoju? nikt naówczas nie śmiał odgadywać.

Sławny niegdyś jeździec, niemniej dzielny woźnica, co stojąc, czterema młodemi końmi w czwał się pu-

szczał lekkim karyklem przez Warszawę, lubił i teraz wprawdzie piękne konie, ale je rzadko dosiadywał, a liców już nigdy nie brał w rękę, zostawiając je staremu Czerepińskiemu, niegdy stangretowi króla jmci, który go teraz tureckiemi stadnikami na wielkie występy powoził.

W pierwszych dniach po zjawieniu się pięknej Sylwji w Warszawie mówiono wiele, acz pocichu o gwałtownej pasji, jaką w księciu wzbudziła.

Uśmiechano się, szeptając o tem, sądzono różnie, przepowiadano rozmaicie, potem jakoś to zupełnie przebrzmiało.

Panna Sylwja Burzymowska weszła w świat wielki, pozyskała w nim miejsce, bywała Pod blachą i w poufałem towarzystwie pani de Vauban, ale książę, przynajmniej przy obcych ludziach, nie okazywał dla niej szczególnych względów, z pewną nawet obrachowaną ostrożnością jej unikał. Panna nie przemawiała doń tak śmiało, jak w pierwszych dniach, on rzadko odzywał się do niej. Sylwja chłodno i krótko mu odpowiadała. Słowem, zdawało się, że fantazja księcia tak była nietrwałą, jak wiele innych, co ją poprzedziło.

Panna Burzymowska w pierwszych początkach po ukazaniu się swem mająca licznych adoratorów do których rachowano dwóch Francuzów, jednego z panów Grabowskich, jakiegoś jeszcze mniej znanego nazwiska panicza i podżyłego księcia, który afekt posunął był tak daleko, iż o ożenieniu przebąkiwał — umiała się ich wszystkich pozbyć chłodem, surowością i pewną dumą.

Dziwiono się tej nieczułości, a poodprawiani zwali ją, wedle ówczesnego języka, *„La Cruelle“* i znano ją pod tem nazwiskiem.

Uderzającą była zmiana, jakiej uległa, zbliżywszy się do wielkiego świata, ładna, wesoła i śmiała wiejska dzieweczka. Pod wpływem jego straciła swą śmiałość, naiwność, uśmiechy, z jakiemi przybyła do Warszawy, stała się nienaturalnie na swój wiek poważną, prawie smutną.

Nie odjęło jej to wdzięku, ale zmieniło prawie do niepoznania. W mowie była również pewną siebie i tak śmiałą, jak przedtem, lecz atmosfera tych sfer, do których tak wejść pragnęła, gdy ją raz owionęła, nie czyniła już na niej tego upajającego wrażenia, jak w dniach pierwszych po przybyciu.

Urok nowości rozwiał się prędko. Obracała się wśród tych nowych ludzi, jakby nigdy nie żyła gdzie indziej, jak w świecie sobie właściwym, do którego była stworzoną. Można było sądzić, że po matce odziedziczyła wiedzę, czy instynkt tego towarzystwa, do którego nieboszczka należała.

Wielki rozgłos, jaki miała jej piękność, przebrzmiał powoli, mniej już na nią zwracano uwagi.

Szambelan, który, jak widzieliśmy, miał zrazu tyle obaw i uprzedzeń, najzupełniej był z nich uleczony. Powoli zaczął wchodzić do domów, w których córka jego bywała, znalazł w nich przyjęcie grzeczne, obył się z niemi, spoufalił i pod niebiosa wszystkich wynosił.

Sam się teraz obwiniał, iż dawał ucho głupim plotkom i tak fałszywe miał o najzacniejszych w świecie ludziach i domach wyobrażenie.

— Człowiek się, mocibdzieju, uczy do śmierci — powtarzał zawsze milczącemu Grabskiemu. — Z jakiemi to ja tu przybyłem pojęciami, a wszystkie w łeb wzięły, gdy się człek zbliżył i rozpatrzył. Narzekałem, że mnie tu Sylwja na karnawał ściągnęła, nalękałem się napróżno, a ta dziewczyna lepszy, niż ja instynkt i nos miała. Nigdy w życiu przyjemniej nie spędzałem czasu i — słowo daję — najmniejszej teraz ochoty nie mam powracać do Burzymowa. — Albo i to moje niesprawiedliwe, parafjańskie uprzedzenie przeciwko tej poczciwej Wobanowej, która dla Sylwji — niech jej tam Pan Bóg płaci — mogę powiedzieć, jest drugą matką. Prawda, że Francuzica wydelikacona i grymaśna i że ma ten nieprzyjemny zwyczaj, że ciągle na jakieś składki dawać każe (bo ze mnie samego, lekko biorąc, jakie pięćdziesiąt czerwonych złotych ściągnę-

ła), ale zresztą kobieta rozumna, przyjemna, z głową i z taktem...

Szambelan był teraz zarazem tego przekonania, iż u poczciwej, ezcigodnej, szanownej kasztelanowej połanieckiej panowały śmiertelne nudy, że Sołtykowie źle bardzo robili, iż się boczyli i zimno stawili przeciw Blachy i t. p.

Jedna tylko rzecz zawadzała szambelanowi w tym świecie, to francuszczyzna. Wprawdzie dobrze się przysłuchując, trzy po trzy coś z niej chwytał, ale trafiało się często, gdy sam na dłuższy puścił się frazes, że albo w połowie utknął, albo coś takiego nieudałego sfabrykował, iż go zrozumieć nie było podobna.

Francuzi delektowali się jego mową, nie śmiali się z niej nigdy, — ludzie byli delikatni i obyczajni. Krajowcy tylko czasem zagryzali wargi i dawali znaki podziwienia.

Bywało wśród długiego wieczora, na którym Francuzi liczbą przemagali, że Burzymowski chodził od jednej grupy do drugiej, przysłuchując się — i nic a nic zrozumieć nie mógł.

Zmieniał pozycje — nie pomagało, wreszcie stawał zrezvgnowany z rękami wtył założonemi, udawał, że słucha i rozumie, uśmiechał się, widząc drugich uśmiechających, trząsł głową gdzie wypadało i powracał do domu znudzony, ale uratowawszy reputację.

Przed Grabskim poufnie wyraził się, iż ci Francuzi, co do Polski przybywali, rzeczywiście mówili jakimś językiem popsutym, a nie prawdziwą, czystą francuszczyzną. Miał to najmocniejsze przekonanie.

Lubiono go wogóle, należał do wszystkich składek, nie zawadzał nikomu; pito pił, jedzono jadł, humor miał łatwo się akomodujący, a temperament łagodny. Zdolności nikogo nie upokarzały, o ludziach nigdy złego nie mówił, o nic złego ich nie posądzał, owszem, gdy zasłyszał o czemś komu uwłaczającem, uporczywie zawsze bronił i zastawiał się. Miał też powszechną miłość u ludzi.

Mówiono o nim:

— Dobre człeczysko!

On wogóle o wszystkich powiadał:

— Poczciwe ludziska!

Stosunkowo, najwydatniej, po niejakim czasie, zmieniła się może pani wojska Czeżewska.

Po nadzwyczajnym entuzjazmie dni pierwszych dla tego wielkiego odzyskanego świata, który tak kochała, owładnął nią jakiś strach i niesmak razem.

Przyszło to nie nagle ani trwało ciągle; w początkach bywały jeszcze dnie, w których była bardzo ożywioną, potem nagle po nich następowała trwoga i niesmaki. Naostatek zachwyt i uwielbienie znikły gdzieś niepowrotnie, a milczący strach i kwaśny humor je zastąpiły. Chodziła chmurna, niespokojna — i wielka przyjaźń dla majorowej stygnąć zaczęła.

Poznać ją było trudno, tak zesztywniała, zachmurzyła się, stała się milczącą, nieznośną, a gdy usta otworzyła, gderliwą.

Nikomu to się więcej nie przykrzyło jak szambelanowi, który lubił twarze wesołe widzieć koło siebie, a był zmuszony codzień się spotykać z posępną fizjognomją rezydentki i niemniej nasępioną Grabskiego.

Starał się nawracać, ożywiać, lecz nie mógł się pochwalić, aby mu się to udawało.

— Co asińdźka, — mawiał do pani wojskiej — chodzisz jak ze środy na piątek, skrzywiona, znudzona, nieswoja. Dzięki Bogu, wszystkim się nam tu dobrze dzieje, nie trzeba grymasić.

Wojska odpowiadała na to westchnieniami, zawracaniem oczu i wymuszonemi minami, które Burzymowskiego do gorszej jeszcze niecierpliwości doprowadzały.

— Z temi babami, mościbdzieju, jak się to postarzeje, a nikt się już do tego nie umizga, rady niema; krzywią się, stękają, ze wszystkiego niekontente, w ocet się obracają. Jeszcze, która się dewocją ratuje, przynajmniej ma w niej jakąkolwiek konsolację, umizgając się do Pana Boga i imaginując, że jej wzajemnością się odpłaca, ale te inne!! Boże odpuść!

Być bardzo mogło, że wojska czuła się zawiedzioną w nadziejach tej roli, jaką się spodziewała odegrać na wielkim świecie.

W salonach, do których wchodziła jako *Chaperon* Sylwji, jako rodzaj *Duègne* (tak ją zwano), rzadko kto chciał ją zabawić i zbliżyć się do niej.

Trudno było długo wytrwać z nią na rozmowie pretensjonalnej a czczej. Siadywała więc osamotniona w kątku i chyba się druga taka ofiara zębów czasu znalazła, natenczas we dwie wzdychały razem i żaliły się na „świat srogi i przewrotny".

Majorowa, przyjaciółka młodości, szczególniej jej nie dopisywała, ona wiek swój średni nosiła wesoło, malowała się, barwiła, stroiła, wieczorami ludziom obdarzonym krótkim wzrokiem wydawała się jeszcze wcale ładną i niejeden jej prawił dusery; wreszcie, będąc bardzo zajętą, nudzić się i narzekać nie miała czasu.

Stosunki z nią wprawdzie pozostały na stopie bardzo przyjaznej, ale dwie serdeczne przyjaciółki zgodzić się nie mogły z sobą. Wojska zahukana, zagadana osłaniała się dumnem milczeniem.

Była tak nieszczęśliwą, że nigdy a nigdy z panią Habąkowską na swojem nie mogła postawić.

Stosunki jej z ukochaną wychowanicą czasu tego karnawału także się wielce zmieniły.

Wojska Czeżewska w początkach uradowana na wszystko zezwalała, pomagała do wszystkiego, nie sprzeciwiała się jej nigdy i w niczem. Zwolna obudzał się w niej duch opozycji, poczęła Sylwję powstrzymywać, robić jej uwagi, trwożyć, sprzeczać się z nią.

Piękna panna miała dosyć energji, by jak ojca, tak i wojską pokonać, robić, co chciała i stawić na swojem, ale czasem po całych dniach nie mawiały do siebie.

Sylwja udawała wesołą, Czeżewska siedziała pogrążona w zadumaniu, darła czarne mitenki i wzdychała. Parę razy nawet ośmieliła się wojska ostrożnie zwrócić uwagę szambelana na to, iż Sylwja zbyt sobie śmiało

poczynała, zbyt rezolutnie na tak młodziuchną istotę— ale wiary szambelana w córkę zachwiać nic nie mogło.

— Daj bo asińdźka pokój — odpowiadał. — Ho, ho! wie ona, co czyni, bo ma więcej oleju w główce, niż my z asińdźką razem we dwoje. Na nią z zamkniętemi oczyma zdać się można, że ani omyłki ani głupstwa nie popełni.

W początkach sam się trwożyłem, ale gdym się przypatrzył, jak to tam chodzi, jak gada, jak z nimi swobodna, a het wszystkich zgóry traktuje, dopierom się przekonał, że u niej więcej w małym palcu, niż u mnie tu!

I stukał się palcem w czoło poczciwy Burzymowski, ukazując, jaki to u niej tam dobry zapas był.

Wojska w takich razach, zwyczajem swym, zaciskała usta, siadała boczkiem, podpierała się na łokciu, suchym palcem jednym uciskając zwiędły policzek i oblekała się majestatycznem milczeniem, tem milczeniem wymownem, pełnem znaczenia, upartem, pogardliwem, które tak mocno drażni.

Nie zważano na nią w ostatku, tak że się musiała czuć osamotnioną.

— Na hipochondrję cierpi, — mruczał Burzymowski — ale osoba zacna i pryncypja ma. Radziłem jej pigułki doskonałe, cóż kiedy nie słucha.

Sylwji zmiana nie tak była znaczną, bo się raczej rozwinięciem, niż metamorfozą nazwać mogła.

Zyskała ona z bardzo wielu względów na pewności i wierze w siebie, na śmiałości i dojrzałości. Może nawet posuwała zbyt daleko swobodę ruchów i czynności, więcej, niż młodej panience przystało, ale z tem jej pięknie było i z naturą zgodnie.

Twarz jej i postawa nabyły dystynkcji, powagi, wyraz fizjognomji z wesołego stał się bardziej melancholijnym, wzrok nabrał żywości i blasku. Oczy, które już mówić umiały, gdy tu przybyła, teraz wyręczały usta, nauczywszy się wyrażać wszystko, co dusza uczuła...

Obracała się wśród tego dystyngowanego towarzystwa jak pomiędzy swoimi, jak w domu, nie okazując

najmniejszego zakłopotania, mając zawsze wpogotowiu słowo trafne, odpowiedź zręczną.

Kobiety były jej wdzięczne, gdyż nie tylko nie okazywała się zalotną, ale tych, co się jej natrętnie narzucali, odprawiała ostro i stanowczo. Dowcipem mogła czasem walczyć o lepszą ze sławną hrabianką Anetą; obawiano się też jej, bo nie oszczędzała nikogo.

Pomiędzy mężczyznami miała wielu zdala stojących i nienatrętnych wielbicieli, ale wśród pań, co dziwniej, przyjaciółek więcej jeszcze. Bardzo prędko i łatwo potrafiła się wcielić w towarzystwo Pod blachą, a pani Vauban, która uchodziła za tak grymaśną, podobać się tak, że za nią tęskniła.

Gościem też u niej była codziennym prawie, a niekiedy całe dnie do późnego wieczora tam spędzała. Bywało, że porzuciwszy wojską Czeżewską w domu, jechała tam sama, a pani wojska była skazaną na kabały, na ucieczkę do majorowej, która bawić jej nie miała czasu, albo na sprzeczanie się z szambelanem i dąsania się na wychowanicę.

Wesoła, trzpiotowata Sylwja, może skutkiem tej ciszy i melancholji chronicznej, które panowały u pani Vauban, spoważniała bardzo, posmutniała, do zabaw swojemu wiekowi właściwych coraz mniej okazując smaku.

Czytała wiele, Czeżewska parę razy wyszpiegowała ją piszącą, nie mogąc ani dojść, ani odgadnąć, co ona po całych dniach mogła tak troskliwie spisywać. — Było to dla niej drażniącą i niecierpliwiącą zagadką.

— Co ta dziewczyna tam pisze?

Czynione poszukiwania, nawet przy użyciu środków niezupełnie legalnych, nic odkryć nie dozwoliły.

Dla szambelana a może i dla Sylwji trochę Grabski codzień prawie przychodził, czasem tu przesiadywał dłużej, niekiedy się z kuzynką spotkał.

Nie dopuszczała mu jednak nigdy rozpocząć z sobą rozmowy o rzeczach, tyczących się spraw obecnych, odpychała od zbytniej poufałości.

Wejrzenie śmiałe Grabskiego, badawczy wzrok, którym czasem rzucał na nią, mieszały ją i niepokoiły.

Spotkawszy te oczy, które zdawały się czytać w jej duszy, odwracała się natychmiast i znajdowała jakąś pilną czynność, która jej pomieszanie ukryć pomagała.

Nawzajem spoglądała nań ukradkiem, niemal z obawą jakąś, jakby się lękała, aby jej myśli nie odgadł.

Raz czy dwa znaleźli się sam na sam. Grabski chłodny i obserwujący, ona poruszona i niespokojna.— Micio raz ośmielił się jej uczynić uwagę, jak ona mocno się zmieniła od przyjazdu do Warszawy.

— Ja? zmieniłam się? — odparła Sylwja — czysta imaginacja! Ja się nie zmieniam i nie zmienię nigdy, to nie jest w mojej naturze. Jestem czem byłam, nie poczuwam się i nie przyznaję do najmniejszej odmiany.

— Ale dla nas ona jest widoczną — rzekł Grabski.

Sylwja śmiało zbliżyła się do niego, znając moc, jaką nad nim miała, bo ta ją nigdy nie zawiodła i — rzekła:

— Proszę mi powiedzieć, jak i w czem się ja zmieniłam?

— Daje się to lepiej uczuć, niż określić — odparł Grabski. — Towarzystwo, w którem kuzynka teraz całe dnie spedza, podziałało na nią, — rzecz bardzo naturalna. Musiało się to odbić na pannie Sylwji.

— Więc chyba zyskać na tem musiałam, bo to jest niezaprzeczenie towarzystwo najlepsze, jakie być może? — spytała szambelanówna.

— Zapewne, najlepsze, ale nie nasze... — rzekł Grabski. — Przybyłaś tu, kochana kuzynko, wesołą wychowanką wsi naszej, a Pod blachą zrobili z ciebie czarującą Francuzeczkę.

Sylwja potrząsnęła głową.

— Ja nawzajem kochanemu kuzynowi powiedzieć muszę, — odezwała się — że ty, niestety, nie zmieniłeś się wcale. Jak prawiłeś kazania dawniej, tak i dziś w nich masz upodobanie. Ja zaś, gdy mam ochotę ich słuchać, wolę pójść do kościoła.

Mieczysław ukłonił się i zamilkł.

Ile razy tak przycięła mu i dotknęła go ostrzej Sylwja, wprędce potem żal ją brał, starała mu się to nagrodzić, stawała się milszą, a Grabski nie obrażał się nigdy. On jeden był w domu, do którego zdania przywiązywała jakąś wagę, chociaż go nie słuchała. Zdawała się go obawiać, patrzała nań niespokojna, a gdy milczał uparcie, wyzywała półsłówkami.

Tak się tedy ciągnęło dalej a dalej ku wiośnie, a o wyjeździe z Warszawy wcale jakoś mowy nie było.

Szambelan przypominał tu sobie dawne czasy, wynajdywał coraz dawnych znajomych, bawił się w swojem kółku przedziwnie i według zasad swej polityki, do domu pisując ciągle, iż powraca lada dzień (aby się służba, co chwila spodziewając, nie zaniedbywała), w rzeczy samej nie wiedział, kiedy i jak stąd wyruszy.

Dwa razy już musiał sobie kazać przysyłać pieniędzy, wziętych naprzód z dochodów majątku. Grosz leciał, jak opętany, trzos się wypróżniał, nim się szambelan opatrzył, że zabraknąć w nim może.

Gdy się stawał lżejszym, a w ostatku resztki z niego do sakiewki wysypywać musiał, ruszał ramionami, zaglądał do rejestrzyków i pojąć nie mógł własnej rozrzutności.

Dla córki niesposób było żałować, a wielki świat, na którym się obracała, kosztował ogromnie. Sylwja musiała występować modnie i świeżo, szczególniej na bale, asamble i t. p. suknie dwa razy jedne nie służyły. Burzymowski wzdychał i płacił, płacił i wzdychał. Jego własne utrzymanie oszczędne, ile razy sam był, wyciągało mu wydatki, gdy się znalazł w kompanji rozpasanej młodzieży. Skąpiąc dla siebie, na przyjęcia i postawienie się, jak to dawniej zwano, nie żałował ostatniego grosza. Ba! zdjąłby był koszulę.

Kurczył się, obliczając z groszem, ale, koniec końcem, dla jedynego dziecięcia czego się to nie zrobi!

Miał szambelan niepłonną, jak mu się zdawało, nadzieję, że przy takich Sylwji sukcesach, szczęśliwem wejściu w świat wielki, przy jej wdzięku, rozumie, re-

putacji majętnej jedynaczki, znajdzie konkurenta — co się zowie. Czekał, dowiadywał się, patrzył, dziwił i nie mógł pojąć, dlaczego nie było go — a! nie było! Przechodziło to wszelkie pojęcie Burzymowskiego i plątało jego rachuby. — Miałżeby być zmuszonym powracać z nią do owego odrobinę ułomnego hrabiego?

Jednego dnia, sam na sam znalazłszy się z córką, szambelan postanowił się z nią rozmówić w tym przedmiocie i zasięgnąć języka.

— Wiesz, moja ty najdroższa Sylfido (czasem ją w ten sposób spieszczał), wiesz, że ja obserwuję, przysłuchuję się, patrzę, czekam, a coś konkurenta dla ciebie nie widzę.

Nie najgorzejby było o tem pomyśleć przy takiej dobrej zręczności. A, może tam co napiętego masz? przyznajno się?

Sylwja, zmieszana, ruszyła ramionami, zrobiła minkę niezrozumiałą.

— Ale, niema nic! — rzekła krótko.

— To źle! źle — odparł szambelan. — Koniec końców jakiż cel? trzeba zamąż pójść! Na toście stworzone. Rachowałem na to, że moją Sylfidę tu z jaką mitrą zaswatam. Hę?? Czy nie zanadto jesteś dumna, a za mało angażująca. — Może wybredna? Co? Mów bo ze mną otwarcie, jak z ojcem należy.

— Co to tatko o tem myśli! — odezwała się córka niechętnie — czyż na to nie mamy dość czasu? Co pilnego?

— Zapewne! jużciż mnie się ciebie pozbyć niepilno! — rzekł Burzymowski — ale gdzież na zwierzynę polować, jeśli nie w lesie? (Rozśmiał się sam, rad z trafnego porównania). Gdybyś tu kogo złapała, ja nie byłbym od tego... Na wsi, dokąd wkońcu trzeba będzie kiedyś powrócić (bo trudno całe życie siedzieć w Warszawie), jeden tylko Cetner, co tak niby dla ciebie się kwalifikuje — a tu! jest w czem wybierać!!

— Możnaby doprawdy sądzić, że ja jestem ciężarem i że się mnie tatko chce pozbyć! — smutnie odparła Sylwja.

— Nie pleć̀e! — ofuknął obrażony szambelan. — Chcę twego szczęścia nic więcej.

Córka go w ramię pocałowała.

— Pozwól̀e mi go szukać sobie samej, — rzekła cicho — a nie naglij! Nie idzie mi tak bardzo o wydanie się zamąż, zawsze się ktoś znajdzie co tę biedną Sylwję weźmie — a swoboda mi droga.

— Hm. Jakby to rozumna taka, jak ty, kobieta — i po ślubie swobody mieć nie mogła.

Jużciż, że ty męża za nos będziesz wodziła, to nie ulega wątpliwości.

Rozśmiała się Sylwja, ale smutnie.

— Widzisz, tatku, — odezwała się — takiego, któregobym za nos wodzić mogła, ja nie chcę, a takiego, coby chciał mną rządzić — nie wezmę.

— Otóż widzisz, dilemma, czyli inaczej mówiąc, alternatywa, jaką stawisz — nie do wybrnięcia z niej. Tu sęk!—odpowiedział dobrodusznie Burzymowski.— Jak świat światem republiki w małżeństwie nie bywało nigdy — monarchiczne rządy zawsze, albo król albo królowa.

Wybieraj, kogo chcesz, — ciągnął dalej Burzymowski — mam w tobie wiarę zupełną, że złego wyboru nie zrobisz — byle nie Francuza! obliguję, nie Francuza! Choćby dukiem był, czy markizem, czy jak się tam oni tytułują, ja ich nie chcę... Mówią tylko tym kobylim językiem, którego ja dobrze nie rozumiem, a nadęte to i — finalnie gołe. Koszule im trzeba sprawiać i jeszcze ci pod nos..... Że się prezentują, pięknie, ani słowa, ale co mi z tego na dzień powszedni? kat ich bierz...

— Możesz być tatko spokojny, — uśmiechała się Sylwja — Francuza żadnego podbijać nie myślę.

— Ditto, Niemca, — dodał Burzymowski!—z tymi to już w jednym domu żyć nie można! *Quod Deus avertat!* Żebyśmy się z nimi bratać mieli, byłby koniec świata.

Sylwja upewniła zkolei ojca, że Niemiec i jej się niemożliwym wydawał. Szambelan dodał jeszcze parę przestróg i ekscepcyj, — na tem się skończyło.

— Dziewczyna dumna, — rzekł sobie w duchu Burzymowski — będzie przebierać jak w ulęgałkach, i powrócimy na wieś do mojego hrabiego... Byle się ten nie zaswatał! Ale — cóż tam już robić, byle jej z tem dobrze było — choćby do trzydziestki zwłóczyła!

Ku końcowi karnawału Czeżewska raz przez dwa dni z rzędu została w domu zapomnianą. Sylwja jeździła i wracała sama, pod różnemi pozorami.

Drugiego dnia ku wieczorowi zniecierpliwiona pieszo pobiegła do majorowej wojska, nie bawiła tam długo, wróciła niezmiernie wzburzona i siadła w salce, sparłszy się melancholicznie na ręku, w nadziei, że Burzymowski nadejdzie.

Stało się, iż w istocie, po obiadku postnym, *solo,* szambelan, dowiedziawszy się od Zybka, że wojska sama była na górze, przyszedł do niej na gawędę. Bo choć z kobietami nie lubił rozmowy, ale gdy nikogo nie było, oprócz Zybka!

— A cóżto tak asińdźka siedzisz *solo basso,* osierocona? — zapytał, wchodząc.

— Widzisz pan!! — odrzekła, wstając, głosem pełnym wzruszenia Czeżewska. — Widzisz pan! Do czego to przyszło!! Niech mi pan szambelan daruje, ale co nadto to nadto, swobody pannie dajesz za wiele!

— O! o! o! — powoli począł Burzymowski. — Cóż się to stało nowego? Gniewy jakieś? dąsy? Na miły Bóg! hę?

— Nie wiem, czy się co stało, — odrzekła wojska z przyciskiem, zbliżając się do Burzymowskiego, który się trochę cofnął, gdyż zapachu ambry, którym Czeżewska zawsze była nasyconą, nie cierpiał.—Nie wiem, czy się co stało, ale że się stać może, to pewna! Otóż ja zawczasu zawarowuję sobie, że za nic odpowiedzialną nie jestem i być nie chcę!...

Stanowcza ta, piorunowa protestacja wojskiej tak silnie uderzyła szambelana, że niemal osłupiał.

— Nie rozumiem, — rzekł po chwili — za co pani nie jesteś i nie chcesz być odpowiedzialną?...

Wojska już ochłonąwszy nieco po pierwszym wybuchu, zmieszała się. Poczuła, że zaszła może za daleko.

— Widzi pan, panna Sylwja jeździ sobie sama dokąd chce, nie mówiąc mi nawet miejsca, do którego się udaje, bawi, powraca, robi, co się jej podoba. Pan na to pozwalasz, niechże sobie będzie, co chce... ja ręce umywam! Umywam!...

— Ależ moja pani wojska, zreflektujże się, jakież jej może grozić niebezpieczeństwo? — zapytał Burzymowski — między osobami tak dystyngowanemi?...

Wojska ruszyła ramionami.

— Przepraszam pana szambelana, — poczęła, znowu się nieco zapalając — pan jesteś, doprawdy, dobr. duszny i naiwny, jak dziecko. W najdystyngowańszym świecie, na królewskich dworach, trafiają się pannom nieopatrznym nieprzyjemne—wypadki. Mężczyźni nie mają sumienia...

Burzymowski zbladł jak ściana.

— Cóżto? czy pani masz jakie poszlaki? Co to ma znaczyć? — zawołał groźno — mów pani! mów pani!

Czeżewska ulękła się, zmiarkowała, iż już po raz drugi za daleko się posunęła. Wypadało się cofnąć.

— Ja mówię ogólnie o tem, co się na świecie dzieje — poprawiła się. — Panna Sylwja nie jest wyjątkiem, nie ma doświadczenia.

— Przepraszam panią! — zagrzmiał Burzymowski uniesiony — Sylwka jest wyjątkiem... Tak! — powtórzył, głos podnosząc i rozpalając się coraz,—tak! Sylwka jest wyjątkiem!

A, to proszę! — dodał ciągle gniewny, — pani ją tak sądzisz rychtyk jak garderobianę, którą trzeba pilnować, aby nie padła ofiarą kredencerza! Co bo to za wyobrażenie! No proszę! Słowo daję!...

Szambelan zwykle dobry jak baranek — kipiał.

Czeżewskiej nie pozostawało nic, tylko chustkę do oczów przyłożyć i łzy ocierać, których przyjścia lada chwilę się spodziewała.

Wiedziała, iż w takim razie szambelan, rozbrojony, natychmiast przepraszał.

I tym razem chustkę zobaczywszy, pośpieszył z przebłaganiem Burzymowski, biorąc ją za rękę, którą mu wyrywała, i całując.

— Proszę mi wybaczyć, jeślim się za ostro wyraził, — rzekł — nie miałem intencji obrażenia pani. Słowo daję!

— Przecież pan to rozumiesz, — płaczliwie odezwała się Czeżewska — że ja to mówię z przywiązania do Sylwki, przez miłość dla ich domu!

— Ale dobrze, dobrze! rozumiem! nie płacz już asińdźka, — wołał szambelan — dajmy temu pokój... nie mówmy o tem. Dosyć. Sylwki swobody nie mogę ograniczać, widzisz asińdźka, bobym jej okazał nieufność. Nie mam też o nią obawy żadnej! Dziewczyna rozumna, któraby mnie i asińdźkę poprowadziła lepiej, niż my ją we dwoje. Dajmy jej pokój!

Gdy się wojska nieco uspokoiła, Burzymowski dodał cicho.

— Między nami, czy asińdźka masz jakie powody domyślania się, posądzania, że tam — co — jakiś romansik jest, czy co podobnego?...

Wojska długo stała w niepewności, z oczyma spuszczonemi, namyślając się, co ma odpowiedzieć.

— Mów asińdźka otwarcie — dodał Burzymowski.

Czeżewska głową dała znak potakujący i zdziwiła się, gdy ujrzała na twarzy szambelana zamiast gniewu, którego się spodziewała, ukontentowanie.

Zacierał ręce z radości i zbliżył się, o ambrze zapomniawszy.

— Mogę ja wiedzieć, co to jest? — zapytał.

— Ponieważ to są tylko domysły, ze wszech względów nie wypada mi ich wyjawiać — rzekła, cedząc przez zęby, Czeżewska. — Słowo daję, nie mogę nic powiedzieć!

— Ale coś tedy jest! coś jest! a Sylwka przede mną ani pisnęła! — zawołał Burzymowski z miną nadzwyczaj wesołą. — Widać, że pewnego jeszcze niema nic!...

Mniejsza o to — dodał po krótkim namyśle. — Jestem pewny, że jeśli uczyni wybór, to dobry, a sprawę rozpoczętą potrafi poprowadzić. Zatem, moja wojska — sza!...

Zdziwiona tem zakończeniem Czeżewska umilkła.

— Asińdźka — mówił dalej szambelan ze spokojem wielkim. — Asińdźka bądź tak pewną jak ja, że ta dziewczyna sobie radę da! Nic jej nie grozi! chyba temu, kto jej w ręce popadnie. To druga nieboszczka matka jej, świeć Panie nad jej duszą, a tę ja znałem dobrze... Kubek w kubek!...

To mówiąc, śmiać się począł raźnie, przeszedł się po salce, podrzucając nogami, zatarł włosy i z rodzajem politowania popatrzał na Czeżewską, która darła już swe mitenki, słowa się nie odzywając.

— Nie chcesz mi asińdźka wyjawić tajemnicy, — dodał wesoło — nie nalegam. Dość mi na tem, że bystre jej oko poszlaki pewne znalazło! Mądrej głowie dość na słowie! Cieszyłbym się, cieszył!

Tak się rozeszli, a Burzymowski na dół do swych izdebek się spuściwszy, w godzinę może doczekał się wiernego Grabskiego. Nie miał nic pilniejszego nad wyspowiadanie mu się ze swej dramatycznej z wojską rozmowy, wyśmiewając, co wlazło, jej obawy nierozsądne.

Pewnym był, że Micio podzielać będzie jego sposób zapatrywania się na postępowanie Sylwji, i zdziwił się trochę, widząc go zasępionym.

— Cóż ty na to? — zapytał.

— Zdaje mi się, — odparł Grabski — że Czeżewska, której ja wcale nie jestem admiratorem, na ten raz miała słuszność.

— Oszalałeś, czy co! — ofuknął go Burzymowski. — Baba obrażona, sama nie wie, co plecie. Ty zaś, poprostu, jesteś chyba zazdrosny. Hę? przyznaj się!

To mówiąc, uściskał go, zanosząc się od śmiechu.

— Ja, ty, Czeżewska! — zawołał, unosząc się, szambelan — co my jesteśmy przy Sylwji!... To rozum, to takt, to mocibdzieju powaga i majestat we wszyst-

kiem! Klękajcie narody! Nieśmiesznież to, abyśmy my, mizeraki jakieś, brali ją w opiekę, ją, któraby nas wszystkich w kaszy zjadła!...

I śmiał a śmiał się serdecznie, Grabski zaś popatrzał nań długo zdumiony, jak Czeżewska, i długo pozostał niemy.

— Szambelanie,—rzekł wkońcu — ja także jestem wielkim Sylwji wielbicielem, o tem ci mówić nie potrzebuję, zważ jednak, że ona nie ma doświadczenia, że, jak każda istota szlachetna, daje wiarę ludziom, na fałszywych sentymentach poznać się nie potrafi — a na wielkim świecie nie sami aniołowie.

— Kochany mój Miciu! — zawołał, ściskając go, szambelan. — Roją ci się niebezpieczeństwa! Sylwja nie potrzebuje doświadczenia, bo ma instynkt nieomylny, przedziwny. To istota wyższa, jak była jej matka! Dajmy my sobie pokój! my jej po kolana! mocibdzieju! po kolana!

Grabski zagadał już o czem innem, i usiedli do marjasza.

V.

Przed dawnym pałacem Teppera przy Miodowej ulicy, jednego z ostatnich wieczorów karnawału, paliły się dwie latarki z knotami obrosłemi. Tłum chłopaków i ciekawej gawiedzi oblegał drzwi, powozy zajeżdżały co chwilę, muzykę słychać było na górze.

Dnia tego dawny metr tańców i baletmistrz królewski, jwpan Ledoux ogłosił Cassino.

Wieczór w kasynie p. Ledoux nie był w niczem podobny do innych zgromadzeń po domach prywatnych. Tu najwyższe towarzystwo — *socjeta* — miało przyjemność ocierać się i przypatrywać klasie średniej, mieszczaństwu i wogóle wszelkiemu stworzeniu, które miało sześć złotych do wydania i strój na salę przyzwoity.

Zwało się to w salonach z francuska *s'encanailler un peu.*

Pan Ledoux o misji swojego kasyna mający wysokie przekonanie, powtarzał to często i głośno, że dwa tylko wielkie domy otwarte miała Warszawa — Blachę i kasyno Ledoux!

Kasyno łączyło w sobie wszystkie ówczesne zaludniające Warszawę narodowości, bo tu nawet Niemców spotykać było można, którzy jedyną prawie mieli sposobność przypatrzenia się na niem polsko-francuskiej społeczności.

Niedaleko od wnijścia na salę można było, kupując bilety, mieć szczęście oglądać samego baletmistrza, który wart był istotnie, aby go za biletami pokazywano.

Jak wielu innych cudzoziemców, przybył on niegdyś do Polski przejęty ważnością swej misji cywilizatorskiej. Wiedział, że jedzie do barbarzyńskiej ziemi, kędy taniec był bez metody, nogi bez wykształcenia, skok wielkiej szkoły ignorowany — czuł, że wiezie z sobą smak, piękność, przyszłych pokoleń grację i że mu należy pewny rodzaj panowania w Rzeczypospolitej, której być miał dobroczyńcą.

Długie lata upłynęły od tej chwili, zacny Ledoux zachował statecznie przekonanie, iż położył tu pierwsze fundamenta lepszej przyszłości.

Z jego szkoły wyszły te panie, które z nieporównanym wdziękiem tańczyły wśród ogólnych oklasków tamburyno, szal, menueta i tym podobne popisowe sztuki.

Sumienie mówiło mu, iż miał znakomite w kraju zasługi.

Malowało się to poszanowanie siebie dobitnie w całej już zestarzałego baletmistrza postaci.

Stał teraz na uboczu wystrojony, w peruczce utrefionej starannie, z żabotem fantastycznym na piersiach, nogi w pierwszej pozycji, ze złotej tabakiereczki czerpiąc delikatnie hiszpankę i rękom nawet chudym nadając wdzięk, bo każdy palec inaczej był zaokrąglony.

Patrzał na cisnącą się publikę triumfująco. — Kasyno było dziełem jego!

Na twarzy wygolonej do włoska, szerokiemi fałdami poprzecinanej, widać było spokojne sumienie człowieka, którego misja duchowa pogodzić się dała ze sprawą kieszeni, czującego, że obowiązki swe spełnił, a kabzę ma nabitą.

Niekiedy ktoś z wchodzących skinieniem głowy pozdrawiał pana Ledoux, naówczas Francuz, który tu wszystkich znał, a położenie każdego ocenić umiał, mierzył odpowiedź swą na powitanie wedle stopnia wartości człowieka. Niektórym z uśmiechem wdzięcznym kłaniał się do ziemi, rękę spuszczając; innych pozdrawiał grzecznie, ale niezbyt uniżenie, niektórych witał skinieniem głowy, a na wielu udawał nawet, że nie patrzy, aby się ich znajomością nie kompromitować.

Dnia tego spodziewał się pan Ledoux wielkiego napływu ze wszystkich obozów, bo wybrał szczęśliwą datę, gdy ani Pod blachą, ani Na górze, ani Pod filarami, ani nigdzie indziej przyjęcia nie było; Bogusławski zaś i pani Delicati, nie śmiejąc się z nim mierzyć, musieli mu ustąpić...

Kasyno dla wszystkich było miłe i pociągające, każdy rad się tu przypatrywał, jak też inne warstwy społeczeństwa wyglądają. — Napływ sześciozłotówek był pożądany, kasa się napełniała, powozy turkotały nieustannie i w salach robiło się coraz gwarniej.

Oprócz sali do tańców, gabinetów dla spoczynku, bufetów nieodzownych dla wielkiej zawsze ilości spragnionych i głodnych, w jednym pokoju przygotowane były stoliki do gry, gdyż namiętność do niej, tak nadzwyczajna za Stanisława Augusta, wcale nie była ostygła, zdawała się wzrastać jeszcze.

Grywano wszędzie, ciągniono bank u księcia Pod blachą i w Jabłonnie. Lubiła bardzo grać pani Tyszkiewiczowa i inne damy, całe wieczory niekiedy schodziły na tej kosztownej rozrywce. I przy kasynie, gdzie tyle osób tańcować nie mogło, bez kart się nie obchodziło.

Widok głównej sali, mimo dumy pana Ledoux, który się urządzeniem tego przyjęcia szczycił, wcale

nie był wspaniały, ani zachwycający. Prawdę rzekłszy, oświecały ją świece łojowe, rurkowe, po dwie poopra-wiane przy rodzaju lusterek umieszczonych na ścia-nach. Dokoła stojące ławki i krzesła dosyć już wytar-tym, zmiętym i poplamionym kazimirkiem były poo-krywane. Wieczorem barwa tego okrycia nie dawała się już ściśle oznaczyć.

Nigdzie też zbytku ani elegancji dostrzec nie było można, chyba w strojach pięknych dam, które nawet na kasyno występowały bardzo elegancko.

Zbierało się na ścisk wielki, bo choć jeszcze dość było wcześnie, sale się już wypełniały i przybyli gru-powali się wedle rozmaitych praw powinowactwa.

Zaszczycił na chwilę bytnością swą kasyno pan gu-bernator Koehler, około którego bliżej i dalej dosyć się już osób, mężczyzn i dam ustawiało. Była to postać sympatyczna, jeden z tych dobrodusznych Niemców starego pokroju, który człowiekiem być umiał i pojął swe posłannictwo w kraju — jako zesłany dla łagodze-nia i przejednania.

Jeden on ze wszystkich urzędników zostawił po so-bie imię szanowane, pamięć zacności charakteru i do-broci.

Widać też było z obejścia się podchodzących ku niemu osób różnego stanu i wieku, iż wszystkim był miły i dla wszystkich uprzejmym być umiał. Witano go z uśmiechem, nie sztywniał nikt na widok jego, nie zawadzał nikomu.

Francuskie i polskie towarzystwo napływało coraz gromadniej; panie w sukniach jasnych z krótkiemi stanikami, panowie w pończochach i trzewikach, dłu-gich frakach, z krótko poostrzyganemi włosami lub w peruczkach fryzowanych, z kapelusikami pod pachą.

Kilku pruskich wojskowych stało na uboczu, kilka kontuszów polskich tuliło się po kątach. Dam w po-deszłym wieku było mało, a kwitnących młodością i wdziękami nieprzeliczone mnóstwo. — Poufalszy, swobodniejszy ton panował w kasynie, niż na innych zebraniach w domach prywatnych, młodzież zwijała

się ochoczo, przygotowując do tańca, a choć i tu dzieliły się od siebie warstwy społeczeństwa, samo ocieranie się ich i swobodne rozglądanie dodawało im życia.

W chwili, gdy osób już było dosyć wiele, we drzwiach ukazała się postać dziewczęcia w lekkiej sukni przejrzystej, narzuconej na drugą, cięższą, z włosami misternie utrefionemi, wachlarzem w ręku i szalem...

Była to Sylwja, na której widok damy się zaczęły uśmiechać, a mężczyźni szeptać między sobą. Niektórzy zdawali się zapytywać o nią, a drudzy im ją ukazując, opowiadali żywo i wesoło...

Zajęcie nią było powszechne, oczów mnóstwo śledziło jej ruchy.

Szła poważna, zamyślona, obojętna, z pańskim jakimś majestatem i lekceważeniem tłumu, nie racząc prawie podnieść nań pięknych oczów, jakąś mgłą smutku czy szczęścia przysłonionych. Za nią postępowała wyfiokowana nadzwyczajnie, wonią ambry jak atmosferą otoczona, pani wojska Czeżewska, wykrygowana, usznurowana, z oczyma nieco przymrużonemi, na głowie niosąc włosy chyba nie swoje, w których tkwiły najrozmaitsze ozdoby, świecidła i pióra.

Wślad za panią Czeżewską postępował w całej chwale swej, w garniturze paradnym, odświeżonym i z plam oczyszczonym szambelan. Ale tego zaraz od progu pochwycili znajomi, i z jednych objęć przyjacielskich podając w drugie, natychmiast go od Sylwji z jej towarzyszką oderwali. Cieszyło go, iż tylu dla siebie znalazł życzliwych. Wyciągały się doń dłonie, dolatywały go zdala wyrazy, a szambelan rozpromieniony odpowiadał, urozmaicając formuły:

— Do nóg upadam.
— Do nóżek się ścielę!
— Stopki całuję.
— Uniżony...
— *Servus* i t. p.

Był tego dnia w usposobieniu różowem, jak rzadko, widział, iż całą sobie podbił Warszawę, i w czasie

stosunkowo krótkiego pobytu mógł się już uważać jak w domu.

Sylwja znikła zaraz w bukiecie pięknych pań, które na nią czekały i otoczyły. Burzymowski od jednego do drugiego przechodząc, łapany, odwoływany, zatrzymywany, zupełnie się obłąkał.

Nie dostrzegł nawet opodal nieco stojącego pod oknami Grabskiego, który osobno przybył wprzódy, niż oni, choć zwykle na kasynach nie bywał.

Można było posądzić, że go tu wiodła chęć widzenia choć zdala pięknej Sylwji. Stał w cieniu i od wnijścia jej na salę oczów od niej nie odrywał.

Sylwja wcale go nawet nie postrzegła, on śledził z zajęciem widocznem każdy jej ruch, uśmiech każdy, wejrzenie, mieniący się dziwnie, a zawsze smętny wyraz jej twarzyczki. Zdawało się, że chciał odgadnąć, co się działo w jej duszy, jakie myśli krążyły pod tem czołem białem — czy była szczęśliwą? czy?

Mówił w sobie Mieczysław:

— Biedna istota! Przyleciała tu, szukając szczęścia, a na czole jej widzę obłok, który nie schodzi nigdy.— Osłania się tajemnicą! zmieniona! niespokojna! Co dla niej gotuje przyszłość?

I myślał potem, jak ją wyrwać z tych prądów, z tego wiru, który ją unosił na skały.—Środka nie widział.

Kochać tak zdaleka, — patrzeć bezsilnemu na niebezpieczeństwo tego, co się miłuje, nie móc ust otworzyć, podać ręki! co za męka!

Sylwja nie wiedziała może o nim, ale obiegając salę oczyma roztargnionemi, nie postrzegła go i teraz — nie szukała. Obojętnie tak parę razy wzrok jej pobłądził po sali, prawie się nie zatrzymując na nikim i wrócił do bliższych osób. Stała, nie zdając się ani bawić, ani ciekawić w tym tłoku, choć inne panie szeptały, śmiały się, pokazywały sobie różne przesuwające się postacie.

Czeżewska przyglądała się przez szkiełka publice, chcąc jej dać poznać nadewszystko, że przecież była czemś lepszem nad nią.

Ponieważ tańce się już zaczynać miały, panie, które nie życzyły sobie brać w nich udziału, chyba później, ustąpiły ku ławkom i krzesłom, miejsca na nich zajmując. Sylwja znalazła się przy samych drzwiach po drugiej sali, zasłonięta niemi. Na progu stali mężczyźni, których widzieć nie mogła, ani oni jej... Nim muzyka grać zaczęła, mimowolnie posłyszała rozmowę panów stojących w progu. Nie domyślali się oni, że mogą być podsłuchanymi, albo to sobie lekceważyli.

Była to młodzież ochocza, hulaszcza, która o tej dnia godzinie nigdy w złym humorze nie bywała — a tym razem wstawała właśnie od zbyt przedłużonego szampanem, który w modę wchodził, i burgundem, który był w modzie, obiadu.

— Słuchaj, Władek, — mówił jeden — patrzajno tam, w lewo, pod trzeciem oknem, suknia biała, we włosach granat ponsowy, na szyjce kanak złoty. Widzisz ty ją? Co to za twarzyczka śliczniuchna! co za oczy pałające, jaka postawa pieszczotliwa i do pieszczot stworzona!

— Któż to taki?

— Nie znasz jej?

— Pierwszy raz widzę...

— Toć przecie dziś pani koniuszyna..... owa... nie pomnę już nazwiska. Wydano ją, czy wydała się za kogoś majętnego. Mąż, nie wiem co za jeden, ale o to mniejsza. Ona zaś, jakto żebyś nie znał, nie widział, nie słyszał? przecie to owa sławna Handzia, w której się książę Józef szalenie kochał przez trzy lata całe. Mieszkała wówczas we dworku, który książę dla niej kupił umyślnie. Mówią, że to była prosta sobie dziewczyna, ani czytać, ni pisać nieumiejąca, ale cud piękności, a nawet naturalnego dowcipu i sprytu... Książę szalał za nią i kochał się jak w wielkiej pani. Nim się nauczyła ręce umywać dla niego, całował brudne paluszki. Ile razy wynosił się do Jabłonny, jechała za nim. — Ale — znasz kochanego Pepi naszego, o ile zapalczywy w miłości, o tyle bałamut. — Zaczęła go wówczas kokietować ta Czo..... i Handzię dla niej zaniedbał. Szczę-

ściem jeszcze, że o jej losie pamiętał, a dobrze wydał zamąż. Córeczkę ma śliczną jak aniołek — ba! ale i sama jeszcze ładna! a! ładna bestyjka! Co przy niej wszystkie nasze panie wymokłe, uwiędłe, namaszczone i umalowane...

— Ale, ba! Książę bo ma gust dobry, co się zowie,— rzekł drugi — teraźniejsza jego pasja piękna, jak królowa. — Widziałeś przecie Burzymowską?

— A któż jej nie widział! — odparł pierwszy. — Tylko ta różnica podobno w tej pasji księcia od innych, że więcej się Burzymowska w nim, niżeli on w niej kocha. Powiadają, że unika.

— Książę uczciwym i szlachetnym jest, — przerwał głos drugi — choć mu się narzuca, choć rzeczywiście bardzo nią zajęty — ale...

Tu muzyka zagrała... słychać było szmer tylko niewyraźny. Mężczyźni stojący pode drzwiami śmiali się i szeptali... Kiedy niekiedy pochwycić było można dobitniej wymówione nazwiska majorowej Habąkowskiej, pani Vauban i t. p. W przestanku jakimś jeden z rozmawiających odezwał się.

— Skończy się to tak, jak zwykle podobne romanse! Znajdą dla niej Francuza utytułowanego, albo poczciwego szlachcica... i — co było a nie jest, nie pisze się w regestr!

Muzyka znowu zabrzmiała głośniej, nic już nad nią nie było słychać. Czeżewska siedząca przy Sylwji, a ciągle zajęta salą, spojrzała w tej chwili przypadkiem na swą pupilkę i zerwała się przerażona. — Sylwja, z głową o drzwi opartą i o ścianę, leżała blada i zemdlona, wachlarz wypadł jej z ręki, oczy miała zamknięte — lice było trupie i zimne...

Nikt oprócz wojskiej nie spostrzegł wypadku. Czeżewska, która bez flakonów nie wychodziła nigdy, co prędzej dobyła jeden z nich z kieszeni i zaczęła cucić nieszczęśliwą Sylwję, która nierychło otwarła oczy, podniosła się przestraszona, chwytając ręce wojskiej, drżąca, blada jeszcze, jakby nie wiedziała, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje.

— Gorąco w sali! Tyś taka zmęczona! Może wody.

— Wody! wody! — poczęła wołać Czeżewska — i zaraz ktoś usłużny pobiegł po nią.

Wpośród zgiełku i przewijających się osób nikt nie spostrzegł tego nieszczęśliwego omdlenia.

Młodzi ludzie, którzy we drzwiach prowadzili rozmowę, śmiejąc się, w głąb cofnęli.

Sylwja oprzytomniawszy, zwróciła oczy na ową Handzię i długo oderwać ich od niej nie mogła. Pani koniuszyna... owa w istocie była jeszcze bardzo piękną, a młodzież koło niej się roiła. Ona obchodziła się z nią dosyć pogardliwie a butnie. Śmiano się w kątku koło niej, i piękna Handzia czasem też pokazywała ząbki białe, dając się skusić do śmiechu, choć minkę robiła nadąsaną.

Grabski, który w początku ciągle tylko na Sylwję patrzał, szukał jej i teraz wzrokiem, gdy usiadła, ale mu ją drzwi zasłaniały, tak że się jej domyślał w kątku tym i całej sceny nie postrzegł.

Woda nieco szambelanównę orzeźwiła. Czeżewska nie domyślając się przyczyny omdlenia, a posądzając, że gorąco wielkiej sali spowodowało mdłości, rozmaite czyniła wnioski. Gotową była nawet poświęcić się dla wychowanicy i powrócić z nią do domu, jeżeliby się bardzo czuła osłabioną.

Sylwja odmówiła; ale twarz jej była tak zmienioną, że wojska ciągle się nowego obawiała omdlenia. Szczęściem pan de Beaumont, wielbiciel odepchnięty szambelanówny, która się go bardzo zimno pozbywała, co Francuza nie zrażało, zbliżył się, korzystając z tego, że ją zobaczył samą.

Był to średnich lat, piękny mężczyzna, który lepiejby się może wydawał, gdyby mniej o swej piękności pamiętał. *Petit maître* w całem znaczeniu wyrazu, miał w sobie coś niewieściego, co go zapewne kobietom czynić musiało wstrętliwym...

— Piękna pani! — odezwał się głosem wystudjowanym — dziś na jej licu uwielbienia godnem *(adorable)* znać niezwykłe znużenie, — czy pani nie słaba?

— W istocie czuję się dziś niebardzo dobrze, — odparła Sylwja — ale to przejdzie.

— A! niechże nas pani swem cierpieniem nie przeraża — dodał Francuz. — Za jej zdrowie każdyby dał życie!

Sylwja uśmiechnęła się z rodzajem szyderskiego politowania. Francuz nie odchodził, stał w pozycji jak do tańca, z ręką założoną za kamizelkę, szukał wejrzenia pięknej panny i — jak Francuzi powiadają — czynił się sam pięknym. Byłby nawet nim może, gdyby nie tak bardzo przypominał komedjanta na scenie.

— Szczęściem dla mnie, dziś pani osamotniona, — mówił dalej — mogę jej ofiarować służby moje?

Czeżewska, widząc Sylwję zmęczoną i pomieszaną, wtrąciła się do rozmowy.

— Pan baron mógłbyś w istocie pannie Sylwji — nam, uczynić wielką łaskę. Gorąco jej zaszkodziło, szklanka limonjady możeby otrzeźwiła.

Zakręcił się Francuz i pognał szukać limonjady. Sylwja oczyma smutnemi toczyła po sali.

— Najlepiejby podobno było powrócić do domu, czuję się słabą.

— Ale — możeby to przeszło!... — odpowiedziała nieświadoma przyczyny wojska — trzeba się trochę przezwyciężyć! szkoda wieczora!

Szambelanówna nic już jej nie odpowiadała, spuściła głowę, zadumała się.

Baron, przyniósłszy własnoręcznie limonjadę, czuł się przez to upoważnionym stanąć na straży i zabawiać Sylwję swym dowcipem. Ten, zawsze prawie w jednem obracając się kółku, był już jej dobrze znanym, bo go się dawniej nasłuchała.

Grabski ze swego miejsca nie mogąc widzieć kuzynki, a dla niej tylko tu przyszedłszy, szukał w początku innego stanowiska, ale gdy postrzegł przy Sylwji stojącego Francuza na straży, z którym o lepsze się ubijać nie myślał, znudzony powlókł się dalej.

W drugiej salce tańcowano także, posługując się tą samą muzyką, którą tu dobrze słychać było. W trzeciej

zgromadziła się kupka starych na poufną jakąś rozmowę, a dalej przeze drzwi pół otwarte widać było stolik suknem zielonem okryty i na nim kupkę złota.

Mężczyzna średnich lat, ubrany bardzo wytwornie, we fraku aksamitnym, cały obwieszany łańcuchami złotemi, z mnóstwem pierścieni błyszczących na palcach, pudrem woniejący zdaleka, z niezmierną żywością, wykrzyknikami dowcipnemi i hałasem, wśród śmiechów i wrzawy, trzymał bank faraona.

Dokoła stało, siedziało, wciskało się z kartami, zwieszało przez ramiona otaczających stolik mnóstwo młodzieży, wywołując stawki i karty, sprzeczając się i podżartowując z siebie.

Niektórzy, stojąc nad stołem i pilnując kart swoich, pili z kielichów, które w rękach trzymali.

Co chwila słychać było nawoływanie do bankiera, którego nazywano to po imieniu, to tytułem jakimś...

Nielitościwie obchodził się ze swymi poniterami, gdyż nie tylko ich ogrywał, ale z nich szydził sobie w sposób najdotkliwszy.

Sypał konceptami nie przebranemi na wszystkie strony, a pieniądze zgarniał na kupę, która coraz poważniejsze przybierała rozmiary.

Wtem znienacka ukazał się wchodzący drzwiami drugiemi, incognito, książę Józef, który, jak się zdawało, nie miał wcale zamiaru odwiedzać sal kasynowych: — wpadł tu tylko, aby coś lub kogoś zobaczyć.

Znany był wszystkim sposób grania księcia. Nie bawiła go gra, nie siadał do niej nigdy, czasami tylko, przechodząc, zobaczywszy złoto na stole, rzucał pierwszą lepszą kartę, wołając:

— *Va banque!*

Potem, czy przegrała, czy wygrała, więcej już nie stawił.

Wszedłszy tu, książę powiódł oczyma, jakby kogoś szukał, szepnął coś do stojącego przy sobie mężczyzny, zaczęto szukać pomiędzy tłumem wkoło, nie mogąc znaleźć tego, kogo potrzebował.

Ciągnący bank dowcipny i wesoły pan, postrzegłszy księcia, zmieszał się i pobladł.

Wesołość nagle go opuściła — udawał, że przybywającego nie widzi i patrzał w inną stronę.

Książę, który nie znalazłszy jednego ze swoich dworaków, już się miał nazad temi samemi drzwiczkami wyśliznąć, raz jeszcze rzucił okiem na stół gry, coś go pociągnęło ku niemu, schylił się, zdjął kartę z podłogi, szybko się przysunął do stolika, położył ją na rogu i zawołał swoim zwyczajem.

— *Va banque!*

Bankier, trzymający karty w ręku, podniósł ku niemu twarz wykrzywioną wymuszonym śmiechem.

— Mości książę! — zawołał — na co się to księciu zdało — biednych ludzi „dewalizować"?

— Trzymasz? — zapytał książę Józef.

Bankier ruszył ramionami.

— Muszę, jeśli książę każesz...

— *Va banque!* — powtórzył niecierpliwie stojący przy stole. — Nie mam czasu, — ciągnij!

Milczenie zaległo pokoik przed chwilą tak wrzawliwy, oczy wszystkich zwróciły się na talję kart, którą trzymał w trochę drgających rękach wyelegantowany bankier, z uczuciem jakiejś obawy czy niepewności rozpoczynający ciągnienie.

Książę ręką kartę swą cisnąc, patrzał na przechodzących, jakby go los jej mało obchodził.

Nagle szmer powstał, kilku wykrzyknęło coś niewyraźnie, książę spojrzał. Wygrywał.

— Mój drogi, — rzekł do stojącego przy sobie Kameneckiego — uczyńże mi tę łaskę i napakuj sobie kieszenie.

— *Bien bonjour!*

Odwrócił się i wyszedł.

Towarzysz księcia zapakowywał bank, śmiejąc się, zsunął dukaty, zsypał je garścią i, nie rzekłszy słowa, pośpieszył za swoim wodzem.

Na twarzy bankiera, który z kartami opuszczonemi na kolana siedział chwilę zadumany, widać było gniew

hamowany, jakby chętkę pomszczenia się i złośliwość, która się wyraziła uśmiechem szatańskim.

Westchnął głęboko.

— Cóż robić! *A la guerre comme à la guerre!* Pocieszajmy się tem, że kto szczęśliwy w kartach, w miłości szczęścia nie ma!

To mówiąc, dobył kilka rulonów dukatów z kieszeni, trzymanych w zapasie i, łamiąc je, na zielonem suknie rozsypał. Dodać potrzeba dla zrozumienia tego, co następuje, iż gracze, nie wyjmując bankiera, należeli wszyscy do najzajadlejszej opozycji przeciwko Blasze i księciu.

Gdy pułkownik puścił swój dowcip o szczęściu w grze i w miłości, jeden ze stojących nad stolikiem, rozśmiawszy się, rzekł półgłosem.

— Przysłowie chyba kłamać musi, boć nie może się nazwać nieszczęśliwym, kto pozyskał serduszko takie, jak panny szambelanówny!

— Serduszko! ba! ba! — przerwał drugi — czy tylko nie więcej, niż serduszko?

Mówiący zaczęli się bacznie oglądać, czy ich kto z przyjaciół księcia nie słucha, lecz nie dostrzegłszy żadnej ze znajomych twarzy dworu, głośniej i śmielej ciągnęli dalej:

— Pleciesz! — odezwał się jeden — to są zazdrosnych pań bałamutne wymysły...

— Ba! ba! — odparł ten, który mówił wprzódy — w mieście się nic nie utai. Dziewczynie zawrócił głowę. Nie dosyć, że Vauban ją do siebie wabi, aby księciu romans ułatwić, będąc nader wyrozumiałą i litościwą, oprócz tego, wiemy gdzie miewają czułe schadzki we cztery oczy i kto im je ułatwia...

Ostatni wyraz dodał półgłosem.

— O jakiejże to szambelanównie mówicie? — przerwał im inny. — Jaka to znowu szambelanówna? nic nie wiem, bom dopiero od trzech dni powrócił, a pół roku mnie tu nie było.

— I nic dotąd nie słyszałeś? — wtrącił pierwszy — a toś chyba nie chciał słuchać. Całe miasto o tem bęb-

ni — jest to sekret poliszynela. — Cha! cha! śliczna, jak różyczka świeżo z pączka rozkwitła, szambelanówna przybyła tu z poczciwym, ślepym tatulem, Polonusem z za kordonu, jm. panem *Je* Burzymowskim, a imię jej Sylwja!!

Jeszcze ostatniego wyrazu nie dokończył, gdy ode drzwi poskoczył ku niemu Grabski, rzucił mu rękawiczkę w twarz i krzyknął głosem wielkim:

— Kłamiesz! jesteś oszczercą!

Blady, straszny stał z pięściami zaciśniętemi.

Około stołu ruszyło się wszystko, ludzie zbili się w kupę, otaczając dwu przeciwników.

Ten, który dostał w twarz rękawiczką, niejaki Odrzyński, młody, płochy człek, bełkotał tak zmieszany, że go zrozumieć było niepodobna.

Przyjaciele jego zaczęli na Grabskiego napadać.

— Kto waćpan jesteś? jakie masz prawo mieszać się do tej sprawy?

Hałas się stał wielki, drzwi zamknięto od sali.

— Jestem bliskim krewnym panny szambelanówny Burzymowskiej, — zawołał Grabski — zowię się Mieczysław Grabski — mam prawo stanąć w obronie pokrzywdzonej potwarzą nikczemną i lekkomyślną kobiety. Gdybym zaś innego nie miał prawa i powodu nad oburzenie przeciwko niecnemu kłamstwu — to starczy.

Wśród wrzawy i gwaru, jedni zaczęli stawać po stronie Odrzyńskiego, drudzy się za Grabskim ujmowali.

— Panowie, — odezwał się, głos podnosząc, bankier, który tymczasem z bardzo zimną krwią karty swe przetasowywał umiejętnie i gotował się ciągnąć bank znowu. — Panowie! Wszystko to bardzo jest pięknem, dobrem, rycerskiem, ale tu ani miejsce ni czas do paladynowania!

Umówcie się sobie na jutro do szopki w Łazienkach, na Wolę, do Bielan, a niech my ludzie niewinni, co stajem do walki z losem, nie cierpimy za cudzą sprawę...

Bank gotowy! (Pstryknął kartami). Kto stawi? Czekam!

Nie zaczepiany już przez nikogo Grabski, rozmówiwszy się krótko z przeciwnikiem, blady i poruszony wyszedł z pokoju gry.

Zaledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy gwar ogromny wybuchnął na nowo.

— Kto bo widział, — krzyknął jeden — w publicznem miejscu prawić takie rzeczy?

— Jakie rzeczy? Cóżto! tajemnice są! Całe miasto o nich wie! Wróble na dachach śpiewają.

— Wróblom wolno, bo one rozumu nie mają — wtrącił drugi.

— Pojedynek, nic! — przebąknął bankier — ale jutro, choćbyśmy tu wszyscy sobie dali najświętsze słowo honoru, że będziemy milczeli — rozniesie się to po mieście... Będziemy z tego mieli niezliczone nieprzyjemności.

— Waćpan panie... — podchwycił jeden z poniterujących — mówisz sobie, że pojedynek, nic... Widać, że nie znasz Grabskiego. Jest to dawny wojskowy, posądzam go mocno, że się w pannie, kuzynce swej, kocha, a chłopak z charakterem i zacięty. Z nim sprawa nie na żart. Na lada zadraśnięciu i przeproszeniu się nie skończy.

Bankier już cały był zajęty kartami, po za nim i koło niego, chociaż gra się zbliżała, rozprawiano o wypadku bardzo żywo.

Jedni znowu brali stronę Grabskiego, drudzy starali się uniewinnić nieopatrznego paplę Odrzyńskiego, który stał blady, a chcąc się niby okazać niestrwożonym, postawił dziesięć dukatów na kartę.

Bankier ciągnął, a że miał w swem rzemiośle wprawę wielką, razem pochylony do jednego ze swych przyjaciół, siedzących obok, mówił:

— Wszystko to najfatalniejsze jest dla mnie, najniewinniej wplątany jestem w tę historję, a i tak w nienajlepszym jestem u księcia odorze. Stanę mu się jeszcze bardziej wstrętnym, stracę prawo pociągnięcia

czasem banczku u niego, gdzie baby grają, u których się zawsze wygrywa...

Odrzyński, który przegrał, tłumaczył się ze swej nierozwagi.

— Teraz wy wszyscy na mnie, — odezwał się — a czyż to ja jeden tylko o tem publicznie gadałem? Wszyscy głośno powtarzali toż samo, tylko mnie za wszystkich przyszło pokutować.

Dobierano już sekundantów na jutro.

Pojedynek zresztą w owych czasach był rzeczą tak pospolitą, a tak najczęściej nic grożącą niczem oprócz kosztownego śniadania i pijatyki, że wyzwanie nie liczyło się do nadzwyczajnych wypadków.

Pojedynkowano się za lada słowo przy butelce, za spojrzenie, za potrącenie.

Krew kipiała w próżnującej młodzieży, potrzebowała ją sobie upuszczać, choćby pod najbłahszemi pozorami.

Na ten raz jednak domyślano się, że z Grabskim walka nie przejdzie płazem i nie może się skończyć na niczem. Znano go zdaleka, liczył się do poważniejszych ludzi, którzy płocho nic nie poczynali i nie dawali się zbyć lekko.

Mieczysław ustąpiwszy z pokoju gry, dopiero wypocząwszy nieco, odzyskał przytomność i krew zimną. Potrzebował czas jakiś stać na osobności, ażeby ochłonąć ze wzruszenia i obmyśleć, co mu czynić należało.

Chciał, korzystając z kasyna, wyszukać sobie dwóch przyjaciół, którzyby się nazajutrz rano umówili o warunki. To właśnie było dlań najtrudniejszem. Miał wiele znajomości między starszymi, mało wśród młodzieży, od której unikał. Szukał w myśli tych, którychby mógł wezwać na pomoc, gdy uczuł się pochwyconym za rękę i uśmiechnięta, pogodna, jasna twarz szambelana Burzymowskiego stanęła nagle przed nim.

— Co ja widzę!... a to cud! Micio! Micio na kasynie! Ty!... A to już chyba i kapucyni zaczną na redutach bywać! Jakżeś ty się tu znalazł?

I nie czekając na odpowiedź, zaczął go ściskać serdecznie.

— Wiedziałem, że wy tu będziecie, — przyszedłem umyślnie — odezwał się Grabski, nie mogąc z twarzy zetrzeć wyrazu frasobliwego, który się na niej wypiętnował.

— I nawet na kasyno nie wziąłeś asiądziej weselszego oblicza? a młody jesteś! — wołał Burzymowski. — Wstydźże bo się. Poważnym być, dobra rzecz, ale kwasić się niezdrowo. Co z ciebie będzie na starość? Człowiecze!

Niezgrabnie Miecio się spróbował uśmiechnąć.

— Ale to moja natura! — odparł.

— To ją rzuć w kąt taką niedorzeczną i nienaturalną naturę — zawołał szambelan. — Patrz na mnie! Com tu ja przebył! com przeżył! co przecierpiałem! A czy znać na mnie? hę? Patrz!

I okręcił się żwawo na pięcie, wziąwszy pod boki.

Grabski patrzał nań z wyrazem politowania.

— Przepraszam kochanego szambelana, — rzekł mu na ucho — przyznam się, że mam na kasynie mały interesik do załatwienia. Darujesz mi, że mu towarzystwa nie dotrzymuję.

— O! rozumiem! romansik gdzieś jakiś z ładną kupcową, albo z mieszczaneczką, co to do szlachty i paniczów lgną! Patrzaj tylko, żebyś mi się nie dał złapać i nie wprowadził ladajakiej krwi do starego szlacheckiego rodu... Boć, jesteście w Paprockim! Hulaj, bratku, to ci pójdzie na zdrowie, ale nie żeń się, chyba z równą!

Pogroził mu na nosie.

Grabski wolał być już posądzonym niesłusznie o płochość, niż zdradzić swą tajemnicę, uśmiechnął się dwuznacznie i oddalił szybko.

Po drodze, jakby szczęśliwem losu zrządzeniem, spotkał dwóch dawnych wojskowych, znajomych dobrze, odciągnął ich na stronę i, nie mówiąc o kogo poszło, objaśnił, co się stało, w krótkich słowach.

Choć nie z wielką ochotą, oba mu przyrzekli, że za przyjaciół służyć będą.

Nieradzi oni byli narazić się rządowi pruskiemu, który choć do zbytku surowości nie posuwał, w razie śmierci jednego z pojedynkujących się do odpowiedzialności towarzyszów pozywał. Uciekać więc było potrzeba, a dwaj wojskowi ani środków nie mieli po temu, ani ochoty.

Nie mogli jednakże odmówić prośbie usilnej.

Nic już nie mając do czynienia na kasynie, Grabski przesunął się wśród par tańcujących, oczów już nawet nie podnosząc i dążył wprost ku miejscu, gdy we drzwiach spotkał wychodzącą Czeżewską, która pod rękę Sylwję podtrzymywała.

Zbliżył się ku nim niespokojny, nie pojmując, co mogło być przyczyną tak wczesnego usunięcia się ich z balu, ale twarz Sylwji, którą ujrzał w tej chwili, wszystko mu wytłumaczyła.

Szła blada, zmieniona, chwiejąc się. Wejrzenie czarnych jej oczów obłąkane jakieś podniosło się na Grabskiego.

— Kuzynko! Co ci jest? na Boga!

— Mdłości dostała z gorąca... Chora! — odparła śpiesznie Czeżewska. — W sali było nieznośnie duszno, przejdzie to na świeżem powietrzu.

Sylwja milczała, ale wejrzenie jej smutne nie schodziło z Grabskiego.

— To nic, — rzekła wreszcie, pokaszlując — to przejdzie... Słabo mi się zrobiło!

— Nieznośny tłok! towarzystwo najokropniejsze — prędko mówiła Czeżewska, nachylając się ku Grabskiemu. — Daję słowo, że na moje oczy widziałam córkę kupca z Senatorskiej ulicy, która często w sklepie siaduje. Nazywają ją piękną Leonildą! A jaka wyfiokowana! Co za dziw! Ich to nic nie kosztuje!

Francuz, który nie był przy paniach, gdy wychodziły, napędził je w sieniach dopiero, i we dwóch z Grabskim pomogli im wsiąść do powozu, który przed czasem potoczył się na Miodową.

Szambelana w chwili odjazdu niesposób wyszukać było, musiano go więc zostawić na kasynie, za co się nie gniewał, gdyż spotkawszy obywatela z za kordonu, schwycił go, kazał na dwie osoby postawić kapłona i burgunda i przegawędził z nim o owsie i pszenicy do północy.

VI.

Historyczna szopka, inaczej stajnia czy wozownia przy Łazienkach, w której się najwięcej pojedynków odbywało, była teatrem tylu dla księcia Józefa nieprzyjemnych, krwawych wypadków, iż, jakeśmy już wspominali, uprosił był u gubernatora Koehlera, aby koło niej pruski żołnierz stał na warcie.

Obecność tego reprezentanta władzy przez parę miesięcy wstrzymywała zapędy młodzieży, która musiała jeździć do Młocin, na Bielany, na Wolę, i biła się sobie nieszkodliwie po różnych kątach. Wkońcu do wozowni nikt już nie zaglądał, wyszła z mody, zamknięto ją na kłódkę, a żołnierza pocichu ściągnięto z nieprzyjemnego stanowiska, na którem się nudził.

Wiedziano już o tem w mieście, a że zimą mało kto i rzadko w Łazienkach gościł, sekundanci Odrzyńskiego wskazali znaną wozownię jako miejsce do rozprawy najstosowniejsze.

Nazajutrz rano warunki pomiędzy przyjaciółmi z obu stron były umówione, Grabski jednak swoim oświadczył, iż na żart bić się nie myśli, innej umowy, jak na pistolety, nie przyjmie, do pierwszej krwi lub... co Bóg da.

Starano się przynajmniej uczynić spotkanie mniej niebezpiecznem, naznaczając dystans o kroków trzydzieści. Szopa właśnie na tyle starczyła.

Odrzyński, zwany pospolicie Trawką, dlatego, że z powodu jakiegoś zakładu raz, długo bardzo zieloną trawę nosił w dziurce od fraka! był sobie dobrym, lekkomyślnym chłopakiem. Jedynak u rodziców, majętny, niekoniecznie rad był ginąć.

Wpadłszy w rozhulaną młodzież, usiłował jej we wszystkiem dotrzymywać placu i hulał ogniście. Nie szło to u niego może z temperamentu, ale miłość własna podbudzała go do odznaczenia się w jakikolwiek sposób, a że inaczej nie umiał, odznaczał się przy kieliszku, u kart i w innych tego rodzaju młodzieńczych zapasach.

Do pojedynku na serjo nie miał Trawka tak bardzo wielkiej ochoty, lecz trzeba było męstwo i zimną krew okazać.

Koszycki i Kwiński, sławni pojedynkowicze i rębacze, służyli mu za sekundantów.

W duszy przeklinał Odrzyński swój długi język i znalezienie się niedorzeczne, lecz ani odwoływać, ni przepraszać nie było podobna — trzeba się było bić.

Nadomiar biedy słyszał Trawka, iż Grabski strzelał doskonale, on zaś na pistolety, kulami... nie miał najmniejszej wprawy. Do tego się nawet przyznawał przed Kwińskim, który mu odpowiedział:

— Głupstwo! W pojedynku na pistolety umiejętność nic nie znaczy. Ten, co nigdy nie strzelał, trafi, a co na gwoździe sadzi kule, chybia. Byle jeden z was drugiego drasnął, bić się więcej nie damy...

Godzina była wyznaczona pod wieczór. Grabski ze swymi dwoma przyjaciółmi, ludźmi skromnymi i milczącymi, stawił się pierwszy.

Przy szopie straży nie było, ale się koło niej przechadzał w kożuchem podbitej opończy, z rękami w kieszeniach, w kapuzie na głowie stary niegdyś berejter królewski, dziś na łaskawym chlebie siedzący w Łazienkach i dozorujący budowle w większej części puste.

Stary, postrzegłszy przybywających, łatwo się domyślił, co ich tu sprowadzało, popatrzał na nich i odezwał się do jednego z sekundantów, ręką pokazując ku miastu:

— Wiem ja czem to tu pachnie! Możecie panowie powracać sobie zdrowi, skąd przybyliście, bo ja tu nikogo nie puszczę.

A wyczekawszy chwilę na odpowiedź, której mu nie dano, palcem pokazał ogromną kłódkę, do wrót szopy przywieszoną. Był to jednak manewr zwykły dla wyzyskania pojedynkowiczów, którzy się staremu opłacać musieli. Grabski, który już o tem wiedział, wcisnął eks-berejterowi parę czerwonych, a ten, po krótkim namyśle, nieco uchyliwszy kapuzy, poważnym krokiem zawrócił się w inną stronę, mrucząc:

— Ja tam o niczem wiedzieć nie chcę, o niczem nie wiem. Róbcie jak wam lepiej. Nie moja rzecz.

Kłódka niezbyt mócno przytwierdzona, którą dawniej już ten sam los spotykał, natychmiast oderwana została, i przybyli wtargnęli do wielkiej wozowni.

Nie było w niej nic, oprócz starego złamanego karyklu i zielonej dryndulki, której trzech kół brakowało. Leżała w najniewygodniejszej pozycji w świecie, oczekując jakiegoś końca.

Szopa była wygodna; ślady dawnych odbytych tu bojów pozostały na podziurawionych jej ścianach. Gdzie niegdzie widać było napisy węglem, nazwiska i daty, a wesoły jakiś kawaler imię swe i rodziny zapisawszy, dodał:

— N. N. ręką i krwią własną.

Rana nie musiała być niebezpieczną, bo mu humoru nie odjęła.

Przybyli zaledwie mieli czas rozpatrzeć się trochę, zacząwszy plac rozmierzać krokami, gdy we wrotach postrzegli Trawkę z Kwińskim i Koszyckim.

Odrzyński nadrabiał fantazją, lecz twarz miał bladą, a ruchy gorączkowe zdradzały wzruszenie. Zato Kwiński żartował i śmiał się nadto głośno, a Koszycki wąsa kręcąc, nadymał się.

Grabski, pozdrowiwszy lekkiem skinieniem głowy przybyłych, stanął zboku i czekał spokojnie, aby miejsce wyznaczono.

Nabijanie, wybór stanowisk, rozmaite drobne szczegóły, o które się umawiać musiano, zabrały trochę czasu, a tuż powoli ściemniać się już zaczynało.

Kwiński począł wołać:

— Nie mamy czasu do stracenia! Na miejsca! Na miejsca!

Sekundanci je wskazywali.

Ponieważ pora chłodną była, nie rozbierał się nikt, stanęli jak byli poubierani naprzeciwko siebie. Odrzyński, nauczony widać, ubrał się całkiem czarno, nie biorąc nic ani błyszczącego, ani białego, coby za cel służyć mogło. Grabski o tej ostrożności nie pomyślał.

Strzelać miano na komenderówkę, która powierzoną była panu Koszyckiemu.

Raz — dwa — trzy!

Za trzecim padły razem dwa wystrzały, ale obaj przeciwnicy zostali nietknięci.

Kula Grabskiego świsnęła około samego Trawki, który się aż do ziemi przygiął, i uwięzła w ścianie. Mimowolnemu drgnieniu winien był życie.

Strzał był nadzwyczaj celny.

Kuli Odrzyńskiego, która poleciała gdzieś na poddasze do wróblów, odszukać nawet nie było podobna. Kwiński spróbował wnieść, ażeby na tem poprzestać można, i podać sobie ręce, ale Grabski nie chciał ani słuchać. Nabijano pistolety po raz drugi. Trawka już znękany pierwszem wrażeniem, stał blady i drżący, Grabski chodził ręce pod frak włożywszy, czekając, aż mu pistolet podadzą. Nabijanie trwało dosyć długo, które tylko uderzanie stempli przerywało.

Stanęli na miejscach swych po raz drugi, a Koszycki umyślnie, nie dając czasu do celowania, pośpiesznie zawołał:

— Raz — dwa — trzy.

Strzelili. Grabski, stojący niedaleko zielonej dryndulki, za nogę się pochwycił i pochylił.

Odrzyńskiemu kula przeciwnika oddarła zboku kawał sukna i dała mu silną kontuzję, ale w pierwszej chwili przestraszony obalił się, wołając, że jest zabity.

Poskoczyli ku niemu sekundanci i przekonawszy się o prawdziwym stanie boku, na którym znać tylko było, jakby silne bizunem uderzenie — śmiać się poczęli. Dopomogli mu wstać trochę skonfundowanemu.

Rana Grabskiego była nierównie groźniejszą, gdyż nogę miał przestrzeloną, krew uchodziła silnie i można się było lękać, czy arterja nie została przerwaną.

O lekarzu zapomnieli jakoś wszyscy, lecz dwaj starzy wojskowi rzucili się natychmiast do bandażowania.

Rzecz była szczęśliwie skończoną, pozostawało podanie sobie rąk, lecz Grabski pod pozorem, iż miał ją zbroczoną, skłonił się tylko zdaleka, nic nie mówiąc.

Koszycki i Kwiński krzątali się około rannego razem z jego sekundantami, mimowoli podziwiając jego męstwo i żelazną wytrwałość, bo, mimo wielkiego cierpienia, nie wydał głosu.

Mrok już padał, gdy jeden z wojskowych pobiegł po powóz, zostawiony w alejach i sprowadził go pod szopę.

Trawka, który się ciągle za bok porażony trzymał, bo jak powiadał Kwiński, kiełbasa mu na nim narosła, pozostał ze swymi, a Grabski do domu odjechał.

Dnia tego i na Miodowej ulicy chodzili wszyscy zakłopotani i strwożeni. Sylwja, która, powróciwszy z kasyna, czuła się niedobrze, z gorączką położyła się do łóżka, a w nocy musiano wezwać doktora.

Szambelan, który, przyśpiewując, powracał do domu, o mało nie padł rażony apopleksją, gdy się o słabości córki dowiedział.

Chciał zaraz zwołać wszystkich z całego miasta doktorów.

Pobiegł do łóżka córki, która go się starała uspokoić, i na jednym lekarzu Francuzie się skończyło. Burzymowski tylko spać się już nie kładł.

Całą noc, co chwila się zrywając, przedrzemał w krzesełku. Nazajutrz, chociaż zaręczano, że nie było najmniejszego niebezpieczeństwa, Sylwja jednak z łóżka wstać nie mogła.

Nakazano spoczynek...

Czeżewska niezmiernie czynna, kręciła się, rozkazywała i była w swoim żywiole, gdyż mogła się rozporządzać i słuchać jej musiano.

Napisała zaraz z rana do majorowej, donosząc o wypadku, a szambelan chciał posłać po Micia, który mu

teraz był potrzebniejszym niż kiedykolwiek; zrefleksował się jednak, że Grabski codzień sam przychodził i musiał lada moment nadejść bez posłańca, o którego było trudno.

Tymczasem Grabskiego z rana nie było, nie było go po obiedzie, nie przyszedł i wieczorem, a jeden z wojskowych, z polecenia jego o mroku zjawił się, oznajmując szambelanowi, iż Grabski bardzo przeprasza, że służyć nie może — bo — jest w pojedynku ranny.

Wypadek ten tak się zdawał do prawdy niepodobnym Burzymowskiemu, że uszom nie wierzył...

Chwycił za rękę kapitana Rozpędzińskiego i krzyknął:

— Grabski! Micio ranny! Ale to nie może być!!

Dopytywany o przyczynę zajścia kapitan nic powiedzieć nie umiał, bo sam nie wiedział, tylko że się na kasynie posprzeczali. Dosyć było na nogę nastąpić wówczas, aby do pojedynku przyszło.

Szambelanowi łzy się z oczów puściły. W chwili gdy najwięcej na pomoc Micia rachował, gdy ten mu był najpotrzebniejszym, zawistny los mu go odbierał.

Gniewał się i na los i na Micia, że śmiał w taki czas pojedynkować się i zostać rannym, kiedy tu prawie się bez niego obejść nie było podobna.

— Proszę asińdzieja, — odezwał się do kapitana, ręce załamując — czy nie jestże to istna kara Boża jakaś na mnie!

Tu mi właśnie córka zachorowała, ja z nią głowę tracę, a ten mi w taką porę utrapioną daje się postrzelić i kładnie! Prawdziwe to przysłowie, że jedna bieda nigdy nie dokuczy.

Miałem zaraz wczoraj na kasynie jakieś brzydkie przeczucie, gdy mi powiedział odchodząc szparko, że ma jakiś pilny interes. A ja to znam te ich pilne interesa! Nic innego być nie mogło, tylko jakiś głupi romansik, i musieli się z rywalem o ladaco zadrzeć. — Ależ takiej płochości, takiej lekkomyślności po nim, co mi się wydawał statecznym, nigdy w świecie nie byłbym się spodziewał!

Komu tu wierzyć! Otóż ta teraźniejsza młodzież! Za lada, z pozwoleniem, małpę życie stawi.

Kapitan ani tłumaczył, ani uniewinniał, krótko zabawiwszy, pożegnał się i wyszedł.

Szambelan jak zawsze gadatliwy, nic nie miał nadto pilniejszego, by natychmiast wcisnąć się do pokoju córki i bez ogródki poskarżyć się przed nią, że Grabski „za jakąś dziewczynę" (był tego najpewniejszym) pojedynkował się i został ranny.

O owej dziewczynie, czupiradle, małpie, przeklinając ją, rozpowiadał, jakby ją widział. Sylwja, leżąca jeszcze w gorączce, podniosła się nieco, posłyszawszy to, i zapytała:

— Niebezpiecznie ranny?

— Kto go wie! — odparł szambelan — nogę ma nawylot przestrzeloną — a ja wiem co to noga! Rychlej człek ranę w łeb wytrzyma, niż gdy dostanie po tebinkach!

Smutnie ściągnęły się brwi Sylwji i opadła na poduszki...

Burzymowski chodził po pokojach, łajał i krzyczał na służbę, narzekał na losy, modlił się, popłakiwał, siadał, wstawał i nierychło zdecydował się pojechać odwiedzić Grabskiego, aby go porządnie zbesztać.

Objawił to postanowienie Czeżewskiej, zaręczając, że niedługo zabawi, posłał Zybka po dryndę i pojechał.

Lekarz i felczer właśnie opatrywali nogę rannemu, gdy szambelan wszedł niecierpliwy, od progu poczynając perorę, do której się czuł w sumieniu obowiązanym.

— A co? a nie mówiłem wczoraj? gdyś mi wspomniał o bardzo pilnym interesie? Przysięgnę, że poszło o jaką małpę, o lada trzpiota, mieszczankę! Otóż mi z pana sensat, oto mi stateczny młodzieniec, który wszystkich krytykował!! Masz tobie!!

Grabski blady podał mu rękę milcząc, uśmiech dziwny błądził po jego ustach.

— A cóż ta rana? — zapytał Burzymowski ciszej lekarza.

— Kuli niema, kość zdaje się mało co draśnięta, muskuły tylko poszarpane... Niebezpieczeństwa, dzięki Bogu, niema, zdaje się, żadnego, no — a przecierpieć i kawęczyć trzeba będzie długo.

A na ucho szepnął szambelanowi.

— Być może, iż trochę nakuliwać będzie! Być może!

— A! toś mi się spisał — począł Burzymowski, siadając przy łóżku. — Właśnie dla mnie w porę! Sylwja wczoraj od tego szelmowskiego gorąca w sali zachorowała i także dziś leży. Ona nie wstaje a tu i ty się położyłeś, pono na długo... kiedy ja sobie rady dać nie mogę.

A bodaj ciebie z tą twoją, z pozwoleniem, klempą!... Masz tobie warszawskie rozkosze! — dodał, wzdychając — oto tobie karnawał!

— Ale Sylwja przecie nie jest w żadnem niebezpieczeństwie? Choroba jej nie grozi?

— Nie! Niechże Pan Bóg uchowa! — zawołał prędko ojciec — gorączki ma tylko trochę. Doktór przykazał spoczynek, dał jakąś miksturę śmierdzącą... a póki ona wydobrzeje, ja się zamęczę.

Bo to z tą waszą Czeżewską, choć baba się kręci, wierci, niby coś ciągle robi, służy, ale z niej pociechy niema. Zwyczajnie pani stara, co zszyje to rozpara! Beze mnie one tam sobie rady nie dadzą, logiki u nich za grosz niema!

Pomimo tego zapewnienia, które zdawało się rychły odwrót zapowiadać, Burzymowski pozostał przy łóżku chorego, narzekając, rozpytując i ciekawym będąc dowiedzieć się koniecznie, o co właściwie poszło.

Grabski mu stanowczo odpowiedział, że tego wyjawić nie może.

— No, to mi dość, że ty gadać nie chcesz! — rzekł stary. — Gdyby awantura była, do której się przyznać godzi przed bliskim krewnym i przyjacielem, który ci niemal ojcem był, pewniebyś się nie wahał powiedzieć coś jak było. Zatem już ja się reszty domyślę. Podwika! podwika, nie co innego. Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle. Jejmościanka koso może spojrzała!

Ranny się nie chciał tłumaczyć.

Nagderawszy dużo, z pełnego serca, Burzymowski pożegnał go i do domu powrócił.

Tu zastał gościa.

Po salonie chodziła mocno zirytowana wojska i oznajmiła mu, że u Sylwji była — majorowa. Mówiła o tem z jakimś przekąsem, z urazą, dając do zrozumienia, że przecie zasługiwała na to, aby przed nią nie czyniono tajemnic i nie zamykano się. Bolało ją strasznie, iż Habąkowska prosiła ją, aby z Sylwją sam na sam mogła pozostać chwilę.

Gdyby nie pewne obawy i względy, zdaje się, że byłaby pod wrażeniem wyrządzonej sobie krzywdy wyspowiadała się przed starym z powziętych teraz przekonań i opinji o pani majorowej. Musiała sobie jednak wczas przypomnieć, że ją sama ściągnęła do domu i zawiązała te stosunki, które teraz taką ją napełniały goryczą.

— Proszę pana szambelana, — odezwała się, ciągle patrząc na drzwi, które prowadziły do pokoju Sylwji— co mogą mieć za tajemnice, do których ja niegodną jestem, abym przypuszczoną była? Miała konferencja trwać pięć minut. Patrzę na zegarek, już tam z sobą są od pół godziny i słyszę jak żwawą prowadzą rozmowę. Chorą osobę zmęczy, gorączka się powiększy i tyle z tego całego pożytku. Jakem poczciwa!

— Ale, jeśli Sylwja sama sobie tego życzyła?! — zapytał szambelan. — Chorej się nie można sprzeciwiać. Może ją to rozerwie, gdy się wypaplą.

Wojska ruszyła ramionami, podeszła pode drzwi, przyłożyła do nich ucho i cofnęła się zniecierpliwiona.

Wkrótce potem wybiegła pani majorowa Habąkowska z twarzą dosyć ożywioną i wesołą.

Nie spojrzała nawet na przyjaciółkę Czeżewską, która natychmiast pędem wleciała do pokoju chorej, zwracając się z wielkiem nadskakiwaniem i grzecznością ku szambelanowi.

Burzymowski majorowej od owej pierwszej chwili, gdy ją wziął za wielką panią i odprowadzał do karety,

nie lubił wcale. Była mu zanadto fertyczną, wściubską, nazywał ją bałamutką, pędziwiatrem i domyślał się w niej burzliwej przeszłości. W Czeżewskiej cenił pryncypja, a tu w nie nie wierzył. Być może, iż Habąkowska domyślała się co o niej trzymał Burzymowski, bo takie żwawe a dowcipne istoty miewają trafne przeczucia sentymentów, jakie obudzają. Dlatego zapewne tem mocniej pragnęła pozyskać sobie szambelana.

— Kochany panie szambelanie dobrodzieju! — odezwała się, tak podchodząc do niego, iż wanilja od niej doleciała biedaka. Burzymowski zaś ani ambry, ani wanilji, ani goździków, któremi się perfumowano, znosić nie mógł i otwarcie mawiał, że woli zapach kwaszonej kapusty. Cofnął się więc.

— Kochany panie, — rzekła — nie trwóż się o twoją ukochaną, a nam drogą jedynaczkę... Ja się na naszych kobiecych słabościach dobrze znam, jutro będzie zdrowa. To są nerwy, przejdzie rychło.

Burzymowski obie ręce podniósł do góry.

— Oby się słowa asanbdziki sprawdziły! — zawołał wzdychając. — Trzeba wiedzieć, że Sylwka moja od zębów a potem szkarlatyny, którą szczęśliwie przebyła, nigdy nie chorowała. Nigdy! a nerwów też nie miała, jako żywo! Skądże, proszę asińdźki, te modne nerwy znowu?

— Wczoraj na sali w kasynie było gorąco jak w piekle, — zawołała Habąkowska — a przestrzegałam tego nieznośnego Ledoux, żeby przepalać nie kazał.

— O, że gorąco było to gorąco! — odezwał się Burzymowski, głową potrząsając. — Wszak oto, najspokojniejszy z ludzi, kuzyn nasz, poczciwy Micio Grabski, z gorąca tego leży dziś z nogą przestrzeloną.

Majorowa, której powołaniem było wiedzieć wszystko co się w stolicy działo, mianowicie w sprawach miłosnych i pojedynkowych, posłyszawszy o strzale, przyskoczyła do szambelana.

— Zlituj się pan! Ja nic o tem nie wiem! Kto? Grabski? postrzelony? Któż go postrzelił? z jakiego powodu?

— Proszę asińdźki, — odparł gospodarz — jak tylko mężczyźni się strzelają, to — o co? o kobietę! Jakaś tam dziewczyna...

— Ale jakaż? która? zmiłuj się! Józia? Terenia?— poczęła gwałtownie Habąkowska nalegając. — Pan musisz wiedzieć! Z kimże się bił? mów mi pan, ja zgadnę o kogo!

Burzymowski się w czoło stuknął.

— A! jakże bo się zowie! Na śmierć zapomniałem! — zawołał. — Wiem tylko, że go Trawką przezwano.

— No, to już wiem — wtrąciła Habąkowska. — Trawka? Co to może być?...

Potrząsała głową.

— Mówże pan, — nalegała, znowu z wanilją mu się przysuwając — mów, szambelanie, co tylko wiesz! Jak ranny? Dokąd się strzelać jeździli, bo szopka zamknięta. Któż sekundował? Kiedy się to stało? Czy Trawka uszedł cało?

Na ten potok zapytań przyparty do kąta zapachem wanilji szambelan odpowiadał jak mógł, ale zawsze niedostatecznie. Habąkowskiej niepodobieństwem teraz oddalić się było, nie wyczerpawszy tego źródła plotki do dna, gdy szczęśliwie na nie trafiła.

Nie wątpiła, iż o pojedynku w mieście mówić będą wkrótce i że ona, dzięki szembelanowi, jak zwykle, przysłuży się ciekawym najświeższemi, najobfitszemi szczegółami z pierwszej ręki.

Burzymowski upewnił ją stanowczo, że rzecz poszła o jakąś dziewczynę niewiele wartą, że rana nie była śmiertelną, ale mogła grozić okulawieniem młodemu chłopcu. Dodał i to, że Trawka dostał porządnie po boku.

Pilno już teraz było majorowej jechać Pod blachę i zawieźć tam tę nowalję. A że i inne miała do pośpiechu powody, pożegnała więc jak najczulej gospodarza, wahającego się czy ją miał przeprowadzać do powozu czy nie — i znikła.

Nim się szambelan namyślił nad tem, czy prejudykat przy pierwszej wizycie wiąże go tak, iż powinien ją sprowadzić — Habąkowskiej karetka już się toczyła po bruku. Zdało mu się, że nie zgrzeszył ani uchybił, mając chorą córkę jako wymówkę.

Gdy po chwili zapukawszy nieśmiało do pokoju Sylwji, wszedł do niej, znalazł ją w istocie, jak przepowiedziała majorowa, z wielką dla siebie pociechą znacznie zdrowszą i uspokojoną.

Siedziała na łóżku blada trochę, piękniejsza może niż była, uśmiechnięta smutnie, a mikstura doktora, nie tknięta jeszcze, pomóc nie mogła.

— Co to jest młoda natura! siły młode! — odezwał się szambelan — choroba się przed niemi cofa zwyciężona i napastować nie śmie.

Czeżewska w duchu przypisywała to nie naturze, ale tej majorowej, którą teraz nienawidziła, bo po wyjściu jej wszedłszy do Sylwji, znalazła ją już siedzącą, uśmiechniętą, postrzegłszy tylko, że papierek jakiś szybko schowała pod poduszkę.

Miała myśl wojska, później poprawiając troskliwie posłanie, wyjąć z pod poduszek ten bilecik tajemniczy, ale ją nadzieja zawiodła, bo sięgnąwszy ręką bardzo zręcznie, już go tam nie znalazła.

Sylwja widocznie lepiej się miała, lekarz, który przybył wieczorem, znalazł zmianę bardzo szczęśliwą, puls uspokojony, nerwy mniej podrażnione, stan nad wszelkie spodziewanie pomyślniejszy, wróżący rychłe uzdrowienie.

Szambelan uradowany sowicie mu za to zapłacił.

Później niż domowy ordynarjusz przysłany z Pod blachy doktór Witaczek przybył się dowiedzieć o stan panny szambelanówny, co nadzwyczaj Burzymowskiego rozrzewniło, dowodząc jak się żywo jego dziecięciem interesowano.

Wprawiło go to i coraz widoczniejsze polepszenie zdrowia córki ku wieczorowi w humor weselszy, tak że nie mając go na czem i na kim spędzić, żartował z Micia nielitościwie, z jego pojedynku i rany, puszcza-

jąc się w dziwaczne domysły o owej mitycznej dziewczynie, która być powodem walki musiała.

W mieście się długo nigdy nie utrzyma tajemnica. Kłótnia acz bardzo krótka w pokoju gry nie uszła oka i ucha ciekawych. Tłumaczono ją sobie bardzo rozmaicie. Młodzież, która była jej świadkiem, milczała, gdy bardzo wielu słuchaczów, ale każdy z nich pojedyńczo, na ucho sobie wszyscy opowiadali, ze szczegółami, jak to było.

W rozmaitych wersjach, z rozlicznemi warjantami krążyło opowiadanie aż do wieczora dnia następnego. Pojedynek usta rozwiązywać zaczął.

Niektóre z pań bywających Pod blachą, nie ważąc się powtarzać, jak to było, cedziły półgębkiem, że miało pójść o szambelanównę, o której jeden z młodzieży z lekceważeniem się wyraził, za co krewny jej Grabski się ujął.

Ciekawość była podniecona, wyprawiono na zwiady, piękne panie rozesłały swych faworytów dla zasięgnięcia języka, i wieczorem wiedziano już, jeżeli nie wszystko, to główne motywy całego dramatu.

Rzadko pomiędzy pięknemi paniami, które się zawsze czują rywalkami, tyle jest miłości i przyjaźni, by z nieszczęścia współzawodniczek nie cieszono się choć troszeczkę.

Sądy na ucho komunikowane były bardzo rozmaite. Nie wszystkie pewnie życzliwe dla pięknej Sylwji, której chorobę przypisywano naturalnie świadomości tego, co zaszło.

W opinji ogólnej Grabski, dotąd mało znany, zyskał najwięcej.

Z opowiadania samych sekundantów Trawki wnosić było można, iż nie znalazł się ani rycersko, ni zbyt nawet mężnie.

Potwarz rzucić na kobietę, a choćby plotkę o niej powtórzyć, już w oczach niewiast czyni człowieka pogardy godnym, a gdy się do tego przyłączy brak odwagi, zgubionym jest na sławie.

Dwaj sekundanci, śmiejąc się, opowiadali zabawnie,

jak Trawka krzyknął, że jest zabity, nie będąc nawet rannym, i jak Grabski nie jęknął nawet, choć kula mu nawylot nogę przeszyła.

Piękne panie, które zdala tylko widywały mężnego obrońcę honoru niewieściego, czuły dlań sympatję wielką.

Kilka osób zupełnie nieznanych posłało się dowiadywać o jego zdrowie. Trawka, który chciał wyjść na bohatera, spotykał wszędzie uśmiechy szyderskie i drwiny.

Tegoż wieczora Pod blachą u pani Vauban, *en petit comité*, opowiadano sobie historję całą, chociaż z pewnemi przemilczeniami *(réticences)*.

Gdy książę wszedł do salonu w towarzystwie kilku mundurowych przyjaciół, Kameneckiego, Rautenstraucha, Pokutyńskiego, oczy pięknych pań siedzących u stolika z ciekawością się zwróciły ku niemu, jakby chciały wybadać wrażenie, które wypadek znany mu (jak się wszystkim zdawało) mógł na nim uczynić.

Książę dnia tego był trochę blady, może niespokojny, ale swą zwykłą obojętność i chłód umiał zachować dla oczów ludzkich. Czuć było tylko na nim rozdrażnienie nerwowe, które tego dnia czyniło go tak drażliwym na najmniejszy stuk i głośniejszy wykrzyknik, jak zwykle pani Vauban bywała. Uśmiechał się jednak, mówił o rzeczach obojętnych, prawił chłodne komplementa pięknym paniom i nie zmienił w niczem wieczornego swego obyczaju.

Późno już, gdy nadszedł doktór Witaczek, który był posyłany do Burzymowskich, książę, zobaczywszy go, nieznacznie kołując, zbliżył się ku niemu.

— Byłeś u szambelana, doktorze?

— Właśnie stamtąd powracam — odpowiedział Witaczek.

— Jakże się ma chora?

— Lepiej, niema nic niebezpiecznego, proste rozdrażnienie nerwowe, ale u kobiet ono i ostrzejsze czasem formy przybiera, a może się nawet stać groźnem. Jest lepiej, mości książę.

Nie chcąc, aby mowa z doktorem zwróciła uwagę, książę się natychmiast od niego oddalił, przechodząc do Pokutyńskiego, który uczył się roli Nathana do projektowanej sceny z Athalji, mając w niej na jakimś wieczorze występować.

— Szanowny Nathanie, — odezwał się do niego — nie masz ochoty się przejść ze mną? Słówko tylko.

— Służę w. ks. mości — rzekł Pokutyński.

— Dawno widziałeś się z kolegą swoim p. Burzymowskim? — zagadnął po chwili.

— Spotykamy się z nim ciągle; lecz, jeśli mam prawdę powiedzieć, poczciwy *Je* na dłuższy czas trochę jest nudny. Używam go pomiernie.

— Dzisiaj się z nim nie widziałeś? — dodał książę.

— Nie — odparł szambelan.

— Radbym wiedział, — rzekł książę z pewnem wahaniem — co tam się z nim dzieje. Rozmaitego rodzaju niedorzeczeństwa plotą po mieście.

Godzina jest za późna do wizyty, — dodał, spoglądając na zegarek — ale gdybyś był łaskaw zobaczyć się z nim i wyrozumieć, czy do starego nie doszło co — głupiego... byłbym ci wdzięczen.

— Jutro? — zapytał Pokutyński.

Godzina była dosyć późna, książę głową potrząsnął.

— A zatem, jutro, mój Pokutynsiu — dodał, oddalając się.

W chwili, gdy się to działo, Vauban zdala dawała mu znak, że z nim chce mówić. Książę z pośpiechem grzecznym podszedł ku niej. Francuzka miała na ustach uśmiech szyderski.

— W gabinecie u mnie siedzi Jutka, której się zdaje, że możebyś ją chciał spytać o co.

Na wspomnienie majorowej książę się zmarszczył.

— Ma pasję mieszać się do wszystkiego — rzekł kwaśno. — *Merci.* — Zawrócił się i pośpieszył do gabinetu.

Habąkowska w salonie wieczorem, *en petit comité,* rzadko się pokazywała. Nie będąc wyłączoną z towa-

rzystwa, równie jak panny Julja Fabre, Sztauman i Nagle, majorowa czuła, że nie przez wszystkich była tu widzianą mile. Z taktem sobie właściwym występowała tylko, gdy szło o utrzymanie się przy prawie, o pokazanie się.

Tego wieczora pod pozorem, że jej było bardzo pilno, czekała na księcia w gabinecie pani Vauban, w którym było gorąco, jak w łaźni, wachlując się przed zwierciadłem i poprawiając fryzurkę.

Książę wszedł z wyrazem twarzy posępnym; spojrzał na nią. Uśmiechała się, zalecając, i widocznie rada z siebie.

— *Cher prince* — poczęła słodziuchno i poufale przysuwając się do księcia. — Zdawało mi się, że sobie zasłużę na łaskę księcia, gdy mu pewną wiadomość przyniosę.

Książę stał nierozchmurzony i rzekł zimno.

— Cóż to takiego?

— Pewnie się książę domyślasz?

— Nic a nic — rzekł zapytany.

Urażona trochę majorowa, zagryzła usta.

— Od niejakiego czasu — odezwała się — nie mam zaufania u w. ks. mości.

— Przepraszam, — przerwał gospodarz — są sprawy, w których bardzo chętnie powierzam się łaskawej opiece pani, ale są inne, których wolałbym, żebyś nie tykała...

Habąkowska zarumieniła się urażona.

— Bardzo żałuję — rzekła — ale co się stało, jest rzeczą nieodwołaną. Byłam pewna, że się książę zafrasujesz o szambelanównę.

— O! gdybyś się nią opiekować przestała! — wybuchnął książę.

Pomimo bielidła i różu majorowa zarumieniła się mocno.

— Nie rozumiem! — przebąknęła.

— A powinnabyś, szanowna piękna Jutko, — żywo dodał książę z mieszaniną złego humoru i żartobliwości — powinnabyś to zrozumieć łatwo. Sylwja nie

jest dla mnie pospolitą istotą, jakich tysiące w życiu pomija się, choć na chwilę zwróciły oczy i serce do nich zabiło. Jest to niewinne dziewczę, które ja kocham, ale które szanuję i o które się lękam...

— A więc mnie do tego bóstwa się zbliżyć nie wolno, abym go moim zatrutym oddechem nie pokalała!— zawołała szydersko majorowa.

Książę nic nie odpowiadając, głowę podniósł, ręce rozstawił, milczenie było wymowne.

— Nie mogę przecież uciekać i zamykać się przed nią, gdy ona lgnie do mnie i chce mnie mieć za pośredniczkę między ideałem swym... a sobą.

Książę się wstrząsnął.

— Majorowa powinnaś — powinnaś jej to mówić, co — co ja możebym jej powiedział, gdybym mógł.

Habąkowska przerwała.

— Czemu książę nie powiesz lepiej: „to co ja jej sto razy mówiłem"?

Książę zamilkł i przeszedł się po gabinecie.

— Niechże w. ks. mość raczy dokończyć! — odezwała się majorowa.

Pepi się odwrócił ku niej.

— Kocham ją, — rzekł, zapominając się — gdybym mógł, wiesz, ożeniłbym się.

Majorowa parsknęła głośnym śmiechem, książę się zmarszczył.

— Dajmy już temu pokój! nie zrozumiemy się — dodał. — Lecz cóż mi chciałaś powiedzieć?

— Dowiedziałam się o przyczynie jej choroby — mówiła żywo majorowa, jakby urazy zapomniała. — O pojedynku ona nic nie wie. Podsłuchała na kasynie rozmowę dwóch ichmościów, którzy sobie Handzię koniuszynę pokazywali, nie wiedzieć co pletli i mówiąc o niej, coś o szambelanównie wspomnieli.

— To nikczemnie! — krzyknął książę — to podle! Kto byli ci panowie?

— Ona ich nie widziała i nie zna...

— *A! c'est jouer du malheur!* — zawołał książę

chmurno — na jeden wieczór dwa takie wypadki. Ta biedna Sylwja!

— Już przychodzi do siebie, bo, — dodała poufnie i cicho Habąkowska — przejęłam na drodze pewien liścik i samam go jej oddała... ten poskutkował lepiej, niż lekarstwo.

Książę drgnął z niecierpliwości.

— Prosiłbym — rzekł sucho — abyś tego pośrednictwa zaniechała.

— Będę na przyszłość posłuszną, — udając wesołą, ciągnęła dalej majorowa — nawet, gdybym na drodze znalazła! Tymczasem co się stało, zmienić nie mogę. A! *la pauvre enfant!* Ona tak kocha, całą duszą, sercem całem, że byle o miłości swojego bohatera nie wątpiła, byle jej i serca była pewną, gotową jest znieść wszystko.

Zamyślił się książę, piękna Jutka przypatrywała mu się.

— Ponieważ, jak widzę, — odezwał się — jesteś już wtajemniczoną, proszę cię, użyj wpływu, jaki mieć możesz na to, abyś — uspokoiła ją. Mojego serca — rzekł z powagą, jaką rzadko przybierał — mojego serca może być pewną... ale ja — nie należę do siebie. Myśleć o jakimkolwiek trwałym związku nie mogę, mam przed sobą inny cel... a Sylwję, powiadam ci, szanuję i nie chcę, aby swoje dziecięce marzenia opłaciła łzami...

Habąkowska ramionami ruszyła.

— Pierwszy raz widzę księcia tak — bardzo sumiennym.

— Bo po raz pierwszy trafiłem na serce czyste, na miłość prawdziwą i może — kocham raz pierwszy.

Dusząc się od śmiechu, majorowa odstąpiła kroków parę i dygnęła. Książę ruszył ramionami i począł chodzić niespokojny.

— Bardzo mi żal księcia — poczęła, popatrzywszy nań, majorowa. — To doprawdy smutny i nudny romans, na któryby trzeba poszukać lekarstwa... Wy-

bierz sobie książę coś innego, z innej sfery, gdzieby było mniej szacunku a więcej namiętności...

— Wybierz! — powtórzył książę. — Dobra jesteś! alboż to się wybiera?

— A! to prawda! — żywo podchwyciła Habąkowska — ale bo książę byłeś nieostrożny — niech mi to będzie powiedzieć wolno. *Règle générale,* bardzo wielkie panie z miłości i miłostek robią sobie zabawkę, z temi *on a beau jeu,* nie prowadzi to za sobą żadnych konsekwencyj, pocieszają się łatwo.

Ładne dziewczątka ubogie klas niższych — wyposaża się. Rzecz skończona... Tylko z temi szlachciankami, jak szambelanówna, zaraz to grozi, *cela devient sérieux!* Taka Sylwja kocha się szczerze, na życie i na śmierć, i robi się z tego smutna tragedja!

— To prawda, — odparł książę — ale tamto są zabawki — a to — to jest miłość!

— Miłość!! — szydersko a patetycznie powtórzyła majorowa. — Mi — łość!!!

Nie uważając na to szyderstwo, książę zwrócił się z zapytaniem:

— Widziałaś ojca?

— A! jakże! Ten poczciwy, dobry szambelan, — poczęła Habąkowska — mówiąc po polsku, jest jak tabaka w rogu. O niego nie masz się co książę troszczyć.

Pepi ramionami ruszył, Habąkowska chciała mu się z czemś narzucić koniecznie.

— Wie książę co, — szepnęła — niema tu innego wyjścia, potrzeba, abyś ją wydał zamąż.

— Bardzobym rad, — odrzekł książę żywo — tylko nie w tym celu, jak myślisz...*En tout bien, tout honneur,* radbym znaleźć uczciwego człowieka.

Ale ona!... ona za nikogo wyjść nie zechce!

Majorowa uśmiechała się złośliwie. Zamilkli. Książę gryzł papier w ustach i rzucał niecierpliwie poszarpane jego kawałki. Myślami zdawał się błądzić gdzie indziej. Majorowa czekała.

— A więc o pojedynku nic nie wie? — zapytał Pepi.

— O nim wie, ale przyczyny jego się nie domyśla ani ojciec, ani ona. Szambelan wymyślił sobie i najmocniej jest o tem przekonany, że Grabski się bił za jakąś dziewczynę.

— To doskonale! — zawołał książę. — Stary jest nieoszacowany! Grabski, znam go, *est un trop galant homme*, żeby się jej miał przyznać do prawdy... Byle która z łaskawych przyjaciółek się nie wypaplała.

Jutka złożyła ręce na piersiach.

— M. książę! — odparła — ja tylko za siebie ręczę!

Pepi zwrócił się ku drzwiom i wziął za klamkę.

— Tysiąc podziękowań — rzekł — i dobranoc.

Majorowa podbiegła ku niemu.

— O mężu, o mężu niech książę myśli, to najpilniejsze... Ja...

Chciała coś mówić jeszcze, ale nim dokończyła, księcia już nie było. Oddalił się szybko.

— Tacy oni są wszyscy! — westchnęła. — Rozpoczną romans, nie myśląc o następstwach, a potem, gdy biedne stworzenie oszaleje z miłości dla nich, cofają się, mówiąc o sumieniu!

I pięść złożoną wyciągnąwszy ku drzwiom, któremi książę wyszedł, dodała pocichu:

— M i n o t a u r y ! . . .

KONIEC TOMU DRUGIEGO

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LXXX

J. I. KRASZEWSKI

POD BLACHĄ

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII WIEKU

CZĘŚĆ III

1 9 3 0

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

I.

W kilka dni po opisanych wypadkach, gdy post przerwał bale, tańce i muzyki, zaczęto szukać innych rozrywek, o których już wyżej wspominaliśmy.

Piękna hrabianka Aneta pierwsza ufundowała Na górze to, co naówczas z francuska zwano *un bureau d'esprit*. Schodzono się wieczorami na dowcipne zabawy, na szermierkę słów...

Najczęściej były to zapytania ciągnione losem i odpowiedzi na nie dwuznaczne, rymy i dorabiane do nich poezje, rozwiązywanie zagadek, pisanie portretów, jakie już na dworze cesarzowej Katarzyny były w modzie, deklamacje i epizody z klasycznych dramatów.

Panie i panowie, którzy grywali w *Socjecie*, z przybranymi amatorami, stawali do monologów i scen pojedyńczych. Francuzi, naturalnie, bardzo byli czynni w tych popisach, gdyż nikomu nawet na myśl nie przychodziło, aby się coś podobnego po polsku odbywać mogło.

Tak jak Fryderyk II nie wierzył, aby po niemiecku coś dobrego napisać można i otwarcie ogłaszał to przekonanie, społeczność polska nie przypuszczała, aby w języku „ludowym" można być dowcipnym. Posługiwano się francuszczyzną we wszystkiem, a gdy kto po polsku mówić lub pisać musiał, przez wyrazy polskie, jak kości z pod skóry przebijała w środku tkwiąca francuszczyzna.

Teatr naówczas jedyny znany, jedyny uznawany, składał się z Corneille'a i Racine'a, z Voltaire'a wkońcu; gdyby kto był przypadkiem przełożył już istnieją-

cego Goetza z Berlichingen Goethego, z pewnością byłby świat polski takie o nim wydał zdanie, jak oburzony król pruski.

Z francuskich mistrzów nie mieliśmy jeszcze dobrych przekładów, bo młody Osiński i inni poczynający literaci, choć już na nich sił swych próbowali, nie ogłaszali jeszcze drukiem tłumaczeń, a język polski w wyższem towarzystwie uważany był za zupełnie niewyrobiony do wyrażenia wszystkich delikatnych uczuć odcieni.

Uchodziło to za niesłyszane zuchwalstwo, za nadzwyczajny poryw, gdy Kropiński ważył się na Julję i Adolfa i na miłosne suspiry w narodowej mowie!

Wreszcie Francuzi napełniali salony, niby więc przez samą grzeczność dla nich musiano francuzieć, *et on ne demandait pas mieux.*

Nikt się nie domyślał nawet, oprócz może Staszica, Chreptowicza, Krasickiego, Niemcewicza, że język mógł do patrjotyzmu należeć. Wielki świat nie zaprzątał się tem wcale, kosmopolityzm, który jest jego cechą, panował w nim; kosmopolityzm, suknia jak szlafrok wygodna, której do stanu i figury przykrawać nie potrzeba.

Biuro dowcipu raz uzyskawszy prawo obywatelstwa w towarzystwie, przenosiło się z jednego do drugiego salonu. Osoby do niego należące wszędzie prawie były też same.

Piękna Aneta przed innemi prym brała, choć nie zbywało innym damom na tym dowcipie łatwym, do którego język francuski dostarcza napół gotowego materjału.

Nieskończenie zawsze trudniej być dowcipnym po polsku, bo u nas każde słowo, jak dawniej obywatel Rzeczypospolitej, chodzi samopas, po jednemu je zbierać potrzeba, aby coś skleić, gdy po francusku lada dwa kawałki tego odwiecznego kastetu — dają się pręciuchno na zawołanie złożyć na figielek udatny.

Ci, co z jakichkolwiek bądź powodów do biur i ich

towarzystwa nie należeli, pocieszali się tem, że na dowcipnych pisali nie zawsze dowcipne paszkwile.

Przybrały one formę, która się łatwo przyjęła, bo była dogodną. Tak jak za sejmu czteroletniego składano tysiącami zagadek, na wszystkie znakomitości ówczesne — tak teraz tworzono z nich — katalogi.

Były to spisy osób, z rozmaitemi przyczepionemi do nich, często nadzwyczaj złośliwemi dodatkami.

Katalogów takich rozmaitych obiegała w rękopismach po świecie moc wielka. Niektóre z nich przez usłużne ręce dostawały się do osób umieszczonych w nich, obudzały gniewy, domysły, wywoływały często zemstę.

Autorów tych świstków dojść było trudno. Rzucił ktoś słówko, ktoś inny do niego drugie uczepił — było to dzieło zbiorowe opinji publicznej, czyli, jak się wyrażano po pałacach — opinji ulicznej, a często i zemsty prywatnej.

Jednego dnia takie biuro dowcipu miało zasiadać Pod blachą.

Wszystkie panie i wszyscy panowie, należący do towarzystwa, stawili się do tego popisu i zapasów. Osób było mnóstwo. Wielki stół największego salonu obsiadły najpiękniejsze damy, za których krzesłami postawali adjutanci ich i wielbiciele.

Ci, co tu miejsca nie znaleźli, i te, co do dowcipu pretensji nie miały dnia tego, przechadzali się, cicho i ostrożnie stąpając po pokojach.

Książę Józef należał do tych, co siedzieć nie lubili i nie umieli. Najczęściej przechadzał się, stając niekiedy na rozmowę z jedną z pań lub przyjaciół, nigdy prawie nie zatrzymując się długo przy jednej osobie.

Tego dnia zdawał się niespokojniejszym jeszcze niż zwykle, zaglądał często do pierwszego pokoju, jakby kogoś wyglądał albo się spodziewał, przechadzał się nieopodal ode drzwi i odwołać od nich nie dawał.

Nareszcie przez nawpół uchylone podwoje spostrzegł suknię czarną z wstęgami ponsowemi i wybiegł.

Sylwja wchodziła z panią Czeżewską, blada, z oczyma płonącemi, trochę mniej może śmiała, niż zwykle.

Książę pośpieszył naprzeciw niej z kilku słowy grzecznemi i wielkiem, rzadkiem u niego wzruszeniem, którego odblask odbił się zaraz na wdzięcznej, smutnej twarzyczce szambelanówny.

Nikogo nie było w pokoju — na panią Czeżewską gospodarz wcale się zważać nie zdawał i długim, poufnym szeptem zatrzymał już mającą wchodzić szambelanównę.

Mówił coś tak żywo i gorąco, jakby chciał słowy temi przelać swą duszę, odwagę i swobodę w dziewczę strwożone.

Podał jej potem rękę i uroczyście sam wprowadził ją na salę. Zwrócono na nich oczy, pani Vauban podniosła się, co u niej było prawie niesłychanem, wyciągając ku nadchodzącej chudą rękę z długiemi palcami.

Kilka pań, odwróciwszy się ku drzwiom, odezwało się ze stłumionemi wykrzyknikami.

— *A! Sylvie! Enfin! La voilà!* — zaczęto ją witać natrętnie, ze wszech stron, z nadskakiwaniem i ciekawością bardziej może naprzykrzoną niż miłą. Rumieniec na twarz jej występował i niknął, ledwie cichemi półsłówkami na grzeczności odpowiadała.

Zato biedna Czeżewska, najzupełniej zapomniana, skłopotana, gniewna, musiała się prawie narzucić, aby w ostatku być postrzeżoną i choć skinieniem głowy pozdrowioną.

Zrobiono Sylwji miejsce przy stole, obchodząc się z nią jak z osobą chorą, szczególnej pieczołowitości wymagającą.

Szambelanówna, którą to zwrócenie na nią uwagi wszystkich widocznie męczyło, natychmiast poczęła się zajmować kartkami na stoliku leżącemi, czytając pytania i odpowiedzi, unosząc się nad dowcipem obojga, aby znowu rozmowę i zabawę uczynić ogólną i móc zniknąć w tłumie.

Nierychło się to jednak udało dokonać, dopiero, gdy hrabianka Aneta, czy z litości, czy przez żywość sobie

właściwą wniosła, by dalej pisano dewizy, gra weszła znów na dawne tory.

Książę, który się przechadzał zdala, nie spuszczał Sylwji z oka. Ta ochłonąwszy nieco, gdy gorączkowy spełzł rumieniec, wróciła do bladości, którą po sobie zostawiła choroba.

Była z nią może, jak mówiono na wielkim świecie, więcej interesującą, lecz owa świeżość młodości, jaką z sobą przywiozła z Burzymowa, znikła bezpowrotnie. Po licu jej przeszedł żar gorącego cierpienia i zwarzył je, na wieki zostawiając piętno po sobie, kwiatek to był, co mógł na słońcu się orzeźwić i być świeżym jeszcze, ale już raz był zwiądł na łodydze.

Niektóre z dewiz i odpowiedzi pobudzały do śmiechu i ta jakaś tęsknota, którą z sobą Sylwja przyniosła, ustąpiła wkrótce weselszemu usposobieniu.

Hrabianka Aneta z tryskającym iskrami świetnemi dowcipem co chwila odnosiła zwycięstwa.

Gdy się wreszcie i przebrało, i uprzykrzyło zadawać i rozwiązywać tematy różne, ktoś wniósł, aby szambelan Pokutyński wystąpił z próbą w roli Nathana, jaką miał grać jednego z następnych wieczorów Na górze.

Napróżno szambelan się wymawiał, że nie był przygotowanym, że roli swej napamięć jeszcze dobrze nie umiał. Znalazła się Athalja na stoliku, panna Fabre gotową była podjąć się urzędu suflera i nieszczęśliwego Pokutyńskiego zmuszono, ażeby powszechnemu zadosyć uczynił żądaniu.

W czasie, gdy się na to zbierało, siedzące przy stole panie odzyskały swobodę, zaczęły z miejsc swych wstawać, przechadzać się, szukać dogodnych do słuchania i Sylwja, której towarzyszyła troskliwa bardzo o nią gospodyni, a jeszcze więcej nadskakujący baron de Beaumont, wysunęła się także, rada, że będzie mogła zejść trochę z oczów i ukryć się w cieniu.

Pomimo męstwa, jakie jej wielka miłość dawała, mimo odwagi, jaką czerpała z rzucanych na nią wejrzeń księcia, Sylwja drżała w duszy i bladła na twarzy, ile razy przypomniała sobie, co świat mówił o niej.

Chodzić tak z piętnem na czole, jestże co boleśniejszego nad to? Choćby chwilami nie czuło się upokorzenia i mogło o niem zapomnieć, każdy powrót jego to nowe wstrząśnienie, ból nowy.

Sylwja, dla której okropne to położenie nowem było — to odzyskiwała moc nad sobą, to na siłach opadała i traciła ją.

Rumieniec i bladość mieniały się na jej twarzy, wesele i smutek przelatywały po niej i znikały. Żadna z tych zmian nie uszła pewnie oka księcia, który niespokojny przechadzał się zdala, ale oczyma jej pilnował. Tak samo pani Vauban jego strzegła i poruszenia śledziła, czytając w twarzy, co myślał i czuł.

Musiała odgadnąć zapewne, że potrzeba było ułatwić im rozmowę, porozumienie czy przejednanie — ale, wśród tylu oczów zwróconych dnia tego ze szczególnem natężeniem na Sylwję — księciu niepodobna prawie było zbliżyć się do niej.

Vauban przeszedłszy się parę razy z Sylwją po salonie, porzuciła ją na chwilę samą, a poszła coś szepnąć księciu, który wkrótce potem zniknął.

— Wiesz, — odezwała się pani Sewerynowa Potocka do pani Cichockiej, która przy niej usiadła — wiesz, jestem w admiracji dla tej Burzymowskiej. Co za odwaga! jaka pewność siebie! *Quelle majesté! quelle admirable prestance!*

Cichocka westchnęła.

— Któraż z nas jej nie ma,—rzekła melancholicznie — gdy kocha i jest pewna, że ją kochają? Naówczas idzie się naoślep, nawet przeciwko ludzkim szyderstwom!

— Ale to dziewczę, nie wiem, czy ma lat dwadzieścia! bez doświadczenia! — mówiła hrabina — co za instynkt!

— Właśnie, zdaje mi się, że ten brak doświadczenia, ta nieświadomość niebezpieczeństwa czynią ją tak odważną — odparła Cichocka. — A potem! Szczęśliwa! kocha się po raz pierwszy!

Mówiąca to znaną była ze swej sentymentalności, nawet na owe czasy — wygórowanej.

— Tak — admirują ją, ale mnie los jej przeraża, — dokończyła pani Sewerynowa — dla płochego człowieka taką mieć miłość to nieszczęście!

Coś w tem jest tragicznego!

— A! z miłości się nie umiera! — dokończyła cicho piękna blondynka — bo inaczej, jabym już dawno umrzeć powinna!!

Wśród tej rozmowy i przechadzek po salonie, nim Pokutyński się zebrał do deklamowania jakiegoś ustępu z roli Nathana, szmer się zrobił na sali, wiadomość jakąś podawano sobie z ust do ust.

Wszyscy się zaczęli cisnąć i dowiadywać od sąsiadów.

— Co to jest?

— Co się stało?

Nierychło dopiero ktoś umiał wytłumaczyć to poruszenie tem, że z Szulca nadbiegł posłaniec od księcia eks-podkomorzego, który oddawna już był bardzo słaby, i zażądał się widzieć z synowcem.

Wszyscy wiedzieli, że stary eks-podkomorzy dogorywał, nie przyjmował już nikogo, i co chwila spodziewano się katastrofy.

Nikt się jednak nie zasmucił tem bardzo, a nikt też nie zdziwił, gdy powiedziano, że książę wyjechał na stryja wezwanie.

Wkrótce potem i goście się rozjeżdżać zaczęli. Czeżewska, która smutną tego dnia rolę grała, zapomniana w kątku, kręciła się też, namawiając jeszcze niebardzo zdrową i silną Sylwję do powrotu.

Znalazła ją nadspodziewanie gotową na ten raz spełnić jej życzenie i obie panie, pożegnawszy gospodynię, która je, szepcząc coś Sylwji na ucho, odprowadziła do progu — natychmiast wyjechały.

Zaledwie siadły do powozu i o kilkanaście kroków oddaliły się od pałacu, gdy Sylwja, nie pytając wcale Czeżewskiej, nie tłumacząc się jej, pociągnęła za sznur i przywoławszy służącego, kazała jechać do majorowej.

Wojska była w pierwszej chwili tą samowolą tak zdumiona, iż zaprotestować nie umiała, dopiero, gdy kareta ruszyła, zawołała przerażona:

— Do majorowej! o tej porze! Sylwjo kochana! cóż to ma znaczyć! Ja cię nie rozumiem. Co to jest?

— Muszę, muszę jeszcze dziś być u niej — odparła bardzo stanowczo szambelanówna.

Głos, którym wymówiła te słowa, przeraził może więcej wojską, niż to nagłe a dziwaczne postanowienie. — Drżący był, poruszony, ale zuchwały, rozkazujący.

Czeżewska pochwyciła ją za rękę.

— *Silvie! ma chère Silvie!* — co ci jest! — krzyknęła.

— Co mi jest? — odparła z rodzajem rozpaczy wychowanica. — Jakto! ty nie widzisz! nie wiesz! pytasz mnie, co mi jest?... Ja kocham, kocham szalenie! ja tracę głowę, ja wstyd straciłam! Ja go kocham, a on mnie, kochając, odpycha! Muszę go widzieć dziś, dziś jeszcze! Mówić z nim. — Niech się los mój rozstrzygnie... Poszłabym piechotą! Nie zlękłabym się oczu tysiąca ludzi!

Czeżewska, posłyszawszy to, krzyknęła, zasłaniając sobie oczy.

— Ja jestem zgubioną! — poczęła. — Wina wszystkiego spadnie na mnie! Jam nic niewinna! Wszystko to te niegodziwe kobiety ukartowały, aby ciebie i mnie zgubić!

— Mnie! — przerwała Sylwja, gwałtownie wybuchając.—Jam się zgubiła sama! Jestem zgubioną, bo kocham go nad życie, nic mnie uratować nie może, bo bez niego — umrę. Dopiero, ukochawszy go, jak szalona postrzegłam, że on moim być nie może. Ja, żoną jego — to niepodobieństwo! Więc — kochanką — a potem, umrzeć! umrzeć!!

Sparła się na ręku Sylwja i zamilkła nagle, Czeżewska w dłonie ująwszy głowę, siedziała, jak zabita.

Cicho powtarzała błagającym płaczliwym głosem:

— Sylwjo! Sylwjo!

— Stało się! To było przeznaczeniem mojem — mówiła szybko szambelanówna. — Gdym go pierwszego dnia zobaczyła przez okno, uczułam, że on mnie pokocha, że ja go kochać muszę.

Potem strach mnie ogarnął; a potem zapomniałam o wszystkiem — kocha mnie! kocha mnie... Potrafię umrzeć!

Powóz się zatrzymał przed kamienicą. Sylwja natychmiast rzuciła się do drzwiczek, pierwsza wbiegła na wschody, nie patrząc nawet na Czeżewską, która, słabnąc z przestrachu, goniła za nią, zadzwoniła do drzwi z całej siły, i tak samo wpadła do saloniku, w którym siedziała majorowa.

Nie mówiąc nic, nie witając jej, oczyma spytała, gdzie ma iść.

Habąkowska zwróciła się ku bocznym drzwiom, ale nim je czas miała dla niej otworzyć, Sylwja sama chwyciła za klamkę i wbiegła do drugiego pokoju, drzwi zatrzaskując za sobą.

W ciemnym jego kącie stał książę — Sylwja rzuciła się ku niemu, i nie rzekłszy słowa, gdy Pepi chciał wziąć jej rękę do pocałowania, uwiesiła mu się na szyi. Było coś tak namiętnego, tak gwałtownego w tym ruchu, w łkaniu jej i oddechu, że książę, który wiele doświadczył w życiu, uczuł się przejęty jak młode chłopię, przycisnął ją do piersi i długo nie mógł przemówić. Zlekka wreszcie odsunął ją od siebie jeszcze drżącą a już zawstydzoną.

— Uspokój się — odezwał, całując jej rękę z uszanowaniem, które dziwnie odbijało po namiętnym uścisku.—Zaklinam cię—uspokój się. Mówmy rozsądnie!

To mówiąc, ujął wpół i zaniósł na kanapę, na której ją posadził, sam miejsce zajmując przy niej. Sylwja nie puszczała go od siebie, głowę położyła na jego ramieniu, oczy zamknęła, zdawała się chcieć tak usnąć lub umrzeć, czując serce jego bijące przy sobie.

Książę razy kilka chciał mówić, zamykała mu usta, całował jej ręce, słychać było płacz cichy.

Nagle Sylwja się podniosła — odepchnęła go, spojrzała czarnemi oczyma i wstrząsłszy się cała, poczęła:

— Chciałeś rozmowy, Pepi — mówmy! tak! mówmy wszystko... Mówmy prawdę, żadnego kłamstwa, złudzeń żadnych.

Gorycz, która została na dnie tego marzenia, potrzeba wypić do kropli, ale mężną jestem, bo wiedziałam, co mnie czeka!—Zabrakło jej głosu, książę, korzystając z milczenia, wziął rękę jej i całować ją zaczął, potem odstąpił krok, starając się być panem siebie.

Twarz jego zwolna wypogodziła się i przybrała wyraz istotnie idealny.

— Sylwjo droga — winienem ci prawdę. — Mówmy chłodno.

Jestem winien! Miłość zawróciła mi głowę, nie obrachowałem następstw. — Winien jestem, ale nieuczciwym być nie chcę — nadto cię kocham, nadto wysoko podniosła mnie miłość twoja.

Tej miłości winienem uwielbienie, cześć, ofiarę!

Dałem ci serce, nie odbiorę ci go, ale więcej dać nie mogę. Nie należę do siebie, zawód mój skończony nie jest, czuję, że przyjdzie dla mnie godzina, w której powołany zostanę. Żołnierzem jestem przedewszystkiem, wiązać się nie mogę żadnemi obowiązkami, bo życie moje do mnie nie należy.

Swobodny nie zważałbym na nic — byłabyś żoną moją — jestem niewolnikiem mojego powołania, jestem żołnierzem... Urosnąć muszę na wodza, dobić się sławy, której mnie dotąd los pozbawił. To moje przeznaczenie. Na tom poprzysiągł, a nawet dla miłości twej nie złamię przysięgi.

Sylwja słuchała, oddech wstrzymując. Książę, mówiąc to, zmienił się zupełnie. Salonowy Pepi urósł, podniósł głowę, oczy mu się iskrzyły, stał się idealnie pięknym, razem i strasznym.

Coś bohaterskiego, wielkiego jakby aureolą go otoczyło.

— Miłość moja dla ciebie — dodał — ani ustała, ani ustanie — ale będzie świętą i czystą.

Chcę cię mieć ideałem, nie kochanką.

Sylwja zapłakała, chciała się rzucić ku niemu, książę zwolna posadził ją znowu na kanapie, a sam odstąpił.

— Zrozumiej mnie — zawołał — nie obwiniaj. Kiedym się zakochał, była to miłość płocha, nie przewidywałem, że ona mnie zmieni, odrodzi — uczyni sumiennym. Kocham cię i szanuję, Sylwjo! Pragnę twojego szczęścia!

— A! zabijasz mnie! — odpowiedziała szambelanówna z płaczem, — odpychasz... A! nie, to niepohamowanie dla mnie, to nowa jakaś miłość każe ci się mnie pozbyć...

— Mylisz się, — chłodniej coraz począł książę — nie kochałem nigdy nikogo tak, jak ciebie. Masz tego dowód, bo z najgorętszej namiętności czynię ci ofiarę.

— Ofiary tej nie chcę, ani poszanowania — nie — miłości twej tylko — przerwała z łkaniem Sylwja.

Książę stał, walcząc z sobą widocznie.

— Zlituj się, — rzekł po chwili — jesteś jeszcze w gorączce — zlituj nade mną i nad sobą.

— W gorączce? — przerwała Sylwja — ja chcę w niej pozostać. Nie mam rozumu, mieć go nie chcę...

— Ja go za nas dwoje mieć muszę — odparł książę powoli.

Po chwili milczenia Sylwja podniosła oczy zapłakane.

— Rozstać się więc mamy! — zawołała — ja tego nie przeżyję!

— Sylwjo kochana, — rzekł książę powoli, sam się zmuszając do chłodnego mówienia, aby biedną szambelanównę z jej egzaltacji wywieść, — mówmy rozsądnie. Chcę twojego szczęścia... chcę, abyś była zmuszoną, choćby krótkiem cierpieniem lepszą, spokojniejszą przyszłość okupić... Znajdziemy godnego ciebie człowieka...

Szambelanówna się zerwała z dumą i pogardą na czole.

— I będziemy go we dwoje oszukiwali? — zawoła-

ła szydersko. — O! nie! mości książę. — Mogę być nawet kochanką, ale nie będę wiarołomną, gdy przysięgnę, byłabym podłą. Przysiąc zaś miłości, mając w sercu inną — nie potrafię — byłabym oszustką...

— Nie zrozumiałaś mnie—odparł książę zimno— nigdy myśli podobnej nie miałem. Szanuję cię dziś i chcę cię móc szanować do zgonu...

— Dlatego chcesz się mnie pozbyć, wydając zamąż! — odparła szydersko znowu.

— Chcę, abyś nie cierpiała tyle, abyś zmuszoną była o mnie zapomnieć — rzekł smutno książę...

— Nie kochasz mnie już? to słowo zagadki — przerwała Burzymowska. — Powinnam to była przeczuć, odgadnąć! Mógłżebyś pomyśleć bez zgrozy, że inny mężczyzna ręki mej tylko dotknie... nazwie się panem moim!

Książę stał blady i zmieszany, prawie zrozpaczony, jakby już nie wiedział, co mówić. Sylwja po chwili zaczęła z gorączką wznowioną.

— Pocóż to wszystko? Zostaw mnie. jak jestem! Zniosę, co mi ta miłość zgotowała, dla niej! dla ciebie! Widziałeś mnie dziś, jestem nieulękniona!

Szłam na oczu tysiące złych, zazdrosnych, zabijających z uśmiechem, pod pręgierz! Stałam pod nim, nie drgnąwszy — bo kocham!

I z rozpaczą rzuciła mu się na szyję — książę uwolnił się od uścisku żywo i odskoczył.

— Prawda! — zaczęła Sylwja, padając na kanapę — taka miłość, jak moja, straszna! zabijająca..., lecz nie lękaj się, nie zabije ona nikogo oprócz mnie.

Wyście do innej przywykli, do tej wystudzonej, co trwa godzinę i topnieje, jak śnieżek na słońcu, co się światła boi, ludzi lęka i — kłamie!

Nic już nie odpowiedział książę, stał zdaleka. Sylwja mierzyła go oczyma — nieporuszony wytrzymał jej wzrok.

— Ojca masz, którego kochasz, Sylwjo, — odezwał się spokojnie — jeśli nie dla mnie, dla niego coś powin-

naś uczynić. Niech mi twój los i jego łzy nie ciężą na sumieniu...

— Ojca! mojego, poczciwego, dobrego ojca, który nic nie wie o mojem szaleństwie, — odezwała się Sylwja, ręce załamując — o! tego mi żal!... o! żal mi go...

Zerwała się z siedzenia i chwyciwszy za głowę, powtórzyła kilka razy:

— Ojciec! biedny ojciec!

I jakby sama do siebie dodała:

— Nie mogę! nie mogę, ani dla ciebie — ani dla niego! — Nie mogę.

Scena ta przedłużyła się jeszcze, lecz książę wytrwał z przybraną powagą, którą uczucie hamować się starał — uspokajając, starając się wybuchy Sylwji i jej roznamiętnienie ukołysać powoli.

Przychodziło mu to z trudnością wielką. Długo potrząsała głową, opierała się, słuchać nie chciała, z ust jej wyrywały się wymówki szyderskie, lecz nareszcie uległa wpływowi głosu ukochanego, uśmierzyła się i cicho rozpłakała.

Była to nowa próba dla księcia, którego łzy kobiece drażniły — a na te sposobu nie miał, oprócz pokornych próśb i zaklęć.

Tak godzin parę upłynęło, a że się z czasem nie liczono, mogłoby się to było nie wiedzieć jak długo przeciągnąć, gdyby siedząca w saloniku Czeżewska, przez cały ten czas milcząca i rozgniewana, nie była wreszcie przywiedziona do ostateczności. Kilka razy już porywała się z krzesła, jakgdyby wychodzić chciała, rzucając piorunujące wejrzenie na majorową, na której pytania wcale nie odpowiadała, odwracając się od niej z pogardą. Zniecierpliwiona w ostatku zaczęła, podniósłszy głos, domagać się gwałtownie powrotu do domu. Zkolei Habąkowska na to żądanie jej nie dała w początku żadnej odpowiedzi.

Zagroziła pani wojska, że pójdzie przebojem szukać Sylwji i wstała znowu.

— Przepraszam cię, — zawołała Habąkowska —

w moim domu ja panią jestem i żadnej esklandry nie dopuszczę.

Miarkując wszakże, iż do wybuchu głośnego przyjść może, bo Czeżewska coraz straszliwiej burząc się, podskakiwała ku drzwiom, majorowa sama do nich zapukała.

Długo nie dano żadnej odpowiedzi, lecz, gdy zastukała powtórnie, Sylwja z twarzą zapłakaną wyszła nagle, nie spojrzała na gospodynię, nie szukała oczyma Czeżewskiej, i jak wpadła tu niemal bezprzytomna, tak zbiegła do powozu napowrót, cała zatopiona w sobie.

Wojska zadyszana, przeklinając los swój, dogoniła ją już siedzącą w kąciku karety z osłonioną twarzą.

Nie przemówiwszy do siebie, pojechały tak do domu.

Tu szambelan niespokojny czekał na nie z Zybkiem na dole, a gdyby miał cokolwiek więcej przenikliwości i baczenia, postrzegłby łatwo na twarzy córki i na pani Czeżewskiej ślady wcale niezwykłego usposobienia.

Poczciwy Burzymowski niczego się w świecie nie domyślając, nie przypuszczając, aby się mogło im co trafić wychodzącego z trybu i ram powszedniego żywota, przywitał córkę wesoło, nie dopatrzył w niej smutku, ani śladu łez na oczach; ze złym zaś humorem pani wojskiej będąc oswojony, poprowadził je jak zawsze, baraszkując, na górę.

Wzruszyło go tylko, że córka czulej, niż zwykle, uściskała go i ucałowała, co po chwili wesołość starego podniosło jeszcze.

Po wschodach prowadząc kobiety, śmiał się, gderał, żartował, że tak późno wracały.

Każdy wyraz jego niezręczny ranił Sylwję w serce samo.

— No, już nie możecie powiedzieć, — wołał, patrząc w oczy córce — ażebyście się nie ubawiły za wszystkie czasy! Choć to już u drugich post, ale u panów i w piątek się najeść można u stołu i w popielce nawet zabawić, tak oni sobie radzić umieją, aby był wilk syty i koza cała.

Sylwja nie mogła się zebrać na żadną odpowiedź i chciała się zaraz cofnąć do swego sypialnego pokoju, pod pozorem bólu głowy, gdy stary dodał:

— Ból głowy, to nie z czego innego, tylko że oni tam Pod blachą palą, jak w łaźni. Ale, ale, ja się też dziś dobrze spociłem u Micia!

Sylwja posłyszawszy to imię, mimowolnie się zawróciła.

— Cóż się z nim dzieje? — zapytała.

— Źle z nim jest — odparł szambelan. — Źle! źle! Doktór mówił w początku, że — nic, nic! A tu, piękne mi to nic! zaczynają teraz przebąkiwać nie o okulawieniu, ale że bodaj czy mu nogi do kolana odjąć nie wypadnie.

Pan Bóg łaskaw, może się bez tego obejść — ale, kto wie? a nuż się co przyrzuci? W takich razach zawsze prędzej złego się trzeba spodziewać, niż dobrego. Biedne, poczciwe chłopczysko.

I muszę go też oczyścić, — dodał, ciągnąc dalej — bom niesłusznie przed tobą oszkalował.

Powiedziałem ci, zdaje mi się (bom się domyślał tego), że za dziewczynę jakąś bić się musiał. Otóż, przekonałem się, że byłem w błędzie. Coś to innego zaszło... Micio bo nigdy tak płochym nie był.

— A o cóż im pójść mogło? — zapytała Sylwja z trochą ciekawości.

— Coś posłyszałem, piąte przez dziesiąte, zboku, ale tają przede mną, nie wiem prawdziwie dlaczego. Tom tylko zasłyszał z ust godnych wiary, — mówił zniżając głos szambelan — że się pojedynkował, stając w obronie honoru pewnej damy z towarzystwa (imienia mi nie chcieli powiedzieć), na którą rzucono potwarz o jakieś bliskie stósunki z księciem Józefem.

Ujął się za nią — i — musieli się strzelać.

Szambelan mówił to zupełnie spokojnie, nic się nie domyślając.

Sylwja, która zrazu słuchała obojętnie, zwróciła się ku niemu i zbliżyła, blednieiąc na twarzy.

— Damy? z towarzystwa? — zapytała głosem ledwie dosłyszanym.

— Tak jest, damy! — odparł żywo szambelan.

— Nie wiem i nie pojmuję, dlaczego przede mną z tego taką czynią tajemnicę. Przecież mi zwykle wszystkie sekreta komunikują, a nikogo nie wydałem. Com się naprosił nazwiska! nie i nie! Niezm: nie byłem ciekawy, zaprzysięgałem, że nikomu nie wyjawię, — jak się uparli — nie powiedzieli mi, a ani podsłuchać, ani się domyśleć nie mogłem. Jużto — dokończył stary — mądry, kto odgadnie, jaka z pań na porządku u księcia, bo on się, słyszę, co tygodnia w innej kocha...

Sylwja stała drżąca, patrząc mu w oczy, rumieniąc się i bledniejąc. Myśl, że Mieczysław mógł się bić za nią, ubodła ją jak sztyletem w serce. Chcąc ukryć wzruszenie, przeszła się parę razy po salce.

— Byłeś u Micia dzisiaj, — odezwała się cicho... — jakże on to... znosi?...

— Mężnie! — zawołał Burzymowski — chociaż dr. Witaczek i inni lekarze i chirurgowie strasznie głowami potrząsają. Ucinanie nogi jeszcze nie jest postanowione... Ma gorączkę, rana się zaogniła... Gangreny się lękają, czy coś — ale... Pan Bóg łaskaw!

Sylwja załamała ręce — łzy się jej w oczach kręciły.

— Wiesz, ojcze, — odezwała się — bardzo mi żal tego biednego Micia... Tak dobry był dla mnie, a ja go często tak drażniłam po dziecinnemu. Gdybyś, ojcze, pozwolił, bardzobym go chciała odwiedzić. Wiem, że sprawiłoby mu to przyjemność.

Spojrzała na ojca, stał mocno zdziwiony.

— A, co ci tam po tem, albo jemu! — odparł. — Widok dla ciebie nieprzyjemny, a jemu narobisz tylko kłopotu.

— Ale, jabym sobie tego bardzo życzyła! — rzekła, nastając, Sylwja. — Mój tatku!

Oprzeć się już nie mogła tej myśli, że Grabski za nią pojedynkować się musiał.

Popierając prośbę swoją, pocałowała go w ramię, oczy miała łez pełne.

— Mój tatku! ja bo go chcę koniecznie odwiedzić... Mnie go żal!

— Ha! jeżeli koniecznie ci się tego zachciało, to trudno — rzekł Burzymowski. — Wiesz, że ja ci się nierad sprzeciwiam. Jutro rano pójdę mu oznajmię o tem, żeby się trochę przygotował, a około południa...

— Tak, tatku, koniecznie! — powtórzyła Sylwja niespokojna.

To mówiąc, a nie chcąc mu dać poznać, że się jej łzy do oczów cisnęły, Sylwja prędko dała ojcu dobranoc i pośpieszyła się skryć w swoim pokoju.

Po wyjściu dopiero córki szambelan, wybierając się już na dół a kombinując jej znalezienie się wieczorne, ucinki, mowę, ton jej, zmiarkował, że Sylwja była, jak się wyrażał, „nieswoją".

— Coś jej jest! Jużciż nie za Miciem przepada tak! Może niezdrowa, zmęczyła się tą nieustanną zabawą. Żeby mi tylko, uchowaj Panie Boże, nie zochorowała znowu — mówił sam do siebie, wychodząc. — To nierozsądne palenie Pod blachą może najmocniejszego człowieka zdrowia pozbawić, a ona taka delikatna!

Gdyśmy tu przyjechali, była jak różyczka, a teraz tak mi pobladła!...

W samych drzwiach od sieni stała, jakby czekając na jego wyjście z salonu, pani wojska Czeżewska. Burzymowski zabierał się jej dać dobranoc i co rychlej się wymknąć, bo go srodze nudziła, gdy jejmość szepnęła, palce kładąc na ustach, że się z nim na osobności rozmówić potrzebuje.

Miała minę nastraszoną i wielce ważne sprawy zapowiadającą.

Zajść do pokoiku Czeżewskiej, który cały przesiąkły był, jak ona, wonią ambry, jakimś pudrem i różnemi kosmetykami, dla samego już nosa szambelańskiego było rzeczą niemiłą, ale tajemnicze to wezwanie budziło ciekawość i trochę niepokoju o córkę, o którą jedynie chodzić mogło. Odmówić nie śmiał.

Wojska, czując się odpowiedzialną, coraz była niespokojniejszą. Całej okropnej prawdy przed ojcem wyjawić nie myślała, ale miała zamiar przynajmniej namawiać go do powrotu na wieś.

Gdy szambelan, kręcąc nosem, w kreśle usiadł, Czeżewska zajęła miejsce naprzeciw niego i obracając pierścionki na chudych palcach, odezwała się, jąkając.

— Pan szambelan już to sam musiał dostrzec, że naszej Sylwce powietrze miejskie widocznie nie służy.

Burzymowski głową potwierdził uczynioną uwagę.

— Czyby też nam nie czas, gdy się już i karnawał skończył, dla odpoczynku do Burzymowa powrócić?

— Hm! — rzekł szambelan — a! zapewne! Nie byłbym temu przeciwnym wcale. Asińdźka masz lepszą zręczność wpłynąć na Sylwkę, wyrozumieć ją... Ja, ja się nie sprzeciwiam.

— Mówiłam już panu szambelanowi, — ciągnęła po chwili namysłu Czeżewska — że wpływ mój na Sylwkę teraz jest bardzo mały! Opanowały ją te panie z Pod blachy...

Powaga ojcowska jest większą, panby powinien wyrazić swe żądanie.

— Zapewne! — odparł zmieszany Burzymowski— ale, asińdźka wiesz, że ja mojej jedynaczce gwałtu w niczem czynić nie chcę. Jeżeli ona się tu bawi, a towarzystwo to jej miłe, a dlaczegóżby nie miała go używać? Dzięki Bogu, jeszcze nam staje na to... Prawda, powiem asińdźce, że mi tu sakwę doją, co się zowie, a! cóż robić! kiedyś grzyb leź w kosz! Na to ja, abym córce służył, a worek mój, aby w nim czerpała!

— Ale zdrowie! ale spokój! ale przyszłość!! — odezwała się, nacisk kładąc na wyraz ostatni Czeżewska.

Burzymowski, który znaczenia jego nie zrozumiał, popatrzył na mówiącą i zniżając głos, a zakrywając się ręką, szepnął:

— Może się co trafi... Zmiłuj się asińdźka! Nie kryję, że życzyłbym sobie tego. Z wielkiego świata, gdyby się udało, skomportować zięciaszka, ślicznieby było, bo w Burzymowie... zejdziemy na prostego szlachciurę.

Hm? nie masz tam asińdźka jakich widoków? domysłów? sygnałów?

Czeżewska zeznurowała usta.

— Prawdziwie nie wiem... Nie! coś mi się nie zdaje — szepnęła. — Pannie Sylwji podobać się trudno, bardzo wysoko patrzy!

Rozśmiał się stary uradowany.

— A! — rzekł — bo czuje, że wiele warta! Tu drugiej takiej jak moja niema na całą Warszawę.

To powiedziawszy, czekał Burzymowski, czy mu Czeżewska jeszcze co nie powie, wojska zaś zdawała się wyglądać, czy się on jej z czem nie zwierzy.

Milczeli tedy oboje.

Szambelan się wreszcie dorozumiał, że więcej już nic nie usłyszy — i wstał.

— Asińdźka, jeśli to uważasz za dobre, abyśmy powrót na wieś przyśpieszyli, wpływaj na nią powoli. Zechce ona powracać, nie mam nic przeciwko temu, a woli jeszcze zostać — zostanę...

Dobrej nocy!

I wyszedł.

Wojska spojrzała za nim pogardliwie, i gdy się drzwi zamknęły, nie znalazła w gniewie swym na zaślepionego starego innego wyrazu na scharakteryzowanie go, nad bardzo gminny.

Mruknęła zcicha: — Cebula!

I ruszając ramionami, powtórzyła z przyjemnością trafne to przezwisko: Cebula!...

Burzymowski, który, schodząc po wschodach, nucił jakąś piosenkę, wielce z siebie uradowany, nie domyślał się, jak go wystrychnęła niegodziwa Czeżewska, która długo zabawiała się jeszcze, mrucząc — Cebula!

II.

W pokoju zieloną przysłonionym firanką, w którym leżał ranny Grabski, cicho było jak w klasztorze i jak w nim smutno.

Doktorowie, opatrzywszy i wysondowawszy ranę,

właśnie byli odeszli, oświadczając, że przypuszczenie, jakoby amputacja mogła być wskazaną, co najmniej przedwczesne było. Znaleziono, że stan nie pogorszył się tak dalece i nie odejmował nadziei zachowania nogi ranionej.

Zmęczony opatrywaniem Grabski nawpół drzemał, wpół marzył. Kilka książek rozrzuconych około niego na łóżku i krzesłach świadczyło, że długą, przymuszoną samotność i obezwładnienie czytaniem skracać się starał.

Wśród ciszy tej z przedpokoju dał się słyszeć dobrze mu znany, wesoły i zawsze hałaśliwy głos pana szambelana.

— A co? byli doktorowie? Co? odpoczywa? To dobrze!

I Burzymowski ze swą rumianą, okrągłą twarzą pokazał się w progu.

— Widzisz, jak częstym gościem jestem! A dziś to ci jeszcze wesołą, miłą przyniosłem nowinę. Na twojem miejscu będąc, podskoczyłbym, mimo nogi zranionej. Zwiastuję ci wizytę ślicznej panny!

Grabski pobladł i poruszył się niespokojnie.

— A no, spodziewam się, że ślicznej, kiedy ci powiem, że jaśnie wielmożna szambelanówna Sylwja Burzymowska ma cię zaszczycić odwiedzinami swemi!... A co? nie złoteż to serce?

Przyznam ci się, — kończył, siadając przy łóżku i rozglądając się dokoła — muszę popatrzyć, żeby tu co gdzie nie leżało nieprzyjemnego dla jej oczął, jaka okrwawiona chusta, lub bandaże...

Poczciwy szambelan, troskliwy o córkę, żywo zaczął gospodarować po pokoju, lecz nic nie znalazł do schowania. Grabski tem się właśnie od innej młodzieży różnił, iż do przesady lubił czystość i porządek. Śmiano się z niego nawet, że jak u młodej panienki, wytwornie było i kwiecisto w jego mieszkaniu. Burzymowski pochodził, pomruczał i powrócił na miejsce swoje.

Grabski niespokojny, słowa nie mogąc wyrzec, gospodarował na swem łóżku i koło siebie.

— Widzisz, — odezwał się stary — nawet mi nie powiedziałeś: Bóg zapłać!

Micio się nieco zarumienił.

— Kochany szambelan wiesz i bez tego, jak ja mu wdzięczen jestem.

— Powinieneś jej być wdzięcznym — rzekł ojciec. — Toć to, panie, dziś jest gwiazda Warszawy! ulubione dziecko całego wielkiego świata! Wszyscy przed nią na kolanach! A ona, owa monarchini czyni ci ten honor...

Zarumieniony Grabski dodał cicho:

— I bardzo wielką przyjemność!

Zaturkotało w ulicy, troskliwy ojciec pobiegł do okna, poznał powóz i wyszedł śpiesznie naprzeciw swej jedynaczki, aby jej służyć za przewodnika.

Grabski z oczyma we drzwi wlepionemi, naprzemiany blady i zarumieniony, czekał ukazania się Sylwji. Nie przypuszczał on wcale, aby się domyślać mogła pojedynku przyczyny.

Nie widzieli się już od dosyć dawnego czasu, upływ krwi, cierpienie zmizerowały i zmieniły bardzo Mieczysława, Sylwja też od owego wieczora na kasynie nosiła na twarzy piętno głębokiej boleści.

Spojrzawszy na siebie, oboje doznali przykrego wrażenia. Sylwji uderzyło serce, wyciągnęła ręce, zbliżając się do łóżka zarumieniona i z uczuciem wpatrując się w chorego, rzekła:

— Dawno powinnam była spełnić ten obowiązek, daruj mi!

Grabski usiłował okazać się wesołym, próbował uśmiechać; ale badawcze wejrzenie Sylwji mieszało go.

Czeżewska po przywitaniu usiadła zdala, z podziwieniem przypatrując się pięknym kwiatkom na oknie.

Szambelan, który też przy chorym nic do czynienia nie miał, począł honory kawalerskiego apartamentu robić ciekawej wojskiej i pociągnął ją z sobą.

Sylwja na chwilę została sama przy łóżku Grabskie-

go i natychmiast, korzystając z tego, pochyliła się ku niemu z zapytaniem:

— Na pamięć twej matki, na cienie jej cię zaklinam, mów mi prawdę! Jaki był powód tego pojedynku?

Wejrzenie, które na niego rzuciła, przeraziło go, zbladł i nie potrafił zebrać myśli.

— Ani prawdy, ani fałszu ci nie mogę powiedzieć, nawet na takie zaklęcie, — odparł po krótkim namyśle — dałem słowo, że zachowam tajemnicę.

— Która dla nikogo w mieście już nią nie jest! — prędko odpowiedziała Sylwja. — Może część tylko prawdy zakrytą jest przede mną i przed ojcem, ale ja się jej domyślam!

Wyciągnęła rękę, którą Mieczysław ucałował i podnosząc głowę, rzekł:

— Nie wiem, dlaczegoby cię ta tajemnica obchodzić miała?

Po namyśle krótkim Sylwja, na siebie wskazując, odezwała się głosem spokojnym, w którym jednak jakby jęk stłumiony słychać było.

— Bo ta tajemnica tyczy się mnie!

Grabski rzucił się gwałtownie, przestraszony.

— Któż ci coś podobnego śmiał powiedzieć?

— Mnie? nikt — poczęła Sylwja tym samym głosem dziwnym. — Ojcu mojemu powiedziano wczora, żeś się pojedynkował za honor kobiety, którą wskazywano publicznie jako kochankę księcia Józefa.

— Więc cóż to ma za związek z tobą? — zapytał słabym głosem Grabski.

Sylwja obejrzała się, jak daleko był ojciec i Czeżewska, która w sąsiednim saloniku sztychy angielskie właśnie szambelanowi starała się tłumaczyć.

— Wiem, że życzliwi ludzie na mnie coś podobnego mówią! — odezwała się szambelanówna.

Rumieniec oblał jej twarz, lecz, zebrawszy się na męstwo, ciągnęła dalej.

— Widzisz, że ja nawet miłości księcia Józefa ani się wstydzę, ani zapieram! Jest to szlachetny charak-

ter i piękna dusza, w której zakochać się można! Nie potrzebuję się sromać, bo ani on, ani ja nic sobie do wyrzucenia nie mamy. Przyszłam ci podziękować, żeś szlachetnie stanął w obronie mojej, żeś we mnie wierzył. Dziękuję ci!

Mogę ci śmiało spojrzeć w oczy!

Uśmiechnęła się smutnie.

— Widzisz, — dodała — jak z tobą jestem po bratersku otwartą i szczerą. Tak, Miciu, kocham tego bohatera, on mnie kocha, ale to miłość jest czysta, smutna, święta, bez nadziei!

Pożałuj mnie, wstydzić się mnie nie będziesz...

Mówiła to gorączkowo, ze łzami w oczach, a choć do jej odwagi i charakteru nawykły był Micio, wystąpienie to jawne, przyznanie się do uczucia, o którem chciał wątpić, zabolało go mocno.

Spojrzał na nią z politowaniem i współczuciem. Ona też patrzała mu w oczy, szukając wrażenia, jakie uczyniła.

Grabski ręką cisnął piersi, bo mu się zdało, że serce pęknie z boleści.

— Sylwjo moja, — rzekł — dziękuję ci za zaufanie... Cóż mam powiedzieć ci więcej? Życzę ci szczęścia, a nie widzę go... Pamiętaj na ojca i siebie!

— Bóg da, że biedne moje ojczysko nic wiedzieć nie będzie o tem, co córkę wpędzi do grobu. Ty, Miciu, synem mu bądź! — odezwała się cicho.

— Zwyciężyć się potrzeba, — dodał pośpiesznie Mieczysław, obawiając powrotu szambelana — zaklinam cię, panuj nad sobą. Wracaj na wieś!

Nim szambelanówna mogła mu odpowiedzieć na to, posłyszeli kroki i głos Burzymowskiego, Sylwja zamilkła. Mieczysław zaczął mówić o czemś obojętnem.

Na twarzy jej jednak takie widać było jeszcze rozgorączkowanie i zmianę wielką, że nawet szambelan, zbliżywszy się, dostrzegł ją.

— A mówiłem! — zawołał szybko, poruszony, podchodząc do Sylwji. — Ta wizyta na nic się zdała! Cała

jesteś poruszona tym widokiem... Dla kobiet lazarety nie są stworzone!

— Mylisz się, kochany ojcze, nic mi nie jest! — podchwyciła Sylwja. — Owszem, jestem bardzo rada, że Mieczysława widzieć mogłam, żem go może trochę rozerwała. Wszakżeśmy my dobrzy, starzy przyjaciele od dzieciństwa.

Dobrzeby tatko nawet zrobił, żeby nam rozmowy nie przerywał, bo mamy jeszcze wiele sekretów do powiedzenia sobie.

— Co? sekretów? — zapytał Burzymowski. — Wy? sekretów?

— Ale tak! sekretów! — uśmiechając się przymuszenie, dodała Sylwja. — Cóż tatko wiedzieć może? A nuż ja przynoszę tu jakie czułe poselstwo od jakiej pięknej pani, która sama chorego odwiedzić nie może?

Burzymowski, nawykły do posłuszeństwa córce, ramionami poruszył zdziwiony.

— Co znowu! — mruknął.

— Jak jest, to jest, mój tatku, daj mi jeszcze z Miciem pomówić na osobności — dodała Sylwja.

Naleganie to niespodziewane wprawiło w wielkie zdumienie Burzymowskiego, lecz opierać się nie był zwykł córce, i choć nic nie rozumiał, cofać się zaczął.

Czeżewska, trzymająca się trochę zdala, potrząsała głową.

Gdy się oboje oddalili znowu, obejrzawszy się ku nim, Sylwja pochyliła się do zamyślonego kuzyna.

— Tyś rozumniejszy ode mnie, — odezwała się cicho — życzysz mi dobrze, kochasz mnie, jak siostrę.

Grabski podniósł oczy, protestując.

— Wiesz, że cię nie jak siostrę kocham!

— To źle! bo ja cię tylko jak najdroższego z braci kochać mogę — mówiła szambelanówna. — Psujesz mi tem wszystko, tracę odwagę.

— Mów, ja ją mieć będę za nas dwoje — wtrącił Grabski.

— Cóż ci mam mówić! O mnie nie idzie mi; o ojca

tylko... Śmiało ci w oczy spojrzeć mogę, — dodała, rumieniąc się — ale ludzie są źli, ale potwarz jest zabójczą....

Ojciec mój! o Boże!

— Należy zerwać wszystko, jechać stąd! — powtórzył Grabski. — Przecierpisz, przebolejesz... wszystko w świecie się zapomina.

— Tylko nie pierwsza, jasna miłość, — śmiało przerwała Sywja — gdy była takim snem ślicznym, a bohaterem jej człowiek, co jest bohaterem... Ja jedna znam jego duszę i rycerski charakter... Ludzie sądzą z tego, co on im ukazuje, aby ukrył się przed nimi!

Grabski słuchał z oczyma spuszczonemi, przybity, dysząc od wzruszenia.

— Wierzę, — rzekł — nie mów więcej! Na potwarze jest jedno lekarstwo... gorzkiem może być ono dla ciebie... ale, gdy się stanie koniecznem, Sylwjo, masz— mnie.

Pomimo przytomności szambelana Sylwja krzyknęła. Czeżewska i on zwrócili na nich oczy.

— Proszę nas nie podsłuchiwać i nie przerywać — wtrąciła nakazująco Sylwja — rozmowa nieskończona.

To mówiąc, pochyliła się znowu do chorego.

— Miciu! — zawołała — tyś także szlachetny! tyś bohatersko poświęcający się. Ale sądziszże, iżbym, nie mogąc ci dać serca, taką przyjęła ofiarę? Ja?!

— O przeszłości zapomniałbym, — rzekł Grabski— a nie żądałbym nic więcej nad to, abyś mi sobie służyć i pocieszać się dozwoliła... Przyszłość...

— Jaka przyszłość? — przerwała Sylwja — bez serca, ze wspomnieniami takiemi! O! ty nadto dobrym jesteś!

Grabski się uśmiechnął tylko.

— Chociaż dziś — rzekł — odrzucasz moją ofiarę, pamiętaj o niej, ja jej nigdy i w żadnym razie nie cofnę. Będziesz może zmuszoną zamknąć usta ludziom, uspokoić ojca, szukać kogoś, coby ci życzliwą, braterską podał rękę, nie wymagając nic... oprócz

przyjaźni... Pamiętaj, że mnie masz, którego życie do ciebie należy...

Cicho dokończył ostatka, w milczeniu popatrzyła nań zdumiona i rozrzewniona Sylwja, nie dowierzając prawie temu, co słyszała. Wyciągnęła obie ręce ku niemu w milczeniu wymownem i odezwała się cicho.

— Nie! mój Miciu, ciebie jeszcze czekać powinno szczęście, boś ty na nie zasłużył, a ze zwiędłego serca mojego cóżbyś miał! O! byłabym bezecną egoistką, przyjmując ofiarę.

— Byłabyś moim aniołem wybawcą! — dokończył Grabski. — Pamiętaj, Sylwjo — dziś, jutro, za lat dziesięć, póki żyć będę, jam twój.

Łza się szambelanównie zakręciła w oku.

— Co oni, proszę asiądźki, mogą tam z sobą szeptać i mruczeć — mówił szambelan do wojskiej. — Patrzaj tylko, jak ona się nachyla, ręce mu podaje, jaka ożywiona rozmowa! Dalipan to przechodzi moje pojęcie! Może istotnie Sylwji która z tych jejmościanek, ta, za którą się bił — czy co? poleciła co powiedzieć? Słowo daję! nie rozumiem! Jak się też asiądźce zdaje?

— Ja także tego zupełnie nie rozumiem — zaciskając i sznurując usta, odezwała się Czeżewska. — Naszej panny Sylwji nikt na świecie nie odgadnie!

— Już co to, to prawda! — rozśmiał się szambelan. — Ale bo, spójrz, proszę, na nich, tak coś żywo rozprawiają, jakby o losy świata chodziło! Niechby tam sobie było, co chciało, — dodał — ażeby tylko mojej Sylfidzie to wzruszenie nie zaszkodziło!

— Ja sądzę, że i dla pana Grabskiego zbyteczne poruszenie dobrem nie jest — dodała Czeżewska. — Niech pan swoją powagą wejdzie w to i położy koniec szeptom!

— Powagą! — syknął Burzymowski. — Asiądźka jak na muła wszystko składasz na tę moją powagę, albo jak na żydowskiego konia, z pozwoleniem! Ale! Powaga! Była ona kiedyś, ani słowa, póki panna nie podrosła i głową mnie nie przerosła, teraz ja jej najniższy sługa. Lepiej asiądźka zagadaj i przerwij.

— Mnie nie wypada.

— A ja nie mogę, w żaden sposób — rzekł Burzymowski. — Sylwja mnie nie posłucha i resztę tej powagi djabli wezmą.

Zdaleka tedy przypatrywali się tej zagadkowej dla nich a tak ożywionej rozmowie. Szambelan tylko kiedy niekiedy chrząkał, jakby o sobie znać dawał; Czeżewska wzdychała głośno, wszystko to nie pomagało.

Pół godziny może piękna panna przesiedziała tak u łoża chorego, naostatek jeszcze raz podała mu rękę i wstała, wysilając się, jeżeli nie na wesołość to na jakąś odwagę sztuczną.

Grabski, sparty na ręku, leżał jak przybity — widać było na nim wrażenie, które litość obudzało.

— E! ona mu tam, widać, nic dobrego nie przyniosła, — rzekł Burzymowski w duchu — strasznie nosa spuścił na kwintę.

Widząc, że już nawoływanie na ustąp się skończyło, a Sylwja wstała, szambelan odetchnął i poweselał.

— No, teraz, — rzekł — nie pozostaje nam nic, jak tylko szanownego gospodarza pożegnać, życzyć mu rychłego powrotu do zdrowia i zalecić spoczynek, który doktorowie nakazali. Lękam się właśnie, abyśmy go nie naruszyli naszą wizytą.

— Ja bo jestem nielitościwa, — odezwała się Sylwja — zepsuta egoistka! — Zapomniałam, że to Miciowi szkodzić może i pełnąm mu głowę nabiła różnych niedorzeczności, aby tylko paplać!

Przez grzeczność Grabski protestował, chociaż w istocie czuł się mocno zburzonym i rozgorączkowanym.

— A! — rzekł z wesołością nadrobioną — takie drogie odwiedziny, jak wasze, choćby odchorować za nie przyszło, człowiek nie będzie żałował!

Czeżewska zbliżyła się z radą jakąś lekarską, aby także wtrącić słówko i nie pozostać wiecznie milczącym *Chaperonem*. Szambelan pożartował jeszcze, aż Sylwja, której twarz wypieczone rumieńce krasiły, pożegnała chorego, dając znak do odejścia.

Sam pozostawszy, Grabski nieporuszony przetrwał długo oparty na łokciu, pod wrażeniem rozmowy, której każdy wyraz jeszcze w uszach mu dźwięczał.

Ta Sylwja, którą przed chwilą widział rozgorączkowaną, zrozpaczoną, z taką ufnością i otwartością spowiadającą mu się ze swych cierpień i uczuć, nagle z dzieweczki naiwnej zmienioną w jakąś bohaterkę romansu — zdawała mu się nieprawdopodobną istotą. Porównywał ją z tą, którą znał w dzieciństwie i przyznać wkońcu musiał przed sobą, że pomimo zaszłej zmiany, w samowolnem dziewczęciu dawnem była już dzisiejsza romansowa Sylwja. Powolność ojca, płochość dziwaczna Czeżewskiej aż nadto tłumaczyły to rozwinięcie się charakteru, na który wpłynęły także ówczesne romanse francuskie i obyczaje społeczeństwa.

Było coś poetycznego w niej, Grabski tłumaczył ją i uniewinniał przed sobą, ale sąd świata nielitościwego, cieszącego się każdym upadkiem i słabością, mógłże wypaść równie łagodnie i miłosiernie??

Straszne myśli przychodziły choremu; widział dom opustoszony, starca zbyt powolnego i dobrego złamanego boleścią — siebie — bez przyszłości, skazanego na bezsilne ratowanie tych, których ocalić nie mógł.

Rana, która go czyniła bezwładnym, dolegała teraz podwójnie, gdyż byłby, przemagając swój wstręt, wcisnął się w towarzystwo, które mu Sylwję odebrało i znalazł może jaki środek ratunku.

Wzruszenie, jakiego doznał, ból serdeczny, rozdrażnienie stan jego pogorszyć musiały tak, że wieczorem przybywający lekarz z przestrachem znalazł go prawie w niebezpieczeństwie.

Gorączka wzmogła się straszliwie, przytomność stracił wkrótce, a wyrazy, które mu się majaczącemu z ust wyrywały, świadczyły o rozpaczliwym stanie ducha.

Całą noc lekarz z przybranym felczerem musiał spędzić u łoża chorego i nad ranem udało się ledwie sztucznemi środkami sen i uspokojenie sprowadzić. Gdy około dziesiątej nazajutrz Żybek przybył w imieniu

Sylwji i ojca jej dowiedzieć się o stanie chorego, doktór oświadczył bez ogródki, że wczorajsze odwiedziny i wzruszenie tak dalece pogorszyły stan Grabskiego, iż na przyszłość wszystkich podobnych stanowczo zakazać musi.

Zybek z tą wiadomością powrócił wprost do panny, która go wysłała.

Słuchając, Sylwja załamała ręce. Po tym, którego ukochała, Grabski był jej najdroższym. Czuła dlań obowiązek wdzięczności, a spełnić go ani umiała, ani mogła. Nastręczył się ojciec, któremu Sylwja dała szczegółową instrukcję jak się miał znaleźć, i wyprawiła go do Mieczysława.

Szambelan, który też kochał poczciwego kuzynka, poszedł posłuszny i został przy nim na straży.

Około południa Grabski był już lepiej, mógł więc stary powrócić z tą pocieszającą nowiną do córki. Ale Sylwji już nie zastał.

Dnia tego towarzystwo, korzystając z resztek śniegu i sanny, wyprawiało kulig do Młocin.

Sylwja była zaproszona.

Bolało jej serce, ale książę miał tego dnia jednemi sankami powozić — chciała, dopóki mogła widzieć go przynajmniej, rzucić wejrzenie i zyskać je od niego.

Wśród tej zabawy, która dla Francuzów miała urok nowości, baron de Beaumont zjawił się u boku Sylwji, natrętniej nadskakując, niż kiedy, śmielszy, zmieniony w obejściu się z nią, jakgdyby ktoś mu uczynił nadzieję, że dotąd nieczuła na wejrzenia i westchnienia piękność będzie łaskawszą dla niego.

W jego postępowaniu było coś tak dziwnie natarczywie narzucającego się, że szambelanówna oburzona, nie taiła gniewu i złego humoru.

W czasie podwieczorku książę zbliżył się do niej, tak że mogli kilka słów zamienić nie podsłuchiwani.

— Może mi książę potrafisz wytłumaczyć, co znaczy ta odmłodzona galanterja barona! Nie nazywam tego innem imieniem, abym go nie profanowała. Baron zdawał się już mieć tyle rozsądku, że mnie przestał

nudzić swemi grzecznościami — cóż mu się znowu dziś stało? *Quelle mouche l'a piquée?*

— Nie wiem, tą muchą chyba mogłaby być majorowa, której, pomimo wszystkich jej usług, nie cierpię — rzekł książę. — Ale cóż to pięknej Sylwji szkodzi, gdy ma więcej adoratorów?

— Wszyscy oni są mi nieznośni, a ja wolę żadnego nie mieć! — odezwała się Sylwja. — Miałażby majorowa — czego nie przypuszczam, zrobić mu jaką niedorzeczną nadzieję?

Szambelanówna spojrzała na księcia, jakgdyby jego posądzała, ale Pepi ruszył ramionami i uśmiechnął się obojętnie, widać nie poczuwając się do grzechu.

— Jeśli piękna Sylwja mnie o taką zbrodnię posądza, to się bardzo myli — rzekł krótko.

— I nie domyślasz się książę kto mnie zaszczycić mógł swą opieką i narzucić nieznośnego Francuza? — zapytała Sylwja.

— Mówiłem już, posądzam tylko zawsze nadto domyślną i zbyt usłużną majorową — odparł książę. — O innych przypuszczeniach mówić nie chcę, bo mogłyby być fałszywe.

— Mniejsza już o sprawcę tego figla niesmacznego — zawołała szambelanówna. — Książę mógłby mi tę łaskę uczynić i uwolnić mnie od barona... Wiem, że się narazić księciu nie zechce...

— Tak, ale moja interwencja — dodał książę — byłaby niepotrzebnie kompromitującą.

— A! zdaje mi się, — szepnęła Sylwja smutnie — że ja już dostatecznie jestem skompromitowaną!

Ktoś nadchodzący przerwał tę rozmowę, a Beaumont, jak rozpoczął dnia tego, *une cour assidue,* tak nie zrażony niczem, dotrwał w swych obowiązkach aż do powrotu z kuligiem Pod blachę.

Tu Sylwja uciekła się pod opiekę pani de Vauban i potrafiła się takim opasać łańcuchem, iż baron, nie mogąc do niej dostąpić, musiał się ograniczyć wzdychaniem zdala na uboczu.

Pan baron de Beaumont, kawaler św. Ludwika,

mówiący często i wiele o swych aljansach z pierwszemi rodzinami dawnej Francji, niegdyś wojskowy — był jednym z tych *cadet de famille*, którzy, oprócz pięknego imienia i praktycznego wychowania w salonach, nic nigdy więcej nie mieli.

Rewolucja pozbawiła go rozpoczętej karjery, ale więcej mu nic nad nią nie odebrała.

W znaczeniu nawet urósł jako emigrant, a ci panowie, coby za dawnych czasów, u dworu Ludwika XVI, ani nań spojrzeć nie chcieli, teraz się z nim obchodzili poufale, jako z męczennikiem wspólnych zasad i przekonań jednych wyznawcą.

Uśmiechało mu się wyzyskanie tego położenia przez bogate ożenienie. Słyszał on, że córka pana szambelana miała po ojcu znaczny odziedziczyć majątek, znajdował ją w najlepszem towarzystwie, uroczo piękną, wychowaną starannie, czegóż mógł więcej pragnąć dla siebie?

Wprawdzie, chociaż żadne szczegóły uszu jego nie doszły, słyszał coś o tem i widział sam, że Sylwja bardzo się księciu podobała, mówiono, że książę był w niej zakochany, że ona nie była dlań obojętną — to wszystko nie stanowiło przeszkody, nie zrażało go wcale, prędzejby jeszcze pociągnąć mogło.

Nie były we Francji bezprzykładne małżeństwa z rachuby i dla protekcji, a synowiec króla w oczach barona miał niemal prawa książąt krwi, którym i dozwalano i przebaczano wiele.

Baron w początkach nieśmiało zabiegał około pięknej panny, dając jej poznać tylko, że gotów jest podać rękę do ołtarza... Zdawało mu się, że położenie szambelanówny mogło ją uczynić powolną, że książę mógłby mu pomagać. — Rachuby omyliły, — Sylwja ani chciała nań patrzeć, baron powiedział sobie, że panna musi mieć wielkie nadzieje i ufność w przyszłość, gdy się nie śpieszy wychodzić za mąż.

To w oczach jego wartość skarbu podniosło.

Nie nabijał się już zbyt natrętnie — czatował tylko.

Tymczasem pocieszał się i zabawiał łatwiejszemi,

przyjemnemi i nie bez korzyści stosunkami z paniami dojrzalszych lat, które wszystkich Francuzów z wielką dystynkcją i sympatją przyjmowały. — Znana powszechnie rozwódka i wdowa, starościna ...ska, wielce była baronowi przyjazną i zazdrosną o niego. Na nieszczęście miała tylko dożywocie i lat co najmniej czterdzieści. Przyjaźń więc i dobre obiady w bliższe stosunki zmienić się nie mogły.

Baron de Beaumont, jak wielu innych, znał panią majorową, jej był winien nawet przyjaźń swej starościny; bywał u tej protektorki i miał u niej dosyć łaski. Zapraszała go czasem na podwieczorki, znajdując dosyć zabawnym.

Beaumont, gdy był w atmosferze właściwej, stawał się bardzo wesół, prawił kalambury i opowiadał anegdotki trochę drażliwe, które wielu osobom, mniej zważającym na *decorum*, wielce się podobały.

Śmiali się czasem godzinami całemi z majorową, do której Francuz robił słodkie oczy, i klapsy od niej dostawał, gdy się zbyt natarczywym okazał.

Jednego z ostatnich wieczorów baron, który podobno, zawiedziony w rachubie na swą starościnę, potrzebował pilno sukursu i spodziewał się, że mu go protektorka wyjedna, udał się do majorowej.

Składki na emigrantów płynęły znaczne bardzo. Rozdzielała je, między innemi, i pani de Vauban, łatwo się więc było do źródła docisnąć, ale tu nie płynęło ono z równą dla wszystkich szczodrobliwością.

Habąkowska podejmowała się wstydliwym uzyskiwać i zręcznie wsuwać sukursa, gdy ich potrzebowali.

Baron szedł do niej jak w dym.

— Kochana pani — rzekł po przywitaniu. — Wstyd mi wyznać, *la starostine* nie ma ani grosza *et je suis à sec!*

Majorowa usłyszawszy wyznanie, poruszyła głową i ramionami, skrzywiła usta...

— Starościna, *c'est un pis aller et un interim*, — odezwała się — trzeba coś bardziej serjo obmyśleć, panowie nie umiecie korzystać ze swego szczęśliwego po-

łożenia. Tyle pięknych i bogatych panien jest na wydaniu, któreby chętnie na tytuł się złakomiły, gdy go nosi młody i piękny mężczyzna.

Ale wy wolicie się umizgać do starszych bab, spędzając czas na karmieniu się u nich konfiturami, które nie dają nic, oprócz nudności. Baby i konfitury! — dodała, śmiejąc się. — Żaden z was serjo nie myśli o jutrze... Emigracja może potrwać długo.

— A! mój Boże! — odparł baron z żywością wielką — ja gotów jestem! ale nie idzie mi jakoś!

— A gdzieżeś pan chciał, aby mu poszło? — zawołała majorowa.

Próbowałem się zalecać pięknej szambelanównie.

Majorowa spuściła oczy i głowę poczęła z ramienia na ramię kołysać.

— *A! vous n'êtes pas dégoûté!* — rzekła. — *C'est un joli brin de fille!* I ojciec dobry jak ciasto, a majątek wcale duży.

Nie dokończywszy, popatrzyła z uwagą na Francuza; baron zrozumiał ten wzrok.

— O! ja wiem wszystko — rzekł.

— Wszystko? — rozśmiała się szydersko Habąkowska — a więc z łaski swej powiedz mi choć połowę tego, co wiesz?

— No, księciu się podobała! — rzekł baron.

Gospodyni znowu wlepiła w niego oczy, chcąc wyrozumieć, jakie to upodobanie księcia miało znaczenie u Francuza.

Po długim przestanku odezwała się — dosyć śmiało.

— *Avez vous des préjugés?* (Masz pan przesądy?).

— Ja! najmniejszego! — zaśmiał się Beaumont.

— O księciu ja tam tak dalece nie wiem nic... — rzekła pocichu. — Ale, któż wie, myśl starania się o szambelanównę mogłaby być niezłą. Zczasem, kto wie, dałoby się to może doprowadzić do skutku... tylko — pannie się trzeba podobać, a ona — *elle est difficile!*

— Podobać się? — podchwycił de Beaumont. — Jakiż sposób na to?

Majorowa dźwignęła ramionami.

— Ty! Francuz! Mistrz w galanterji, pytasz mnie, jak się masz podobać kobiecie! A to — doskonałe... Żartujesz chyba!

— Nie, moja śliczna pani! — odezwał się baron — nie, bo jest trzydzieści sześć sposobów podobania się płci waszej, jak to pani wiadomo. Są kobiety, które się biorą szturmem, inne potrzeba oblegać wedle wszelkich reguł strategicznych, inne jeszcze zyskuje się pokorą i służebnictwem. Pani jedna, znając bliżej szambelanównę, powiedzieć mi możesz, jakimbym sposobem mógł pozyskać piękną Sylwję?

— Zadałeś mi pan pytanie, na które ja, doprawdy, odpowiedzieć nie potrafię — odezwała się majorowa po namyśle. — Jedną tylko (w wielkim sekrecie) służyć mu mogę informacją, że pora do zdobycia szambelanówny, jeśli się nie mylę, jest — nader przyjazną.

Baron trochę się namarszczył, niedobrze zrozumiawszy, a majorowa śmiać się poczęła.

— Więcej powiedzieć nie mogę — dodała szydersko. — Mówię panu, że pora jest przyjazną, bo znam bliżej okoliczności. Książę jest bałamut, panna samowolna, dumna, dziwaczna... O! potrzebujesz pan wiele cierpliwości i pokory! *Fin finale!!* mogłoby się udać! Byłaby to partja co się nazywa świetna!

Czy majorowa udzieliła jakich poufniejszych wskazówek baronowi, nie wiemy, lecz długo jeszcze rozmawiali o tym przedmiocie.

Niezmiernie czynna Habąkowska zaraz nazajutrz rano poleciała do księcia, któremu się zalecić chciała właśnie dlatego, że jej nie lubił.

Już sam widok majorowej humor mu psuł, zwłaszcza, gdy się mieszała w jego stosunek z Sylwją. Odważna kobiecina nie dawała się zrazić niczem.

— Mości książę — odezwała się obcesowo wpadając do gabinetu, w którym sobie audjencję wyjednała. — Dwa słowa tylko. Niech się książę nie zapiera przede mną, masz już tej platonicznej miłości dla pięknej szambelanówny dosyć i aż nadto?

— A! gdybyś ty mi się tylko w moje sprawy serdeczne nie mieszała! — westchnął książę.

— Ale ja, jeśli się mieszam, to nie żeby psuć, ale żeby cudze omyłki naprawiać.

Cały ten romans do niczego oprócz kwasów i rekryminacyj nie prowadzi. Panna naiwna narzuca się, książę jesteś tak sumienny...

— Bo ją kocham!

Majorowa zżymnęła się.

— Trzeba temu jakiś koniec zrobić — rzekła. — Wydać ją zamąż.

— A! zapewne! — odparł książę.

— Widzisz w. ks. mość, że ja jestem *de bon conseil!*

— Ale między radą i wykonaniem, *entre la coupe et les lèvres* — szepnął książę.

— Potrzeba choć spróbować jakiś epilog stworzyć do tego dramatu czy poematu — uśmiechając się, mówiła Habąkowska. — Mam konkurenta, *qui est très présentable,* a *il est de si bonne composition!*

Książę się zarumienił i przerwał.

— Mówiłem, że szanuję ją — wtrącił.

— A! i ja także! — dodała piękna Jutka.

Na chwilkę zamilkła, książę się przechadzał zniecierpliwiony.

— Mam księciu przedstawić konkurenta? — spytała majorowa.

— Ja się do tej sprawy mieszać, a nawet wiedziećbym o niej nierad... — odpowiedział sucho.

— Baron de Beaumont! — szepnęła Habąkowska.

Nie było odpowiedzi.

— Już jeżeli go książę protegować nie chcesz, to przynajmniej może raczysz mi powiedzieć, czy nie będziesz przeszkadzał?

— Jestem i pozostanę w tej sprawie zupełnie neutralnym! — dodał z przyciskiem książę. — Nie mieszaj mnie do niej.

— Niewdzięczny! — szepnęła półgłosem majorowa.

Ukłonił się jej książę i chciał odchodzić.

— Mam więc choć milczącą aprobatę? — spytała Jutka.

Odwrócił się już od progu książę Józef ze smutną twarzą.

— Kochana majorowo! — rzekł szydersko — wszędzie i we wszystkiem oceniam twe talenta i pomoc skuteczną, — tylko, proszę cię w tej jednej sprawie! nie czyń nic, a jeśli się już powstrzymać nie możesz od ruchu, nie mów mi przynajmniej o nim. *Adieu.*

Wyszedł. Skrzywiła się Habąkowska, lecz wcale ją to nie wstrzymało od narady w tym samym przedmiocie z panią de Vauban, i obie postanowiły księcia z tych więzów platonicznych oswobodzić.

Zdaje się, iż obie były tego zdania, że platoniczne są najniebezpieczniejsze.

Powróciwszy z Pod blachy, majorowa znalazła czekającego na nią barona, umiała go natchnąć nadzieją dobrą, zaleciła starać się uparcie i wytrwale.

— Zrozumiej mię pan dobrze — mówiła mu. — W pierwszej chwili będziesz pan może traktowany, *comme un chien dans un jeu des quilles* (jak pies w kręglach), nie trzeba się tem zrażać! Pokory i rezygnacji zapas zrobić musisz! Gdyby nawet powiedziała panu coś wyraźnie nieprzyjemnego, możesz udawać, że jej nie rozumiesz. Słowem, dużo cierpliwości, uporu, wytrwania! Kochać się pan nie potrzebujesz! myślę, że to nawet zaszkodziłby mogło... natomiast wiele łagodności baranka, akomodowania się niewolniczego, pokory zalecam...

Allez, — dodała z powagą przybraną — *et que Dieu vous bénisse!* (Idź, niech cię Pan Bóg błogosławi!).

Pobłogosławiony baron poszedł, jak widzieliśmy, i — został w istocie nie najlepiej przyjęty, ale cały plan kampanji tak mu się uśmiechał, a taką wiarę miał w nieomylność majorowej, iż pozostał wytrwale na stanowisku.

Następnych dni Sylwja spotykała go wszędzie, udawała, że nie widzi, gdy mówił, zdawała się nie sły-

szeć, nie poznawała go wkońcu — ale to nic nie pomagało, znajdowała go przy sobie na każdym kroku.

Jednego wieczora tak się stał pokornie natrętnym i nieznośnie słodkim, iż szambelanówna postanowiła otwarcie się z nim rozmówić i — dać mu odprawę.

Wstała od stolika pod pozorem gorąca, aby się przejść po salonie.

Beaumont natychmiast się znalazł przy niej. Gdy tylko mógł przystąpić, spytał, czy jej w czem służyć nie może, czy nie mógłby szala jej odnieść, wody przynieść?...

Dodał, uśmiechając się, iż mu się zdaje, że gdyby gwiazdki z nieba zażądała i tego komisuby się podjął, tak pewnym jest, iż uczucie admiracji i weneracji, jakie ma dla niej, pomogłoby mu do dokazania cudu.

— A! gdyby cud ten mógł się stać, żebyś mnie pan baron nudzić przestał! — odezwała się niegrzecznie Sylwja.

— Pani jesteś nielitościwa! — westchnął Francuz.

— Pan jesteś niemiłosierny! — odparła. — Powiedz mi, czego możesz żądać ode mnie?

— Trochę życzliwości! Pozwolenia, abym był tylko jej sługą i niewolnikiem *(esclave)*.

— A! panie baronie, — szydersko zawołała Sylwja — niema na świecie cięższej służby jak u mnie.

— A jednak, ja przyjmuję wszelkie warunki, bylem do niej został przyjęty!

— Służba u mnie, — ciągnęła dalej Sylwja — bez żadnej zapłaty innej, oprócz złych humorów, niegrzecznych słów — goryczy! Utrapienie ciężka.

— Opłaci się szczęściem patrzania na nią!

Szambelanówna zżymnęła się z niecierpliwości.

— Pan jesteś tak dziwnie zrezygnowanym, — rzekła — jakgdybyś chciał tylko zdobyć stanowisko, na którem rezygnacja mogłaby się w tyranję odmienić!

— Nigdy! — zawołał baron. — Przecież niczem nie chcę być tylko sługą, a sługom się daje kontrakty...

Wejrzeniem pogardliwem od stóp do głowy zmierzyła go Sylwja.

— Jakże żałuję, — odezwała się — że wszystkie miejsca w mej służbie zajęte, i z tak doskonałego kandydata korzystać nie będę mogła.

— Czyż wszystkie? — zapytał uparty baron. — I ani kącika dla mnie? Jabym się nadzwyczaj skromnem kontentował.

— Ale! dajże mi pan pokój! — zakończyła do ostatniej doprowadzona niecierpliwości szambelanówna.

Baron się skłonił.

— Tak jestem pewnym, iż, bliżej poznając mnie, oceniłabyś pani, jakiego miałabyś sługę, iż — gotów jestem na wakans czekać, czekać i czekać bez końca!

Pomimo grzeczności baron się pomścił trochę.

Zdala pokazał się książę Józef.

— Naprzykład, — rzekł z uśmiechem — jestże drugi taki sługa, coby chętnie, nie wzywany nawet, uczuł, kiedy mu ustąpić wypada?

To mówiąc, skłonił się nisko i Sylwję zostawiwszy samą, odszedł do salonu.

Szambelanówna nie wiedziała, czy ma się śmiać czy gniewać. Ruszyła ramionami pogardliwie i powtórzyła księciu całą rozmowę.

Książę zachmurzył się mocno, był gniewny widocznie, mruknął tylko.

— Impertynent!

I zagadał o czem innem.

Z wypieczonym na twarzy rumieńcem Sylwja wróciła do salonu.

III.

W parę dni potem, rano, szambelan Burzymowski, znajdujący się na dole z Zybkiem w swoich dwóch brudnych izdebkach, spędzał na nim swój zły humor. Chodził niespokojny, mrucząc, ruszając ramionami, postukując nogami, to stając naprzeciw okien zamyślony, to trąc czuprynę konwulsyjnie dając wszelkie oznaki wewnętrznego zburzenia, jakiego w nim nikt oddawna nie widywał.

Na wsi mu się takie nadąsanie częściej trafiało, tam potrzebował czasem być groźnym, aby swą powagę utrzymać wobec oficjalistów. W Warszawie prawie statecznie wesół chodził i przyjemnie uśmiechnięty, dla przypodobania się ludziom, z którymi chciał być w zgodzie.

Zybek, wyłajany raz za buty, które stały nie oczyszczone, potem za porzuconą w drugim pokoju szczotkę, dalej za niewylaną miednicę, za stare i nowe grzechy, wyszedł nareszcie na swój zwykły punkt obserwacyjny, we drzwi kamienicy, i mówił sam do siebie.

— Co mu się stało? To niedarmo! Ktoś mu za skórę zalać musiał. A tom go już dawno, przedawno takim nie widział. Sierdzi się na mnie, jakby było o co? Wczoraj toż samo widział, nie mówił słowa, a dziś jak pojechał! Tylko że nie oberwałem. Co mu to jest? Kto inny coś zmalował, a na Zybku się krupi, ale z nim zawsze tak!

W tej chwili przechodzący kondukt pogrzebowy przyniósł wielce pożądaną dystrakcję Zybkowi i czarne jego myśli rozproszył. Długiemi szeregi postępujące zakony, niesione chorągwie rozliczne, krzyże błyszczące, rozmaite mnichów ubiory, wspaniały karawan, muzyka — wszystko to razem tak silnie podziałało na Zybka, że o gderaniu starego pana zupełnie zapomniał.

Szambelan tymczasem sam pozostawszy, latał po swych dwóch izdebkach, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie.

Parę razy próbował usiąść w krześle i uspokoić się mechanicznem kładzeniem pasjansu, ale — niepodobieństwem mu było zebrać myśli, nawet do takiej kabały.

Zaledwie przysiadłszy się, zrywał się znowu, jakby go co piekło.

Kilka razy dobył zegarek Gugenmussa, który nosił w zanadrzu, popatrzył na godzinę i wracał do utrapionej przechadzki po ciasnych izdebkach, przerywanej tylko stawaniem u jednego to u drugiego okna, jakby czegoś lub kogoś wyglądał, a doczekać się nie mógł.

Łatwo odgadnąć było, że to coś, czy ten ktoś nie miał mu przynieść nic przyjemnego.

Kroki dały się słyszeć przed progiem i Burzymowski rzucił się pędem ku wnijściu, gdy we drzwiach ukazał się z wielką flegmą wkraczający szambelan Pokutyński, z uśmieszkiem na ustach, rumiany, wesół jak naprzekorę niespokojnemu koledze swemu.

Burzymowski, nic nie mówiąc, stanął naprzeciw niego, ręce opuszczone załamawszy z rozpaczą.

— Nareszcie! — zawołał, a raczej wybuchnął głośno. — A mnie tu djabli biorą, czekając! Człowiecze!

— Szambelanie mojej duszy! gorączka jesteś! — rzekł Pokutyński. — Ze sześćdziesiąt lat jest, jak cię w gorącej wodzie skąpano, a do tej pory nie ostygłeś!

— No! daj pokój morałom! zamykaj drzwi, siadaj i na miłego Boga, na rany Chrystusowe, wytłumacz mi!

Pokutyński, stawiąc laskę, składając kapelusz, ściągając powoli rękawiczki, regulując *en petit maître*, nieco zmięte ubranie, uśmiechał się ciągle, jakby naumyślnie nie śpiesząc z odpowiedzią.

— Ależ, proszę cię — proszę cię! — wołał, przynaglając go, Burzymowski z niecierpliwością rosnącą coraz. — Co to było? co to ma znaczyć?

Pokutyński zajęty był strzepywaniem i zdmuchiwaniem pudru z rękawów, odprostowywaniem pomiętych nieco żabotów, przyglądał się butom swoim, dobywał chustki, aby je otrzepać.

Zwłoka ta umyślna do najwyższego stopnia doprowadziła rozdrażnienie Burzymowskiego, który, jakby gwałt sobie zadając, sparł obie ręce na poręczach krzesła, palce sobie wyprostował i usta niemi zatknął.

Gdy szambelan przybyły usiadł nareszcie, dobył tabakiereczki, zażył tabaki trochę i począł się w kolegę wpatrywać, Burzymowski krzyknął.

— Drwisz sobie ze mnie, czy co? Jak mi Bóg miły. No? będęż ja nareszcie wiedział, co to ma znaczyć?

Pokutyński zdawał się odgrywać jakąś rolę, zachęcony może dosyć szczęśliwie wykonaną Nathana w Atalji. Powolniejszym był, niż zwykle. Może go to bawiło.

— Kochany panie Stanisławie — odezwał się zwolna i dobitnie, cedząc wyrazy. — W twoim wieku, z twem doświadczeniem, z twoim rozumem, z przenikliwością (szyderskо trochę położył nacisk na tym wyrazie), gdzież się mnie pytać o rzecz jasną jak słońce?

— Gdzie u kata, jasną! — wybuchnął, porywając się, Burzymowski, i wnet znów opadając na krzesło. — Cóż tu jasnego? Urzędownie mi wprowadzasz do domu tego barona czy barana francuskiego — poco? Naco? Do czego? Kto cię prosił o to?

Siedzimy tyle czasu w Warszawie, Francuz ani mnie znał, ani na mnie spojrzał. Nagle, coś do niego przystąpiło — każe mi się prezentować! Ty go tu wprowadzasz!

— A no, tak jest! Lepiej późno niż nigdy! — rzekł Pokutyński.

— Ale pocóż on mnie? Naco ja jemu? Ja z innej, on z innej parafji! Mnie jego francuszczyzna, notabene nieosobliwa, nie bawi, bo czy szepleni, czy źle wymawia, dosyć, że ja, umiejąc dobrze po francusku, ledwie go mogę zrozumieć. — Ja go moją polszczyzną też pewnie nie rozerwę.

Pokutyński ramiona podniósł.

— A zatem, — rzekł — jasna rzecz, że on tu dla ciebie nie przybył.

— Nie dla mnie? — podchwycił Burzymowski. — Więc dla kogóż? Chyba dla wojskiej Czeżewskiej, albo może Zybka chce uczyć parle franse!

— No! znajdzie się u ciebie ktoś więcej? — szepnął, zukosa spoglądając nań, Pokutyński i — chrząknął.

Burzymowski ogromnie usta wydąwszy, brwi podniósł, minę nastroił straszną i głową począł zwolna wahać.

— Fiu! fiu! Nie dla psa kiełbasa!! ho! ho! Patrzajcieno go? Patrzajcie! Zapewne! Jeszcze czego nie stało! A cóż to on sobie myśli?

Łagodnie rozśmiał się Pokutyński.

— Słuchaj kolego, — rzekł poważnie — mówmy rozsądnie!

Baron de Beaumont, kawaler św. Ludwika, spokrewniony z dukiem de Fleury, z Choiseulami, z najpierwszemi domami we Francji. — Cóż ty sobie myślisz?

— Co ja myślę? A to ja ci powiem — żywo odparł Burzymowski. — Gdyby mi się baronostwa chciało, tylkobym palca zakrzywił i miałbym austrjackie, świeżo z rożna, w najlepszym gatunku. On kawaler św. Ludwika, nie uwłaczam temu świętemu ze krwi panującej, ale ja jestem kawalerem św. Stanisława i — nie wiem, który tam z nich lepszy. Choćby był kawalerem wszystkich świętych, Francuz, z pozwoleniem, goły, jak bizun, niekoniecznie młody, przybłęda, — a co ja z nim będę robił? To mi dopiero szczęście i partja! Sylwja piękna jak anioł, a mój mosanie, Burzymów, Burzymówka, Sawin, Miatnica i Przegony, choćby dla księcia ładny posag stanowią. Ona jedynaczka, a ja się żenić nie myślę. Czyś ty oszalał, Pokutynsiu? Co tobie? Przeżegnaj się!

I począł się śmiać szambelan suchym śmiechem, naprawdę gniewu pełnym. Pokutyński laskę ze złotą gałką trzymał w ustach, patrzał, słuchał, milczał.

— Wygadałeś się już? — zapytał.

— Reszty się może domyśliłeś — dodał stary, trzęsąc się z aprehensji.

— No — otóż ja ci powiem, że racji nie masz — odezwał się Pokutyński. — Francuz jest człowiek europejski, znany całej rodzinie królewskiej. Gdy przyjdzie do restauracji, dynastji, a to nastąpić musi, ma przed sobą ogromną przyszłość. Człowiek zdolny, ma talenta...

— Zdolny? Do czego?—przerwał Burzymowski.— Ja tylko wiem, że sylwetki z papieru czarnego wystrzyga, i jak mnie raz zrobił, upalantował mi takiego nosa...

— Przeczuwał widać, że ty mu także dasz nosa, — dodał Pokutyński — ale posłuchajże cierpliwie, nie skończyłem.

— Zatem? Cóż dalej? — spytał, zasiadając w fotelu głęboko, Burzymowski.

— Starożytne baronostwo francuskie z czasów krucjat, przecież narówni z ladajakiem tam austrjackiem iść nie może? De Beaumonty są szlachtą historyczną!

— Człeczé! Na rany Pańskie — krzyknął Burzymowski. — A mnie co po historycznym szlachcicu w Burzymowie? — którego wszyscy za fryzjera brać będą? Żeby moje wnuki miały być Francuzy! A! niedoczekanie wasze! Na to — ja nie pozwolę!

Nagle, opamiętawszy się w gorączkowym zapale, szambelan rozśmiał się i rzekł:

— Czyż może być, ażeby ten mój śliczny, różowy, wonny kwiatek, ten mój aniołek drogi, nie był już więcej wart nad wędrownego Francuza w dziurawych pończochach? Możeż to być, aby moja córka taki wybór zrobiła? Chybaby oślepła czy oszalała!

— Strasznie bo się gorącujesz! — odparł zimno Pokutyński. — Wszakże niema jeszcze nic, a za propozycję gniewać się nie godzi.

— Mnie ona gniewa! — wołał szambelan — bo jużciż córka moja i ja więcej coś warci jesteśmy.

— Ale cię nikt nie zmusza! — rzekł przybyły.

— Ba! ale mnie to, do trzechkroć sto tysięcy, kompromituje! — dorzucił Burzymowski. — Ludzie, dowiedziawszy się o tem, śmiać się będą. Przywożąc tu moją Sylfidę, marzyłem wcale o czem innem...

Pokutyński, gałkę w ustach trzymając, milczał.

— Takie dziewczę! z takiem wychowaniem, dowcipem, urodą, majątkiem, miało prawo czegoś innego wyglądać.

— Cóż bo ty myślisz? — przerwał Pokutyński — we Francji de Beaumonty to tak jak u nas niby Potoccy! Co się zowie rodzina znakomita.

— To niechże sobie z tem imieniem jedzie tam, gdzie ono tak wiele znaczy. U mnie ta moneta waloru nie ma! Dla mnie Beaumont wszystko równo co kuchcik, a, na uczciwość powiadam, taki Ledoux, co kasyno sztyftuje, ledwie mi się nie lepszym wydaje nad niego!

— Ale pfe! pfe! — mówił, coraz się więcej rozpalając, Burzymowski. — Na samą myśl wydania córki za

niego włosy mi się jeżą. Dopierożby to, panie, cały dom trzeba było tłumaczyć na język francuski. Ta bestja języka naszego się nie nauczy, tak samo jak razowego chleba jeść nie będzie. Przyniosą, suponuję *(quod Deus avertat)* bigos lub kapuśniak panu Burzymowskiemu, zięciaszek (Boże od tego uchowaj!) delikatny nos zatyka! Dla zięcia smażyć trzeba ślimaki i żaby! Teść ucieka od stołu, aby nie womitował!

Pfe! pfe! No, ale o tem i mowy być nie może, — dodał, uspokajając się, szambelan — ani ja, ani córka na to nie zezwolimy. Pocóż mi go tu było wprowadzać, abym ja go wyprowadzić musiał?

— Czekajże, uspokój się, nie gorącuj! — przerwał Pokutyński.—Zróbmy przypuszczenie, prostą hipotezę. A gdyby go przypadkiem panna Sylwja sobie podobała, przyszła i powiedziała ci: — Kochany tatku, ja koniecznie chcę za barona de Beaumont.

— To nie może być! — krzyknął Burzymowski, który przez chwilę stał osłupiały. — Chybaby moją córką nie była!

— Lecz przypuśćmy — nalegał Pokutyński.

— No, to powiedziałbym jej: — Głupia jesteś! — zawołał oburzony szambelan.

— Ale córkę kochasz? — zapytał gość.

— Jakże ty mnie o to pytać możesz? — ofuknął z oburzeniem Burzymowski.

— Więc, gdyby ci się rzuciła do nóg i powiedziała, że bez niego żyć nie może? — ciągnął dalej nielitościwy Pokutyński.

Burzymowski ręce założył na piersiach i stał przybity.

— Naówczas — wyjęknął — byłby chyba koniec świata!

To mówiąc, począł chodzić i wzdychać.

Zamilkli oba. Pokutyński udał się po ratunek do tabakiereczki. Dobył ją, zręcznie z niej we dwa palce tabaki wziął, zażył, strzepnął je i podsunął gospodarzowi tabakierkę. Ten odmówił, a Pokutyński się odezwał flegmatycznie:

— Mój kochany szambelanie, są na świecie gusta niepojęte, są sympatje, których przyczyn nikt nie zbadał, miłości niezrozumiałe, a często śmieszne. Może się trafić, że najpiękniejsza panna zakocha się szalenie w człowieku ni z pierza, ni z mięsa — no, i będzie z nim szczęśliwą!

— Wszystko się trafia — odparł Burzymowski, znacznie już uspokojony po wylaniu tego, co mu na sercu ciężyło. — Ale my ludzie jesteśmy ordynaryjni i nie mamy gustów popsutych a dziwacznych. Jużci są panny, co lak i kredę jedzą! Wszyscy jednak Burzymowscy, jak świat światem, żenili się, ot tak, z ordynaryjnie ładnemi kobietami, a Burzymowskie wychodziły za zdrowych i majętnych szlachciców.

Pan Bóg mi syna nie dał, na Sylwję spada majątek wcale nieszpetny, ona też nielada kwiatek, mam prawo wymagać, aby się w suchej wierzbie nie zakochała. Daj mi więc z tem pokój — i kwita.

A, żeś mi Francuza do domu wprowadził, niech ci Pan Bóg nie pamięta!

— Gniewasz się na mnie, — przerwał gość, śmiejąc się — no! a córki pytałeś? mówiłeś z nią o tem?

— Cóżem ja z nią miał mówić? — odparł szambelan z ruszeniem ramion. — Poddawać jej taką myśl głupią? Patrzałem tylko jak ona go przyjmie. Chodziła, powiadam ci, jak królowa, a Francuz zwijał się, jak fagas, robił się maleńki, choć go było do kieszeni schować, gdyby jej nie zapaskudził... Nawet Czeżewska, która *expedite* mówi po francusku, jak rodowita flądra francuska, a szwargotać lubi, na niego się bundziuczyła... Ale bo — pfe!

— Koniec końców, — dodał Pokutyński — jeśli tak, niema o czem mówić i niema się gniewać za co. Ja odmówić takiej posługi nie mogłem, zwłaszcza dla jednego z tych wygnańców, którym my winniśmy respekt, jaki się nieszczęściu należy.

— A! to co innego! — odezwał się Burzymowski.— Jestem z respektem zawsze względem wygnańców, kalek i wszelkiego rodzaju zawiedzionych. Oprócz re-

spektu niemało dałem dukatów do składek na nich, ale żebym przez miłosierdzie miał mu jeszcze dać córkę w dodatku?... A! przepraszam — to jużby było zanadto! Prędzej sobie dam uciąć palce.

Gdy gospodarz to mówił, szambelan wstał i począł z tąż samą powolnością, z jaką się wprzód rozbierał przyszedłszy, ubierać na nowo; rękawiczki wdziewać, kapelusik otrzepywać, futerko naciągać, perukę układać.

Stanął nawet naprzeciw lustra, aby być pewniejszym, że wszystko na nim dobrze leży.

— A więc, kochany panie Stanisławie, — rzekł, przygotowawszy się do drogi i rękę do niego wyciągając — bez gniewu. — Uczynisz, co zechcesz, jak ci się podoba. Mnie zaś grzeczności, dopełnionej dla emigranta, za złe mieć nie możesz.

Burzymowski wstrzymał się już od nowych wyrzutów, pomruczał coś pod nosem, pożegnał go i zatrzasnąwszy drzwi, powrócił chmurny do krzesła.

Cała ta rozmowa, której przyczyną była wizyta barona, usposobiła dziwnie naszego starego. Smutek mu jakiś padł na duszę. Inaczej zaczynał widzieć wszystko, tęskność się w nim budziła do spokoju na wsi, do dawnego życia, miasto mu zbrzydło i nagle wydało się czemś nieznośnem, brudnem, nawet niebezpiecznem.

— Już lepiej ją wydać za tamtego, com go trzymał w zapasie — rzekł w duchu. — Trochę ułomny, ale szlachcic polski i poczęści na pana zakrawa. Dali im hrabstwo, a choć natura go nieco pokrzywdziła, prezentuje się, jak nie można lepiej i człowiek do rzeczy.

Prawdę rzekłszy — ciągnął dalej, zaczynając przerwany pasjans kłaść, Burzymowski — ja nie wiem, poco my tu dłużej siedziećbyśmy mieli? Zapusty się skończyły, ta zabawa w pisane karteczki niekoniecznie dziewczynę rozerwie; życie okrutnie kosztowne, człowiek w śmierdzących dwóch izdebkach siedzi, jedzenie pożal się Boże, albo figatele i pulpety, albo coś takiego, co ani do gęby; żołądek cierpi, kieszeń się wy-

próżnia, czas, by, jak Boga kocham, do domu powracać.

Wysiedzieliśmy tylko — Francuza! a to, panie, tak jak ta kura, co wylęgła bazyliszka!

Śliczny interes! Słowo daję, powiem Sylfidzie, niech manatki pakuje i do Burzymowa. Spenetrowała już, co chciała — i dosyć tego.

Raz powziąwszy tę myśl, Burzymowski się do niej coraz mocniej zaczął przywiązywać — utkwiła mu w głowie.

Postanowił tegoż wieczora, doczekawszy się córki, bo teraz rzadko kiedy siedziała w domu, rozmówić się z nią o tem kategorycznie.

Zdawało mu się, iż na powrót chętnie się zgodzi. Zbliżała się wiosna, wołał piękny ogródek i kwiatki w Burzymowie.

Oprócz innych pobudek, list rządcy dóbr szambelana przyczynił się do utwierdzenia go w myśli opuszczenia Warszawy.

Jmpan Fansowicz donosił mu, że omłoty nadspodziewanie chybiły, w stertach myszy polne wyrządziły szkody ogromne i że w dwóch folwarkach na nasienie jarzynę kupować będzie potrzeba. Pieniędzy żądanych zamiast dwóch tysięcy wysłał tylko półtora tysiąca czerwonych złotych, bo więcej w kasie nie było.

Z kupna gorzałki Żyd się zrzucił, wołów na braże kilka zdechło i t. p.

Burzymowski czuł zgryzoty sumienia, że majątek i gospodarstwo zdał na najemne ręce i oczy, a był tego przekonania, iż jego kierunek i dozór nadzwyczaj tam były potrzebne.

Utwierdziwszy się więc w przekonaniu, że wracać musiał, niecierpliwie na córkę oczekiwał. Ale wieczór nadszedł i noc już się zbliżała, a pań tych nie było.

Przysłuchiwał się szambelan wszelkim ulicznym hałasom, ciągle spodziewając się, że powóz jakiś przed jego domem się zatrzyma — wszystkie go mijały.

Pasjans kładł nieskończoną liczbę razy, aż go znudził, chociaż miał ich kilka na zmianę.

Wieczerzę kazał sobie Zybkowi przynieść do domu i butelkę piwa, bo sam pozostawszy, żył skromnie. Zjadł kawałek żyłowatego mięsa, piwo kwaśne do kropli wysączył, zmęczył się chodzeniem, myśleniem znużył, kobiety nie powracały.

Zaczynał się już dąsać, coraz to spoglądając na gugenmussa.

— Z temi babami to tak zawsze, — mówił w duchu — guzdrzą się, nim wyjadą, a potem powrócić nie umieją nigdy na godzinę naznaczoną. Choćby która była najstateczniejsza, natura w niej kobieca zawsze. Z nocy dzień, z dnia noc robią, kota do góry nogami przewracają.

Zaturkotało. Szambelan wybiegł. Sylwja wysiadała właśnie w sukni długiej, obcisłej, papuziego koloru, przejrzystym woalem osłoniona jak obłokiem, śliczna jak anioł, ale gdy ojciec spojrzał na nią, przestraszył się.

Blada była jak trup, oczyma osłupiałemi patrzała nie widząc, ręce jej drżały, oglądała się niespokojnie, nie poznała, czy nie zobaczyła ojca. Zamyślona, pogrążona w sobie, zdawała się przez boleść jakąś od przytomności odchodzić.

Dopiero przemówienie ojcowskie, głos ten łagodny, tak jej dobrze znany, przywrócił ją do życia. Zobaczyła go i rzuciła mu się na szyję z nienaturalną, wezbraną czułością jakąś, jakgdyby obawiała się go utracić.

Czeżewska, idąc za nią wyprostowana, sztywna, usta miała zapadłe, zaciśnięte, czoło sfałdowane, a w twarzy wyraz jakiejś trwogi.

Szambelan, jakkolwiek wcale nieprzenikliwy ani domyślny, dostrzegł, że kobiety powracały strwożone czemś i znękane, nie tak jak z zabawy przybyć były powinny.

— Cóżto? czy nie chora jesteś? uchowaj Boże! — zapytał córki.

Sylwja jakby nie zrozumiała.

— Chora? — wybąknęła cicho — chora? Nie wiem! Tak! niedobrze mi, niedobrze!

Czeżewska przyszła jej w pomoc.

— Przelękła bo się w drodze, powóz się przechylił.

Szambelan począł łajać woźnicę.

— A jakże, proszę jaśnie pana, nie miał się przechylić — ofuknął warszawski stangret, z kozła się pochylając. — Gdzież to kto o takiej porze jeździ po takich dziurach, kędy nawet latarki żadnej nie uwidzi. Jać kocich oczów nie mam.

— Toż powracacie z Pod blachy?—krzyknął szambelan. — Co on plecie?

— Ale, z Pod blachy! — zaśmiał się szydersko woźnica. — Bodaj pan tak zdrów był! Aha!

Zaciął konie i odjechał.

W czasie tego epizodu Sylwja stała w sieni, Czeżewska z przestrachem wbiegła do niej także. Burzymowski, ze zdziwienia osłupiały, nie wiedział, co miało znaczyć to jeżdżenie nocą po dziurach i zawrócił do córki.

— Skądże bo jedziecie? gdzie byłyście? o tej porze? — począł pytać zburzony.

— Musiałam odwieźć majorową, której powóz nie przyszedł, i na chwilę do niej wstąpiłam — śmiało odpowiedziała Sylwja. — Cóż tak dziwnego?

— A! niechby ją, tę majorową wilcy zjedli!—krzyknął Burzymowski — żebyś ty dla niej miała się sakryfikować!

Nic mu już nie odpowiadając, córka poszła na górę, a on powlókł się za nią, rozmyślając nad tą tak późną wizytą u Habąkowskiej, której cierpieć nie mógł.

Gdy na górę weszli, Sylwja, jakby znużona, nie zrzucając nic z siebie, padła na kanapę. Nawet Burzymowski, spojrzawszy teraz baczniej na nią, znalazł ją tak jakoś strasznie zmienioną, chorą, smutną, znękaną, iż odwaga go opuściła wniesienia drażliwej kwestji powrotu.

— Ale bo to, duszko moja, — rzekł łagodnie — ty musisz się czuć niedobrze i zmęczona jesteś! czy cię, uchowaj Boże, co nieprzyjemnego nie spotkało?

Stojąca obok wojska głową tylko potrząsała.

— Ja właśnie czekałem na ciebie, chcąc pomówić

w jednym interesie, — rzekł stary — a tu, widzę, nie pora.

— O czem chciałeś mówić, kochany tatku? — słabym głosem odpowiedziała Sylwja, oczy podnosząc na niego.

— Rzecz nie jest jeszcze tak pilna, będzie na to czas — odparł szambelan. — Tyczyło się to naszego powrotu do domu.

— Do domu? czy ci tak pilno? — spytała, podnosząc się nieco.

— No, poraby już wracać — rzekł Burzymowski.— Ty się tu więcej męczysz, niż bawisz, co i z humoru, i z twarzy widać, a ja naprawdę nudzić się zaczynam. W domu, do kaduka, źle idzie gospodarstwo; rządca mi pisze, że jabym mu się tam bardzo zdał.

— Ale, zmiłuj się, ojcze, ja bo powrócić nie mogę! nie chcę! — zawołała Sylwja stanowczo.

— Jakto, nie możesz!—zawołał zdziwiony ojciec— nie możesz? Cóż? dlaczego?

Szambelanówna spuściła oczy, zmieszana drąc swój woal w rękach.

— Stosunki towarzyskie, projekta różne, prawie zobowiązania. Ja obiecywałam, nie przewidując, żebyśmy tak rychło mieli opuścić Warszawę. Ojciec o powrocie nie wspominał dotąd nigdy, a jam się nie spodziewała...

— Jużciż mogłaś przewidywać, że do domu kiedyś powrócić potrzeba — rzekł szambelan kwaśno i skłopotany, trąc głowę. — Widoków tu żadnych nie mamy, czegóż będziemy się rujnowali i siedzieli.

Sylwja milczała, Burzymowski, poczekawszy próżno na odpowiedź, dodał:

— No, więc cóż ty na to?

— Mówiłam ojcu ja teraz, tak prędko, wyjechać?! ale ani myśleć! nie mogę!...

— To jest, nie chcesz! moje dziecko! — śmiejąc się niby, począł Burzymowski, którego na widok córki przykre jakieś ogarniało uczucie.

— No, to może i nie chcę! — niedbale odparła Sylwja, — a może, może mi nie wypada!

— Serce moje — zbliżając się do niej, szepnął ojciec tak, aby go Czeżewska nie słyszała. — Masz co napiętego?...

Na bladą twarz biednego dziewczęcia wystąpił rumieniec i zniknął. Popatrzyła z politowaniem i czułością na ojca.

— Mój ty dobry, mój kochany tatku! — odezwała się głosem zbolałym, błagającym. — Nie pytaj mnie o nic. Nic ci powiedzieć nie mogę takiego, coby ci radość sprawiło, a próżnym smutkiem poco cię karmić?

— Ale, na Boga! jakiż ty możesz mieć smutek!— załamując ręce, krzyknął szambelan.

— Ach! nic, nic! — przerwała Sylwja, widząc go tak poruszonym — ale, smutne jest to życie! zabawy są smutne i wesołość niewesoła, mój dobry ojcze!

Burzymowski zbliżył się, całując ją w czoło i przestraszył się, dotknąwszy go, znajdując je jak ogień gorącem.

— Ale ty chora jesteś! — zawołał — głowa rozpalona okropnie!

Sylwja białą dłoń przyłożyła do czoła, powiodła po niem i odpowiedziała:

— Nie wiem! Może!

Mowa i twarz córki zaniepokoiły wielce starego, nie myślał, nie chciał już nalegać o nic. Sylwja spróbowała wstać, opierając się na ręku, i opadła ze smutnym uśmiechem na kanapę. Spuściła oczy, milczała; potem jakby dla zmienienia przedmiotu, szepnęła:

— A z Miciem co się tam dzieje? nie wiesz?

— Mieczysław ma się lepiej — odpowiedział żwawo Burzymowski. — Widzę, że cię poczciwy chłopiec obchodzi. Otóż, łaska Boża nad nim, nic mu nie będzie. Witaczek mnie zapewnił, że może nawet i bez okulawienia się obejdzie. Jakiś czas tylko o lasce chodzić musi, póki się nie wzmocni noga.

— A prędkoż mu wyjść pozwolą? — zapytała Sylwja.

— No, rana jeszcze się nie zabliźniła,—rzekł szambelan — ale po pokoju trochę, czasem mu się przejść pozwolą wkrótce.

Czeżewska, która w początku na coś niby oczekiwać się zdawała, widząc, że rozmowa między ojcem a córką się przedłuża, kwaśna, pomrukując, wysunęła się do swojego pokoju.

— Idź i ty spać! — rzekł, całując Sylwję, Burzymowski — spocznij. Dobry to ten wasz wielki świat, ale męczy i nuży. Na wsi, dalipan, lepiej.

Uwaga ta została bez odpowiedzi, Sylwja wstała i powoli przeszła do swojego pokoiku. Ojciec zatrzymał się, śledząc ją oczyma, a gdy się drzwi zamknęły, powlókł się smutny na dół, gdzie Zybek śpiący na krześle i świeca łojowa z narosłym grzybem nań oczekiwała.

— Dobrze to mieć dzieci! — mruczał, rozbierając się — a no ma i to błogosławieństwo swe inkonwenjencje. Człowiek nie należy do siebie, a nie wie, jak im służyć. Dziewczyna, co mi się tu miała z pączka rozwinąć, zmarniała. Zabawy te ją zamordowały!

Trzeba temu koniec położyć!

Z tem się, odmówiwszy pacierze, poczciwy szambelan spać położył, a we śnie marzył, że się kłócił z Pokutyńskim o Francuza.

Nazajutrz, gdy się z rana o gospodarskiej godzinie obudził stary i na gugenmussa spojrzał, była na nim siódma.

Zybek, wysłany na górę po kawę, z zastrzeżeniem, aby się cicho sprawiał, po wschodach nie łomotał, a w kawiarni nie krzyczał, pannie snu nie przerywając, rozśmiał się wróciwszy.

— Gdzie ja, proszę jaśnie pana, panienkę miałem zbudzić, kiedy do świtu poszła na mszę do Kapucynów.

Szambelan nabożeństwem tem zdziwiony był mocno.

Dzień był już niby wiosenny, ale chłodny z przechodzącemi śnieżnicami, wcale do pieszej przechadzki nie

zachęcający. Sylwja też nie zwykła była w tak rannej porze i sama jedna wyrywać się do kościołów.

— Jakto, poszła? sama, powiadasz? — przerwał nagle Zybkowi. — A Czeżewska?

— Gdzie? pani wojska jeszcze się na drugi bok wylega — odparł naiwny Zybek. — Potem, nim wstanie, kawę wypije, wysmaruje się, wypudruje, usznuruje... ho! ho!... u Kapucynów się nabożeństwo skończy i kościoły pozamykają. Ona... chyba świece gasić!

Czeżewska wogóle miłości u ludzi nie miała.

Burzymowski się zżymnął zły, pomruczał coś. Ta zbytnia pobożność po wczorajszym smutku wydała mu się jakąś podejrzaną.

Ówczesny świat nasz był wprawdzie katolickim, jak zawsze, zachowywał wszystkie zewnętrzne formy, jakich kościół wymaga, ale, począwszy od wyższego duchowieństwa, które dosyć lekko sobie poczynało w sprawach wiary, aż do szlachty niezbyt gorliwej, religja była, skutkiem wieku tego, rewolucji francuskiej i wolterjańskiej literatury — dosyć zaniedbaną.

Biskupi świetnieli dowcipem w salonach, lubili życie wesołe, tolerujący byli wielce i wyrozumiali, bo potrzebowali, aby i im przebaczano wiele. Niższe duchowieństwo szło w ślady starszyzny.

Bardzo niewielu pojmowało surowiej obowiązki duchownych. Staszic, który się sam wyłamywał z kapłańskich swych obowiązków, przyjętych za wcześnie i nierozważnie, nielicujących z późniejszem jego powołaniem, nie zrzucał jednak sukni, a na zepsucie i demoralizację duchowieństwa oburzał się silnie. Do jakiego stopnia dochodziła tolerancja, ten jeden przykład posłużyć może, iż Dmochowski, który suknię duchowną zrzucił i zmieniwszy wyznanie, ożenił się, był najlepszym przyjacielem arcybiskupa Krasickiego i niemal domownikiem.

Nowego pokolenia kapłanów, ściślej zachowujących i wymagających surowszego strzeżenia obowiązków, reprezentantem był młody Woronicz, ale ten skromną naówczas grał rolę.

Wyższe towarzystwo nazywało się katolickiem, lecz było niem powierzchowne tylko i póty, póki religja życiu nie zawadzała.

Po wsiach zato, w szlacheckich dworach tradycyjna tolerancja dla drugich łączyła się z największą gorliwością religijną dla siebie. Przywiązanie do wiary gorące było i wielkie. Ze wsi to pani starościna krakowska, pani kasztelanowa połaniecka przywiozły pobożność do Warszawy, nie poświęciwszy jej obyczajowi miejskiemu.

U nich mszy słuchano codzień, poszczono piątki, suche dni i wigilje, ale w pałacu Pod blachą, Na górze, w większej części innych eleganckich domów wielkie się tylko obchodziły święta.

Szambelan sam pobożny był raczej z nałogu niż z ducha, córka jego, wychowana przez sfrancuziałą Czeżewską, od niej się religijności nauczyć nie mogła. Zdziwił się więc niepomału szambelan nagłemu przebudzeniu tego uczucia w dziecku, gdy dawniej go nie postrzegał.

Od wczora już niespokojny, poparzył się kawą, wdział co prędzej futerko i sam też pobiegł do Kapucynów.

Tu ranne msze już się dawno odprawiały, msze ubogich, biednych, pobożnych. Ławki stały puste, cisza uroczysta, po kątkach klęczały tu i ówdzie zakwefione niewiasty. Przed dwoma ołtarzami razem msze księża odprawiali.

Szambelan, wszedłszy, oczyma poszukał córki, z początku jej nigdzie dostrzec nie mogąc.

Chciał ją widzieć, nie będąc widzianym, przesunął się popod ścianami ostrożnie i po chwili dopiero zobaczył, a raczej przeczuł Sylwję w kobiecie, która napół klęczała, wpół siedziała na ziemi, z rękami spuszczonemi, z głową na piersi zwieszoną.

Cała czarną okryta zasłoną, zdala wydawała się jak śliczny posąg na grobowcu. Nieruchoma, pogrążona w sobie, klęczała tak u stóp księdza, który mszę od-

prawiał powoli, ale z postawy jej jakby skamieniałej widać było, że myślami uciekła gdzie indziej.

Dotknęło to szambelana, że wczoraj widział ją tak przerażająco smutną, prawie nieprzytomną, a teraz postać jej cała wyrażała taki ból, takie zwątpienie, iż najzaślepieńszy człowiek w zrozumieniu ich omylić się nie mógł.

Ojcowskie serce jego uderzyło. Miał jakby objawienie nagłe, że córka jego jest, musi być nieszczęśliwą.

Lecz jakież to nieszczęście dotknąć ją mogło? Kto, co mogło ją nagle uczynić tak biedną? Co młodą, wesołą, swobodną zdołało tak przybić do ziemi? Myślą nawet sięgnąć nie umiał przyczyny!

Stał skamieniały, jak ona, dwa tylko łez strumienie puściły mu się z oczów, a ręce same się do modlitwy błagalnej złożyły.

Ukląkł stary i rozrzewniony, poruszony, nieszczęśliwszy nad wyraz wszelki, z sercem rozdartem, modlić się począł i płakać.

Za łzami widział ciągle tę postać w czerni, jakby skostniałą od boleści, nie mogącą modlić się nawet.

U ołtarza ksiądz Hostję podnosił, dzwoniono, schylały się głowy, uginały ramiona, Sylwja nic zdawała się nie słyszeć, ani rozumieć. Ta straszna jej nieruchomość przejmowała coraz bardziej ojca, który poczynał drżeć i coraz mocniej czuł się ogarnięty trwogą niewysłowioną.

Chciało mu się zerwać z miejsca i biec ku niej, ale i jemu zabrakło siły.

Msza święta kończyła się nareszcie, ksiądz przeżegnał pobożnych, którzy wstawali do wysłuchania ewangelji ostatniej.

Ruch ten rozbudził Sylwję, dźwignęła się jak przestraszona, podniosła szybko, nagle powiodła oczyma po kościele, zdziwiona, że się w nim znalazła, gdy myślami gdzie indziej była, i krokiem chwiejącym, powoli, spuściwszy gęstą zasłonę na oczy, zaczęła iść ku drzwiom.

Ojciec patrzał na nią, jeszcze się zbliżyć nie śmiejąc.

Szła, przystając, opierając się o ławki, jakby umyślnie zwalniając kroku. Dopiero, gdy ją zobaczył zbliżającą się ku kruchcie, Burzymowski, który wahał się z tem jeszcze, czy ma się z tem wydać, że ją śledził, że wykradł tajemnicę jej duszy, rzucił się wślad za nią z niepohamowaną niecierpliwością, i pochwycił wpół, gdy wodę święconą brała.

Sylwja przestraszyła się, obejrzała, i poznawszy ojca, uśmiechnęła się z za łez do niego.

— Sylwjo moja! — zawołał łkając stary, po którego twarzy ciekły jeszcze dwa nieotarte łez strumienie.— Sylwjo moja! Ty jesteś nieszczęśliwą, a taisz się przed ojcem, przede mną.

Nie odpowiadając mu, córka głowę zbolałą schyliła na piersi jego.

— Ojcze mój, — rzekła — smutno mi na świecie, ale ty nic na to nie poradzisz! Smutno mi i ciężko w sercu, lecz widzisz, żem się modliła, że do Boga szłam ze skargą, więc winną się nie czuję.

To mówiąc, wybuchnęła jękiem i łzami konwulsyjnie.

Zapłakaną przerażony ojciec, bezprzytomny poprowadził do domu.

IV.

O trzy kroki od kamienicy, którą zajmowali Burzymowscy, znajdował się dom, zwany Pod filarami. Mieszkali w niej państwo Sołtykowie.

Chociaż pan eksstolnik koronny, synowiec sławnego biskupa krakowskiego Sołtyka nie mógł uniknąć całkowicie wszelkiego zetknięcia się z Blachą i jej towarzystwem, dom Pod filarami stanowił jedno z ognisk opozycji przeciw francuszczyźnie, księciu Józefowi i płochemu życiu świata eleganckiego.

Komedja, którą się książę osłaniał od prześladowania, tak dobrze była odegrywaną, że ją za prawdę brano. Nikt w zanudzonym księciu nie domyślał się przyszłego bohatera.

Pani Sewerynowa Potocka, rodzona siostra pani Sołtykowej (obie były Sapieżanki z domu) — należała do wszystkich zabaw i do poufałego kółka Blachy, pani generałowej Grabowskiej i pałacu Na górze.

Siostry widywały się i żyły z sobą, chociaż charaktery ich wcale nie zbliżały.

Pani Sewerynowa przekwitła piękność, chociaż urzędownie z mężem nie była rozdzieloną, nie żyła z nim, pan Michał Grabowski był przyjacielem jej domu. — Sołtykowa cała oddana dzieciom i ich wychowaniu podzielała przekonania męża, i przekładała to kółko szczuplejsze, w którem się on obracał.

Tu się schodziło, co było naówczas poważniejszego w Warszawie, a nadewszystko co pragnęło moralnego, duchowego odrodzenia kraju przez pracę spokojną, uczciwą i jawną.

Na wieczory przybywali tu czasami arcybiskup Krasicki, Staszic, Chreptowicz, Czacki, Dmochowski, młody Osiński. Tu zrodziła się pierwsza myśl towarzystwa naukowego, któremu sankcję królewską wyrobił w Berlinie u dworu pruskiego najlepiej położony arcybiskup Krasicki.

Zajmowano się nią właśnie w tej porze.

Księciu Józefowi i towarzystwu jego nie przebaczano Pod filarami, że żyli płochemi rozrywkami, oddzielali się od poważnych ludzi, że się zdawali wszelką myśl pracy jakiejś i krzątania się w domu odrzucać.

Jeden arcybiskup Krasicki, który dla całej rodziny Poniatowskich miał miłość i szacunek, starał się bronić księcia.

— Tak jest, śpi nasz książę, — powiadał — ale zobaczycie, że pierwsza trąba co zagra na pobudkę — obudzi go.

— Chyba już ta, co ma zabrzmieć na Józefatowej dolinie! — odważył się raz cicho szepnąć Osiński młody, autor roznoszonego po Warszawie dwuwiersza...

. . . . . .

Bo nie cała Warszawa jest Blachą pokryta.

Pod filarami głośno nawet czasami ubolewano nad płochością towarzystwa, nad skandalem owego gospodarstwa pani Vauban, miłostkami i intrygami, pojedynkami i hulankami, które zdawały się całą treść życia młodzieży stanowić.

Natomiast Pod blachą, gdy Sołtyk na prawą rękę cierpieć zaczął, która mu później obezwładniała, skomponowano anegdotkę (równie fałszywą jak ta, którą wymyślono na Ożarowskich) — iż ś. p. Kajetan Sołtyk, gdy po smutnej katastrofie ukazano mu podpisy tych co go uznali obłąkanym, między niemi znalazłszy imię synowca, miał zawołać:

— Bodaj mu ręka uschła!

Wszystkie wybryki ks. Józefa, życia jego Pod blachą i w Jabłonnie, były przedmiotem sarkazmów, dowcipów, oburzeń Pod filarami.

W Jabłonnie oddawano to im z nawiązką.

Gdy na *Socjecie,* w późniejszym teatrze, w domu dla obu sfer przystępnym spotykały się dwa obozy, witano się zdala, z musu i dla przyzwoitości przemawiano słów parę, chłód i odraza były widoczne.

Wszystkich Sołtyka przyjaciół, „polakerją" zwanych, pomawianych o patrjotyzm *d'antichambre,* miano za pedantów, ludzi ograniczonych, niewykształconych.

Dosyć powiedzieć, że do nich należeli Czacki, Woronicz, Chreptowicz, Krasicki, Staszic.

Dla księcia arcybiskupa tylko miano trochę więcej respektu, bo był dowcipnym, miał maniery wielkiego świata, europejską sławę i ten szczęśliwy charakter, który mu dozwalał wszędzie i zawsze z taktem, zimną krwią, tonem arystokratycznym a łagodnym, stać się przyjemnym nawet tym, co chcieli mu być nieprzyjaźnymi.

Pod filarami nie bawiono się tak bardzo hucznie, ani tak wystawnie i wspaniale jak Pod blachą, ale przyjęcie było pańskie, dom na wielkiej stopie, a gospodyni nadzwyczaj uprzejma i miła.

Pan eksstolnik miał w różnych sferach przyjaciół, klientów i stosunki.

Właśnie dnia tego, gdy rano córkę Burzymowski zastał w kościele, do pana Stanisława Sołtyka przyszedł Dominik Szymanowski, sławny dowcipniś swego czasu, w którym na dowcipnisiach wesołych nie zbywało.

Godzina była wieczorna, pan eks-stolnik sam siedział w swoim gabinecie, oczekując na podanie światła i odwiedziny znajomych, które się zwykle o szarym mroku poczynały.

— Cóż tam słychać, panie Dominiku? — spytał, krzesło mu podając, gospodarz.

— Nic a nic nie słyszałem nowego. Jak na Warszawę, zdumiewająca cisza. Od wczoraj nikt się z nikim nie pobił, nie było pojedynku, nie rozerwał się żaden nadwerężony węzeł, nie zadzierzgnął nowy, nie zgrał się nikt, i Pod blachą ziewają.

— Więc nie wiesz, że grają w dewizy? — rzekł Sołtyk.

— Ale to ziewać nie przeszkadza — mówił pan Dominik. — Może kartują małżeństwa skromne, o których się głośno nie mówi. Rodzaj absolucji *in articulo mortis*... O jednem z takich słyszałem, ale w nie nie wierzę.

— No, o jakiem? — spytał gospodarz.

— Pięknej sąsiadki pana dobrodzieja — rzekł, palcem w stronę ukazując, Szymanowski.

— Jakiej?

— Jużciż nie mogłeś pan nie widzieć jej i nie słyszeć o tej, *cette adorable Silvie!*

— A! a! wiem! Mówisz o córce tego szambelana Burzymowskiego, co tu obok mieszka! — odparł Sołtyk. — Starego ojca jej widuję czasami, pannę parę razy najrzałem zdaleka...! Piękna bo bardzo.

— Była! — dodał Szymanowski. — Od pewnego czasu mocno pobladła i strasznie melancholicznie zaczęła wyglądać.

— A! wiem! — odezwał się obojętnie gospodarz.— Plotą, że książę się w niej kochał, czy kocha... bo,

o księciu mówiąc — dodał — a o kochaniu, zawsze bezpieczniej używać czasu przeszłego.

— Książę kochał się może! — odparł Szymanowski — ale panna za nim szaleje. Radby się jej pozbyć, bo mówią, że mu jej żal, że ma dla niej osobliwe poszanowanie. Więc, żeby się uwolnić od natrętnej miłości, męża jej pono szukają.

Sołtyk ruszył ramionami.

— Nie pleć, proszę cię — rzekł. — Nie godzi się. Żal mi biednej ofiary...

— Powiadają o niej dużo, o natarczywości, z jaką ściga księcia, a on jej unika, ale — jeśli mówić nie wolno, milczę — dodał Szymanowski.

— Najniedorzeczniejsze plotki po mieście obiegają i rosną, jak lawiny, — rzekł gospodarz — ja ich powtarzać nie lubię.

Pani Sołtykowa, która pocichu się zbliżywszy, stanęła w progu i wysłuchała koniec rozmowy, podeszła z zapytaniem.

— Czy nie o sąsiadach mówicie panowie?

Pan Dominik odwrócił się, aby przywitać gospodynię, a mąż potwierdził domysł jej.

— Tak, — rzekł — mówiliśmy o Burzymowskim, ja szambelana spotykałem dawniej i teraz. Znam go trochę. Człowiek dobry z kościami, przywiązany do dziecka, ale dobroduszny i łatwowierny do zbytku. Przywiózł tę młodą swoją, niedoświadczoną, spragnioną zabawy i świata istotę, nie wiem pod czyją oddając opiekę.

— A! mnie jej niewymownie żal — westchnęła pani eks-stolnikowa. — Tak bliskie sąsiedztwo nasze, iż niepodobna było uniknąć ich podpatrywania. Panna mnie interesowała. Z twarzyczki jej ślicznej patrzało dziecinne roztrzepanie, natura namiętna i nieopatrzna. Co ludzie mówią o jej rozkochaniu się w księciu, nie wiem o ile prawdziwe, wiem, że książę dla niej był i jest z największym szacunkiem i nigdy płocho się koło niej jak koło innych nie kręcił.

Ale w tym domu — coś się dziś stało! Nie wiem,

co to jest! Mimowolnie, przez okno wyglądając, spostrzegłam coś, co mi daje do myślenia, że nad tymi biednymi ludźmi zawisło nieszczęście jakieś.

— A cóżeś to dopatrzyła tam? — spytał mąż.

— Raniuteńko, — mówiła pani Sołtykowa — panna sama, zakwefiona, pobiegła do kościoła. Trudno jej nie poznać po figurze, po chodzie, bo ma wiele dystynkcji i wdzięku. Trochę później, gdym zaciekawiona oknem wyjrzała, dostrzegłam, że ojciec pośpieszył za nią. Wyszli nareszcie razem, szambelan ją podtrzymywał, jakby osłabłą. Szła z głową spuszczoną — szeptali coś z sobą.

Słuchacze milczeli, gospodyni mówiła dalej powoli z wyrazem współczucia.

— To jeszcze nic. W chwilę po ich powrocie do kamienicy wybiegł pędem sługa, siadł do dorożki, poleciał, nagląc woźnicę i przywiózł wkrótce doktora Witaczka.

Około domu ruch się zrobił jakiś niezwykły. Posłałam zaraz dowiedzieć się, co to było. Przyniesiono mi tylko wiadomość, że szambelan nagle zachorował mocno.

Około południa, na kulach, ranny niedawno, przyjechał kuzyn ich, Mieczysław Grabski, który, jak powszechnie głoszą, pojedynkował się za pannę. Musiano go z powozu wysadzać, bo o swej mocy wysiąść nie mógł.

Coś go więc bardzo pilnego skłonić musiało do przybycia. Wiele osób dowiadywało się tam w ciągu dnia, które po większej części nie przyjmując, odprawiano. Między innemi poznałam barona de Beaumont i szambelana Pokutyńskiego.

— Coś się więc tam smutnego i groźnego stać musiało — odezwał się Sołtyk. — Ale starego szambelana widziałaś przecie zdrowym, gdy szedł do kościoła?

— Córka mi się wydała daleko słabszą od niego! — potwierdziła gospodyni.

Służący wnosili właśnie światło i kroki czyjeś słyszeć się dały.

Pani Sołtykowa, obejrzawszy się, spostrzegła jednego z przyjaciół domu, pana Wasilewskiego, który nadchodził powoli z twarzą smutną i zasępioną.

Był to człowiek niemłody już, tetryk, surowych obyczajów, sędzia niemiłosierny ówczesnego społeczeństwa.

— Cóżeś to taki chmurny? — odezwał się, witając go, gospodarz.

— Mógłbyś się pan stolnik zadziwić raczej, gdybym pod te czasy śmiał być wesołym, — odparł Wasilewski — jest to zaprawdę chwila, co i żółć burzy i łzy z oczów wyciska.

— Nowego coś? — zapytała gospodyni.

— Nowości smutnych bezliku, niestety, — mówił przybyły — żadnemu dniowi na nich nie zbywa. *Nulla dies sine nigra linea.* Lecim tak szybko do przepaści, jakgdybyśmy z wielkich wyżyn spadli.

Był to zwykły tryb wysławiania się Wasilewskiego, który, zamilkłszy i westchnąwszy, dodał:

— A taż nieszczęśliwego Burzymowskiego historja?

— Właśnieśmy o nich mówili, bo to sąsiedzi nasi. Naprawdę nie wiemy dobrze, co się stało, ale coś złego! Niepokój tam wielki.

— Tyle tylko wiem, — rzekł Wasilewski — że rano był wesół i zdrów, poczciwe szambelanisko, *simplex servus Dei,* jak rzadko. Gdy to mówię, nie zaręczam, czy żyje.

Wpadł tu ze swą dobrodusznością między ludzi najzepsutszych, ślepy na wszystko, i najlepiej trzymając o naszem towarzystwie. Powiadają, że się czemś zgryzł nagle i apopleksją został tknięty.

Padnie ofiarą pewnie.

Wprawdzie sprowadzono doktora, który mu zaraz krew puścił, ale podobno już ani przytomności, ani władzy nie odzyskał — i co chwila spodziewają się, że skończy.

Wasilewski mruknął coś jak przekleństwo.

— Nigdy się to z nim i z córką skończyć dobrze nie mogło — mówił dalej. — Przyjechało to ze wsi,

a wpadło w gniazdo osie. Panna, dziecko, z wyobraźnią rozbujaną, dostała się w ręce Vaubanowej i kompanji, pod opiekę blaszaną, — głowę jej książę zawrócił, choć może sam nie chciał!

Już gdy się Grabski o nią pojedynkował z tym młokosem, chodziły bałamutne plotki, że panna się w księciu kochała, a on bardzo to miał przyjmować obojętnie. Dziewczyna, nieopatrzna, nie dbała co o niej mówić będą, afiszowała się jakby umyślnie, któż wie? ojciec mógł się czegoś dowiedzieć, był do dziecka przywiązany!

Wasilewski kończył swe uwagi, gdy się wsunął do salonu stary Białopiotrowicz.

Gospodarstwo oboje chcąc uniknąć dalszego rozprawiania o tym niemiłym przedmiocie, poczęli o pogodzie, o Prusakach, o Francji, o wojnie. Przybyły gość po kilku słowach sam wtrącił.

— Słyszeli państwo o nagłej śmierci Burzymowskiego? Wszak to w sąsiedztwie? Przechodziłem właśnie około kamienicy i ledwiem się mógł przecisnąć. tyle tam powozów, ludzi, służby, i taki zamęt około tego domu.

— Zatem umarł, biedny! — westchnęła pani Sołtykowa.

— Raziła go nagle apopleksja; człowiek był otyły, jeść pono lubił — coś go zirytowało!

Pan Białopiotrowicz nie chciał nic wspomnieć o plotkach, które chodziły.

Spojrzeli wszyscy po sobie.

— Mnie żal tego poczciwego Grabskiego — wtrącił Wasilewski. — Z rany jeszcze nie wyleczony, o kulach się przywlókł, gotowa mu się przyrzucić gangrena, ażeby jedną więcej było ofiarą.

Przyjemne to następstwa nader wesołego karnawału! — dodał szydersko. — Niema co mówić, sowicie opłacona zabawa!

Nadchodzili i inni goście, a pani Sołtykowa, której się serce ścisnęło nad niedolą sieroty, odeszła pocichu z oczyma łzawemi.

Wyobrażała sobie położenie biednej sieroty z brzemieniem tej śmierci ojcowskiej na sercu, osamotnionej, zrozpaczonej i litość czuła nad nią wielką.

Ci, co chętnie wesołość podzielają, nie są tak skorzy do dzielenia się boleścią.

Nie znała ona zbliska Sylwji, zaledwie parę razy spotkawszy ją w towarzystwach, a jednak pociąg ku niej czuła tak wielki, że wreszcie postanowiła, ulegając mu, bez wiedzy męża się wymknąć, wziąwszy służącego, pójść do sąsiedniego domu i ofiarować pomoc swą i usługę.

Dobre serce długo jej się namyślać nie dało; bliskość mieszkania krok ten niejako tłumaczyła; wysunęła się więc nieznacznie.

Przed kamienicą stały dwa, czy trzy powozy, we drzwiach pełno było gawiedzi, zaglądającej ciekawie na lewo, gdzie leżało ciało świeżo zmarłego szambelana, około którego ludzie się jacyś kręcili.

Wahała się pani Sołtykowa, czy wnijść na górę, mając myśl ofiarowania domu swego za przytułek na dni kilka sierocie, gdy ze wschodów biegnąca pokazała się Habąkowska, w dosyć potarganym stroju, zdyszana i niebardzo przytomna.

Majorowa znała panią eks-stolnikową, bo kogóż ona w Warszawie nie znała? Spostrzegłszy ją tu, zdziwiona, zatrzymała się.

Skorzystała z tego pani Sołtykowa, aby się do niej zbliżyć i spytać, czyby nie potrzebowano pomocy jakiej? czy nie lepiejby było pannę stąd zabrać, aby jej smutnego oszczędzić widoku?

— A! niech pani hrabina sobie oszczędzi bardzo przykrego widzenia się z tą nieszczęśliwą, — zawołała majorowa. — Biedna szambelanówna ma przy sobie kuzyna, doktora i *dame de compagnie*. Z domu się oddalić nie chce, chociaż jej ofiarowano gościnność Pod blachą, Na górze, a i ja także mój domek oddawałam do dyspozycji... Mnóstwo osób już nadaremnie próbowało ją stąd odciągnąć. Ani jej cieszyć, ani przemówić do niej, zupełnie prawie nieprzytomna.

Tak nagła, niespodziewana, straszna katastrofa.

Ten poczciwy szambelan zdrów był z rana, naraził się na cug powietrza, wychodząc z kościoła!

— Więc ja jej w niczem pomocną być nie mogę? — spytała pani eks-stolnikowa.

— A! mogę zaręczyć za to! Dostąpić teraz nawet do niej niepodobna.

Chwyciła się majorowa za głowę i nadzwyczajną okazując troskliwość o panią Sołtykową, aby w tłumie tym i nieładzie, jaki w domu panował, potrąconą nie była, sama ją zaraz wyprowadziła z kamienicy.

Od majorowej więcej ani się mogła ani chciała dowiadywać eks-stolnikowa i smutna wróciła do domu.

Habąkowska, pożegnawszy ją we drzwiach Filarów, sama siadła do powozu, który za nią tu podjechał.

Tak samo jak u państwa Sołtyków, w całej niemal Warszawie mówiono tylko o Burzymowskich. Śmierć ojca wielu usta rozwiązywała.

Wszyscy przyjaźni towarzystwu z Pod blachy tłumaczyli ten wypadek w ten sposób jak majorowa, jakimś wiatru przeciągiem, skłonnością do apopleksji i t. p., aby na nikogo wina nie spadała. Ogadywano nieboszczyka, że jeść lubił, i w wesołem towarzystwie rad do kieliszka stawał; apopleksja otyłego, krwistego, niemłodego szlachcica, który na nią przez całe życie zarabiał, była bardzo naturalnem jego następstwem.

Czy co zaszło po powrocie z kościoła między ojcem a córką, o tem nikt nie wiedział.

Sylwja weszła z nim razem do dolnych pokoików, gdzie sami z sobą pozostali dosyć długo, gdy nagle krzyknęła, wołając o ratunek i znaleziono ją klęczącą u nóg ojca siedzącego w fotelu a już rażonego apopleksją.

Czeżewska natychmiast posłała po lekarza, do Grabskiego, a nawet do nienawistnej sobie Habąkowskiej, której pomoc w tej chwili, gdy wszyscy głowy tracili, była pożądaną.

Sylwja prawie nieprzytomna nie odstępowała od ojca, odciągnąć jej od niego było niepodobna.

Grabski, któremu Zybek sam dał znać, że stary pan, jak on się wyraził, paraluszem rażony został, chociaż mu lekarze jeszcze wychodzić nie pozwalali, ubrał się natychmiast i żadna siła ludzka już go powstrzymać nie mogła, aby się natychmiast nie stawił na miejscu.

Przyjechał o kulach, naówczas, gdy już szambelan, po krwi puszczeniu, oprzytomniony trochę, dogorywał.

Zobaczywszy Micia, poruszył się, mówić już nie mógł, ale mu się wargi zatrzęsły i oczyma kilka razy wskazał Mieczysławowi na córkę.

W jednem ręku miał trochę władzy i gdy się Grabski zbliżył doń, chwyciwszy dłoń jego, konwulsyjnym ruchem położył ją na głowie klęczącej Sylwji.

Wysilał się na wymówienie czegoś, bełkotał, lecz zrozumieć go nie było podobna. Niecierpliwiło go to widać, że Mieczysław począł go uspokajać, zaręczając, iż na jego pomoc i usługę w każdym razie rachować może; potakiwał to, potrząsał głową stary, i raz jeszcze chwyciwszy rękę Micia, położył ją na ramieniu córki...

Chciał czegoś więcej, czego wypowiedzieć już nie zdołał.

Sylwja zachodziła się z płaczu, przerażenia i rozpaczy.

Gdy stary Burzymowski doczekawszy się Grabskiego nieco się potem uspokoił, oczy mu się przymykać zaczęły, napadła go senność. Ile razy podniósł powieki, oczyma już omdlałemi wskazywał Mieczysławowi Sylwję.

Tak drzemiąc i usypiając coraz mocniej, wreszcie zasnął na wieki.

Omdlałą córkę na rękach musiano przenieść na górę i złożyć na łóżku, przy którem doktór Witaczek, Czeżewska i Grabski przesiedzieli dzień cały.

Stan taki, w jaki ją śmierć ojca wprawiła, opisać się nie daje. Boleść wielka ducha łamie ciało, cierpienie moralne staje się naówczas chorobą, której symptomata nie psycholog, ale chyba lekarz odmalować potrafi.

Obok tej zrozpaczonej niewiasty na straży stał drugi pacjent, ranny Grabski, zapominający o tem, że i on nie był całkiem panem siebie, bo mu kalectwo odejmowało siły, władze i rana groziła następstwy niebezpiecznemi.

Ile razy doktór zwrócił na to jego uwagę, odpowiadał cicho, że na pobojowisku gorzej bywa, a obowiązki iść powinny przedewszystkiem.

Choć z gorączką, osłabiony, kulejący i chwilami zmuszony spoczywać, aby siły odzyskać, Micio oddalić się nie chciał.

W ciągu tego dnia majorowa niesłychanie czynna, dwa razy była z raportem Pod blachą, a trzy razy na Miodowej ulicy.

Książę Józef wcale się nie ukazywał nikomu, jedni mówili, że wyjechał do Jabłonny, drudzy, że był w Skierniewicach, nikt właściwie powiedzieć nie umiał, gdzie się ukrywał.

Wieczorem w pałacu nie było przyjęcia, a pani de Vauban siedziała z Cichocką sama.

Bocznemi schodkami wpuszczano majorową, która się kręciła jak fryga, biegała, nie mogła przysiąść na chwilę, nieustannie przed sobą i przed drugimi potrzebując się tłumaczyć, że *qu'elle n'y était pour rien* (do niczego nie należała).

Rozpowiadała też szeroko o wszystkich znakach ostrzegających, które apopleksję szambelana oddawna przeczuwać dały... i t. p.

Ponieważ stan zdrowia córki nakazywał wielką ostrożność, nazajutrz pocichu zwłoki nieboszczyka przeniesiono do kościoła, a trzeciego dnia odbył się pogrzeb wspaniały, którego całem urządzeniem zajął się przyjaciel z ramienia Grabskiego wyznaczony.

On sam przykuty był do domu, nie mogąc się poruszać dla pogorszonego stanu rany, a nie mogąc opuścić Sylwji, zdając ją na niezręczną opiekę Czeżewskiej i majorowej.

Ile razy chora odzyskiwała przytomność, pytała o Mieczysława, do niego rozkazując się odnosić we

wszystkiem. Uważała go niejako za opiekuna przez ojca jej wyznaczonego.

Jednego dnia po pogrzebie, na znak szczególnego faworu swego, hrabina de Vauban, wedle swojego zwyczaju (bo tym sposobem wszędzie oddawała wizyty), podjechała pod kamienicę, posłała bilet i kazała do siebie do drzwiczek karety wywołać panią wojską Czeżewską.

Największe panie naówczas, hołdując Francuzicy, dającej sobie tony królewskie, schodziły tak nieraz do jej powozu na rozmowę, nie śmiejąc delikatnej jejmości narazić na fatygowanie się po schodach i zmiany temperatury, które jej szkodzić miały!

Wojska także musiała posłuszna zejść na zawołanie, opowiedzieć jej jak się miała Sylwja, ukłon, pozdrowienie i kondolencję zanieść dla niej, wysłuchać westchnień i szeptów hrabiny, za honor sobie poczytując, iż w obliczu całej Warszawy zaszczytu takiej rozmowy poufnej dostąpiła.

Sylwja, staraniem troskliwych lekarzy, którzy ją na chwilę nie opuszczali, ze stanu gorączkowego przeszła w rodzaj prostracji i apatji, która zwolna miała ją do zdrowia przeprowadzić.

Tak się przynajmniej spodziewano.

Nie odstępując jej Grabski musiał tymczasowo zająć smutne mieszkanie na dole po nieboszczyku i tam, gdy mógł, odpoczywał.

Noga mu była naprzykrzoną wielce, szczególniej z powodu, że ciągłego opatrywania potrzebowała.

Jednego rana doktór przyszedł do niego i zastał bardziej niż zwykle podrażnionym i niecierpliwym. Zaledwie go zobaczywszy w progu, Mieczysław się odezwał:

— Kochany konsyljarzu! mówiliście mi, przypominam to sobie, że raněby prędzej zagoić można, pocóż ją umyślnie trzymacie tak, nie dając się jej zabliźnić?

— Abyś pan później na nią nie cierpiał — odezwał się doktór,

— Ale ja dziś szczególniej potrzebuję tej nogi, — zawołał Grabski — ruchu swobodnego i zdrowia! Jutro niewiele mnie obchodzi! Dziś! dziś mi zdrowia potrzeba! Zlituj się, doktorze, przestań myśleć o jutrze. Zaklinam cię.

Doktór przyjął to ruszeniem ramion.

— Nie godzi się tak czynić! — odparł sucho.

— Ja mam obowiązki — począł Grabski niecierpliwie — i ręczę wam, że, nie zważając na żadną ranę, będę je spełniał, choćby się mój stan miał pogorszyć. Lepiej więc z dwojga złego, abyście mi ją zgoili czem prędzej.

Pomimo oporu lekarza, Grabski wezwał potajemnie felczera i kazał mu ranę goić czem prędzej, bądź co bądź.

Sprzeciwiał się i on zrazu, twierdząc, że się to później odezwać może, lecz pokonany nadzieją przyobiecanej nagrody, milcząc, wreszcie zgodził się na żądanie pacjenta.

Stan zdrowia Sylwji, wedle przewidywania lekarzy, acz powolnie, polepszał się. Siły, przytomność, pamięć wracała, ale razem z nią smutek się zdawał rosnąć.

Mówiła mało, a gdy Czeżewska lub majorowa, odwiedzająca ją aż nadto często, rozpoczynały rozmowę, zamykała oczy, udawała śpiącą, ażeby jej uniknąć.

Doktór Witaczek, który był nadwornym Pod blachą, zdawał o stanie chorej raporta i on to zapewne urządzić musiał, upatrzywszy chwilę, gdy się Grabski oddalił, że niepostrzeżenie, z wielkiemi ostrożnościami wpuszczono płaszczem otulonego mężczyznę na górę.

Majorowa stała na straży.

Łatwo się domyśleć, że nieznajomym tym był książę Józef, który oddawna domagał się widzenia z Sylwją.

Zdawało mu się, że jej przyniesie pociechę, że przyśpieszy wyzdrowienie.

Jakkolwiek płochym być może mężczyzna w stosunkach z kobietami (a w owych czasach panowała

w nich lekkomyślność i niesumienność największa, o czem świadczą pamiętniki współczesne) szlachetniejszy charakter musi uczuć boleść istoty sympatycznej i zapragnąć jej ulżyć.

Miłość księcia, utrzymywana i rozbudzana niemal bałwochwalczem przywiązaniem Sylwji, nie wygasła była jeszcze. Książę udawał oziębłego i radby był ostudzić ją, aby nie mieć sobie tej ofiary do wyrzucenia, ale kochał ją i cierpiał na długiej rozłące. Nieszczęście, jakie dotknęło szambelanównę, zbudziło w nim litość i współczucie.

Oddawna byłby w jakikolwiek sposób dostał się do tego domu, gdyby lekarz się temu ze względów zdrowia nie opierał, lękając zbytniego wzruszenia.

Naostatek doktór Witaczek zgodził się na odwiedziny te i dostanie się potajemne do domu ułatwił.

Książę szedł z mocnem postanowieniem namawiania, zaklinania Sylwji, aby wracała na wieś, zapomniała o nim i starała pokój odzyskać.

W pokoju chorej przebywszy godzinę na rozmowie, której świadkiem była zdala u okna siedząca Czeżewska, napróżno starająca się z niej choć słówko pochwycić. Książę wyszedł blady, zamyślony, smutny i wymknął się na ulicę niepostrzeżony.

Grabski wpół godziny dopiero potem powrócił. Tajemnica tych odwiedzin dla obcych jak najściślej była zachowaną.

Czeżewska, choć z konieczności wtajemniczona, ale prawie nie zyskawszy ukłonu ani wejrzenia, oburzona była i zemstą pałała.

Czuła, że schodziła coraz niżej i w domu nie liczyła się wcale, chyba za starszą sługę.

Nazajutrz, gdy Grabski zapukał do drzwi Sylwji, zapytując, czy mu ją wolno odwiedzić — wpuszczony, z wielkiem podziwieniem znalazł ją nie w łóżku, ale siedzącą w krześle, ubraną w suknię czarną, bladą, jakby z grobu powstałą, idealnie piękną, jak jakieś widmo z drugiego świata, ze świata aniołów smutnych.

Stanął u progu niemal przerażony tą nagłą, niespodziewaną rekonwalescencją.

Sylwja podała mu rękę, patrząc bojaźliwie w jego oczy.

— Widzisz, — odezwała się — muszę jeszcze żyć na utrapienie twoje, opiekunie mój! Myślałam, że już wszystko skończone... ale nie — kazano żyć i cierpieć.

— Ale czyż doktór pozwolił na to, abyś wstała? — zapytał niespokojny Micio.

— Nie lękaj się, mam od niego upoważnienie. Nic mi się nie stanie!

Unikając wszystkiego, coby mogło jakieś przykre obudzać wspomnienie, Grabski mówił o rzeczach obojętnych, napomknął potem, że, gdy cieplejsze dni nadejdą, możeby Sylwja chciała o powrocie na wieś pomyśleć.

Drgnęła, słysząc to, szambelanówna.

— Już? — zapytała. — A! drogi mój opiekunie. Tak! ja wiem, że powracać musimy... lecz, błagam cię, nie wypędzaj mnie stąd jeszcze! Mnie się zdaje, że ja tu tylko jeszcze żyć mogę!

Spojrzała nań błagająco.

— Mnieby się zdawało, — rzekł Grabski spokojnie — iż właśnie tam na wsi, wśród ciszy, zdala od tych miejsc, które mogą przykre obudzać wspomnienia — niepotrzebne — tam lepiejby ci było!

— A! nie! nie! — krótko i stanowczo zawołała Sylwja. — Ja cię proszę! Jesteś opiekunem moim, powinnam ci być posłuszną, napozór ty mówisz rozumniej, życzysz mi dobrze, ale ja cię proszę! Daj mi — jeszcze trochę czasu!!

— Przedewszystkiem, — przerwał Mieczysław — kochana kuzynko, teraz, gdyś zaledwie wstała, sił nie masz jeszcze... nie sprzeczajmy się o nic, odłóżmy na później...

Wiedząc, jak Sylwja lubi kwiaty, Mieczysław przyniósł jej właśnie tego rana bukiet, gdy chcąc go umieścić w wazonie, spostrzegł, że w nim tkwiła już prze-

pyszna wiązanka najśliczniejszych wiosennych hiacyntów i tacetów.

Zarumienił się, zobaczywszy ją i zwrócił się do Sylwji, na której twarz rumieniec też wystąpił.

Spuściła oczy, unikając zapytania, na które trudno jej odpowiedzieć było.

Grabski, nie chcąc jej dręczyć badaniem, bukiet swój położył na stoliku i szybko się zaraz oddalił.

Na schodzącego na dół oczekiwała już pani wojska Czeżewska, która teraz postanowiła była jego trzymać stronę.

— Wie pani, — rzekł do niej Grabski — że Sylwja, dzięki Bogu, jest nad wszelkie spodziewanie lepiej.

— A tak, jest lepiej, — odparła pani wojska, zapraszając go do swojego pokoju — ale to polepszenie na gorsze wyjść może.

— Dlaczego? jakim sposobem? — zapytał zdziwiony Grabski.

Wojska, która w rozmowie zawsze, gdy mogła, za efektami się uganiała, zaczęła od szyderskiego uśmiechu, pokręciła głową, kazała długo oczekiwać na wystudjowaną odpowiedź, aż wkońcu, gdy już dostatecznie zniecierpliwiła Mieczysława, odezwała się cichuteńko, tajemniczo, ale z uroczystością wielką:

— Był tu ktoś wczoraj!!

Grabski pobladł.

— Jak? kiedy? — zapytał, przybliżając się, niespokojny.

— Kiedy? Nad wieczór, wówczas, gdy wiedziano, że pana nie będzie w domu. Przede mną nie czyniono tajemnicy, bo mnie oszukać nie można. Byłam więc niemym i głuchym świadkiem rozmowy, z której słowo jedno nie doszło do mnie.

Był — tak jest, był, siedział tu prawie godzinę. Gdy wyszedł i ja się oddaliłam, bom nie była potrzebna, bo nie odezwała się do mnie ani słowa, nie spojrzała nawet... Zdaje mi się, że płakała, uważałam, że ktoś napominał, pocieszał i czułości unikał.

Na dole stała straż, pilnowano, aby się mógł niepostrzeżenie wyśliznąć, jak przyszedł, ale nie ręczę, czy nie był obserwowany.

Hm? jak to pan znajduje?

Grabski milczał, oczy wlepiwszy w podłogę.

— Gdy później wróciłam do Sylwji, — mówiła dalej Wojska — znalazłam ją siedzącą na łóżku, z rumieńcami wypieczonemi, prawie w gorączce. Poczęłam, żadnych jej nie czyniąc wyrzutów, pytać, jak się czuje? Odpowiedziała mi, że jutro chce wstać, że pragnie jeszcze i potrzebuje być zdrową.

Siedziałam potem długo, sądząc, że się ze mną zechce z zaufaniem rozmówić jak dawniej.

Mówiła tylko o rzeczach obojętnych — nic i nic!

Ja dla niej już żadnego nie mam waloru!

Grabski słuchał pogrążony w sobie, nie okazując Czeżewskiej, jakie to na nim czyniło wrażenie. Zabolało go, że stosunki, które za zerwane uważał, na nowo się zawiązywać zdawały. Należało mu otwarcie się o tem z Sylwją rozmówić, wahał się ze względu na stan jej zdrowia.

Wszystkie jego plany, projekty przyszłości, jakie sobie roił, znowu zachwiane były. Ta, której on nazywał się opiekunem, wyłamywała się zwolna z pod jego opieki.

Domyślając się nie bez podstawy, że doktór mógł być pośrednikiem w tej sprawie, Grabski tegoż wieczora do siebie go na dół zaprosił.

— Szanowny panie, — rzekł do niego grzecznie — nie weźmiesz mi tego za złe, jako krewnemu i opiekunowi tymczasowemu panny Sylwji, gdy go zapytam, dlaczego bez mojej wiedzy ułatwiliście odwiedziny, niewłaściwe dla chorej, kompromitujące ją, mnie nieprzyjemne, a sądzę, że i dla zdrowia pacjentki niebardzo korzystne.

Doktór, na chwilę zmieszany, natychmiast swą doktorską śmiałość odzyskał.

— Wiesz pan już o tem? — rzekł. — Właśnie ja sam go o tem miałem uwiadomić.

Dla chorej i jej uspokojenia odwiedziny te właśnie były najpotężniejszem lekarstwem. Przekonać się pan o tem mogłeś, bo dziś wstała i jest znacznie lepiej.

— Ale nawet to chwilowe polepszenie — rzekł Grabski — nie tłumaczy mi tego kroku.

— Jeśli pan chcesz, — odparł dosyć szorstko doktór — rozmów się o tem z księciem. Ja oprzeć się nie mogłem.

To mówiąc, zlekka się skłonił i wyszedł.

Nazajutrz go nie było, a gdy chora się przybycia domagała i posłano po niego, doktór Witaczek przybycia, mrucząc, odmówił.

— Niech sobie innego doktora poszukają, — rzekł — ja nawykłem do podziękowań, nie wymówek.

Dowiedziawszy się o tem, Sylwja wezwała Grabskiego. Była znacznie lepiej, ale podrażniona tem, że doktór, jak mówiła, grymasił.

— Proszę cię, Miciu mój, pójdź ty do niego i przyprowadź mi go koniecznie — zawołała z uporem rozpieszczonego dziecięcia. — Żeby mi tu zaraz był. Ja od nikogo innego rady nie przyjmę, mam w nim ufność.

Spojrzawszy na zacięte usta i surowy wyraz twarzy kuzyna, Sylwja, jakby się czegoś domyślając, dodała:

— Przyznaj się, musiałeś go czemś zniechęcić?

— Może być, mimowoli — rzekł Grabski.

— Wiem o co ci szło, — dodała powoli — domyślam się, powiedziano ci, że ktoś był u mnie, sądziłeś, że go doktór wprowadził, musiałeś mu robić wymówki...

— Nie zapieram się tego, — rzekł Grabski — to było moim obowiązkiem.

Ruszyła ramionami.

— Tak ci się zdawało, — rzekła — a nie wiesz, że ten ktoś, którego się lękasz, jeśli się przez litość, jak teraz, zbliżył do mnie, to tylko, aby mnie, jak ty, namawiał do wyjazdu na wieś, do pozbycia się marzeń,

do stania się bardzo rozsądną i pospolitą kobietą... Jest twoim pomocnikiem!

— Być może, jeśli jest człowiekiem sumiennym i uczciwym, o czem nie wątpię, — rzekł Grabski. — Lecz, pomimo tych morałów, jakie on z sobą przynosi, kochana Sylwjo, sama jego przytomność nie dobrą jest dla ciebie... Jeżeli chcesz być swobodną, wypędźże mnie...

Sylwji łzy z oczów pociekły.

— Miciu! — odezwała się — jaki ty jesteś nielitościwy! Dajże mi czas, jaki się daje choremu, aby wyzdrowiał, rannemu, aby się zagoiły rany! Miciu!

Grabski stał milczący; Sylwja płakała.

— Miciu! — powtórzyła raz jeszcze — ja cię proszę... trochę cierpliwości!

— Radbym z duszy być posłuszny rozkazom twoim, ale ja — odezwał się Grabski — w tej przedłużonej kuracji widzę tylko przeciągającą się chorobę.

Wolno ci czynić, co chcesz, — dodał — mnie sumienie nie pozwala patrzyć obojętnie na to, co mi się zdaje być szkodliwem... Cierpliwość moja byłaby grzechem, nie chcę na to patrzyć, czego pochwalić nie mogę.

Pozwól mi się więc oddalić... Zostawiam cię panią twej woli. Zawołasz mnie, gdy ci będę potrzebny...

Ze spuszczoną głową, nie patrząc na niego, Sylwja dała mu odejść, nie mówiąc nic.

Przywiedziony do rozpaczy prawie, Grabski, natychmiast z dolnego mieszkania zabrawszy co miał, posłał po dorożkę i odjechał do domu.

Nazajutrz położyć się musiał, bo noga przygojona, zaogniła się i nabrzękła.

V.

Nadeszła wiosna, książęcy dwór z Pod blachy wybierał się już na rezydencję letnią do Jabłonny.

Można to było w istocie dworem nazywać, tak po królewsku niemal żył i otaczał się książę Józef.

Oprócz mnogich zawsze gości, na których mu nie zbywało, sami domownicy niemały orszak stanowili.

Jedną z oficyn pałacyku zajmowała pani de Vauban, której nieodstępną towarzyszką była pani Cichocka z córką Terenią, a często jeszcze któraś więcej z przyjaciółek.

W czasie pobytu pani Tyszkiewiczowej ona też miała dworek osobny i niewieścią swą a męską posługę, do której rzadki jeszcze naówczas u nas, prawie jedyny w kraju murzyn, Zamor, stanowił oryginalny dodatek.

Dom jeden zajmował kamerdyner Brodowski z rodziną, inny plenipotent Michałowski, inny jeszcze rządca, a w rozmaitych przybudówkach i chatkach a dworkach w parku, około dziedzińca mieścili się koniuszy, łowczy, strzelcy, kucharze z kuchmistrzem Francuzem impanem Faroc'iem, woźnice, czeladź i t. p.

Same stajnie, cugi, wierzchowce, rozmaite zaprzęgi, konie tureckie, wschodnie, polskie i korsykańskie małe, mnogiej posługi wymagały.

Trzeba też było wygodnie przy pałacu rozmieścić przyjaciół Francuzów, państwo de Coudene, barona de Fontbrune, de Beaumont i innych.

Towarzyszyli księciu do Jabłonny dla rozrywki w samotności: Rautenstrauch, Kamenecki, Tribes, Bronikowski, nie licząc przybywających z Warszawy gości, którzy często bawili tygodniami.

Książę był tu tym samym co w Warszawie, choć mniej na oku Prusaków, zawsze się czując przez nich śledzonym i podglądanym nieufnie. Starał się więc być napozór wystygłym, znudzonym, do rozbawienia trudnym, potrzebującym silnych wrażeń, aby się na nim odbić mogły, poruszającym się nagle i na krótko, gwałtownym czasem, lecz łatwo się uspokoić dającym.

Cieszyło go to niewymownie i uśmieszek niedostrzeżony sprowadzało na usta, gdy mu opowiadano, że Hoym się o nim wyrażał przed zaufanymi.

— *C'est un homme fini, usé, dont on n'a rien à re-*

douter. (Jest to człowiek skończony, zużyty, którego się nie ma co obawiać).

— Cieszy mnie nadzwyczajnie, — mruczał cichutko — że tak dobrą mają o mnie opinję! Niechże nikt mnie nie broni! proszę!

W tej Kapui warszawskiej i Jabłonnie wiódł jednak książę zawsze życie wspomnieniami wojskowemi otoczone i jakby tęsknotą do rzuconego oręża w głębi przejęte.

Tak samo, jak Pod blachą, najskromniejszym pewnie z pokojów pałacyku był ten, w którym on sypiał, na żelaznem łóżeczku, burką okryty, aby mu się obóz przypominał. Orłowskiego szkice go ubierały, przypominające zapasy rycerskie ubiegłych czasów, bitwy i konie.

Poczciwy gubernator Koehler, Hoym, jenerałowie dowodzący naówczas wojskami pruskiemi w Warszawie, Pletz, Wagenfeld i Rochetti, a nawet dyrektor policji Tilli, mieli to najmocniejsze przekonanie, iż książę pozbył się wszelkich widoków na przyszłość, ambicji, rycerskiego ducha i że mu szło jedynie o spokój, wygodne, ciche, błogosławione życie magnata, któremu wspomnienie tronu pokrewnego przyświecało.

Za niewinne wcale uważano upodobanie z przeszłości zachowane w koniach, bez których żaden pański dwór się nie obchodził.

Ci, co otaczali księcia, po większej części daleko od niego rozwiązlejsi i rozpieszczeni próżnowaniem, albo wtajemniczeni w rolę, jaką grać było potrzeba, potwierdzali swem postępowaniem przekonanie, iż nad rozrywkę, trzpiotostwo i małą intrygę nic księciu więcej do życia nie było potrzeba.

Koehler pobłażał ich wybrykom, nawet gdy do starcia z oficerami załogi przychodziło, wiedząc, że zalanym głowom wiele przebaczać należy, boć — nie wiedzą, co czynią.

I w tym roku, jak lat poprzedzających, rozjechali się z wiosną prawie wszyscy. Małachowski do dóbr swoich za kordonem, inni do Karlsbadu, który już na-

ówczas tej sławy, jaką dziś zachowuje, używał; pani Sewerynowa do Celejowa, inni panowie i panie, gdzie kto mógł i chciał.

Na ochocie do podróży zdawiendawna nam nie zbywało, gdy chciano prawa stanowić nawet, któreby od zbytnich a próżnych wędrówek wstrzymywały.

Wypróżniała się Warszawa po burzliwej zimie, zamykały teatry. Pan Ledoux odpoczywał, a książęce ekwipaże, kuchnie, cugi, lokaje wyciągały do Jabłonny pod stare, piękne drzewa parku, na zielone trawniki i wiejską ciszę.

Grabski od pożegnania swojego z Sylwją nie pokazywał się u niej więcej, dogajał nogę, wracał do dawnych zajęć swoich, zamykał się w szczupłem kółku znajomych, po większej części wojskowych z 1792 i 1794 roku, dawnych towarzyszów broni.

O Sylwji wiedział tylko tyle, ile, czy z rachuby jakiejś, czy przez ducha przekory, który był w jej charakterze, wojska Czeżewska mu donosiła.

Wzięła ona sobie za rodzaj obowiązku, gdy tylko mogła znaleźć wolną chwilę, odwiedzać pana Grabskiego.

Dawniej był jej antypatycznym; i on też się wzajemnością wypłacał; dziś zmienione okoliczności uczyniły ją, jeśli nie przyjaciółką pana Mieczysława, to tajemnym jego sprzymierzeńcem.

On też, tłumacząc sobie opozycję Czeżewskiej poruszeniem jej sumienia, bardziej był dla niej pobłażającym, chociaż z dawnych swoich pretensyj i śmieszności nie straciła nic, a może nawet przybyło jej nowych w Warszawie.

Ile razy za jakimś interesem była w mieście, wojska wstępowała zawsze do Grabskiego, niby dowiadując się o jego zdrowie, a w istocie przynosząc mu plotki o Sylwji, która, wyzdrowiawszy, wróciła wprawdzie do dawnych z Blachą i panią de Vauban stosunków, ale coraz mniej zdawała się z nich kontenta. Zwolna, choć bardzo zwolna przychodziło rozczarowanie, czasem wstręty, nawet i chmurki na czole.

Wojskiej zdawało się, że tam dla pozbycia się Sylwji znowu marjaż jakiś knowano, aby nie mieć na sumieniu rozkochanej szambelanówny, dla której książę umyślnie się okazywał coraz chłodniejszym i widocznie jej unikał.

Baron de Beaumont powrócił na służbę piękności, której żałoba nadzwyczaj była do twarzy.

Młody jakiś Zatorski, podobno z za kordonu, jak utrzymywała Czeżewska, znający majątkowe stosunki Burzymowskich, zabiegał także około pięknej Sylwji, która z nim równie pogardliwie i traktując go z góry obchodziła się, jak z posłusznym baronem de Beaumont.

Wojska donosiła, że i stosunki i uczucia Sylwji zmieniły się wielce i ona sama ochłodła, smutna była i zadumana.

Wśród tego smutku przychodziły czasem krótkie błyski jakby odżywającego uczucia, ale te gasły wprędce.

Kilka razy Sylwja wspomniała Czeżewskiej o Mieczysławie, nazywając go nieznośnym, iż się tak uparcie trzymał zdaleka. Zawołać go jednak nie chciała, wiedząc, że na wieś ją ciągnąć będzie.

Jakaś resztka nałogu serca, tęsknoty, może nadziei niedorzecznej trzymała ją tu jeszcze.

Zmiana jednak była bardzo widoczna.

Ostatnim razem przyszedłszy Czeżewska mówiła coś o kłótni dwóch rywali, pana de Beaumont i Zatorskiego, która groziła pojedynkiem. Sylwja po raz pierwszy oddawna miała się śmiać, posłyszawszy o niej.

W istocie Francuz, czatujący na pastwę, nie mógł znieść tego, aby mu kto śmiał stawać na drodze i grozić wydarciem owocu długiej cierpliwości. Młody Zatorski był też szlachcic zawadjaka i pojedynkowicz, jak znaczniejsza część ówczesnej młodzieży, miał przyjaciół sobie podobnych, na Francuza więc czatowano, aby mu kurtę skroić.

Z opowiadań wojskiej, jakkolwiek fantastycznemi przeplatanych wymysłami, Grabski mógł wyciągnąć

ten wniosek, iż Sylwja zażąda kiedyś jego powrotu i wezwie do siebie. Pytał ją więc często.

— Nie mówiła o mnie? nie pytała o mnie?

Czeżewska utwierdzała go w przekonaniu, iż chwila zwrotu była bliską; że, choć nie żądała wyraźnie powrotu Mieczysława, zdawała się tęsknić za nim i do wsi.

Kiedy niekiedy mówiła już o Burzymowie. Naówczas zaczynała płakać, bo miejsce to ojca jej przypominało.

— Jednakże, — dodawała Czeżewska — wspomnienie księcia poruszało ją całą jeszcze, najmniejsze słówko uwłaczające mu oburzało.

W sercu walka była rozpoczętą, lecz zwycięstwo na żadną się jeszcze nie przechyliło stronę.

Za każdem Czeżewskiej przybyciem doniesienia jej o Sylwji zdawały się dobitniej oznaczać ten stan ducha na przełomie, który powinien się był skończyć zerwaniem z towarzystwem, z miastem i powrotem na wieś, chwilę tę jednak stanowczą musiał wywołać jakiś fakt, coś, czego oznaczyć nie umiała Czeżewska i Grabski.

Gdy Blacha zaczęła się do Jabłonny przenosić, słabą jakąś powziął nadzieję Mieczysław, że Sylwja, sama pozostawszy w Warszawie, będzie zmuszona myśleć o powrocie do Burzymowa; nie przypuszczał bowiem, aby razem z panią Cichocką i jakąś Francuzką towarzyszyć mogła pani de Vauban do Jabłonny.

Wprawdzie tak mała odległość dzieliła Warszawę od rezydencji letniej księcia, sam on tak często odwiedzał stolicę, że Sylwję mogła nadzieja widywania go zatrzymywać; ale Czeżewska zapewniała, że książę sam unikał tego.

Miłość księcia, choć trwała zawsze, choć była, jak utrzymywali wszyscy, bezprzykładnie stałą a pełną poszanowania i sympatji dla istoty, która tak ukochać umiała, z coraz większym mieszała się niepokojem o los Sylwji, z coraz mocniejszem postanowieniem nakłonienia jej, aby się marzeń wyrzekła... Gotów był

książę użyć jak najheroiczniejszego lekarstwa, aby Sylwję zrazić do siebie, gotów był nawet spaść w jej przekonaniu z idealnych wyżyn, na których go postawiła. Im dłużej trwało uwielbienie Sylwji dla niego, i im stalszem się okazywało, tem on rozpaczał i niepokoił się mocniej, wyrzucając je sobie. Dręczyło go sumienie. P. de Vauban uśmiechała się, zlekka ruszając ramionami, nie dając rady żadnej, bo wagi do jednej biednej panienki losu nie przywiązywała i inne miała w tym przedmiocie pojęcia.

Musiał się więc książę, rad nierad, mimo wstrętu, jaki miał do majorowej, udać do niej po radę. Habąkowska także niedobrze rozumiała poszanowanie takie i troskliwość o szambelanównę. Ona także o intrydze miłosnej i jej rozwiązaniu inne miała wyobrażenia. Nawykła jednak do stosowania się do kaprysów księcia, aby całkiem łaski jego nie stracić, musiała się godzić z jego wymaganiami.

— Wy to sobie lekko bierzecie, — odezwał się raz do niej książę — nic dziwnego, bo lekkie byłyście i jesteście... Dla mnie to sprawa sumienia! Potrzeba, ażeby wróciła na wieś, bodajby mnie znienawidzieć miała.

Okazuję oziębłość, uciekam, nic to nie pomaga.

— Mości książę, — odpowiedziała żywo majorowa z tajonym uśmieszkiem. — Na to jest tylko jeden sposób... *Il faut se faire une douce violence* i afiszować jakąś inną miłość, któraby ją do desperacji przyprowadziła...

Skrzywił się książę...

— To księcia niewiele powinno kosztować, poumizgać się trochę do pierwszej lepszej — dodała Habąkowska.

— Chyba do pierwszej najgorszej, — poprawił książę — aby ją zrazić moim złym gustem i zepsuciem.

Wiesz, że już na to jestem zdecydowany.

Majorowa śmiała się.

— Wybierzże książę, *quelque chose de piquant!* — dodała.

— Tak, — dołożył Pepi — coś tak ostrego wybrać potrzeba, jak ser angielski, w czemby już były robaki...

Krótka ta rozmowa z majorową, choć nic napozór stanowczego nie postanowiono, miała jednak nie pozostać bez skutku. Myśl była rzucona.

Grabski wiedział już o przygotowaniach przenosin do Jabłonny, czekał niecierpliwie na Czeżewską, która mu dać znać miała, co Sylwja w tej mierze postanowi.

Jakoż jednego rana nadbiegła swym zwyczajem z mocno wysznurowanemi ustami, które się zawsze tem silniej ściągały, im ważniejszego coś miała do oznajmienia. Niespokojna, poruszona, wpadła jakby przejęta niezmiernie uczuciem jakiemś, z którego ochłonąć potrzebowała. Sparłszy głowę na ręku, wypoczywała. Dyszała długo, nim się zebrała na opowiadanie.

— Stało się — zawołała patetycznie z ruchem rąk rozpaczliwym do stojącego przed nią i oczekującego Mieczysława. — Wszystkie moje przewidywania zawiedzione, zrozumieć jej nie mogę. Któżby się był spodziewał? daje się zabrać Vaubanowej do Jabłonny. Jedziemy — czy ona jedzie sama, bo ja już nic nie wiem.

Grabski się rzucił.

— Tak, — dodała Czeżewska — i owoc moich insynuacyj, moich próśb i refleksyj może być stracony. Była znacznie ostygłą, przekonywała się, że książę wcale o niej nie myśli... a teraz — ja już nie wiem i nie mogę przewidzieć, co się dalej stać może...

Załamawszy ręce na kolanach, wojska trzęsła głową.

— Czyniłam, co mogłam, — dodała — ale gdy ona co postanowi, niema środka jej przekonać. To darmo!

Grabski, nie mówiąc nic, słuchał przygnębiony.

— Że pojedzie, to niema wątpliwości, — mówiła ciągle Czeżewska. — Przez dni kilka była jakąś wahającą się, niepewną, chodziła niespokojna, wyrywały

się jej słowa, z których wnosiłam, że się opamięta, że do rozumu przyjdzie. Nagle, raz powróciwszy z Pod blachy, wpadła do mnie rozweselona, szczęśliwa i oznajmiła, że Vauban ją z sobą zabiera.

Ruszyłam ramionami, chcąc czynić uwagi, nie dała mi mówić nic. Zamknęła usta...

Czeżewska, powtórzywszy po kilkakroć z najdrobniejszemi szczegółami, jak do tego przyszło, co mówiła, co czuła, jak była zrozpaczona, po długich narzekaniach pożegnała wreszcie milczącego i strapionego Grabskiego.

W kilka dni potem on sam w ulicy spotkał ekwipaż pocztowy księcia wiozący hrabinę Vauban, a w karecie spostrzegł siedzącą Sylwję, która, poznawszy go, rzuciła się w głąb powozu, jakby się przed wzrokiem jego ukryć chciała.

Ponieważ wszelkie sprawy pieniężne zdane były na Grabskiego, a rządca z listami tyczącemi się rachunków i gospodarstwa do niego się udawał, był więc zmuszonym Mieczysław kiedy niekiedy zajrzeć na Miodową ulicę. Najczęściej listy, papiery, pieniądze zostawiał u Czeżewskiej, unikając spotkania się z Sylwją, której widok bolesne, upokarzające na nim czynił wrażenie.

Jednego z następnych dni, potrzebując też oddać przesyłkę otrzymaną z Burzymowa, a wiedząc, że nie zastanie nikogo oprócz służby na Miodowej, Grabski zaszedł na górę.

Zybek, który się śmiertelnie nudził, bo miał już tej Warszawy dosyć, co nieustannie powtarzał („Ona mi już tu siedzi!") — i służąca, przywieziona z Burzymowa — byli sami. Zdziwił się, nie zastawszy Czeżewskiej, która mu oświadczyła, że pupilce swej do Jabłonny towarzyszyć nie będzie.

— Cóż się z panią wojską stało? — zapytał chłopca.

— A, pojechała i ta! — odparł Zybek, ręką machając.

— Kiedy?

— A zaraz po panience! Przysłali po nią powóz

z pod tej Blachy i liścik. Trochę się dąsała, prychała, a potem słoiki swoje zabrawszy, pojechała.

Zybek śmiał się złośliwie.

— Możeby się była została, — dodał — ale ja to wiem, proszę panicza, co ją tam pociągnęło... O! ja to spenetrował!

— Naprzykład? — rzekł Grabski.

— A cóż? słowo daję paniczowi, — żwawo dokończył Zybek — nic innego tylko, że łakocie lubi, a zawsze powiadała, że tam stół choć palce oblizywać. Ona za dobrą leguminę do piekłaby się dała zaprowadzić.

Nie chcąc słuchać dalszych zwierzeń Zybka, Grabski odszedł milczący.

Upłynęło dni kilka, gdy jednego rana głos piskliwy pani Czeżewskiej dał się słyszeć w przedpokoju. Grabski sam pośpieszył jej otworzyć.

Nastąpiło wypoczywanie i wszystkie te miny, mające obudzać współczucie, które zawsze opowiadania poprzedzać były zwykły.

— Przyjechałam, wyrwałam się, — poczęła słabym głosem — słowo daję, tylko dla pana.

— Jakże się ma Sylwja? — zapytał Mieczysław.

— Zdrowa — ciągnęła dalej wojska. — Ale wątpię, ażeby pobyt w Jabłonnie był jej przyjemnym. Stoimy w oficynie razem z Vaubanową. Swoboda na wsi bardzo wielka, to prawda, pół dnia spędzamy w parku pod ślicznemi drzewami, gdy pogoda. Ale książę zimniejszy, posępniejszy niż kiedykolwiek, roztargniony, szyderski. Sylwja podrażniona, smutna, w złym humorze. Zdaje mi się, że ten nasz pobyt nie potrwa długo, a jeżeli wrócimy, to i do Burzymowa się wybierze...

Chodzi niespokojna po swoim pokoju i widocznie rozmyśla, co począć, bo to tak trwać nie może.

Pomilczawszy trochę, Czeżewska dodała, zawsze z dramatycznym akcentem.

— Książę widocznie zajęty pewną osóbką...

Skrzywiła się pogardliwie.

Grabski ruszył ramionami z oburzeniem i niesmakiem.

— Słowo panu daję, — paplała, ożywiając się, wojska — wszyscy tam już mówią o tem. Miłość romantyczna, posępna, melancholijna, to nie jego rzecz, długo z nią nie wytrwa. Ta osóbka, o której mówię, daleko ponętniejsza dla takiego bałamuta, niż idealne istoty!

Do Vaubanowej przyjechała Francuzka, pani de la Brétèche, ani bardzo młoda, ani piękna, bo nawet, zdaje się, że nigdy nią nie była, ale dowcipna, roztrzepana, umiejąca mówić bardzo paskudne rzeczy w sposób niby przyzwoity, że się ze wstydu palić trzeba, gdy się rozgada.

Od pierwszego wieczora książę z niej oczów nie spuścił.

Co rzadko bywa, przysiadł się do stolika, żartował z nią. Plotła, widząc że go to bawi, niestworzone rzeczy, że musiałyśmy się wachlarzami zasłaniać, udając, że nie słyszymy.

Vaubanowa ją zatrzymała w Jabłonnie, codzień się słyszę dopytuje o nią książę, godzinami z nią śmieje się i dokazuje...

Sylwja na to patrzyć nie może i jak tylko ją zobaczy, wychodzi... Dworacy powiadają, że to sobie zabawka i roztargnienie bez konsekwencji, a ja panu ręczę, iż Francuzica się tak obrachuje, aby były konsekwencje! Biega za nim formalnie — bezwstydnica! Vaubanowa śmieje się, kontenta, że jej go ktoś bawi i rozchmurza.

Opisawszy cały tryb życia w Jabłonnie, ranki i wieczory, przejażdżki, przechadzki, gry i zabawy, wojska wkońcu pożegnała Grabskiego, oznajmując, że końmi, któremi przyjechała, powracać musi. Przyrzekła jednak najuroczyściej, że jak dotąd, tak na przyszłość, trzymać będzie pana Mieczysława *au courant* tego, co się w Jabłonnie stanie.

I dni kilka upłynęło tak znowu. Grabski, korzystając z ciepła wiosennego, odbywał wycieczki po okolicach, o ile mu noga dozwalała, na którą trochę kulał jeszcze.

Dnia jednego powróciwszy późno z Wilanowa, zna-

lazł na stole kartkę do siebie, ręką Sylwji nakreśloną, niewyraźnie, z pośpiechem, pod wrażeniem jakiemś gwałtownem.

Zawierała ona następujące słowa:

„Proszę Cię, jak tylko będziesz mógł, przybądź do mnie. Potrzebuję się widzieć z Tobą, rachując, że serce Twe braterskie niczem, nawet niewdzięcznością, zrazić się nie da. Przyjdź, proszę. Wróciłam na Miodową. Zastaniesz mnie zawsze, do północy nawet, bo pilno mi widzieć się z Tobą. Wzywam Cię jako opiekuna, nie odmawiaj. W Tobie jednym, dobry mój Mieczysławie, ufność pokładam.

Sylwja".

Do północy było jeszcze daleko, zegarek jednak dziewiątą wskazywał. Grabski zawahał się z początku, czy jechać natychmiast, czy do jutra widzenie się odłożyć. Z kartki wnosił, że coś nadzwyczajnego stać się musiało, że Sylwja cierpiała i potrzebowała pociechy. Obowiązkiem było nie zwłóczyć chwili.

Na Miodowej spostrzegł światło w saloniku, Sylwja sama jedna przechadzając się po nim, oczekiwała na niego.

Zobaczywszy ją, w progu stanął Grabski, tak go uderzył wyraz jej twarzy tragiczny, zbolały. Cała jej postać i ruchy gwałtowną walkę wewnętrzną znamionowały.

Zmieniła ją już była śmierć ojca, po której zwolna odkwitła na nowo, teraz był to najsmutniejszy obraz młodości, życia, kwiatu złamanego na łodydze. Czarne oczy wpadłe były głęboko, świecąc płomieniem jakimś, podsycanym gorączką wewnętrzną. Bladość mniejby może straszną wydawała się na tem licu, niż rumieńce, które paliły policzki i rozlewały się aż na czoło.

Piękne jej rysy były jakby zmięte i zgniecione męczarnią, oddychała prędko, chwytając powietrze, jakby go jej miało zabraknąć.

Pomimo oznak tej burzy przebytej, malowała się w niej energja prawie nie kobieca, wola namiętna, nie-

złomna. Ból nie przyprawił ją o zemdlenie, owszem siłę w niej rozwinął nadzwyczajną.

Zobaczywszy Grabskiego, posunęła się, milcząc, ku niemu kilka kroków i rękę mu podała. Potem obejrzała się szukając krzesła i padła na nie.

— Widzisz, — odezwała się, zmuszając do uśmiechu — powróciłam. Wszystkie biednej Sylwji wybryczki studenckie skończone, na wieki wieków. Jestem chłodna, rozczarowana, upokorzona i mam największe w świecie obrzydzenie do życia i ludzi. Zatem, kochany Mieczysławie, co mam zrobić?

Grabski chciał odpowiedzieć na zapytanie, przerwała, nie dając mu mówić.

— Nie potrzebuję się spowiadać przed tobą, — dodała — odgadniesz stan mojej duszy, boś go za wcześnie przeczuwał, namawiając mnie do powrotu...

Powrót na wieś w istocie byłby lepszym, boby mi zachował choć cokolwiek złudzeń, z których teraz jestem wyzutą. Jestem rozczarowaną, wytrzeźwioną i smutną...

Brzydzę się wszystkiem...

To okropna rzecz, nie móc nawet posilić się kłamstwem.

Co dalej? ja doprawdy nie wiem, obojętne mi wszystko.

Spojrzała na Mieczysława; ten stał ze współczuciem patrząc na nią.

— Smutne jest życie, gdy ani kochać, ani szanować nie można, ani uwierzyć w nic, i wkońcu o sobie samej zwątpić trzeba... — mówiła cicho. — Umrzeć na zawołanie niepodobna!

Uśmiechnęła się.

— Cóż tu począć?

Znowu Grabski chciał się odezwać, przerwała żywo.

— Od śmierci ojca zaczęły się moje strapienia i rozczarowania. Ty jeden naówczas byłeś mi dobrym bratem, inni radzi się byli mnie pozbyć. Byłam im ciężarem tylko... Powinnam była zawczasu to widzieć i— oddalić się. Nie miałam siły...

Teraz, choć siły nie mam do niczego, lecz zdobyłam przekonanie, że — ludzie nawet najpiękniejsi są istotami jeśli nie pogardy to litości godnymi... Aniołów niema, a ja w nich wierzyć chciałam!! Byłam dzieckiem za długo, kochany Mieczysławie, lecz, na teraz, ręczę ci — wszystko skończone!!! wszystko!

Podniosła oczy ku niemu.

— Co mam począć z sobą?

Grabski, który słuchał i milczał pogrążony w myślach, odezwał się nareszcie, starając być jak najchłodniejszym.

— Jeśli żądasz mojej braterskiej rady, nie mam innej nad tę, jaką dawałem wprzódy.

Jedźmy stąd jak najprędzej, opuść Warszawę, powracaj na wieś, staraj się o przeszłości zapomnieć, wspomnienia tych dni tu przebytych pogrzebać na zawsze. Wierz mi, niema nic nieśmiertelnego na ziemi, nawet boleść umiera. Zaciera się wszystko, zapomina, przechodzi...

— Tak, — przerwała Sylwja — wszystko przechodzi, nic nie powraca, niestety... Młodości dni stracone... i marzenia trzeba pożegnać na zawsze... Ty, dobry mój Mieczysławie, coś mnie niegdyś chciał i starał się ustrzec od czarów i rozczarowania, ty, któregom ja nie umiała ocenić rad i serca dla mnie, przebacz mi! Wiem, ile cierpiałeś dla mnie...

— Nie mówmy o tem, — przerwał Mieczysław — radźmy o sobie. Jedziemy na wieś?

Sylwja potrząsnęła głową...

— Mówiłaś mi przecie, że cię już tu nic nie wiąże? — zapytał.

— Nic, oprócz tego, że wybór miejsca jest mi obojętnym — a na wsi??

Nie dokończyła.

— Ale pobyt w mieście ze wszystkich względów niewłaściwy. Niepodobna uniknąć niepotrzebnych i dziś ciężyć mogących stosunków! — zawołał Grabski.

Sylwja głową potrząsała.

— Nie rozumiesz mnie — odezwała się. — Życie

potrzeba umieć skończyć, gdy się go począć nie umiało... Moje postanowienie jest stanowcze i nie od dziś powzięte. Mówiłam to sobie, iż — od świata, który mi obrzydł, uciekać muszę. Wstąpię do klasztoru...

Grabski rzucił się ku niej gwałtownie, chwytając ją za ręce.

— Sylwjo kochana! to postanowienie gwałtowne i gorączkowe uczyniłoby cię nieszczęśliwszą jeszcze, gdybyś je wykonać miała. Nie jesteś stworzoną do życia klasztornego, nie wytrzymałabyś w niem. W chwili rozdrażnienia powzięłaś tę myśl, przeciw której protestuję.

— Nie, kochany Mieczysławie, — odparła cicho Sylwja — z myślą tą chodzę od śmierci ojca, noszę się z nią, żyję nią. Jest to jedyny koniec możliwy, który mi da spokój pożądany.

— Mylisz się — rzekł Grabski. — Postanowienie to będzie fałszywie tłumaczone, każe się domyślać jakichś uczuć, które, spodziewam się, że wygasły. Ty sama nie znasz klasztoru tylko z książek...

— Przepraszam cię, — przerwała szambelanówna — umyślnie byłam kilka razy u wizytek, za tym progiem, który one, raz go przestąpiwszy, gdy suknię obloką, przysięgają nie przejść już nigdy, chyba w trumnie. Widziałam ich życie...

— Widziałaś jego stronę zewnętrzną, — zawołał Grabski, — aleś zbadać go nie mogła. Przedstawia się ono jako port spokojny, ale do niego trzeba przyjść z sercem nierozkołysanem lub ukojonem, w wieku innym. Ty sama nie znasz jeszcze siebie.

Sylwja zamilkła nieco, lecz widać było, że trwając przy swojem nie chciała się dać przekonać, a spierać się też nie miała siły ani ochoty.

Mówili jeszcze, a było już po dziesiątej, gdy Zybek drzwi otworzył i jak piłka wtoczyła się mała, okrągła pani majorowa. Przybycie jej tak późne kazało się domyślać, że wykomenderowana była na zwiady.

Sylwja zmarszczyła się cofając na widok jej w głąb salonu, Grabskiemu dając znak, aby nie odchodził. Ma-

jorowa obejrzawszy się, zobaczyła dopiero gościa, który jej nie był na rękę, bo skrzywiła się nieco, ale niewiele nań zważając podbiegła do Sylwji.

— Przejeżdżając Miodową, zobaczyłam światło w salonie! Co za siurpryza! jaka radość dla mnie! nie mogłam się oprzeć chęci uściskania cię... Na długoż do miasta?

Sylwja, cofając się ciągle, odpowiedziała zimno:

— Prawdopodobnie zostanę tu.

Parę razy spojrzała Habąkowska na Mieczysława, jakby go wzrokiem odpędzić chciała, ale widząc, że się nie rusza, przystąpiła do Sylwji.

— *Chère adorable!* słóweczko w twoim pokoju! bo widzę, że się tego pana nie pozbędziemy...

Zawahawszy się nieco, Sylwja dała znak oczyma kuzynowi, aby nie odchodził i wprowadziła podskakującą Jutkę do swojego pokoju. Zaledwie się drzwi zamknęły za niemi, gdy Habąkowska, bystro spoglądając na Sylwję, poczęła:

— *Quelle mouche vous pique?* Cóż znaczy to nagłe opuszczenie Jabłonny? Wszyscy są zdziwieni! zaniepokojeni! O cóż to idzie? Czy ci się ta Bretesza tak nie podobała? Prawda, że jest bardzo złego tonu, ale ona długo tam miejsca nie zagrzeje, a tymczasem bawią się nią jak pieskiem lub lalką!!

Zimno wysłuchała tych słów Sylwja, wpatrując się takiemi oczyma w majorową, że ta wzrokiem jej zmieszana była widocznie. Traciła śmiałość i wkońcu splątawszy się, dokończyła cicho:

— Vaubanowa miała fantazję ją zatrzymać!

— Wszyscy mają fantazje, — odparła Sylwja — a nikomu ich za złe mieć nie można. Otóż i ja mam fantazję siedzieć tu, albo wyjechać gdzie indziej...

— A nas chcesz osierocić? nas, cośmy cię tak wszyscy kochali? — żywo szeptała majorowa głosem zimnym. — Prawdziwie, to niewdzięczność! Cóż przecie myślisz? niech wiemy przynajmniej!

— Ale ja sama dotąd nic jeszcze pewnego nie po-

stanowiłam, — odparła Sylwja obojętnie — i właśnie dlatego ściągnęłam tu mojego kuzyna i opiekuna.

— Na opiekuna za młody — przerwała z małym przekąsem majorowa.

Nie było odpowiedzi.

— Więc — zmieniając głos dodała Habąkowska— nie mamy się ciebie spodziewać? Byćże to może? Maż ten kaprysik ładnej Sylwji być nieodwołalnym?

Szambelanówna nie raczyła nawet odpowiedzieć, dawała do zrozumienia majorowej, że ją nudziła i że pozbyćby się jej chciała. Habąkowska nie ustępowała.

— Ale, *chère Silvie!* pozwólże nam, co cię tak kochamy, wiedzieć przynajmniej, co myślisz? co postanawiasz? Czy uszczęśliwisz kogo? Beaumont szaleje za tobą, o tem zapewniać nie potrzebuję, Zatorski kocha się rozpaczliwie i gotów cały świat mordować dla twych pięknych oczu! A może ten opiekun *chevalier de la triste figure* zostanie szczęśliwym wybranym?

Sylwja słuchając przeszyła takim wzrokiem majorową, że ta się mimowolnie cofnęła przestraszona.

— A! nie gniewajże się! — zawołała, śmiech udając i wesołość.

— Nie mam ochoty do gniewu, ani powodu, dziwuję się tylko — zbytniej o los mój troskliwości...

To mówiąc, szambelanówna powiodła ręką po czole, jakby chciała dać do zrozumienia, że ją głowa bolała i dodała zaraz.

— Żegnam panią, potrzebuję odpoczynku.

Nagle myśl jakaś jej przyszła i żegnając już majorową zmieszaną nieco, zatrzymała ją za rękę.

— Byłaś pani dla mnie w ciągu pobytu mego w Warszawie tak dobrą i grzeczną, iż mi za złe nie weźmiesz, gdy sobie pozwolę „przy rozstaniu“ (słowa te wymówiła z przyciskiem) ofiarować jej małą pamiątkę.

Habąkowska nawykła do odbierania pamiątek, uśmiechnęła się zaambarasowana, gdy Sylwja szybko ze stolika dobywszy pudełko, w którem leżała kosztowna kolja ametystowa, nieraz podziwiana przez majo-

rową, złożyła ją w jej ręce. Uścisku, którym obdarzona chciała się wywdzięczyć za tak przyjemną dla niej niespodziankę, Sylwji udało się uniknąć.

— Więc — istotnie — chcesz nas porzucić? opuścić? — zapytała majorowa już się zabierając odchodzić.

— Tak jest, — szybko dokończyła szambelanówna — od jutra już mnie tu niema dla nikogo.

Milcząca wysunęła się majorowa z sypialni, przemknęła ledwie głową skinąwszy Mieczysławowi przez salon, i wyszedłszy do sieni, zawróciła jeszcze do pokoju wojskiej.

Czeżewska siedziała w krześle dotąd nierozebrana, bo wiedziała o przyjściu Mieczysława. Nie spodziewała się prawdopodobnie wizyty majorowej, z którą od niejakiego czasu stosunki były bardzo oziębione. Nieco zdziwiona podniosła się z krzesła na widok jej, gdy Habąkowska, która już swą trzpiotowatość i gadatliwość odzyskała, poczęła od progu.

— Przychodzę się pożegnać, bom od Sylwji dostała odprawę!! Więc jedziecie? opuszczacie nas? Powinnaś mnie za to podziękować, — dodała cicho z tłumionym śmiechem.

Wiem, żeś sobie życzyła uwolnić się stąd, ty i pan opiekun. Wiedzcież, żeście szczęśliwy rezultat nie komu innemu jak mnie winni.

Wojska słuchała z uwagą natężoną. Majorowa naprzeciw niej usiadła i pochyliwszy się poufnie szeptała:

— Książę dawno sobie życzył tego, żeby szambelanównę wywieść ze złudzenia! Żenić się z nią przecie nie mógł, a nadto był sumienny, aby gubić dziewczę, które się w nim tak szalenie kochało. Potrzeba było całą komedję ułożyć, ażeby raz Sylwja miłość tę sobie wyperswadowała...

Podyktowałam sprowadzenie wielkiego łotra Francuzicy, la Brétèche, która swoją rolę (nie wiedząc o niej) wyśmienicie odegrała. Książę niby się nią zajął niezmiernie...

Umieliśmy tak schadzki księcia z nią urządzać, aby

byli podsłuchani... La Brétèche z przyjemnością napawała się czułościami księcia, odpowiadając na nie z werwą i dowcipem. Sylwja wreszcie mogła się naocznie przekonać, iż książę był zajęty i jeśli nie rozkochany, to zaintrygowany i roznamiętniony, i w ten sposób zupełne rozczarowanie uleczyło ją z tej pasji, której inaczej nie byłoby końca.

Wojska słuchając spoglądała na majorową i potrząsała głową.

— Jakże, nie dziękujesz mi? — dodała Habąkowska.

— Wolałabym, — pedantycznie odparła Wojska— aby rozczarowanie mojej drogiej Sylwki wcześniej było przyszło, by nie ucierpiała tyle...

— Dokądże jedziecie? na wieś? — wypytywała majorowa.

Czeżewska ruszyła ramionami.

— Wątpię, — rzekła — ona mówi o klasztorze!

Habąkowska tak była zdziwiona usłyszawszy to, że w ręce klasnęła, nieprzytrzymane pudełko z naszyjnikiem wysunęło się jej, padło na ziemię, otwarło i ametysty zaświeciły na posadzce.

Majorowa zaczerwieniona schyliła się podnosić, ale już oko bystre Czeżewskiej poznało go i usta uśmiechnęły się szydersko.

Wskazała na klejnoty, mówiąc z przekąsem:

— Nieboszczyk szambelan dla żony zapłacił za niego z zapięciem osiemset dukatów. Winszuję!

Nic nie odpowiadając, skłopotana majorowa poczęła ją ściskać serdecznie.

— Żegnam cię, moja droga! Wierz mi, jeżelim wam nie tak usłużyła, jakbym była chciała, to nie moja wina. Trochę mniej romansowości, a więcej praktycznego zmysłu, rzeczyby się były daleko lepiej złożyły. Ale któż jest panem swojego charakteru...

Czeżewska wyprowadziła ją do progu, szybkim krokiem, tuląc podarek pod pachą, Habąkowska zbiegła ze wschodów i karetka jej zaturkotała na bruku.

Sylwja po wyjściu majorowej wróciła do salonu.

— Jutro, — odezwała się do Mieczysława, — jutro potrzebujemy się widzieć jeszcze, aby wszystko skończyć, rozporządzić, zdać i polecić tobie.

Pojutrze chcę już być pod tym dachem, w tych murach, co mnie na wieki od świata oddzielą.

— Kochana kuzynko, — odważył się wystąpić Grabski, który miał czas do namysłu. — Stanie się jak zechcesz, ale ja jestem przez ojca twojego naznaczonym opiekunem, uznajesz to czy nie?

— Tak jest! — cicho szepnęła Sylwja.

— W imieniu ojca twojego mówię — kończył Grabski. — Żądasz wstąpienia do klasztoru, nie sprzeciwiam się, pod tym jednym warunkiem, że między światem a furtą zakonną rok, pół roku spoczniesz i namyślisz się na wsi...

Żądam tego od ciebie w imieniu ojca — wymagam, i nie odstąpię... Masz do wyboru, albo się oprzeć, w takim razie ja zrzekam się opieki i ustępuję, lub usłuchać mej rady, prośby, błagania...

Mieczysław złożył ręce i ukląkł przed nią, Sylwja zapłakana, wahała się widocznie.

— W imię ojca twojego — powtórzył Micio.

— Każesz mi męczyć się dłużej! — zawołała zakrywając oczy.

Chwila długiego milczenia nastąpiła, w czasie której Mieczysław na klęczkach pozostał. Sylwja jeszcze łzami zroszoną podała mu rękę, mówiąc słabym głosem:

— Będę ci posłuszną.

Krzyknęła, zlekka cofając się, poczuwszy, że Grabski ją w nogi całował.

— O, ty mój dobry opiekunie! — dodała, wyciągając ręce obie, — jaki ty jesteś nielitościwy!

Nie mówili już więcej, Grabski wzruszony szepnął tylko, że przenocuje na dole, aby być na jej rozkazy i usunął się natychmiast.

Długo stała szambelanówna jak wkuta do posadzki. Szmer jakiś musiał jej przypomnieć Czeżewską, za-

wahawszy się nieco poszła szukać swej starej przyjaciółki.

Ta już się nie spodziewając spóźnionych odwiedzin zajęta była właśnie zwijaniem papilotów na resztce włosów, uzupełniającej stojącą na postumenciku peruczkę, gdy ujrzała wchodzącą swą wychowanicę.

— Kochana wojska, — poczęła Sylwja, stając przed nią, — przyszłam ci ze wstydem oznajmić, żem musiała ulec naleganiom Mieczysława... Nie pozwala mi schronić się jakem chciała do klasztoru...

Każe mi jechać na wieś!

Wojska rzuciła się ku niej z radosnym okrzykiem.

— Cieszy was to? — podchwyciła Sylwja — mnie to męczy i niepokoi; lecz nie spodziewam się, aby mojem mocnem postanowieniem zwłoka ta zachwiać mogła...

Jedziemy na wieś! moja wojska, — dodała, ręce składając, — przyszłam cię prosić, abyśmy jak najprędzej wyjechać mogły. Rozkazuj, dysponuj, rób co chcesz. Każ pakować w nocy... jedźmy!

— Natychmiast! — krzyknęła wojska chwytając za peruczkę, bez której się nigdy nie pokazywała. — Kochana Sylwjo! będziemy mogły jechać jutro, nawet rano!!

Ależ przecie nie pojedziemy same? Pan Mieczysław towarzyszyć nam będzie.

— Nie wiem — odparła Sylwja. — Jestem pod jego rozkazami. Zrobi co uzna właściwem.

Tylko prędko, prędko, wojska moja, uciekajmy stąd! proszę!

I chwyciwszy się za głowę, Sylwja wybiegła z pokoju.

Przez całą noc nikt oka nie zmrużył w kamienicy; począwszy od Zybka do Mieczysława, który pomagał do zbierania i pakowania rzeczy, biegali wszyscy. Głos pani Czeżewskiej rozlegał się na wschodach, po pokojach, w dziedzińcu. Wytaczano powozy, smarując je przy latarniach, najęta dorożka woziła to Zybka, to Grabskiego do jego mieszkania, a nadedniem Czeżew-

ską po sklepach, w których nieopłacone pozostały rachunki.

Sylwja zamknięta w swoim pokoju nie pokazywała się wcale.

Dobry już dzień był, gdy na palcach wchodząca do niej wojska, która przez całą noc nie zmrużyła oka, znalazła ją uśpioną, z przyschłemi łzami na twarzy, bladą i jakby wielkim bólem zastygłą.

Przebudzona powstała, oglądając się i nie poznając gdzie jest, ani co się z nią dzieje.

— Do drogi wszystko prawie gotowe — odezwała się zbliżając do łóżka Czeżewska.

I przechyliwszy się nad nią dodała:

— Pan Mieczysław nam towarzyszy, odprowadza... mówił, że aż do Burzymowa...

Nie rzekłszy na to nic szambelanówna, z jakąś pokorą posłuszną, jakoby się własnej wyrzekła woli, poczęła wstawać, dając z sobą robić wojskiej co się jej podobało.

Z tem samem milczącem poddaniem się rozkazom opiekuna ubrała się do podróży, i napozór spokojna, gdy się powozy zatoczyły, siadła z Czeżewską i służącą, skryła się w kąt, zapuściła na oczy zasłonę i pozostała nieruchomą.

Wiemy, że droga, która wiodła do Burzymowa, prowadziła na Jabłonnę. Grabski pamiętał o tem i postanowił ominąć ją pobocznemi, aby Sylwji przypadkiem jakim nie narazić na przykre spotkanie, na przypomnienie miejsc i osób, o których powinna była jak najprędzej zapomnieć.

VI.

Prześliczny dzień był wiosenny.

W naszych tylko krajach, posuniętych ku północy, wiosna czasem tak piękną być umie.

Są ziemie, co jej nie mają, są inne, w których wkrada się niepostrzeżona; u nas tylko jest to dramat wiel-

ki przebudzenia natury. Kurtyna się podnosi, ptasia muzyka gra uwerturę, słońce wychodzi z za chmur, wczoraj jeszcze skorupa zimy pokrywała trupią ziemię, dziś królowa wiosna panuje i rzuca pierwsze kwiatki po triumfalnej swej drodze.

Jeżeli kaprys jaki matuchny natury (która umie, jak wszystkie panie, bywać kapryśną) nie przerwie tego dramatu woni i zieleni śnieżycą, gradem i wiatrami zimnemi, wiosna się rozwija, rozkwita, rozpęka tak, że nawet najbiedniejszy człek, co wyszedł w pole z chlebem suchym, ościstym strasznego przednówka, raduje się królowej wiośnie i życiu!

W końcu XVIII wieku, który wyznawał boginię Rozumu i bóstwu Natury cześć oddawał, wiosna też była czczoną, śpiewaną, obchodzoną niemal uroczyście.

Napawano się nią po pięknych parkach, przy posągach i ołtarzach wznoszonych Miłości, Przyjaźni, Wspomnieniom, rozmaitym alegorycznym istotom rzeźbionym z kamienia, ale sercu nieznanym.

Jest rzeczą pewną, że wieki, w których uczucia istotnego jest najmniej, najskłonniejsze są do chorobliwej sentymentalności.

Rousseau, którego dzieci chowały się w szpitalu, wzdychał do natury i idealnego bytu na jej łonie. Voltaire, handlujący zegarkami i pochlebstwem, pisał razem tragedje pełne najwznioślejszych sentymentów, z których się gdzie indziej wyśmiewał.

Nigdy tyle o sentymentach nie prawiono jak naówczas, gdy się starano z nich świat wyzuć i ostudzić.

W Jabłonnie też dewizy, rymy, zabawy, rozmowy tchnęły sentymentami. Wszystkie te panie, co mieniały swe afekty jak sukienki, lubiły prawić o stałej miłości, o poświęceniu bez granic, o bohaterach serca. A żyło się sobie dlatego, nie kusząc o doskonałość i ideały, jak Bóg dał, i nikt nikomu z tego nie czynił wyrzutu, bo — grzeszyli wszyscy.

Trzy czy cztery dni minęły w słodkiem upojeniu wiosną po wyjeździe nagłym Sylwji.

Ślicznego jednego poranku właśnie kawiarnia na dole w oficynie, w której gospodarował Brodowski w białym fartuchu, miała się otworzyć dla gości, i widać było z oficyn, ze dworków, z parku ściągające się męskie towarzystwo.

Niektórzy nieśli z sobą długie cybuchy, z których po kawie lub czekoladzie palić było zwyczajem; dla innych przygotowane stały fajki w samej kawiarni.

Pp. Fribes i Pokutyński już wcześniej od innych przyszedłszy, bo tu każdy gdy chciał, na swoje śniadanie przybywał, popijali kawę, dziwiąc się, że dotąd byli sami.

— Dziś bo jakoś wszyscy zaspali, — mówił szambelan — prawda, że wczoraj faraon za długo ich zatrzymał.

— Książę podobno znowu zdebankował Francuza, — odezwał się Fribes — a dobrze mu tak, niech się nie porywa...

— Nasz książę bo ma nadzwyczajne szczęście i to we wszystkiem — odezwał się Pokutyński, który fajkę nakładał z osobliwszem staraniem, a Zamor mu już do niej węgiel żarzący trzymał wpogotowiu.

— I przysłowie kłamie, gdy o niego chodzi, — roześmiał się Fribes — postawi *Va-Banque*, prawie zawsze zagarnie, spojrzy na kobietę, niema takiej, któraby mu się oparła i choć serca nie dała.

Szambelan się obejrzał dookoła.

— Pewnie nikt tak księcia nie kocha, jak ja, — rzekł — ale ta historja szambelanówny, choć on niewiele winien, zawsze mi się nie podoba...

— Zmiłuj się! — zawołał Fribes — on nie winien nic! a nic!

— No, tak! ale z początku, — rzekł Pokutyński — książę nieopatrznie dał jej poznać, że mu się podobała. W główce się biednej zawróciło! Odbolała to srodze!

Cmoknął szambelan z fajki, która zgaśnięciem groziła.

— Dajmy już temu pokój! — odezwał się Fribes. — Kto tam wie, ile zawinił książę, a i on też bolał i boleje!

Ja powiadam ci, szambelanie, że miłość owocem jest smacznym, ale po nim oskoma zawsze zostaje.

— A, jak Boga kocham, Fribes! — szepnął Pokutyński — teraźniejsza pasja księcia niepojęta! — I splunął. — Gdyby ta Bretesza do mnie starego chciała robić słodkie oczy, jabym drapnął!!

— O! o! — zaczął, przedrwiwając, Fribes.—Szambelanie, coś mi to wygląda na zielone winogrona... Bretesza! ba! kobiecina z szalonym temperamentem! jak angielskie konie! książę ma gust i pewne zasady... Co stanowi w życiu smak? umiejętność posługiwania się kontrastami... Po romansie platonicznym, chłopskie zaloty, *et vice versa!*

— Ona ma blisko czterdziestówki! — ciągnął dalej Pokutyński — pod oczyma sińce. Przy świecach ledwie błyszczy i to resztkami — Pfe!

— No, ale kontrast po świeżych twarzyczkach, właśnie! — dodał Fribes. — *C'est piquant!*

Pokutyński tak pracował nad rozpaleniem fajki, iż odpowiedzieć nie mógł.

— Cóż się stało z szambelanówną, że jej nie widać? — spytał Fribes.

— Właśnie, że nie wiem i jestem niespokojny — rzekł Pokutyński. — Znikła jakoś nagle, a ostatnich dni chodziła smutna i zniechęcona, aż mi jej żal było.

— Przecież! nic się jej nie stanie!—odparł pierwszy — panna piękna, rozumna, dowcipna i bogata!

— Ale dziwnie samowolna i energiczna — dorzucił szambelan.

— To tylko przyszłemu małżonkowi może być groźnem, — rozśmiał się Fribes — a dla niej pewnie z tem lepiej. Energja nikomu, nawet kobiecie nie szkodzi. Pewnie na wieś musiała powrócić?

Na to pytanie Pokutyński ramionami ruszył, obejrzał się, książę nadchodził właśnie w haftowanej złotem aksamitnej czapce na głowie, dosyć już wynoszonej, a zapewne już oddawna mu służącej, pięknych rączek pracy. Mówiono, że to był dar pani Cz..., której książę długo pozostał wiernym.

Pepi twarz miał znużoną, bladą — poziewał.

Zobaczywszy Pokutyńskiego, odwiódł go nieco na stronę.

— Nie słyszałeś co nowego? z Warszawy? — zapytał, patrząc mu w oczy.

— Dotąd nie mamy żadnych nowych wiadomości, — odparł szambelan — ale sądzę, że dziśby majorowa przyjechać powinna, a z nią zapas plotek na długo...

— Myśmy tu i tego głodni, — odparł książę — cisza głucha, a gdy się do miasta nawykło...

Nie dokończywszy, odszedł książę.

Goście napływali zewsząd, witając się przed oficyną i pospieszając na śniadanie.

— Dzień dziś jakby stworzony na spacer w lasy i podwieczorek na murawie! — odezwał się Kamenecki. — Co za powietrze balsamiczne! jaki zefirek przyjemny!

— Trzeba jaką eskapadę ułożyć koniecznie! — dodał Rautenstrauch. — Damy powozami, my konno.

Wtem na gościńcu ukazał się powozik, który dwa zmęczone konie ciągnęły. Nadchodzący do kawiarni zwrócili nań oczy.

— Do Jabłonny, czy nie?

Zaczęto się odzywać.

— Do Jabłonny! — wołali jedni.

— Nie! gościńcem pojedzie dalej! — powiadali drudzy.

Angloman Fribes ofiarował trzymać zakład, że nie do Jabłonny zmierzał powóz, ale nikt stawać z nim nie chciał; a w chwilę potem miejska karetka opylona zawróciła w dziedziniec.

Wyszli naprzeciw ciekawi panowie dowiedzieć się, kto przyjechał.

Karetka zatrzymała się przed oficyną, w której mieszkała pani Vauban i — kobieta z niej wysiadła.

— Ani chybi, to majorowa! — zawołał Pokutyński.

— Czy sama?

— Sama jedna!

Przybyła znikła była już we drzwiach oficyny.

Książę, mimo że go usiłowano rozbawiać i zarzucano pytaniami, rozdenerwowany był, znudzony, milczący. Wypił prędko swoją kawę, zapalił fajkę i pominąwszy żywo rozprawiających o koniach, poszedł do oficyny.

Pani Vauban o tej godzinie nie była jeszcze widzialną. Przybyłej majorowej ukazano pokoik, w którym się z pyłu otrzepać i przebrać mogła.

Zaledwie wszedłszy do niego, zrzuciła woal z głowy, gdy wszedł książę. Spojrzenie na Habąkowską bystre mogło go przekonać, że z niebardzo dobrym przybywała humorem.

— *Eh bien?* — zapytał lakonicznie.

— Prawdziwie nie wiem, co mam księciu powiedzieć — poczęła majorowa, poprawiając ubranie. — Z tego com widziała i słyszała, wiem tylko, że myśli opuścić Warszawę. Zupełnie jest uleczoną ze swej pasji, ale razem jakąś zniechęconą do życia, do ludzi, i Czeżewska mi powiedziała, że chce wstąpić do klasztoru.

Książę drgnął, ale widać było, że nie wierzył.

— *Pas de plaisanteries!* — odezwał się serjo.

— Wcale nie żartuję, jest to bardzo prawdopodobne, — dokończyła Habąkowska. — Gdym z nią mówiła, a przyjmowała mnie z widoczną niechęcią, czuć w niej było rozdrażnienie, zwątpienie, tak że mi się jej żal zrobiło.

Pepi stał, usta mu się nieco skrzywiły, brwi namarszczyły, popatrzał w ziemię.

— Byłaś więc u niej? widziałaś się? — spytał.

— Na chwilę tylko... — mówiła Habąkowska. — Zastałam u niej kuzyna Grabskiego, namarszczonego, ją nadąsaną, milczącą tak, że ledwie mogłam na kilka minut wyprosić do drugiego pokoju.

Tu pożegnała mnie tylko, oznajmiając, że nazajutrz nie będzie już dla nikogo w domu. Czeżewska zaś pod sekretem powiedziała mi, że chce nieodmiennie wstąpić do klasztoru...

Ruszył ramionami Pepi.

— Toby było — szaleństwo! — zamruczał.

— Szkodaby jej było za kratę! — westchnęła majorowa.

Zamyślony stał książę czas jakiś, nie mówiąc już nic, zwrócił się ku drzwiom i w sieniach postawiwszy zgasłą fajkę, sam wszedł na schody do mieszkania pani Vauban.

Przybycie majorowej obudziło powszechną ciekawość, którą ona wcale nie miała ochoty zaspokoić.

Przyjechała zmęczona, w złym humorze, księciu przywiozła wiadomość nieprzyjemną i, co się jej bardzo rzadko zdarzało, była w usposobieniu kwaśnem, nadąsana, niekontenta z siebie. Prawda, że miała do tego powód słuszny, jeden z białych niegdyś ząbków na przodzie chwiał się tak, jakby był na wylocie.

Wszystko to razem czyniło ją tego dnia nieznośną.

Spojrzenie w zwierciadło zwiększyło jeszcze zły humor, bo się przekonała, że była bardzo żółtą tego dnia.

Zabierała się już, dobywając z kieszeni rozmaitych słoików, do naprawiania cery, gdy w progu ukazał się Pokutyński.

— Nie — przyj — mu — ję! — krzyknęła, tupiąc nogą. — Rozumie pan! Nie — przyj — mu —ję!

— Mnie! starego!

— Nikogo!

— Oprócz mnie jednego! przez miłosierdzie! piękna majorowo!

— Prześliczny szambelanie! proszę wychodzić! i drzwi zamykać...

— Ale! ale! pięknym paniom kapryśnym zwykło się gwałt zadawać — rzekł, wkraczając, Pokutyński.— Zlituj się nad spragnionymi! Miłosierdzia, piękna majorowo! Co się stało z szambelanówną?

— Z jaką?

— Z Burzymowską.

— Przecież ja jej niańką nie jestem! Nie wiem!

— Majorowo! jak żyję, takem cię okrutną nie wi-

dział. Byłem zawsze tego przekonania, że serce masz litościwe...

— Przestaniesz pan? — pogroziła z gniewem Habąkowska. — Śliczna pochwała dla kobiety! Serce litościwe! To sarkazm!

— Zawzięłaś się dla mnie być okrutną, — mówił złośliwy szambelan, idąc bez ceremonji do pokoju — okrutną teraz, gdy cię doświadczenie nauczyło, że litość nadwereża reputację!

— Jesteś impertynent, bezwstydny!

— Całe życie mi to mówią, — odparł Pokutyński — a ja uwierzyć temu nie mogę. Nie czuję się do tego.

Majorowo! chcesz się mnie pozbyć, aby rozpocząć tualetę, mów coś przywiozła?

— Ale! nic nie wiem! nic nie przywiozłam oprócz siebie... i wiązki siana za karetą, którą furman przyczepił na złość mnie...

Wiązkę tę siana mogę szambelanowi ofiarować.

Dygnęła mu.

— Rozumiem, masz mnie za osła, — rzekł spokojnie Pokutyński — ale, moja dobrodziejko, woźnica nie dla mnie ją przeznaczał. Objadać nikogo nie chcę.

Wtem weszła prędko pani Cichocka. Pokutyński stał jeszcze.

Kobiety zaczęły w kątku pokoju szeptać coś z sobą, ale ucho szambelana trochę przytępione z tej szybkiej wymiany wyrazów pochwycić nic nie mogło.

Zapomniano tak o nim, że wkońcu pokłoniwszy się z ironją Habąkowskiej, wyjść musiał.

Stanął niemal skonfundowany we drzwiach oficyny, naprzeciw której wprost, w drugiej jej odpowiadającej, widać było całe towarzystwo oczekiwać się zdające na niego, aby się z niem powziętą wiadomością podzielił.

Niecierpliwiono się, Fribes ręką na niego machał, aby prędzej powracał. Pokutyński stał i namyślał się.

Było naówczas w zwyczaju i w modzie, zwłaszcza u ludzi z dowcipu słynących, do których właśnie zali-

czano Pokutyńskiego, trefnie mistyfikować towarzystwo.

Mistyfikatorowie, którzy umieli zręcznie puścić fałszywą wiadomość, uczynić ją prawdopodobną, zwieść przyjaciół lub doprowadzić ich do jakiego kroku wywołanego skomponowaną pogłoską — wsławiali się tym talentem.

Mistyfikowano często w bolesny i przykry sposób, dla uciechy, zabawienia się, gdy konceptu do zabaw i ochoty brakowało.

Pokutyński, nie czyniąc jak inni rzemiosła z mistyfikacji, niekiedy z wielką zręcznością wprowadzał w błąd najmniej nawet łatwowiernych. A że mu się to trafiało rzadko, nie posądzano i wiarę zyskiwał.

Chociaż miał wiele współczucia dla Burzymowskich, nie mógł się teraz oprzeć chętce zmistyfikowania ciekawych.

Wszyscy oczekiwali jakichś wiadomości z Warszawy, on rozmawiał z majorową, mogli więc ci panowie przypuszczać, że się coś o szambelanównie dowiedział, która tak nagle stąd znikła.

Przyznać się do tego, że go Habąkowska odprawiła z niczem, nie chciał, postanowił więc zażartować sobie.

Tłumaczyła ten żart niewczesny okoliczność, że się nic bardzo tragicznego nie spodziewał i spokojny był o przyszłość Sylwji, której energiczny charakter znał lepiej od innych.

Ułożył więc plan i minę nastroił do niego stosowną, stojąc we drzwiach. Nierychło, wolnym krokiem, z powagą, zamyślony, począł się zbliżać ku kawiarni.

Na wystawionych przed nią krzesłach siedzieli dworacy księcia, paląc fajki na długich cybuchach.

Zamor uwijał się z węglami i skórzanym, żółtym tureckim kapciuchem.

— Ale cóż bo tak leziesz na raku? — krzyknął Fribes do zbliżającego się Pokutyńskiego. — Chodźże — chodź.

— No, idę, a śpieszyć się nie mam z czem — odezwał się serjo Pokutyński.

Przyszedłszy do nich, stanął zasępiony i milczący.

— Cóż, pani Jutka przywiozła jakie wiadomości? — zapytał Fribes.

Pokutyński zamiast odpowiedzi na pytanie zażądał od Zamora węgla do zgasłej fajki.

Wszyscy patrzyli nań z ciekawością, z rysów twarzy zwykle wesołych, teraz posępnych, czyniąc wnioski, że musiał przynieść coś niedobrego.

Fribes zbliżył się do niego.

— Cóż tedy? co?

— Nic nie wiem! — odparł Pokutyński.

To „nie wiem" wymówione było tonem tak wystudjowanym, iż dla wszystkich znaczyło nie co innego nad — „Wiem, ale wam nie powiem!"

Spoglądali na siebie siedzący.

Nadzwyczaj ciekawy angloman odciągnął na stronę szambelana.

— Ale powiedzże choć mnie, na ucho, co się stało?

— Nie mogę.

— Mnie...

— Ani tobie, ani nikomu!

— Ale, pod sekretem!

— Słowo honoru? — szepnął szambelan.

— Słowo honoru najuroczystsze! — szybko odpalił Fribes i ucha nadstawił.

— Nie mów nikomu, nie trzeba, żeby się to rozchodziło! Tragedja smutna, powiadam ci. — Burzymowska rzuciła się do Wisły, jak królowa Wanda!

Powiedział to jakoś smutnie, tonem żałosnym, tak iż Fribes mu uwierzył.

Zdala patrząca reszta towarzystwa spostrzegła ten szept, minę przestraszoną anglomana — i nic więcej.

Pokutyński natychmiast odstąpił kilka kroków.

Zbliżył się doń zkolei Kamenecki i wziął go pod rękę.

— Cóż mówi majorowa?

— Ale, nie wiem! — odparł znowu szambelan.

— Ba! mów komu chcesz! Cóż to znowu? Ja u cie-

bie mniej na zaufanie zasługuję niż Fribes — począł dawny adjutant księcia.

— Ale, dajże ty mi pokój! nie mogę mówić! niema nic!

Kamenecki począł męczyć, nalegać, wyzwał go na słowo Pokutyński i szepnął mu na ucho.

— Na Boga, nie gadaj nikomu! Otruła się...

Taż sama ciekawość, która dwu pierwszych napędziła w sieci szambelana, nie dała Rautenstrauchowi wytrzymać, począł i on, odciągnąwszy na stronę, męczyć Pokutyńskiego o powierzenie mu tajemnicy.

Pokutyński opierał się mocniej jeszcze i dłużej, uległ nareszcie i powiedział mu na ucho, że szambelanówna za indultem wyszła dnia wczorajszego zamąż za Zatorskiego.

Zkolei tak czwartemu, wziąwszy od niego słowo, zaręczał, że zaślubiła barona de Beaumont; piąty się dowiedział, że z Grabskim wyjechała do Paryża. Obdzieliwszy tak wszystkich ciekawych, którzy siedzieli milczący, rozmyślając nad losem szambelanówny, Pokutyński z wielką powagą usiadł na podanem mu krześle i fajkę kurzyć począł.

Po pewnym przeciągu czasu z oficyny pani de Vauban ukazał się wychodzący z fajką zagasłą, z głową spuszczoną, z twarzą, która nowiny pokombinowane przez Pokutyńskiego zdawała się potwierdzać, książę Józef.

Wszyscy mu się ze współczuciem przypatrywali zdaleka.

Książę, co było rzeczą zupełnie niezwyczajną, ponieważ Brodowski był jeszcze śniadaniem zajęty, Zamorowi kazał zawołać do siebie Francuza Harela.

Harel zajęty w samym pałacu około pokojów, wybiegł w rannej toalecie.

Książę zwrócił się ku niemu.

— Idź, proszę cię, powiedz Schusterbauerowi (koniuszemu), aby natychmiast kareta dla hrabiny do Warszawy była gotowa. Angielski zaprząg, ty i strze-

lec. Niech zajadą, jak tylko konie zaprzęgą. *Et vite!*— dodał książę.

Wydawszy ten rozkaz, zaczął się przechadzać. Przyjaciele nie pojmowali poco jeszcze pani Vauban potrzebną być mogła tak pilno w Warszawie, gdy wszystko już było skończone. Spoglądano ciekawie, ruszając ramionami.

Wąsaty Schusterbauer zjawił się zaraz od stajen, meldując księciu, że angielski zaprząg nie mógł być użyty, bo jeden z dżokejów w nocy zasłabł.

— A zatem, wiedeńska piątka pocztowa! — zawołał książę z trochą niecierpliwości i dodał powtórnie — *Et vite!*

Schusterbauer pobiegł ku stajniom.

Panowie czekali, czy im co książę nie powie, ale Pepi był tego dnia bardziej jeszcze, niż zwykle zamkniętym i milczącym. Chodząc z głową zwisłą, nie mając ochoty nietylko się odzywać, ale ani nawet słuchać żywej rozmowy, którą przyjaciele rozpoczęli w nadziei, iż książę się da do niej wciągnąć i rozerwać.

Mówiono o koniach, o faworytalnej klaczy księcia, angielskiej, o ostatnich nowinach europejskich, które poczta przyniosła.

Sprzeczano się, dochodziło to do uszu księcia, ale nie odezwał się wcale, chodził zadumany.

Wtem z jednej z oficyn ukazała się wyskakująca, nieco za młodo i za fertycznie, osóbka niewielkiego wzrostu, w obcisłej z ogonkiem sukni kaszmirowej białej, szlakami szalu wschodniego obszytej, podpasana wysoko ponsową wstęgą, z drugą podobną szarfą w napiętrzonych włosach jasnych; jak na rano, zbyt może wygorsowana, wesolutka, udająca trzpiotowatą i dziecinną, choć sińce pod oczyma i zarysy zmarszczek o latach przeżytych smutne dawały świadectwo.

Była to sławna pani de la Brétèche.

Zobaczywszy księcia, kroczyła wprost ku niemu z zuchwalstwem, które w podziw i admirację razem mężczyzn wprawiło.

Książę jednak, który powinien był oszczędzić jej

pół drogi i pośpieszyć na spotkanie, został w miejscu jak przykuty, odwrócił oczy i na twarzy okazał widoczny niesmak i zniecierpliwienie.

— A! co za dzień rajski, mój książę! — wołała zdaleka, mrugając oczkami, — co za dzień! Nigdym się nie spodziewała, ażeby w tej Polsce lodowatej taka piękna wiosna kiedyś być mogła! Ale ona mi przypomina moją ojczyznę, południową Francję, — dodała z westchnieniem — tylko że tu niema rozkwitłych migdałów.

Książę stał, nie okazując nawet ochoty przywitania się z nią, na co ona wszakże pozwolić nie mogła.

Stanęła też przed nim, podnosząc do góry głowę, aby mu zajrzeć w oczy.

— Dzień dobry! — zawołała.

— Dzień dobry!

— Książę ma dziś minę niewesołą?

— Nie wiedziałem o tem, — odparł Pepi odniechcenia — to prawda, że jestem znudzony bardzo.

— Chodźmy się przejść po parku! Ranek tak cudny!

— Przepraszam, mam zajęcie, — rzekł książę coraz zimniej — może który z tych panów służyć jej będzie.

Wskazał ręką na siedzących.

Nikt się jakoś nie ofiarował.

Ruszyła ramionami Bretesza, i trochę urażona, nie wiedząc, co z sobą zrobić, zapytała Kameneckiego, z którym była bardzo poufale.

— Cóż to dziś księciu?

— Nie wiem — odparł sucho adjutant, który się do tonu pana nastroił.

Może sądząc, że zazdrość obudzi, Bretesza podeszła pod oficynę, zaczepiając młodych panów półsłówkami dwuznacznemi; wszystkich znalazła w jakiemś usposobieniu żałobnem.

Wkońcu przekonawszy się, że tu nie ma co robić dłużej, wróciła do dam, które szła odwiedzić.

Pokutyński spotkał ją na drodze.

— Może szambelan mi powiesz, co was wszystkich taką melancholją zaraziło?

— Jakto! pani nie wiesz nic?... — zapytał niby zdziwiony szambelan.

— Zmiłuj się! Nic a nic!

Pokutyński ze smutnem obliczem pochylił się do jej ucha.

— Proszę tylko nie wydawać mnie z sekretu! Książę nasz jest zrujnowany! kapitały, które miał w jednym holenderskim banku, razem z nim przepadły. Katastrofa okropna, lecz proszę pani jeszcze raz, ażeby to między nami zostało!

Francuzka posądziła może w początku szambelana, że z niej żartował, ale Pokutyński był doskonałym artystą. Twarz jego mieniła się wedle wymagań sytuacji, wydawał się tak przybity i zmartwiony, iż Bretesza przelękła się i zmieszała. Zbladła o tyle, o ile jej róż na twarzy rozpostarty dozwalał, i cofnęła się do oficyny.

Szambelan jeszcze raz zaklął odchodzącą, żeby go nie wydawała z sekretu.

Właśnie w tym samym momencie odezwała się od stajen trąbka i tak zwana piątka pocztowa wiedeńska, zaprzężona do wygodnej karetki pani de Vauban, zwróciła oczy wszystkich.

W książęcej stajni, oprócz kilkudziesięciu koni wierzchowych i paradnego cugu, którym stary Czerepiński powoził, było dosyć czwórek i piątek polskich i korsykańskich, ale wiedeńskiej nie zrównała żadna. Konie lekkie, piękne, doskonale dobrane szły jak panienki w tańcu, z gracją, z humorem. Służba do nich na wzór poczt niemieckich ubrana, w palonych butach, łosiowych spodniach, wykładanych frakach, stosowanych kapelusikach, była wytworna i elegancka, aż patrząc na nią każdy się cieszył.

Książę też powiódł oczyma za swemi gniadoszami, a Fribes się do nich uśmiechnął. Pocztyljon powożący z blachą na ręku, popisywał się z trąbką, która wszystkich do okien i drzwi powoływała.

Karetka zatrzymała się przed oficyną i niebawem pani hrabina de Vauban z Habąkowską, która tylko co przybywszy, już jej nazad towarzyszyć musiała, siadły do powozu.

Pocztyljon zagrał, uderzenie z bicza rozległo się po dziedzińcu i ze zdumieniem wszystkich — karetka, kłusem wyciągniętym gniadoszów, potoczyła się ku Warszawie.

Hrabina, delikatna, niebardzo znosząca podróże, do rannego wstawania nieskora, że się dała skłonić do wyjazdu, dawało do myślenia wiele. Dziwniejszem jeszcze i bardziej zagadkowem było, iż majorowa zaledwie wysiadłszy napowrót z hrabiną jechała...

Łamano sobie głowy, a każdy ze zmistyfikowanych przez Pokutyńskiego inaczej to sobie tłumaczył.

Najnieszczęśliwszą była podobno Bretesza, której udzielona wiadomość o ruinie wszystkie plany, na przyszłość osnute, krzyżowała.

Książę zniknął z dziedzińca, dwór też, dopaliwszy fajek, rozchodzić się zaczął, rozmyślając nad niespodzianą komplikacją wypadków, mogących na czas jakiś zachmurzyć horyzont Jabłonny.

Przy obiedzie rozmowa jakoś nie szła, wszyscy byli tak posępni jak gospodarz, który odpowiadał roztargniony półsłowami i żadną nie zdawał się interesować rozmową. Nie poszedł potem nawet do bilardu i siadł w oknie sam jeden.

Pani Cichocka, Bretesza i dwie Francuzki, widząc go tak chmurnym, pocieszać i rozrywać nie śmiały.

Chociaż wszyscy Pokutyńskiemu dali byli najuroczystsze słowo, że powierzonej nie zdradzą tajemnicy, po obiedzie, znalazłszy się sami, Kamenecki z Rautenstrauchem, nie mogąc przypuścić, aby względem siebie byli do sekretu obowiązani, pierwsi zagaili sprawę pocichu.

— Proszę cię, co za smutna katastrofa! — szepnął Kamenecki — i jak to na księcia naszego podziałało! Chodzi jak struty!

— Co za katastrofa? Wyśmienity owszem koniec! — odparł Rautenstrauch. — Lepszego wyboru zrobić nie mogła. Zatorski dobre chłopczysko. Wybraćże kogoś musiała!

— A cóż tu ma do czynienia Zatorski? — spytał zdziwiony adjutant.

— Przecież za niego poszła! — odparł Rautenstrauch.

— Gdzie? co? Przysłyszało ci się! Ona się otruła!

Rautenstrauch ruszył ramionami. Wtem nadciągnął Fribes, powołano go, aby spór rozstrzygał, bo widziano, jak mu także coś szeptał Pokutyński. Ten powiedział, co słyszał od niego.

— Przecież wy to wiedzieć musicie, bo i wam się zwierzał!

— Jakto? on ci to mówił?

— Tak! że się utopiła w Wiśle... — dodał Fribes.

W pierwszej chwili stali wszyscy poglądając na siebie, nawzajem się posądzając o mistyfikację, aż Rautenstrauch parsknął.

— Ale to farsa Pokutyńskiego! — zawołał.

Oprócz zmistyfikowanej Breteszy, której nikt nie wyprowadzał z błędu, a ta na kanapce w ciemnym kątku siedziała rozmyślając o nowej kampanji, wszyscy zresztą, przekonawszy się, że z nich zażartowano, poszli napaść na Pokutyńskiego.

Szambelan, śmiejąc się, zeznał, że nie wiedział nic, bo mu majorowa powiedzieć nie chciała z czem przybyła.

Wieczorem, jak zwykle, założono bank, książę zaczął się przechadzać po salonach.

Była to godzina, w której się Bretesza do niego przyplątywała, bawiąc go paplaniną wesołą; tego dnia nie miała odwagi, została na kanapie w ciemnym kątku, rozmyślając nad marnościami świata tego.

W salonach goście zasiedzieli się dopóźna. Noc była majowa prześliczna, z księżycem i słowikami, jedna z tych cudnych, w których każdemu śni się o miłości i szczęściu. Okna były pootwierane, z za starych drzew

parku blady księżyc zaglądał do wnętrza, a pieśń słowików rozlegała się, płynąc na woni bzów rozkwitłych. Spać nikomu się nie chciało.

Tak przy faraonie i cichej rozmowie doczekano się głosu trąbki pocztowej, która zdaleka, nim się turkot powozu dał słyszeć, zabrzmiała.

Książę z widocznym niepokojem pośpieszył na ganek.

Trąbka zabrzmiała bliżej raz, drugi i w bramie ukazała się piątka pędząca przed pałac tak żwawo i raźnie, jak z rana biegła ku miastu.

Harel otwierał drzwiczki, strzelec miał z drugiej strony podać rękę hrabinie, gdy sam książę wyręczyć go pośpieszył.

W ganku oprócz niego cały dwór niewieści pani de Vauban oczekiwał na nią.

Księciu, który zdawał się chcieć spytać o coś, przybyła wskazała majorową, kładnąc rękę na piersiach, aby mu dać do zrozumienia, iż ze znużenia słowa wymówić nie mogła. Sparta na ręku swych przyjaciółek, hrabina weszła do pałacu, a książę został sam z Habąkowską.

Oczyma naglił ją, aby mu prędzej powiedziała, co się dowiedziały, co zrobiły. Z miny majorowej trudno było co odgadnąć, sznurowała usta, rzucała wejrzenia ukośne, zdawała się chcieć trochę udręczyć niecierpliwego.

— Więc cóż? — zapytał Pepi, marszcząc brwi.

— Jak się księciu zdaje? — odparła majorowa tajemniczo.

— Myślisz mnie mistyfikować czy rozgniewać! — zawołał książę trochę niecierpliwie. — Nie zdaje mi się, aby to było w miejscu...

Byłyście w klasztorze?

— W żadnym, bo nie było poco! — odparał majorowa.

— Nie weszła jeszcze?... — pytał książę.

Habąkowska ruszyła ramionami.

— Książę jest naiwnym! — rozśmiała się. — O klasztorze się mówi, ale się do niego nie wstępuje tak łatwo.

— A więc?... powieszże mi nareszcie, gdzie jest i co z sobą postanowiła?...

Majorowa rozśmiała się wesoło.

— Możemy być spokojni! — poczęła — młody opiekun Grabski, który się w niej kochał oddawna, zabrał ją za kordon, na wieś. Wyjechali dziś rano. Mogę zaręczyć, że opieka skończy się marjażem!

Odbierzemy *une lettre de faire part*. A! któż wie? może pani Grabska zjawi się na przyszły karnawał w Warszawie!

To mówiąc, dygnęła Habąkowska. Księciu się twarz wyjaśniła.

— To się zowie dobra wiadomość! — zawołał wesoło.

I wbiegł do salonu zamaszysto, wprost do stolika faraona.

— *Va Banque!*

— Jeżeli karta wygra! — szepnęła, podbiegając, majorowa — mnie się będzie coś z wygranej należało!

Książę przegrał stawkę, ale odszedł tak uśmiechnięty i dobrej myśli, jak nie był jeszcze dnia tego.

— To znaczy, — powiedziała sobie w duchu majorowa — że ona go przecie kocha; ale wolałabym mniej miłości, a połowę wygranej.

Westchnęła biedna...

EPILOG.

Moglibyśmy z czystem sumieniem na tem nasze opowiadanie zakończyć, gdyby dla dopełnienia go nie nawinął się nam pod rękę stary, zżółkły kawałek papieru, którego zużytkowaniu oprzeć się nie mogliśmy.

Jest to list pani wojskiej Czeżewskiej w kilkanaście lat po wypadkach pisany do starej przyjaciółki majorowej, która, jak się z adresu okazuje, zmieniła była

stan i nazwisko, wyszedłszy zamąż za referendarza X., zamożnego człowieka, i spokojniej teraz dożywała dni swych, karmiąc siebie i drugich obfitemi wspomnieniami przeszłości.

List wojskiej, która pozostała jako kuzynka w domu państwa Grabskich, datowany jest z Burzymowa. Z pisma widać, że w późnym już wieku pani Czeżewska, chociaż jej się ręka trzęsła i oczy niedobrze służyć musiały, żywości umysłu nie straciła wcale.

List, o ileśmy go odczytać potrafili, jest następującej treści:

„Jutko moja najdroższa! Żądałaś dawniej ode mnie, abym ci od czasu do czasu o sobie znać dawała, co spełniać mi było miło zawsze, a teraz w wielkiem utrapieniu ducha i smutku mogę powiedzieć, że mi to jest konsolacją jedyną.

Wiesz już z listów moich, jak nadspodziewanie szczęśliwie skończyło się wszystko, zamążpójściem Sylwji za Grabskiego, któremu rok z okładem kazawszy czekać, naostatek w kapliczce domowej naszej rękę oddała.

Nie mogę powiedzieć inaczej, tylko że małżeństwo było najprzykładniejsze, najszczęśliwsze, jakie sobie wyobrazić można, jeżeli szczęściem nazwać się godzi— zgodne pożycie, spokój, dostatek i niczem niezamąconą chłodną przyjaźń małżonków.

Co do Grabskiego, ten choć sztywny i milczący, choć się z tem nie wydawał, kochał ją zapamiętale — ona zaś miała więcej szacunku dlań, wdzięczności, życzliwości, niż czulszego sentymentu. Pozostała zawsze jakąś smutną, melancholijną, małomówną i jedne dzieci, których im Pan Bóg dał dwoje, cokiwiek zdawały się ją ożywiać.

Siedzieliśmy przez te kilkanaście lat, jakem ci pisała, kamieniem w domu, bo ona nigdy nigdzie nie chciała się wychylić z Burzymowa, a on chyba musiał do Lwowa za interesami.

Nie chwaląc się, moja Jutko, gdyby nie ja, z temi dziećmi nigdyby sobie Sylwja rady nie dała, bo, choć

je kochała, wychowywać nie umiała, a on sam za surowy był.

Córkę, już teraz czternastoletnią, mogę powiedzieć, żem na ręku wynosiła, a Wojciech, syn, po francuskuby nie umiał tak jak teraz, gdybym ja go do konwersacji nie zmuszała.

Nie mogę się też na nich skarżyć, że o mnie zawsze pamiętali i nie zbywało mi na niczem.

Najokropniejszą katastrofą, moja droga, skończyło się to pożycie, — posłuchaj tylko, opiszę z detalami.

W piątek zawsze kozaczek dworski jeździł na pocztę i przywoził nam gazety, bo i on i ona się bardzo polityką interesowali. Jak zawsze tak i teraz oto powrócił rano, gdyśmy przy śniadaniu byli, a że jesienne drogi bardzo złe, o parę godzin się spóźnił.

Poszedł niecierpliwy pan Grabski sam do stajni, aby torebkę z listami i gazetami od kozaczka odebrać, a że już o jakiejś wielkiej bitwie, w której cesarz francuski pobity być miał na głowę, chodziły wieści, był tak ciekawy, że w podwórzu począł czytać.

Ja siedziałam w oknie i widziałam, jak chwilę postawszy na zimnie i wietrze, gdyby wkuty w ziemię, nagle gazetę do kieszeni wetknął, papiery wszystkie przepatrzył i powrócił do nas, jakiś jeden list tylko trzymając w ręku.

Sylwja spojrzała na niego, że gazet nie miał i zapytała żywo:

— A gazety?

Grabski ruszył ramionami.

— Opóźniły się czy coś... nie wiem, — bąknął — niema.

— Jakże to być może? — uparcie mu w oczy patrząc odezwała się ona.

— Czasy są takie, moja Sylwko, że spóźnienie gazety niedziwne! — rzekł on.

— Ale właśnie teraz! — krzyknęła Sylwja ręce łamiąc — teraz, kiedy się losy świata rozstrzygają, nie mieć żadnej wiadomości...

— Uspokójże się, nadejdą one, poślemy jutro lub pojutrze drugi raz na pocztę.

Ja, com przez okno patrzała jak chował gazety, domyśliłam się zaraz, że chce coś przed Sylwją utaić, ale co? tego odgadnąć było trudno.

Z twarzy i z mowy poznać było po nim można, że coś skrywał, że kłamał i pewna jestem, że ona także, przenikliwa bardzo, znająca męża doskonale, musiała powziąć jakieś podejrzenia.

Udała uspokojoną, ale jej krew uderzyła do głowy i oczy się zaiskrzyły. Zadumana siadła w oknie, a po chwili Grabski, który wzroku jej nie mógł wytrzymać, wymknął się.

Chociaż dzień był brzydki jesienny, i wcale się bez tego mógł obejść Grabski, poszedł zaraz potem do gospodarstwa.

Myśmy jeszcze zostały w jadalnym pokoju, ale Sylwja nie mówiła nic, taka była w myślach zatopiona, że swawoli dzieci biegających około stołu zdawała się nie słyszeć.

Wtem gdy my tak siedzimy, patrzę, posłaniec jedzie i poznałam, że od pani Cetnerowej, wielkiej jej przyjaciółki. Konia przywiązał i idzie do dworu z kopertą dużą.

Ona go też spostrzegła i drzwi otwarła do sieni, a posłaniec list jej podał.

Karteczka była, bom ją później czytała, w kilku słowach:

— Posyłam gazetę, którą mąż mój przywiózł, bo jeszcze może nie doszedł was opis tej nieszczęśliwej bitwy.

Sylwja, upuściwszy bilet, natychmiast siadła czytać gazetę. Patrzałam na nią, jak bladła, bladła, dech jej zabiło, chwyciła się za piersi, oczyma zaczęła biegać po arkuszu, który trzymała w ręku. Jedną razą jak krzyknie! dopóki żywa głosu tego nie zapomnę. Gazeta jej z ręki wypadła, a ta blada jak trup w krześle — bez życia...

Skoczyłam do niej cucić...

Wszystko już było próżne.

Nie żyła. Doktorowie mówili później, że jej serce pękło i że aneurvzm miała.

W gazecie opisaną była bohaterska śmierć księcia.

Wystawże ty sobie, kochana Jutko, położenie moje, krzyki i przestrach dzieci, rozpacz męża... który w zgon jej wierzyć nie chciał, zamieszanie, chaos, lament, okropność...

Że ja tego nie przypłaciłam życiem, nie wiem czemu to przypisać, chyba żem zaraz wzięła te krople, o których ci pisałam, a bez nichbym już pewno nie żyła dawno.

Gdy doktór przybył, już była zupełnie skostniałą i zimną.

Co się u nas potem przez kilka tygodni w domu działo, jak ten człowiek rozpaczał i rozpacza, opisać nie potrafię. Chodzi codzień na jej grób płakać i modlić się, choć oczywista rzecz, że ona go nigdy nie kochała.

Teraz dom cały na mojej głowie i córka, do której jest guwernantka Polka, ale to — do niczego...

Ze zdrowiem mi coraz gorzej, i gdyby nie krople cudowne...

Grabski cokolwiek odszedł, jednakże zawsze chodzi blady, mało nawet mówiąc, tylko tyle, że dzieci go czasem rozruszać mogą trochę.

Namawiałam go, aby wyjechał się rozerwać i do ludzi zbliżył, ale on nikogo nie słucha.

Bądź ty mi zdrowa, kochana moja, i obdarz mnie kilku słówkami — i t. d.“

KONIEC

$+ \frac{E d_0}{d}$